

Rok na końcu Renata Advent świata



Szansę na miłość trzeba
wykorzystać od razu.

Feeria
WYDAWNICTWO

Rok na końcu
Renata Adwent świata

To my David

**Za mną, czytelniku! Któż to ci powiedział,
że nie ma już na świecie prawdziwej,
wiernej i wiecznej miłości?
A niechże wyrwą temu kłamcy jego plugawy język!**

Michaił Bułhakow *Mistrz i Małgorzata*

Preludium

Obudziła mnie piosenka w radiu. Po chwili dołączyło do niej pogwizdywanie i szum wody dochodzące z łazienki – Mikołaj brał prysznic. Przeciągnęłam się w cudownie ciepłej pościeli. „Niech dzisiaj będzie wolna niedziela” – wymruczałam zakłęcie, nie otwierając oczu. Kilka sekund zajęło mi przypomnienie sobie, że środa już była, czwartek też, a poprzedniego wieczoru odwiedziliśmy znajomych i do późna graliśmy w scrabble, popijając wino, i to był piątek. Dziś powinna zatem być sobota. Niestety nie wolna. Westchnęłam i spojrzałam na budzik na nocnej szafce, wskazywał 6.30. Czułam się tak, jakby w mojej głowie płynęła maleńka łódeczka po niespokojnym morzu, powodując delikatne nudności. Zawinęłam się szczelnie w kołdrę i obróciłam na drugi bok. Pogwizdywanie łazience przeszło w murmurando, a potem w gardłowy śpiew – jak zawsze ten sam stary przebój Toma Jonesa. Nie byłam pewna, czy dziś rano mnie to rozśmiesza.

Wstałam niechętnie i, zamiast w kapeć, trafiłam stopą w zimną podłogę. Zasycałam ze złością i owinęłam się ciasno szlafrokiem. Nasze maleńkie mieszkanie było przeraźliwie zimne. Odkąd się wprowadziłam dwa lata temu, spędzałam godziny, odkurzając, czyszcząc, wieszając obrazki, zdjęcia, ustawiając bibeloty i wyrzucając stopniowo i niepostrzeżenie wszystkie te rzeczy gromadzone latami przez Mikołaja, których nie lubiłam. W efekcie mieszkanko stało się dość przytulne, ale wcale nie cieplejsze, i z nastaniem pierwszych jesiennych dni musiałam wkładać na siebie warstwy swetrów, żeby jakoś przetrwać. Najgorsze były poranki, jak dzisiaj.

Zarzuciłam kaptur od szlafroka na głowę i powlokłam się do naszej mikroskopijnej kuchni. Włączyłam czajnik. Kawa dla mnie i herbata z mlekiem dla Mikołaja. Patrząc przez okno, z niechęcią myślałam, że będę musiała niedługo wyjść do pracy. Drzwi od łazienki zaskrzypiały, zapachniało pianką do golenia i mokrym ręcznikiem.

– Dzień dobry, kochanie. – Cmoknął mnie w szyję i objął, przytulając się mocno.
– Dzień dobry.
– Strasznie w nocy chrapałaś, to pewno od wina – rzucił przez ramię, zabierając jednocześnie swój kubek z herbatą.
– Dziękuję ci bardzo, to właśnie chciałam usłyszeć z samego rana od mężczyzny, z którym jestem – odparłam z przekąsem, wrzucając łyżeczkę do zlewu.
– Och, daj spokój, nie przeszkadza mi twoje chrapanie. Wręcz przeciwnie, nie czuję się w nocy samotnie, bo mam niezbity dowód, że śpisz tuż obok. – Zaśmiał się głośno i włączył telewizor.

– Ha, ha, ha – mruknęłam i powlokłam się do łazienki.

– Ktoś wstał nie w humorze? – zapytał zaczepnie.

W odpowiedzi rzuciłam w niego ścierką do naczyń.

Przetaarłam ręką zaparowane lustro i powoli namydliłam twarz. Czułam narastające niezadowolenie. Ostatnio zdarzało mi się to dość często w odpowiedzi na niektóre zachowania Mikołaja. Po raz kolejny zadawałam sobie w głowie pytanie: „Czy to tak ma wyglądać mój związek?”. Nie znosiłam rozmawiania o krępujących, wstydliwych lub obrzydliwych sprawach. Po co mówić takie rubaszne rzeczy? To zabija uczucia, odziera związek z romantyzmu i pożądania. W ogóle zdecydowanie za dużo jak na faceta gadał! A skoro już poruszam ten temat, to czy to w ogóle *ten* mężczyzna? Czy to, co nas łączy, to miłość? „Jeejuu” – zawylałam w ręcznik, osuszając twarz. Po co ja to roztrząsam? I tak mam kiepski poranek. Ale już było za

późno. Otworzyła się puszka Pandory i wypełzały z niej moje osobiste, nieznośne obawy i lęki. Tak, mam 30 lat. Trudno się mówi, to fakt. Przecież się nie zastrzelę, do cholery! Spojrzałam w lustro, wklepując krem, i zrobiłam grymas. Mam cudownego, jak mówią, faceta. Ale czy to już na całe życie, ze ślubem i do śmierci? Ma mnóstwo denerwujących nawyków, ścieramy się, bo różnymi się poglądami i czasami brak mu pewności siebie. I to z takim facetem mam być już na zawsze?

A właśnie tej nocy, kiedy tak głęboko spałam upojona winem, miałam cudowny sen. Był piękny letni dzień, ja o pięć lat młodsza, a u mego boku jeszcze młodszy, przystojny i energiczny mężczyzna. Spacerowaliśmy po jakimś starym mieście, trzymając się za ręce, na mych ramionach zwiewny szal i jego oczy wpatrzone we mnie gorąco. Okoliczności zresztą mniej istotne, ważne było uczucie, z jakim się obudziłam – zachwyt, zauroczenie, podekscytowanie, bo coś się zaczyna, nie wiadomo, jak się rozwinie, i jest tysiąc powodów, żeby czekać niecierpliwie na ciąg dalszy. Raczej nie miałam takiego poczucia ostatnio w swoim związku... „Aaaaaa” – krzyczało coś teraz panicznie w mojej głowie i biło na alarm jak dzwon Zygmunta. Sny to w końcu przewodnik i królewska droga do nieświadomości, obraz naszego potencjału, może alternatywna ścieżka naszego życia – to wszystko, czego nie wybraliśmy. Czy ja dobrze wybrałam? To pytanie nie opuściło mnie ani po wyjściu z łazienki, ani przy śniadaniu, ani w drodze do pracy.

Sobota w pracy minęła na szczęście szybko. Sprzedawanie w sklepie z pamiątkami, zwłaszcza już po sezonie, nie jest zbyt wymagającym zajęciem. Wypolerowałam przedmioty na wystawie, dołożyłam kilka piersiastych figurek jakiejś egzotycznej bogini na półkę i obsłużyłam garstkę klientów. Już o piętnastej byłam wolna.

Po pracy miałam się spotkać w kafejce z przyjaciółką. Dotarłam tam przed czasem i zapadłam się z ulgą w głęboką kanapę, po czym smętnie pochylona nad kubkiem latte, z resztkami kaca objijającymi jak piłeczka w mojej głowie, obserwowałam otoczenie. Przy stoliku obok dwoje starszych ludzi, siedząc naprzeciwko siebie w milczeniu, popijało kawę. On robił kuleczki z chusteczek higienicznych, ona co i rusz poprawiała ręką włosy i kręciła pierścionki na palcu. Zgadywałam w myślach ich historię. Są małżeństwem od trzydziestu lat i nie mają o czym gadać. On wkurza ją, bo ciągle wszystko zapomina i całymi dniami ogląda wiadomości, po kolei na wszystkich kanałach. Ona gdera i narzeka na niego, bo uważa, że zawsze wie lepiej i ma rację. Zajmują się wnukami i ona poucza synową. W weekendy jeżdżą na działkę, gdzie ona się opala w staniku, a on maluje świeżą warstwą farby ogrodowe krasnale.

Dzwon Zygmunta w mojej głowie zabrzmiał znowu.

Patrycja wpadła zdyszana, cmoknęła mnie w policzek i rzuciła płaszcz na krzesło.

– Sorry, że się spóźniłam, byłam na siłowni – wysapała.

– Spoko, nic się nie dzieje – odparłam z westchnieniem, które brzmiało bardzo teatralnie i z pewnością głęboko poruszyłyby widzów, gdybym te słowa wypowiedziała ze sceny.

– A co ty taka smętna? – zapytała i klapnęła na kanapę obok mnie, aż mnie podrzuciło nieco do góry.

– Jak to w ogóle jest z tą miłością? – zastanawiałam się głośno, nie odpowiadając na jej pytanie. – Czy to są te motyle w brzuchu? Czy jak gotujesz ukochanemu posiłki i masujesz plecy? Czy trzeba wszystko wybaczać i usprawiedliwiać? A może najpierw trzeba mężczyznę przerobić tak, żeby idealnie pasował do twoich oczekiwań? – zapytałam w zadumie.

– Nie mam pojęcia. Dla mnie najważniejsza jest przyjemność, którą mogę mieć z kontaktu z facetem. Mówię ci, nie ma co analizować tak głęboko. – Zaśmiała się perliście.

– Ale ja muszę zrozumieć i wiedzieć, kiedy to jest miłość, a kiedy zwykła pomyłka.

– Pomyłona to ty jesteś – odparła szybko. – Masz superfaceta, jesteście razem ponad dwa

lata, kocha cię, dobrze zarabia i na pewno niedługo dostaniesz pierścionek.

– A obrzydliwe rzeczy? – zapytałam powoli.

– Jakie obrzydliwe rzeczy? – Wyglądała na zaskoczoną. – Nie myślisz chyba o seksie, nietknięta dziewico? – zachichotała.

Przewróciłam oczami i wystawiłam jej język.

– No, jak ci twój facet mówi o tobie rzeczy, które są prawdą, ale taką fizjologiczną... no wiesz, chrapanie...

– A, o to ci chodzi! – Pacnęła się ręką w czoło. – I bąki w łóżku, smrody w łazience i takie tam...

– Boże, jakaś ty bezpośrednia – obruszyłam się. – No czy o tym się mówi, czy się to przemilcza?

– A jak to zignorować, kiedy śmierdzi? – zachichotała.

Westchnęłam głęboko. Patrycja była człowiekiem twardo stąpającym po ziemi.

– Fakty są faktami i nie ma się co czarować, nawet w miłości – oświadczyła zdecydowanie. – Jeżeli zadajesz sobie takie pytania po dwóch latach mieszkania razem, to albo to faktycznie nie ten, albo masz kogoś innego na oku – podsumowała. I bardzo mnie przestraszyła.

Jej słowa towarzyszyły mi w autobusie, który wiozł mnie do domu. Była sobota, więc wsiadały do niego pary z dziećmi w wózkach, z zakupami i wracające ze spacerów. Kobiety miały zmęczone oczy i nieco spowolniałe ruchy. Mężczyźni w zabawny sposób starali się zająć dzieci podczas podróży do domu. Jeden nieco usmarkany malec parzył na mnie uważnie, jakby wiedział, o czym myślę. Rosło we mnie przerażenie. I co? I tyle? Pierścionek, ślub, dzieci i tak wygląda małżeństwo? Zakochałam kiedyś w moim Mikołaju, było romantycznie i pięknie się zaczęło, ale wkradło się coś do naszego mieszkania i przebywa z nami od dłuższego czasu. Nie potrafiłam jednoznacznie określić, czy to ja jestem znudzona, czy mi po prostu czegoś brakuje. Czy ja to ze sobą przyniosłam, czy on? A może to powstało pomiędzy nami?

Wpadłam do mieszkania, trzaskając drzwiami. Zapach smażonego mięsa zaatakował mnie od progu. Mikołaj gotuje, muzyka gra, świece już się palą na stole.

– Cześć, kochanie! – Uśmiechnął się, wyglądając na korytarz.

– Cześć!

– Obiad już prawie gotowy, umyj ręce i chodź – jego zaproszenie zabrzmiało w moich uszach jak komenda.

– Dobra. – Przemknęłam do łazienki.

Opuściłam deskę toalety i usiadłam. Wcale nie byłam głodna i chętnie napiłabym się zimnego piwa. Tak, teraz mamy obiadek, posiadówki i oglądanie DVD w łóżku. Potem dzieci i sobotnie spacerki, które są balansowaniem na cienkiej linii między jednym wybuchem złości dzieciaka a drugim. Świetnie! Tak właśnie chcę spędzić resztę życia. Popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze. W oczach nadal miałam przerażenie, i wcale nie było udawane.

Jedząc kolację, która okazała się przepyszna, zbierałam się, żeby zacząć rozmowę. Bo postanowiłam, że musimy teraz porozmawiać. Nie będę się gryzła w samotności.

– Mikołaj...? – zaczęłam.

– Chcesz dokładkę? Smaczne mi wyszło, prawda? Wiesz, tajemnica tkwi w oliwie – rozkręcał się.

– Super, bardzo mi smakuje, ale dzięki na razie. A wiesz, rozmyślałam sobie dzisiaj o nas. Może byśmy zaczęli chodzić razem na siłownię?

– Przecież chodzisz z dziewczynami.

– Tak, ale pomyślałam, że fajnie byłoby robić coś razem. Może przydałoby ci się trochę ruchu?

– Moje ciało to świątynia. – Klepnął się po wyraźnie rysującym się brzuchu. – Nie, ja nie lubię siłowni – dodał z odrazą.

Nie znosiłam tego grymasu. Przypominał mi wtedy małego dzieciaka, który krzywi się na widok surówki na talerzu. Coś kliknęło w mojej głowie i zaczęło się. Program został uruchomiony i znowu weszłam w rolę mamusi.

– A byłeś kiedyś? To dla zdrowia! Sam powinieneś wiedzieć, jakie to ważne, zdrowa dieta i ruch!

– Nie lubię spoconych ludzi dookoła mnie.

– Esteta! – odparowałam ze złością. – A wyobraź sobie, że miłość też zaczyna się od piękna. I dbanie o siebie to wyraz szacunku dla partnera! Po prostu nie chce ci się ruszyć tyłka! – wypaliłam i gwałtownie wstałam od stołu.

– Że co?

– Platon! Kto czyta, ten wie – warknęłam, zeskrobując do kosza resztki mięsa z talerza.

– O co ci chodzi? Od wczoraj nie można się do ciebie zbliżyć bez kija – zachnął się.

– Będziesz miała okres czy co?

– Jasne! Najlepiej zwalić wszystko na żeńskie hormony i wędrującą macicę – podniosłam głos. – Byle tylko niczego nie wymagać od siebie!

Wyszłam z kuchni do sypialni i usiadłam na łóżku. Tak naprawdę to, co mu wykrzyczałam, było zaledwie wierzchołkiem potężnej góry lodowej. Nie podobał mi się jego słomiany zapach. Miał zapędy artystyczne. Po mieszkaniu walały się niedokończone dzieła malarskie i klisze niewywołanych zdjęć. Kupował za dużo jedzenia, bo ciągle się obawiał głodu, wojny i pożogi, więc lodówka musiała być zawsze pełna, a potem to ja wyrzucałam z niej przeterminowane produkty. Jego pierwszym pytaniem rano jest, co na śniadanie. A tuż po śniadaniu martwi się o obiad! Kiedy rozmowa schodzi na temat, na którym Mikołaj się zna, rozpoczyna wykład, co nudzi mnie do nieprzytomności i jednocześnie wkurza. Ja w mojej dość nudnej pracy pochłaniam książki. Zawsze lubiłam to robić, Mikołaj czyta tylko swoją literaturę fachową, artykuły w sieci i weekendową gazetę. No i ogląda wszystkie programy motoryzacyjne, a nawet nie mamy samochodu!

Czy ja powinnam mu to wszystko powiedzieć, żeby mógł się zmienić? Czy może powinnam go zaakceptować, bo taki po prostu jest, a zresztą to są pierdoły? Na ile mogę go zmieniać i modelować jak plastelinę? Ulepię sobie mojego faceta jak figurkę i postawię na kominku. Zapłacę informatykowi za napisanie programu dla niego i wybiorę aplikacje, jakie powinien mieć zainstalowane. I taka będę szczęśliwa! Wyglądało na to, że nasz związek niczym Titanic w nieunikniony sposób zmierza ku katastrofie. Drzwi się otworzyły. Wszedł Mikołaj z herbatą.

– Owocowa – powiedział cicho, podając mi gorący kubek. Usiadł obok mnie.

– Dzięki. – Wzięłam kubek w dwie ręce, jakbym nie miała wystarczająco siły, żeby utrzymać go w jednej. Pomyślałam, że to jak z miłością, musi być trzymana w dwóch parach rąk, które dopasowują się do jej kształtu, do naszych własnych kształtów.

Mikołaj tymczasem milczał. I chwala Bogu, że miał tyle rozsądku. Czegoś się jednak o mnie nauczył przez te dwa lata. Po kilku minutach objął mnie i cicho zapytał:

– Co się dzieje?

– Nie wiem sama. Jest mi ostatnio źle, samej ze sobą, a odbija się to na tobie, na nas – udało mi się szczerze odpowiedzieć bez atakowania go.

– Chodź tutaj. – Zagarnął mnie swoim wielgaśnym ramieniem. – Kocham cię, wiesz?

Tak, zdecydowanie była to jedna z rzeczy, która mnie w nim pociągała. On, taki postawny, hałaśliwy, a ja taka malutka. Mogę się skryć, schować i wysuwać tylko nos

z bezpiecznej kryjówki naszego związku i jego miłości. Bo nie wiadomo dlaczego, jego miłości byłam pewna od samego początku. I od samego początku miałam wątpliwości, czy to, czym odpowiadam na jego uczucie, jest równie wielkie, silne i gorące.

Później oglądaliśmy *The Sweetest Thing*. Piękny gest ze strony Mikołaja, który wyczuł mój nastrój i wybrał babski film. Przytulałam się do niego mocno i cieszyłam się, że z nim jestem. Wyrzucałam sobie w duchu, że mam nierówno pod sufitem i szukam dziury w całym. Jesteśmy złapani w sieć miłości, a w sieci muszą być dziury! No i to dobrze, że są, bo jak można żyć z ideałem? Ideał robiłby zawsze to, co chcę, i byłoby nudno. Przy ideale jeszcze bardziej wyłaziłyby na wierzch moje niedoskonałości. Tak, zdecydowanie bycie z ideałem jest bez sensu! Leżąc z głową tuż pod jego brodą, wyczuwałam jego tętno, równe i mocne. Popatrzyłam na niego do góry z kocim uśmiechem na ustach. Spojrzał na mnie.

– Co tam?

– Fajnie tak sobie leżeć, prawda?

– Nooo – mruknął i połaskotał mnie po nosie.

Następnego dnia była niedziela i Mikołaj poszedł do pracy na poranny dyżur. Cieszyła mnie cisza w mieszkaniu. Włączyłam komputer i wpisałam hasło „miłość” w Google. W ułamku sekundy wyrzuciło tysiące rezultatów, od wierszy Poświatowskiej po porno-strony. Nawet nie chciało mi się tego czytać. Sprawdziłam skrzynkę mejlową i tam też miłość chciała się wcisnąć – w spamie znalazłam ofertę „Amorek online”. Z opisu wynikało, że to w pełni profesjonalny serwis, w którym pracuje sztab ekspertów. Mają 100% trafień w kojarzeniu par i jeżeli ten, którego dla mnie wybiorą, nie okaże się Ideальnym Kandydatem, to zwrócą pieniądze! Weź dwóch w cenie jednego – idź na dwie randki w jeden dzień! Weź trzech, a czwartego dostaniesz gratis! Fajnie, pomyślałam, facet opłacony kartą kredytową i podsunięty przez profesjonalistów to trochę jak towar. Jeżeli jest wadliwy, bierzesz podbitą kartę gwarancyjną i zwracasz do sklepu. Albo naprawiają usterkę, albo wymieniasz. Bardzo sprytnie, tyle tylko, że nie wybierasz z całej puli, ale spośród kandydatów wyselekcjonowanych na podstawie podanych przez ciebie informacji. Dzięki temu odpowiedzialność za sukces lub klęskę rozkłada się równo na sztab profesjonalistów i zleceniodawcę. Ja mojego Mikołaja wybrałam sobie sama, nie ma więc z kim dzielić trudów decyzyjnych. Nagle kobiece wyzwolenie, zamiast jako wolność i przywilej, odczułam jako ogromny ciężar. O ileż lepiej mają klienci Amorka!

Wyłączyłam płytę Nory Jones i ruszyłam w stronę półki z książkami. Może tam znajdę jakieś wskazówki. Bez wahania sięgnęłam po nieco już sfatygowany egzemplarz *Biegnącej z wilkami*. Spomiędzy kartek wystawały niezliczone różowe fiszki, którymi zaznaczałam inspirujące fragmenty. Otwarłam na przypadkowej stronie – niechaj będzie wyrocznią miłosną! Trafiłam na stronę 230 i opowieść o tańcu kobiety motyla. Do Puye, mimo odległości i trudów podróży, przybywają zewsząd tłumy, żeby ją zobaczyć. Wszyscy spodziewają się czegoś pięknego i niepowtarzalnego, a pod koniec dnia na plac wychodzi stara, grubawa kobieta i płąsa w rytm swojej wewnętrznej melodii:

Jestem tutaj, jestem tutaj, tutaj, tutaj. Obudźcie się, ty i ty, i ty! (...) Tego właśnie uczy kobieta motyl. Tak robią to motyle. Tak robi to dusza. Kobieta motyl przeczy błędnemu przekonaniu, że przeobrażenie jest dobre dla męczenników, świętych albo nadludzko silnych. Jażń nie musi przenosić gór, by ulec transformacji. Wystarczy tylko trochę, mała rzecz może zmienić wiele.

Widziałam tę scenę oczami wyobraźni i spodobał mi się obraz tańczącej do swojej wewnętrznej muzyki kobiety i zaskoczonych, rozczarowanych lub może nawet zirytowanych

widzów. Piękna swoją starością i siłą, nietykalna, całkowicie naturalna i dzika. Uśmiechnęłam się do siebie. Ja nigdy tak nie tańczę. Nie jestem pewna, czy przeobrażenie jest dla mnie. Zakreśliłam jednak markerem dwa ostatnie zdania, idealnie nadające się do moich ćwiczeń afirmacyjnych z pracy nad samooceną. Ale miało być o miłości, mruknęłam i ponowiłam próbę znalezienia przesłania, po raz kolejny na chybił trafił otwierając książkę. Tym razem natknęłam się na opowieść o młodej żonie i jej mężu z brodą w kolorze indygo. Od początku budził jej niepokój, ale zdecydowała się go poślubić, przekonując siebie samą, że w końcu nie jest taki zły. Gdy musiał wyjechać na dłużej, przestrzegł ją: „możesz otwierać wszystkie drzwi (...) wszystkie drzwi w zamku; nie używaj jednak tego malutkiego kluczyka, tego z rzeźbieniem na kółku”. Przez jakiś czas korzystała z atrakcji zamku, pieniędzy i wygód, ale wreszcie ciekawość zawiodła ją pod drzwi ostatniej, nieotwartej komnaty. Koniec jest tragiczny. Bezwzględny, drapieżny mąż nie ma zamiaru wybaczyć przekroczenia swoich reguł, a i naiwna kobieta dostrzega wreszcie jego prawdziwe oblicze, po czym staje się kolejną jego ofiarą.

Zamknęłam książkę, która wypadła mi z osłabłych nagle palców. Tak! Stało się! Już rozumiem! To Sinobrody! Wkradł się, a ja uległam jego urokowi! Wmówiłam sobie, że nie jest wcale taki zły i porwał moją kobiecą siłę. Jestem zagubiona, nie wiem, co czuję, bo utraciłam kontakt z własną duszą. Już nie biegnę w stadzie wolna i silna, węsząc zapachy, które przynosi wiatr. Ale wabiona obiadami, uściskami, poczuciem bezpieczeństwa, stałam się udomowionym wilkiem. Jestem gorsza niż gospodarski kundel! To dlatego mam wątpliwości. Nie wiem, czy to miłość, i boję się przyszłości. Czy sam fakt, że zadaję sobie te pytania, śnię sny, nie świadczy o tym, że głęboko w środku mam przeświadczenie, że to niewłaściwa osoba?

Panika zagania mnie do kuchni w poszukiwaniu czegoś słodkiego. O, jak chciałabym zapalić, ale przecież rzuciłam. Bycie dziewczyną lekarza nie idzie w parze z paleniem. Ale pozwala jemu nie dbać o zdrowie i nie chodzić na siłownię?! Dzwon Zygmunta w mojej głowie bił na alarm, jakby Tatarzy atakowali znów Kraków. Tak, jestem w pułapce. Kobieta usidlona, pozbawiona niezależności, tańcząca pod dyktando władcy, który deklaruje miłość. Zaczęłam w pośpiechu przygotowywać się do wyjścia, jedną ręką się czesałam, a drugą wybierałam numer Patrycji. Odebrała po trzecim sygnale.

– Cześć, kochana – zabrzmiała radośnie tuż przy moim uchu.

– Cześć. Miałam rację! Czułam to już od miesiąca. Ale na dobre zaczęło się wczoraj, bo miałam ten sen.

– Co się zaczęło, o czym ty gadasz?

– Sinobrody!

– Co?

– No przecież mówię! Porwał moją duszę. Pamiętasz książkę, którą ci pożyczyłam?

O dzikich kobietach. Ja już nie jestem jedną ze stada – głos mi się załamał.

– Odbiło ci! – stwierdziła stanowczo.

– Spotkajmy się, to ci wytłumaczę. O trzynastej, tam gdzie zwykle – rzuciłam w słuchawkę i rozłączyłam się, zanim odpowiedziała. Wiedziałam, że przyjdzie. Była jedną z moich dwóch przyjaciółek. Znała moje głębokie przemyślenia i płytkie zachowania. No i prowadziła klub nocny, a związane z nim kobiety o miłości i niemiłości wiedzą dużo. Miała gibkie ciało i piękną, gładką skórę. Była esencją kobiecości. Zawsze mówiła, co myśli, i parla do przodu jak czołg, gdy czuła, że ma rację, a czuła to zawsze, bo nie dopuszczała do siebie wątpliwości.

Mieszałam łyżeczką kawę nieco zbyt gwałtownie. Przystojniak w garniturze pracujący na laptopie przy stoliku obok rzucił mi spojrzenie pełne dezaprobaty. Miałam ochotę pokazać mu

język, ale zamiast tego odłożyłam łyżeczkę na spodek. W tym momencie w drzwiach pojawiła się Patrycja, z burzą czarnych włosów, w purpurowej bluzce z głębokim dekoltem, widocznej spod rozpiętego płaszcza. Uśmiechnęła się i pomachała, a mężczyzna odmachwał entuzjastycznie i bez wahania. Zaśmiałam się złośliwie, a on spojrzał na mnie speszony. Patrycja podeszła do mojego stolika i usiadła naprzeciwko mnie, tyłem do garniturowca.

– Kolega się podekscytował – szepnęłam.

Wydeła tylko kapryśnie wargi i przewróciła oczami. Szybko przeszłam do rzeczy.

– Słuchaj, nie wiem, co mam zrobić, czy my z Mikołajem naprawdę się kochamy, bo ja chyba jestem ofiarą i ten związek mnie niszczy psychicznie. Tak mi wynika z książki. Bo wiesz, ja nie chcę ślubu, dzieci i małżeńskiego życia aż po grób. Nie chcę nudy i przyzwyczajenia – mówiłam na wydechu i machałam rękami. – Ja chcę żyć twórczo i radośnie, a on mi gotuje i w ten sposób zakazuje mi wejścia do innych komnat i zabija moją kobiecość! – zakończyłam, bo zabrakło mi tchu.

– Ale że co, że ty chcesz gotować? – Badawczo mi się przyjrzała z kpiącym uśmiechem. Doskonale знаła zakres moich umiejętności w tej dziedzinie.

– Bardzo śmieszne! – Upiłam łyk kawy. Spojrzałam kątem oka na garniturowca, wyraźnie pochylał się w naszą stronę i bezczelnie podsłuchiwał.

– I wiesz – zaczęłam głośniej – ma jeszcze taki denerwujący nawyk, jak większość facetów, że jak pojawi się fajna dziewczyna w restauracji, to zamiast zagadnąć do niej, podsłuchuje jej rozmowy z przyjaciółką!

Patrzyłam na niego lodowato, Patrycja zaczęła się śmiać, a garnitur zamrugał oczami, wzdrygnął się, zamknął laptop, pozbierał gadżety i szybko wyszedł.

– Rany, dziewczyno, jaka z ciebie zołza, może nieśmiały był, a ty tak od razu na niego.

– A niech spada. – Machnęłam ręką. – Tu się rozmawia o poważnych sprawach! Waży się przyszość mojego życia uczuciowego i szczęścia w związku.

– No dobra, to mów po kolei, co masz do Mikołaja.

– Widzę ostatnio głównie jego wady. Akcentuję różnice pomiędzy nami i mam poczucie braku. Tylko nie wiem, czy to brak we mnie, czy w naszym związku – starałam się jej streścić moje wcześniejsze rozmyślenia.

– Myślisz, że ma kogoś? Nie dba o ciebie? – szukała punktu zaczepienia.

– Wręcz przeciwnie, dba za bardzo. Powinam się czuć jak pączek w maśle, a jest ze mnie taki wkurzony pączek, któremu nic nie pasuje!

– A co masło zjełczałe? – zaintrygowało ją moje porównanie.

– Och nie, ale może go za dużo. Taki, wiesz, nadmiar dobrobytu. Ale to tylko tak zewnątrz, bo w środku mi brak – mówiłam, wskazując w okolice swojego biustu. Tam powędrował wzrok Patrycji.

– No bo masz takie bardzo małe B – wybuchła śmiechem.

– Jasne, naśmiewaj się, ja do ciebie jak do terapeuty... – Smętnie zwiesiłam głowę i skubałam rękaw swetra.

– OK, dość tego pitolenia. Konkretnie, dziewczyno, czy ty go kochasz czy nie?

– Nie wiem, potrzebuję go, jest mi z nim dobrze, jest bardzo fajnie, nie potrafię sobie wyobrazić, że ma go nie być.

– To w czym problem? – drażyła. – Tylko nie gadaj mi o pączkach i skradzionych duszach.

– Nie wiem, czy to wystarczy, żeby być razem do końca życia, i popadam w marazm. Miałam iść na studia, albo chociaż na jakiś kurs, a nic nie robię w tym kierunku. Miałam szukać innej pracy, bo ciągle narzekam, ale tak naprawdę brakuje mi motywacji. Chcę aktywnie spędzać

czas, a on jest zmęczony po dyżurach. Prawie nigdzie nie wychodzimy razem, a jeżeli już, to są to ciągle te same miejsca, w których spotykamy te same osoby – wyliczałam. – Czuję, że przechodzę kryzys. To się zaczęło we mnie... Nie chodzi o niego, ani o nas. A może chodzi? Ja już nic nie wiem. A lubię wiedzieć! I to też mnie wkurza!

Obie milczałyśmy przez chwilę. Byłam nieco zmieszana, że wyrzuciłam z siebie to wszystko, a Patrycja zaskoczona tym, co usłyszała, bo sprawialiśmy wrażenie dość szczęśliwej pary. Kopciuszek-sprzedawczyni, w którym zakochał się książę-lekarz specjalista.

– Kochana, musisz to sobie przemyśleć – podsumowała Patrycja, w zadumie nawijając kosmyk włosów na palec. – Jeżeli zapala się chociaż jedno światełko alarmowe, to jak mawia moja babcia, trzeba się poważnie zastanowić! Bo po co tkwić w czymś, co nie daje szczęścia, nie ma wewnętrznego żaru? Trzydziestka to jeszcze nie za późno, żeby szukać prawdziwej miłości. I nie ma się co bać!

Nie powiedziałam jej nic o Zygmuncie dzwoniącym w mojej głowie. Pożegnałyśmy się i każda poszła w swoją stronę. Zamiast na przystanek skierowałam swe kroki do parku. Zimne powietrze owiało mi twarz. Na ławce przytulała się para nastolatków. Z zazdrością pomyślałam o beztroskich pierwszych miłościach i motylach. Miłość nastolatków to jak ucztą przy wielkim torcie, bierzesz łychę i się objadasz. W miłości po trzydziestce ten sam tort, trochę już ujedzony, wymaga specjalnego przechowywania, żeby się nie zepsuł. Poza tym wtedy też się okazuje, że nie można już tak bezkarnie wsuwać cukru i tłuszczu, bo wywołują mdłości i odkładają się na boczku. Zdarza się też, że z wiekiem nagle przychodzi ochota na inny rodzaj ciasta, taki, który właściwie zawsze smakował bardziej, ale rzadko pojawiał się w cukierni, więc brało się to, co było. Lub zaczyna się marzyć o słodkościach, których się nigdy nie spróbowało, bo zawsze wybierało się to, co sprawdzone!

Szybki marsz trochę mnie uspokoił. Nieco zmarznięta wsiadłam do autobusu. W mojej kieszeni zawibrował telefon. SMS od Mikołaja: „Kochanie, jak minął dzień? Po pracy idę z kolegami do baru na mecz. Wrócę wieczorem x”. „I dobrze” – pomyślałam.

Zjawiłam się w mieszkaniu późnym popołudniem. Zapaliłam świece, włączyłam kominek gazowy i radio. Opatulona kocem, w wąłym świetle świec, przyznawałam się przed sobą, że mam potrzebę stabilizacji, i samą siebie przekonywałam, że wszystko się we mnie tak kotłuje, bo szukam swojego miejsca i chciałabym wreszcie zamienić wynajmowane mieszkanie na własny dom, stać się żoną, znaleźć lepszą pracę. A to przecież duża zmiana. I wcale nie chodzi tu o to, że mam wątpliwości co do Mikołaja i nas jako pary. Potem robiąc sobie herbatę i wysypując maślane ciasteczka na talerzyk oraz łamiąc czekoladę, wróciłam w myślach do rozmowy z Patrycją. Pewnie, że ma rację – trzydziestka to nie za późno, żeby szukać miłości. Trzydziestka to też najwyższa pora, żeby poszukać samej siebie. Bo żadna miłość nie pomoże, jak się jest wiecznym dzieciakiem i chce się tylko obżerać tortem bez umiaru i żyć bezpiecznie w puchu miłości księcia. Książę też może się wkurzyć, że kopciuszek taki ciągle umorusany, oddziela nadal mak od popiołu i czepia się szczegółów, zamiast wykorzystać szansę na awans społeczny i konstruktywnie przeobrazić swoje życie. Poza tym coś się nie zgadzało w naszej bajce. W oryginale Kopciuszek czuł się wybrany przez księcia i zaszczycony jego decyzją, a u nas książę zabiegał, dawał, nadskakiwał, kopciuch zaś z nadąsaną miną mówił: „Ee, tylko tyle mi dajesz? Co z ciebie za książę!” Poczulałam się głupio. Przyzwyczaiłam się traktować Mikołaja jak kogoś, kto zawsze przy mnie będzie, jako tego słabszego, kto mnie potrzebuje, bo kocha bardziej. Ale może ja bym chciała trochę innej bajki dla odmiany? Waleczny książę na koniu, który ocala z niebezpieczeństw, a nie po tańcu prosi Kopciuszka o rękę, a ona szczęśliwa ostatecznie wpada w jego ramiona. Książę musi udowodnić swoją męskość, odwagę i gotowość na wszystko. Zniewieściał tancerz, co to fortunę odziedziczy po rodzicach i ma tylko wybrać dla

niej godną oprawę w postaci żony, zdecydowanie mi nie imponuje. Nie chcę, żeby dawał klejnoty i status, chcę, żeby okazał męstwo, wytrwałość i siłę woli. Tnąc krzak dzikiej róży, pokonując smoki i wykazując się sprytem!

Nalałam sobie kieliszek wina i włączyłam *Przyjaciół*. Trafiłam na odcinek, gdy Rachel dostaje książkę od Moniki, poleconą jej przez Phoebe: *Be your own wind keeper*. Piękny tytuł i świetna książka. Rzecz jest o kobiecej sile oraz o wietrze, który pozwala kobiecie być boginią, a także oczywiście o zawistnych mężczyznach, którzy ten wiatr kobiecie kradną. Tak, robią to ciągle, nie pozwalając nam wznieść się ponad naturę. Tak! Dolewając sobie wina, zakrzyknęłam głośno: – Mój wiatr też mi ukradł!

W pełni zgodziłam się też ze stwierdzeniem, że każda kobieta powinna pilnować wiatru, który ją napędza, i bronić go do ostatka. Postanowiłam powiedzieć o tym Mikołajowi, jak tylko wróci, a następnie zmęczona rozmyślaniami i ukołyszana płonącymi świecami, zwinęta na kanapie zasnęłam.

Obudził mnie, gdy wszedł do mieszkania.

– Kochanie! – zagrzemiał od progu. Jego krzyk wyrwał mnie ze snu, w którym gwizdał i szeptał wiatr, dmący z pokrytych wrzosowiskami wichrowych wzgórz, a ja już miałam zobaczyć twarz zeskakującego w wierzchowca mężczyzny. Teraz słyszałam tylko swoje łomoczące serce i miałam ochotę na Mikołaja nawrzeszczeć. Zagryzłam jednak wargi i nakryłam głowę kocem.

– Jest do ciebie list, jakiś oficjalny, z pieczętką kancelarii notarialnej – ciągnął Mikołaj, kierując się w stronę pokoju. – O, spałaś, obudziłem cię... – Rzucił pocztę na półkę z książkami.

– No spałam, właśnie! – Wyplątywałam się spod koca.

– Przepraszam, skarbie.

Usiadłam i próbowałam przypomnieć sobie to coś ważnego, co Rachel powiedziała do Rossa, a co ja miałam zapamiętać i odtworzyć właśnie teraz. To skomplikowane zdanie: „Jak możesz oczekiwać, że będę się rozwijać, jeżeli uwięzisz mój wiatr”, umknęło mi jednak z głowy. Wyprostowałam się więc tylko i z największą godnością i stanowczością, na jaką mogłam się zdobyć, stwierdziłam:

– Oświadczam, że nie pozwolę ci więcej kraść mi wiatru!

– Że co?

– Że to, co słyszysz!

Spojrzał na pustą butelkę wina na stole i nic nie odpowiedział. Po chwili usłyszałam, że gwizdże pod prysznicem, a ja przebrałam się w pidżamę i poszłam spać.

Na drugi dzień rano to ja wstawałam do pracy. Mikołaj miał wolne po niedzielnym dyżurze. Wstawałam cicho, starając się nie ruszać głową, bo tym razem biegało w niej stado słońi. Ale on się obudził i spróbował się przytulić, podczas gdy ja usiłowałam płynnie prześlizgnąć się spod kołdry w szlafrok, zanim dopadnie mnie zimno. Przez niego ten skomplikowany manewr się nie udał, co wzbudziło moją irytację.

– Jak człowiek chce wstać, to drugi człowiek nie powinien mu przeszkadzać
– wycodziłam przez zęby.

– Nie no, znowu naburmuszona wstajesz! – Odwrócił się do ściany.

– Jak nie musisz wstawać rano, to śpij – rzuciłam, wlokąc się do łazienki.

Szybko umyłam twarz – woda w kranie była zimna, bo bojler elektryczny psuł się średnio raz w miesiącu. Wyszczotkowałam zęby. Włączyłam kominek i ubierałam się, stojąc tuż przy nim. Nie poszłam pożegnać się z Mikołajem.

Dzisiaj to ja otwierałam sklep. W soboty pracowałam sama, w tygodniu byliśmy dwie,

ale na zmianę przychodziłyśmy wcześniej, żeby otworzyć. Zmarzniętymi palcami przekręciłam klucz w zamku i machnęłam ręką na powitanie Michałowi z naprzeciwka. Prowadził razem z żoną i córką rodzinny biznes, złożony z trzech piekarni. Uwielbiałam zapach świeżego pieczywa i szczerze podziwiałam gorliwość tych ludzi. Widać było, że naprawdę kochają to, co robią. On wysoki i bardzo szczupły, ona pulchna jak jedna ze sprzedawanych przez nich bułeczek. Zawsze obsługiwali klientów z uśmiechem i założyli się, że rano nie wstawało się im tak ciężko jak mnie. A przynajmniej z pewnością rzadziej przeżywali poranne trudności. Taki bonus za robienie w życiu tego, co się kocha.

Weszłam do sklepu, zapaliłam światła i odsunęłam rolety okienne. Pachniało tu kadzidełkami, a w sprzedaży było wszystko, od widokówek po pozytywki, torebki i tanią biżuterię. Najbardziej lubiłam hinduskie towary – apaszki, szale, ogromne pierścienie, bransoletki i naszyjniki, drewniane pudełka, oprawione w skórę notesy i wyszywane cekinami poszewki i spódnice. Zapaliłam jedno z kadzidełek i włączyłam muzykę.

W mojej torebce zabrzączał telefon – SMS od Mikołaja: „Jak wrócisz z pracy, musimy porozmawiać x”. Oczywiście, że musimy! I nagle ścisnęło mi się serce. A jeżeli on mnie zostawi? To był jedyny sposób, żeby zakończyć nasz związek, bo sama nigdy nie zostawiam mężczyzn. Jeżeli mi nie odpowiadają lub coś w naszym związku się psuje, to robię wszystko, żeby oni zostawili mnie. Często dotąd ich testuję, stawiam wymagania i postępuję idiotycznie, aż oni przerażeni moim zachowaniem uciekają. A ja potem płaczę i liżę rany. To taki mój rytuał i przeklęty schemat, który powielam od lat. Bo niestety jestem trochę popaprana emocjonalnie. Uświadamiam to sobie zwykle pod koniec związku i szybko o swoim problemie zapominam.

O dziewiątej do sklepu weszła Kamila. Studentka arabistyki, ubrana zawsze w długie spódnice i różnokształtne, wielobarwne swetry. Na głowie ma dredy, w uszach ogromne kolczyki, na szyi i przegubach brzęczy i połyskuje biżuteria. Wegetarianka, młodsza ode mnie o dziesięć lat i mądrzejsza o jakieś dwadzieścia. Podziwiam ją za bycie sobą i za wyrazistą osobowość. Od kilku lat jest z chłopakiem, z którym tworzą naprawdę harmonijny związek. On gra na bębnach w kapeli i dorabia jako malarz pokojowy. Żyją eko i na zielono: recyklingują odpady i zaopatrują się w małych, lokalnych sklepikach, w domowym kominku palą drewnem z odpadów z tartaku, po które on jeździ specjalnie parę kilometrów za miasto. Kiedyś chciałam wyrzucić płaszcz, w którym przetańczyły mi się nieco rękawy. Kamila spytała, czy mogę jej go dać. I już drugi sezon nosi go wraz z wełnianymi ocieplaczami na ręce w tęczy kolorach, które własnoręcznie wydzierała z włóczki odzyskanej po spruciu swojego starego swetra. Wygląda świetnie! Zaprosili mnie kiedyś na kolację. Zachwylił mnie ich niewielki, wypielęgnowany ogródek przed domem, pełen wystruganych przez Filipa tajemniczych drewnianych istot, doniczek z kiełkującymi roślinami oraz kompozycji z kamieni różnej wielkości i kształtów. Siedząc w wiklinowym krześle przy świetle księżycy i lampce domowej nalewki zrobionej przez Filipa, czułam się u nich jak gdzieś w Bieszczadach, a nie w środku miasta, tuż przy ruchliwej ulicy.

Kamila, wchodząc, błysnęła zielonymi oczami, które od zawsze kojarzyły mi się z gęstym wiosennozielonym lasem. Byłam pewna, że kiedyś poczuje zapach igliwia, jeżeli podejść wystarczająco blisko.

- Hejo – zawołała wesoło od progu.
- Cześć!
- Co tam słyszeć? Jak minął weekend?
- Zwyczajnie. – Wzruszyłam ramionami. – A tobie?

Spodziewałam się kolejnej historii o nieplanowanym wyjeździe stopem w Beskidy w piątkowe popołudnie lub na koncert do Berlina, opowiedzianej takim tonem, jakby to była

najwyczejniejsza rzecz pod słońcem. Ale dzisiaj stało się inaczej. Kamila przyjęła kubek z zieloną herbatą, który jej podałam, usiadła, westchnęła i popatrzyła na mnie uważnie. Nie przerywałam milczenia, bo mnie zaskoczyła tym, że nie opowiada o wycieczkach weekendowych. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

– Jestem w ciąży – przerwała ciszę.

– O! Jesteś?

– Tak.

Nigdy nie jestem pewna, jak reagować na taką nowinę. Ten temat to moja emocjonalna plamka ślepa. I tym razem nie potrafiłam wyczuć, czy w jej głosie jest radość, czy lęk, a na to wszystko jak zwykle nałożył się mój własny paniczny strach przed zajściem w ciążę. Już samo słowo źle mi się kojarzyło: ludziom ciążą problemy, pytania i nierozwiązane sprawy... W mojej wizji świata ciąży i dziecko, ale jak jest w świecie Kamili? Wgapiłam się w nią, aż poruszyła się niespokojnie na stołeczku i wygładziła spódnice. Gdy dotknęła brzucha, uśmiech powoli rozlał się po jej twarzy, jak ciepłe mleko po kuchennym stole.

– To znaczy, że czekasz na swoje dziecko, jesteś przy nadziei – stwierdziłam w zadumie.

– Tak – potwierdziła, patrząc na mnie bardzo uważnie.

– Czyli się cieszysz i chcesz być mamą? – upewniłam się.

– Tak.

To jej ostatnie „tak” emanowało ogromną radością, która odmalowała się na twarzy, objęła całe ciało i promieniowała się na otoczenie. Śmiały się koraliki w jej kolczykach i niemrawe wrześnie słońce załamujące się w bransoletkach. Podeszłam i przytuliłam ją mocno.

– Dziękuję – powiedziała.

Nasze rozmowy zwykle były otoczone emocjami jak nicią pajęczą, której nie chcieliśmy uszkodzić, więc gdy stawała się wyczuwalna, wracaliśmy do neutralnych tematów i bezpiecznej codzienności.

– Przyszedł już towar? – zapytała. I tylko lekka mgła unosząca się nad zielonym lasem jej oczu przypominała o wzruszeniu sprzed chwili.

– Tak, są dwie paczki do rozpakowania.

– No, to bierzmy się do pracy, zanim zacznie się ruch – zdecydowała.

Dzień minął za szybko i już wracałam do domu. Szłam wolnym krokiem, wdeptując kolejno we wszystkie kałuże. Nie miałam ochoty na rozmowę z Mikołajem, marzyło mi się ciche popołudnie z książką. Wchodząc po schodach, poczułam zapach curry. Czyli Mikołaj jak zwykle gotuje. Może zapomniał o rozmowie, a może po prostu chce mi osłodzić rozstanie swoją specjalnością kulinarną? Wkradałam się do mieszkania prawie jak złodziej. Bardzo bym chciała być niewidzialna i po prostu schować się w sypialni, unikając rozmowy o wszystkich tych rzeczach, które kotłowały się we mnie w ostatnich dniach, albo może już dużo wcześniej? Gdy tylko zamknęłam drzwi wejściowe, Mikołaj wsunął głowę do przedpokoju.

– O, dobrze, że jesteś. Już nakładam na talerze.

– Fajnie – starałam się brzmieć radośnie, ale w żołądku miałam sznureczek zaciśnięty ciasno w sto tysięcy węzłków i wcale nie byłam głodna. Nie chciałam być atakowana od progu jedzeniem. Wyglądało na to, że Mikołaj myśli tylko o tym, żeby mnie utuczyć, zrobić ze mnie grubą świnię, napaść, aż padnę bokiem na łóżko i wtedy na pewno będę już jego na zawsze, bo moje zbyt krótkie nóżki nie uniosą całego tego cielska. Takim rozumowaniem pracowicie podlewałam kielkującą we mnie od środka złość. Boże, jak ja czasami chciałam być sama, w idealnie pustym, niezagraconym mieszkaniu, niepachnącym jedzeniem i nierozbrzmiewającym muzyką, bez rozmów i bez szeptów. Chcę, żeby otaczała mnie przestrzeń! Rzuciłam płaszcz na

podłogę, zdjęłam buty, poprawiłam włosy, patrząc w lustro. Chciałam zostać w tym korytarzu na zawsze, on niech będzie w kuchni i tak żyjemy sobie w osobnych strefach, ale nadal razem. Ja zawsze gotowa do wyjścia, on w swoim żywiole karmienia, wylewania miłości na głębokie talerze i szatkowania jej na surówkę do drugiego dania. Dotknęłam czołem chłodnej tafli lustra, zaparowanego miłością wydobywającą się z garnków w kuchni. Zamknęłam na chwilę oczy i zrobiłam parę przeponowych wdechów, żeby się nieco uspokoić. Moje ciało krzyczało, że mam uciekać lub walczyć, a ja nie chciałam ani jednego, ani drugiego. Weszłam do kuchni i usiadłam przy stole. Mikołaj uśmiechnął się do mnie i podał mi kieliszek wina. Upiłam spory łyk.

– Chciałeś porozmawiać – zaczęłam.

– Tak, martwię się tym, co się z tobą ostatnio dzieje.

– Ze mną się dzieje... – powtórzyłam.

– Nie wiem, mam wrażenie, że cię drażnię. Powiedz mi, o co chodzi. – Wyglądał na zatroskanego.

– Nie wiem – odrzekłam zgodnie z prawdą.

– I co z tym zrobimy? – Odchylił się na krześle i przeczesał ręką włosy.

Wzruszyłam ramionami. Gdybym znała odpowiedź na to pytanie, dawno już bym to zrobiła. Bawiłam się serwetką i czułam, że w kącikach oczu zbierają mi się łzy. Mikołaj nabrał powietrza i cicho zapytał:

– Czy ty mnie kochasz?

– Tak, chyba tak – odparłam szybko. – Ale brakuje mi przestrzeni i się duszę – dodałam po chwili.

– Co mam zrobić?

– Nie wiem. Nie chcę, żebyś mnie pytał, co masz zrobić. Wolałabym, żebyś znał odpowiedź – stwierdziłam gwałtownie.

– Ja już nie mam czasami siły. Czy ty w ogóle widzisz, jak się staram? Wszystko dla ciebie robię. Kocham cię najbardziej na świecie!

Tyle razy powtarzałam w myślach te słowa przed zaśnięciem, kiedy nie było nikogo, kto by mi je powiedział. Jest pierwszym mężczyzną, który z zaangażowaniem i przekonaniem codziennie wyraża swoje uczucia wobec mnie. I wiem, że to, co mówi, jest prawdą! Nawet kilka razy odwzajemniłam się tym samym. Więc dlaczego nie jest tak, jak być powinno? I jak w ogóle powinno być?

– Czuję, że mnie odpychasz. Raz zachowujesz się, jakbyś mnie kochała, a potem stawiasz jakieś barykady. Gubię się. Czy jest ktoś inny?

– Ja już się dawno zgubiłam. Lubię być z tobą, dobrze mi, kiedy jesteśmy razem. I nie ma nikogo innego – wpatrzona w pusty talerz, cicho odpowiadałam kolejno na jego pytania.

– To o co chodzi?

– Nie wiem.

– I co zrobimy?

– Zjedźmy kolację, bo stygnie.

Rozpaczliwie chciałam wrócić do bezpiecznej płaszczyzny codzienności. Bez dotykania tego, czego nie rozumiem i czego się boję. Żeby nie doszło do rozwiązań ostatecznych. Mikołaj zagryzł wargę i nakładał porcje na talerze. Unikał mojego wzroku. Odbyliśmy niby-rozмовę, która jeszcze bardziej skomplikowała sytuację. Chciałam powiedzieć, że nie wyobrażam sobie bycia w związku przypominającym konwencjonalne małżeństwo w dawnych czasach, że nie jestem jeszcze pewna i boję się zobowiązań. A może faktycznie bez motyli w brzuchu nie ma prawdziwej, trwałej miłości? Zawsze uważałam, że to bzdura, bo zakochanie prędzej czy później mija, a do budowania związku potrzebny jest solidniejszy materiał. Byłam nawet zadowolona, że

tym razem miłość nie odebrała mi rozumu i wolnej woli. Że to, co czuję do Mikołaja, jest spokojne, a nie rwące, że mnie nie niszczy.

Teraz jednak patrzyłam na niego i uświadamiałam sobie, że oszukiwałam nas oboje. Spotkały się dwie odmiany miłości: moje bezpieczne, stonowane uczucie i jego żarliwe, zalewające mnie jak przypływ. Patrząc na ogromną porcję jedzenia, które nałożył na mój talerz, nie wytrzymałam.

– Potrzebuję przerwy – powiedziałam bardzo cicho i powoli, nie patrząc na niego.

– Co? Jak to sobie niby wyobrażasz?

– Przestań odnosić się do mnie jak moja mama! – wkurzyłam się na serio.

– Skąd mam wiedzieć, jak się odnosiła do ciebie mama. Po prostu pytam, jak to ma wyglądać, ta twoja przerwa?

– Nie wiem jeszcze!

– Aha, super, brzmi jak plan – zaśmiał się, a we mnie się zagotowało.

– Muszę zdać sobie sprawę, czego chcę. Potrzebuję przestrzeni.

– Świetnie, to kiedy się wyprowadzasz? – rzucił ironicznie.

– Och, przestań. Ciągłe traktujesz mnie jak dziecko. Brakuje mi powietrza!

– Chociaż raz mogłabyś przestać myśleć tylko o sobie! Zachowujesz się jak dziecko, więc jesteś traktowana jak dziecko.

Zabrzmiało to obrzydliwie rozsądnie i dlatego zaatakowałam:

– Tak, jakoś tylko przez ciebie! Jestem ci potrzebna jako dziecko, żebyś mógł się okazać takim strasznie dojrzałym i dorosłym.

– Dlaczego tak wszystko komplikujesz? Ja po prostu chcę wyjaśnić, w czym jest problem, i znaleźć rozwiązanie, żebyśmy mogli być szczęśliwi. A ty robisz z tego jakąś psychoterapeutyczną papkę.

– Tak? Świetnie, mogę już nic nie mówić, bo i tak wiesz najlepiej, jak się czuję, co myślę i co trzeba zrobić!

– To nie tak... – westchnął głęboko. – Ja po prostu chcę cię kochać i być kochanym. Chcę być z tobą, nie stąpając ciągle po kruchym lodzie. Chcę czuć, że mnie kochasz, że jesteśmy razem.

Wzruszyłam ramionami. Byłam zmęczona. Kłótnia z kimś, kogo się szalenie kocha, jest pełna emocji i zaangażowania. Nasza rwała się jak kiepsko napisany scenariusz, zamiast ulgi przynosiła niesmak i wprowadzała dezorientację.

Mikołaj wyszedł z mieszkania, trzaskając drzwiami. Położyłam się na kanapie, a nogi zarzuciłam na oparcie. Bawiłam się nerwowo włosami i masowałam sobie czoło. Bolała mnie głowa. Nienawidziłam siebie za swoje zagubienie, niepewność, dziecinność i nieumiejętność rozmowy. Paraliżował mnie strach, że Mikołaj naprawdę się wkurzy i sobie odpuści. Że mnie rzuci, a ja potem będę cierpieć jak zwykle. Ale tuż za strachem podążało uspokojenie – to nic nowego, to znane, wiesz, jak cierpieć i dasz radę. Długo leżałam z zupełnie pustą głową. Każdą myśl nawracającą do naszej kłótni natychmiast odpychałam. Chciałam pustki. Mikołaj nie wracał. Wstałam, przebrałam się w pidżamę i poszłam do łóżka. Bez Mikołaja było za duże i za zimne. Wpatrywałam się w ciemność, tak bliską stanowi mojego umysłu i mojej duszy. Noc była pełna snów: na tle błękitnego nieba wyrosła wieża z zegarem. Wskazywał dokładnie pierwszą. Chyba byłam ptakiem, bo widziałam tarczę zegara wprost przed oczami, nie zaś z mrówczej perspektywy. Potem tarcza się oddaliła, a jej miejsce zajął ogród. Wokół roztaczał się zapach ziemi i ogniska. Paliło się tuż przy ścianie domu. Przestraszyłam się i rzuciłam się je gasić. Zadeptywałam płomienie w pośpiechu, przerażona, że zajmie się ściana i spłonie dom.

Obudziłam się w środku nocy. Mikołaja nie było. Sprawdziłam telefon – nic. Wstałam

zrobić sobie coś do picia. Mijając półkę z książkami, uderzyłam się boleśnie w udo o wystający róg grubego albumu z czarno-białymi fotografiami. Książka oraz leżące na niej gazety i nieotwarte listy spadły wprost na moją stopę, raniąc mnie po raz kolejny. Z wściekłością kopnęłam wszystko, rozdzierając jeden z magazynów Mikołaja. Stłumiłam w sobie przekleństwo i podreptałam do kuchni. W oczekiwaniu, aż woda się zagotuje, patrzyłam na ulicę rozświetloną blaskiem latarni. W domu naprzeciwko paliło się zaledwie kilka świateł. Mieszkaliśmy w niezbyt ruchliwej części miasta, co mi się zresztą bardzo podobało. Spokój na zewnątrz pozwalał mi osiągnąć wewnętrzne wyciszenie. A powinno być na odwrót, tak mówiły moje książki: jeżeli ty będziesz spokojna i silna, takie też stanie się twoje życie. Jeszcze chwilę obserwowałam okna nieznanych mi sąsiadów, próbując wyobrazić sobie, co teraz robią. Na nas wszystkich spoglądał z góry księżyc w pełni – lodowato zimny, a jednocześnie fascynujący. Bardzo mu zazdrościłam komfortu bycia tam samemu, rozległości widoku na świat i tego, że co chwila ktoś na niego patrzył i tak jak ja, czuł z nim bliskość mimo ogromnej odległości. Można go podziwiać, ale nie da się dotknąć. Ma swój rytm przemian, tajemniczych zaćmień i podobno ogromny wpływ na ludzkie emocje, zachowania i los. Tak, to by mi pasowało, gdyby w miłości i bliskości zachowana była bezpieczna odległość, dająca perspektywę. Ale czy można czuć miłość i jednocześnie być obserwatorem swojego stanu? Czy w relacjach między ludźmi odległość może zbliżać? Byłam już całkiem wybita ze snu i zaczynałam się trochę martwić o Mikołaja. Chciałabym, żeby zadzwonił lub chociaż napisał, gdzie jest. Czułam jednocześnie, że nie powinnam pierwsza dzwonić do niego. Czy to, że się martwię, znaczy, że kocham? Taka zagadka miłosna i SMS-owy konkurs. Czy miłość to:

motyle w brzuchu, zakochanie po uszy przypieczone hucznym weselem,
dbanie nawzajem o swoje potrzeby i zaspokajanie ich,
martwienie się i tęsknota, gdy się nie jest razem,
wytrwałość przewyciężająca wszystkie przeszkody,
jeszcze coś innego?

Odpowiedzi proszę przysłać do mnie, bo nie wiem nic o miłości!

Włączyłam swoją ulubioną płytę i Susan Boyle zaśpiewała w świetle księżycy jeszcze piękniej niż w ciągu dnia. Ukryta w ciemności, była tylko głosem, w którym można się zakochać bez pamięci i zobaczyć powabną, młodą kobietę. Bardzo podobała mi się jej historia brzydkiego kaczątka, które uciera nosa zarozumiałym celebrytom. Śpiewała, że wreszcie jest osobą, którą urodziła się, by być. Zaczęłam zbierać rozrzucone gazety i książki. Mój wzrok padł na zaadresowany do mnie, dotąd nieotwarty list. Niedbale rozdarłam róg koperty i wyjęłam ze środka zadrukowaną kartkę papieru. Bez specjalnego zainteresowania, omijając co drugą linijkę, zaczęłam czytać: „Kancelaria Notarialna Błażej Zakrzewiak uprzejmie informuje, iż jest wykonawcą testamentu (...) i wzywa do stawienia się w celu podpisania dokumentów”.

– „Moment, chwila...” – Zakrztusiłam się herbatą i oplułam dokument. Przetarłam szybko kartkę rękawem pidżamy, wróciłam wzrokiem do pominiętych wcześniej linii tekstu i zaczęłam go studiować uważnie: „(...) testamentu po zmarłej Antoninie Antkowicz, zgodnie z którym Pani Rita Antkowicz jest jedyną jej spadkobierczynią. Przedmiotem spadku jest nieruchomości położona w Bartnicy Nowej (...)”.

List wypadł mi z ręki. Potrafiłam kubek z herbatą, która rozlała się i uformowała w zieloną kałużę na fachowych magazynach Mikołaja. Bartnica! Jako dziecko spędzałam tam niemal każde lato. W dużym gospodarstwie na wsi, gdzieś na końcu świata, gdzie dostać się można pociągami, a potem prawie godzinę wędrować miedzą wśród pól, bacznie rozglądając się, czy z mijanych zagród nie wybiegają jazgoczące psy, żeby wreszcie ujrzyć ogromny ogród, potężną stodołę i ukryty wśród drzew dom. Należał do ekscentrycznej ciotki Niny, siostry mojej

mamy, bezdzietnej, niezamężnej, prowadzącej gospodarstwo złożone z dwóch krów, konia i kucyka, kury, kaczki i perliczki oraz kozy. Jak byłam całkiem mała, to się ciotki bałam, bo była kobietą surową, z ciętym językiem, pionową zmarszczką na czole i spracowanymi dłońmi. Mało mówiła i ciągle pracowała. Ale jak już coś powiedziała, to szło w pięty. Pamiętam, jak raz podczas wakacji przyjechała rodzina, której dawno nie widzieliśmy, jakaś daleka kuzynka z dziećmi. Miała ze sobą kamerę i jej córka nagrywała wszystko od momentu wyjścia z samochodu. Ciotka przywitała się, kuzynka zagaiła rozmowę i usiadły pod rozłożystym orzechem na drewnianej ławce. W tym momencie Nina spostrzegła, że jest filmowana, uśmiechnęła się i zawołała: „Hej, ty, co ty tam? Spierdalaj!”. I zaczęła się śmiać. Kamera została wyłączona, a ciotka jakby nigdy nic wróciła do rozmowy. Dziwne, bo nawet jak przeklinała, to nie wydawała się wulgarna. Była szorstka jak koszule z lnu, który uprawiała. Kojarzyła mi się z zapachem lawendy kwitnącej wokół domu. Pamiętam, jak robiła masło i sery, piekła chleb, a wieczorem czytała i modliła się. Kiedy moim głównym zajęciem podczas pobytu tam przestało już być bieganie od rana do nocy boso po trawie, przeplatane zabawami z psami i kotami, pieczeniem placków z błota i gotowaniem zupy z trawy oraz podglądaniem, jak krowy załatwiają się na pastwisku, okazało się, że jest coś, co nas łączy. Coś, co nie wymaga słów i umożliwia bycie razem bez krępującej ciszy – miłość do książek. Wieczorem, koniecznie przy świetle stojącej lampy z abazurem, siadałyśmy obie, każda ze swoją lekturą i szklanką herbatki, zaparzonej z ziół, które ciotka suszyła w pęczkach nad piecem kuchennym. To wtedy po raz pierwszy zaśmiewałam się, czytając perypetie sióstr z Kossakówki, obserwowałam, jak rośnie ziele na kraterze, przemierzałam prerie z Winnetou i zawitałam do poznańskiego mieszkania Kłameczuchy, jej znajomych i rodziny, a potem przebywałam na czarodziejskiej górze, odkrywałam nieznośną lekkość bytu i podglądałam życie stepowego wilka. Wspomnienia te osaczyły mnie teraz, po latach dźwiękami, zapachami, zapomnianymi już tragediami i triumfami dzieciństwa. To podczas wakacji w Bartnicy podjęłam decyzję, że będę weterynarzem, a mój pierwszy i jedyny własny pies był dzieckiem bartnickiej, ciotkowej suczki. Tam gonił mnie kiedyś ogromny indor, potrząsając czerwonymi koralami. Uciekając, przewróciłam się w błoto, a później musiałam wejść do domu pełnego gości z upokarzająco brudnymi na pupie spodniami! Świerszcze nigdzie nie dają takich głośnych koncertów wieczornych jak właśnie u ciotki w ogrodzie. Otwierasz okno i wpadają z całą orkiestrą, a tobie już nie chce się spać, tylko słuchasz i wdychasz zapach skoszonej trawy.

Czułam się, jakbym właśnie odnalazła zakopane w dzieciństwie pudełko ze skarbami: błyszczące papierki od cukierków, jeden miś żelek, pierścionek z różowym kwiatkiem, ususzony kolorowy liść i wycięte z gazety zdjęcie idola. Pojawiło się naraz tyle skojarzeń, że aż kręciło mi się w głowie. Tęsknota za czasami, kiedy lato wydawało się trwać wiecznie, dwudziestosiedmioletnie ciotki postrzegało się jako stare, a czas był rozciągliwy jak guma do żucia, zagłuszyła we mnie wszystkie emocje. Już nie było Mikołaja, naszej kłótni, mojej frustracji w związku z pracą i brakiem pomysłu na siebie. Przygnębiła mnie świadomość, że nie da się odwrócić i pobiec wstecz po linii czasu, złapać siebie sprzed lat, wycalować i wytarmościć. Uściskać tych, których już nie ma. Rok temu nawet nie byłam na pogrzebie ciotki, bo dowiedziałam się za późno. Po raz ostatni widziałam ją, kiedy chodziłam do szkoły średniej. Od razu po szkole wyjechałam z kraju, oczywiście bez pożegnania. Marzenia o weterynarii pogrzebałam jak dziecinne mrzonki, bo rywalizacja wśród kandydatów była ogromna, a i pieniędzy na studia nie miałam. I tak rok za rokiem upływał na łatwym życiu emigracyjnym, bez dalekosiężnych planów i ambitnych oczekiwań. Po siedmiu latach wróciłam do kraju, znalazłam pracę w sklepiku z pamiątkami i wkrótce potem poznałam Mikołaja. Nie starczyło mi czasu, żeby odwiedzić ciotkę. Zapomniałam o świecie dzieciństwa, a dziś to on przypomniał mi

o sobie. Zażęskniałam mocno za tym, co było, i za ludźmi, których już nie ma.

Włączyłam komputer i zaparzyłam świeżą herbatę. Tej nocy nie dane było mi spać. Zresztą nie byłam senna. Właściwie to czułam się, jakbym dopiero co się obudziła. Przeszukanie Internetu dostarczyło mi aktualnych informacji na temat Bartnicy. Do centrum, czyli pod jedyny we wsi sklep, można już dojechać minibusem. Prężnie działa koło gospodyń wiejskich, a swoje wystawy w remizie mają prace lokalnego artysty. Jest też kilka gospodarstw agroturystycznych, stadnina koni i plantacja wikliny. Obejrzenie nielicznych zdjęć zamieszczonych w galerii oficjalnej strony internetowej Bartnicy przysporzyło mi sporo radości, bo rozpoznałam okolice, w których zostały zrobione. Nigdy nie przywiązywałam się specjalnie do miejsc. Nie tęskniłam do rodzinnego domu i miejscowości, z której pochodzę. Uważam, że przywiązywanie się do miejsca i zapuszczanie korzeni są utratą wolności. Lubię być mobilna, wolna i cenię bardzo świadomość, że zawsze mogę zmienić zdanie i się wycofać. Dlatego nawet wynajmowane mieszkania zmieniałam dość często. Ograniczam liczbę posiadanych przedmiotów, ubrań i książek. Z każdą przeprowadzką część z nich wędrowała do worka przeznaczonego do oddania komuś lub do wyrzucenia. Przerażeniem napawa mnie myśl, że mogłabym utknąć na zawsze w jednym miejscu, podczas gdy koło nosa przemknie mi szansa na nowe życie, poznanie nowych ludzi i spróbowanie innego stylu życia. Odkąd pamiętam, trawił mnie jakiś niepokój, nosiło mnie wewnątrz. Co dziwne, nie wiązało się to z włóczykijskim trybem życia, oszczędzaniem na egzotyczne wakacje i planowaniem coraz to nowych podróży. Wystarczały mi książki. Lubię świadomość, że mogłabym, gdybym chciała, spakować się w jedną walizkę i przeprowadzić lub wyjechać. Takie wyjście awaryjne, a raczej życie w trybie awaryjnym. Nagle przyszło mi do głowy, że właśnie to podejście jest źródłem problemów w moim związku z Mikołajem. Ciągłe sprawdzam, czy droga pożarowa jest dostępna i niezagracona. Taki mały strażak Sam w hełmie, na dyżurze 24 godziny na dobę, rzetelnie wykonujący swoją pracę, zdobył już kilka odznak za odwagę i poświęcenie. Czuje się bohaterem i nie zauważa, że żona go zdradza, córka ma anoreksję, a syn jest gejem. Pilnuje wejścia do instytucji, z której nic oprócz wejścia już nie zostało – ona sama nie istnieje, rozsypała się. Idiota, którym trzeba wstrząsnąć lub którego należy wysłać na emeryturę!

Te rozważania wzbudziły we mnie niepokój. Zaczęłam krążyć po mieszkaniu. Przemierzałam w kółko jego kilkadziesiąt metrów kwadratowych, zupełnie jakbym była w transie. Napadły mnie nagle niezliczone myśli i emocje. Gdybym była komputerem i miała jakieś zabezpieczenia przed uszkodzeniem, to powinien się we mnie uruchomić alarm i wyłączyć system. I do tej pory zawsze tak się działo. Nic, żadne wydarzenie przez ostatnich kilkanaście lat, nie wstrząsnęło mną na tyle, żebym poddała się emocjom. Zawsze udawało się je uciszyć generalnym sprzątnięciem mieszkania, komedią romantyczną lub książką przygodową. Tak wyłączał mnie mój system zabezpieczający. W ten sposób nie odpowiadałam sobie na ważne pytania, czego chcę, co mogę osiągnąć, w jakim punkcie życia się znajduję. Poczułam na twarzy łyż żalu, za fantazją dzieciństwa, za wiarą, że dokonam rzeczy wielkich, za głębokim przeżywaniem wszystkiego. Dziecięce tragedie były zawsze największe, a osiągnięcia miały niedościgniony smak. Usiadłam na podłodze, dotknęłam dłonią obolałej głowy. Życie z dnia na dzień ma swoje uroki. Ważne pytania można odłożyć na chwilę. Ja jednak miałam poczucie, że albo biegnę, albo wlokę się, zależnie od nastroju, ale nie znam swojego celu. Może więc już go osiągnęłam, a może oddalam się od niego mimo całego wysiłku? Czy warto tak żyć? I jeszcze to moje pogmatwane podejście do miłości. Czy mogę wybrać jakąś inną ścieżkę niż tę wspólną, po której już wędrujemy? Może chciałabym swoją dróżkę odkrywać lub karczować w lesie, jak ciotka Nina, z rękoma pokrytymi pęcherzami? Czy jestem szczęśliwa jako człowiek, kobieta, pracownik? Jakie są moje marzenia? Do rana zadawałam sobie pytania i spisywałam je na kartce

jednej, drugiej i trzeciej. Niedbale, różnymi długopisami, ołówkiem i flamastrem. Nie miałam ani jednej odpowiedzi. Mikołaj nie pojawił się przed wschodem słońca. Przysnęłam na krótko. Śnił mi się piękny brzozowy las. Brzozy to moje ulubione drzewa. Mają delikatne jasnozielone liście w kształcie serduszka, zwisające lekko, cienkie gałązki i wdzięcznie białe smukłe pnie. Patrzyłam na te drzewa i świadomość, że istnieją, że ja jestem, napelniała mnie bezbrzeżnym szczęściem. O siódmej rano wstałam z zimnej podłogi, zdjęłam z szafy walizkę i wrzuciłam do niej po dwie sztuki każdej części garderoby, pamiętnik, dokumenty, książkę, buty, parasol, kosmetyki. Wyrwałam kartkę z notesu i napisałam do Mikołaja: „Wyjeżdżam. Muszę to wszystko przemyśleć. Przepraszam”.

O ósmej rano zadzwoniłam do szefa, że jestem chora i potrzebuję kilku dni wolnego. Potem odczekałam do dziewiątej i zatelefonowałam do Patrycji. Odebrała zaspana.

– Cześć, to ja. Wyprowadzam się od Mikołaja, mogę się u ciebie zatrzymać na kilka dni? – powiedziałam na jednym oddechu.

Dłuższą chwilę milczała. Jeżeli teraz będzie się domagała wyjaśnień, to się rozłączę. Czekałam z zamkniętymi oczami.

– Dobra – rzuciła tylko. – Czekam.

– Będę za pół godziny. Cześć! – Rozłączyłam się.

Ubrałam się i zamknęłam drzwi. Klucze włożyłam do skrzynki na listy. Zachowywałam się tak, jakbym coś ważnego kończyła w życiu, ale jednocześnie nic nie czułam. Chciałam po prostu to zrobić *teraz*, nie zastanawiałam się nad konsekwencjami. I postępowalam tak po raz pierwszy w życiu.

Jechałam autobusem przez ulice *mojego* miasta, miejsca, w którym spędziłam ostatnich kilka lat. Lubiłam je, miałam tu swoje ukochane zakątki, sprawdzone sklepy i kilkoro przyjaciół. Przyłożyłam czoło do chłodnej szyby, co trochę stępiło ból głowy. Było mi niedobrze, chyba ze strachu, że tak po prostu wyszłam rano z naszego mieszkania, czyli odeszłam! Wcale nie byłam pewna, czy postąpiłam właściwie. Po co więc to zrobiłam? Bardzo bym chciała, żeby akcja filmu potoczyła się według innego scenariusza, z Mikołajem w roli głównej. Żeby nie było konfrontacji i słów ostatecznych oraz pakowania i rozdzielania rzeczy. A potem zaczynania od nowa z kimś innym. Jak można czegoś chcieć i nie chcieć jednocześnie? Zamykać drzwi, oddawać klucze i w tym samym momencie mieć nadzieję, że to jednak nie koniec?

Czy przemyślana decyzja jest lepsza od impulsywnej? Czy namysł nie zabija przypadkiem intuicji, która jest istotą nas samych? Robienie zawsze tego, co powinnam, było bezpieczne. Czy pójdzie za głosem serca wyjdzie mi na dobre? Zapętlełam się w tych rozmyślaniach i co rusz traślałam na jakieś podwójne dno własnych pragnień i myśli. Udało mi się nie przegapić przystanku. Niezgrabnie wysiadłam z walizką i wolnym krokiem ruszyłam przed siebie. Patrycja otworzyła mi, zanim zadzwoniłam do jej mieszkania. Musiała mnie obserwować przez okno. Zeszła na dół i pomogła mi z bagażem. Wchodziłyśmy po schodach w milczeniu. Byłam jej bardzo wdzięczna za tę ciszę.

– Cześć – powiedziałam, gdy znalazłyśmy się na górze.

W odpowiedzi przytuliła mnie, a ja po raz pierwszy w jej obecności zaczęłam płakać. Łzy paliły moje i tak już gorące policzki. Szybko zrobiło mi się wstyd. Odkleiliśmy się od Patrycji, usiadłam na kanapie, a ona podała mi pudełko chusteczek.

– Chcesz kawy? – zapytała. – Okropnie wyglądasz.

– Dzięki – wykrzywiłam się w odpowiedzi. – Tak, poproszę kawę.

Rozmazywałam łzę na szklanym stoliku i myślałam o tym, jak piękne są niektóre kobiety, gdy płaczą. Ja w takiej sytuacji zawsze wzbudzałam litość swoim wyglądem. Sytuacje, które mnie wcześniej doprowadzały do łez, nie wydawały mi się teraz szczególnie istotne. Dotychczas

życie mnie jednak oszczędzało, tak to przynajmniej wygląda z perspektywy czasu. Tym razem chyba jest inaczej. Pytanie tylko, czy płaczę, bo odeszłam od faceta, czy dlatego że się całkowicie pogubiłam. Tak, zdecydowanie sama nad sobą płaczę, a nie nad nami.

– Patrycja – zaczęłam to pierwsze, najtrudniejsze zdanie po spazmatycznym płaczu – wiesz, że moje życie jest całkiem głupie? Ja nic nie wiem. Tak jakoś mało tego życia głęboko przeżywam.

Patrzyłam na nią z niepokojem, czy rozumie. Sama jeszcze nie rozumiałam, a słowa nie przystawały w pełni do tego, co chciałam wyrazić. Patrzyła wyczekująco, a w kuchni gwizdał czajnik. Bez słowa poszła zalać kawę.

Dotknęłam językiem czubka palca, był słony od łez. Takie ładne życie miałam, jak wystawa sklepu cukierniczego, a lzy wcale nie słodkie. Patrycja postawiła przede mną kubek z kawą i usiadła w fotelu naprzeciwko. Była nieumalowana i miała na sobie dres. Rzadko ją widywałam po domowemu. Nadal była atrakcyjną kobietą i jej oczy nawet bez makijażu zwracały uwagę swoim błękitem. Otuliła palcami kubek i ogrzewała szczupłe dłonie.

– Wyglądasz teraz całkiem normalnie – zauważyłam.

– A dzięki. Czy to coś nowego? – zapytała z ironią w głosie.

– To znaczy, mam na myśli, że tak... tak... – zaczęłam się trochę płatać.

– Dziewczyno – przerwała mi nagle – czy ty dla odmiany możesz chociaż raz być normalna? Dzwonisz rano, niewiele wyjaśniasz i zjawiasz się z walizką. Płaczesz, wydarzył się jakiś dramat, a ty tu wyjeżdżasz z analizą mojej osoby. Możesz się zachować jak normalna kobieta i zacząć narzekać, histeryzować czy coś! No jakoś tak normalniej!

– Ale ja nie chcę wcale histeryzować i tak do końca nie wiem, co się stało. Jest mi smutno, bo coś chyba się skończyło. Odkryłam parę rzeczy na swój temat i nie podoba mi się to, co zobaczyłam. – Zerwałam się i wędrując po pokoju, potrąciłam nogą kwiatek w doniczce, omal go nie przewracając. – Chcę zacząć żyć inaczej i muszę wyjechać. Nie mogę już dalej mieszkać z Mikołajem. Wczoraj się pokłóciliśmy, on wyszedł i nie wrócił na noc.

– Dzwoniłaś do niego?

– Nie. Nie chcę z nim rozmawiać.

– Wiesz, że to trochę głupie? A jak mu się coś stało? U mnie możesz zostać, ale chyba powinnaś z nim porozmawiać? Przecież nigdy się nie kłóciliście, taka wzorowa para, i tak po pierwszej kłótni odejdziesz?

– Nie mam ochoty rozmawiać! Są sytuacje, kiedy rozmowa nic nie zmienia ani nie wyjaśnia. Bo słowa nie wystarczą i trzeba żyć inaczej, tak całościowo jakoś. I najlepiej nie rozmawiać, bo się jeszcze coś powie.

– Myślałam, że po to właśnie są rozmowy... – wtrąciła niewinnie – żeby ludzie wyjaśniali sobie wszystko. Tak przynajmniej piszą w tych twoich poradnikach.

– To źle myślałaś! Nie czytasz ze zrozumieniem, kochana. Czasami brak rozmowy jest jak stop-klatka, wstrzymanie akcji. Pozwala po pewnym czasie włączyć zatrzymany film, puścić od początku, unikać sytuacji, kiedy padają niewłaściwe słowa i następują nieodwracalne działania.

– Chyba w twoim urojonym świecie! – wkurzyła się na mnie, ale ku mojej uldze nie podjęła już tematu. Ja tymczasem kontynuowałam wędrowkę po pokoju, bo tak myślało mi się lepiej, i po raz kolejny wpadłam na kwiatek, tym razem go przewracając.

– Manuel! – krzyknęła Patrycja.

– No i dostałam spadek po ciotce – powiedziałam w tym samym momencie.

– Co? – zapytałyśmy jednocześnie, obie równie zaskoczone.

Patrycja, na kolanach, zbierała już z kremowego dywanu rozsypaną ziemię i delikatnie

poprawiała roślinkę w doniczce. Była realistką, miała biznesowe podejście do życia, pracy i miłości. Jedynym jej dziwactwem było nadawanie imion swoim doniczkowym przyjacielom. Imię pokrzywdzonego brzmiało właśnie Manuel.

– Dostałaś spadek? – Usiadła na dywanie. – Czyli co dostałaś? Jesteś bogata? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Dom dostałam, na wsi. Chyba nie jestem jakoś strasznie bogata, niestety. Ale chcę tam pojechać i zobaczyć. Bo wiesz, Patrycja, muszę zacząć naprawdę żyć, i to teraz. Całą noc o tym myślałam i jak nie teraz, to już nigdy. Nie miałam dotąd planu na siebie, na swoje życie. Wszystko tak jakoś samo wychodziło i się działo. I już tak zostawało, chociaż to nie ja dokonywałam wyboru. Chciałabym teraz inaczej. Potrzebuję też odpoczynku od Mikołaja. Bo nie wiem, czego od niego chcę, i dlatego jest tak, jak jest.

– On wie o spadku i twoich planach? – przerwała mi.

– Nie – pokręciłam głową w odpowiedzi – list z kancelarii otworzyłam po tym, jak wyszedł z domu.

– Powiesz mu?

– To nie jest istotne, dla majątku i tak do mnie nie wróci. A poza tym będzie miał szansę się wykazać! To też sobie przemyślałam ostatniej nocy. On miał mnie bez zdobywania, związanie się ze mną łatwo mu przyszło. Nie pokonywał przeszkód, nie wykazywał się odwagą ani cierpliwością. Niech mnie szuka, a jak znajdzie i jak będzie umiał przeżyć ze mną na końcu świata, to będziemy już zawsze razem. Zobaczysz. Działo to w baśniach, odbywa się nadal w plemionach dzikich, gdzie mężczyźni przechodzą inicjację, żeby stać się dorosłymi, niech się mit spełnia teraz i dla mnie!

– Mówiłaś, że nie spałaś w nocy. A czy nie uderzyłaś się przypadkiem w głowę? – kpina w jej głosie była aż nazbyt słyszalna.

Przykucnęłam obok niej, uściśnęłam ją mocno i pocałowałam głośno w policzek.

– Moja droga, może to i mój urojony świat, ale nie będę zaprzętać sobie głowy ironicznymi uwagami ze strony osoby, która nadaje imiona doniczkowym kwiatkom.

– Ha, ha, ha – zarżała.

Parsknęłyśmy śmiechem obydwie. Nie wiem, czy to był efekt wypitej kawy, czy powiedzenia na głos tego, co kołatało mi się w głowie całą noc, w każdym razie nagle przybyło mi energii i nie chciało mi się już płakać. Położyłam się na kanapie wśród różowych poduszek i przeciągnęłam.

– Kochana, ja już podjęłam decyzję! Wyprowadzam się na koniec świata i robię sobie rok przerwy od swojego dotychczasowego życia. A potem się okaże, co dalej. Zawsze mogę tu wrócić.

Patrycja siedziała przez chwilę w milczeniu na podłodze, po czym odniosła kubki do kuchni. Zawsze mnie intrygowała, gdy tak milkła. Czulałam, że się ze mną w takich momentach nie zgadza. To, że nie dzieliła się ze mną swoimi przemyśleniami na temat moich spraw, odbierałam jako wielką delikatność. Słyszałam, jak zmywała, potem poszła do siebie do sypialni.

– Zaraz wychodzę i wrócę dopiero po pracy – zawołała stamtąd – ale będę wcześniej, bo trzeba to wszystko omówić grupowo i cię pożegnać. Zadzwońię do dziewczyn. Ty kupisz, co trzeba. Zostawię ci klucze w korytarzu.

Krzętała się przez pół godziny między łazienką a sypialnią i z mojej pozycji na kanapie mogłam obserwować, jak z dziewczyny w dresie przekształca się w niebezpiecznie piękną, świadomą swego uroku kobietę, która zarabia na życie, kusząc, wabiąc i czasami dając.

Kiedy wyszła i w mieszkaniu nastała cisza, zaczęłam się znów martwić swoją decyzją o całkowitej zmianie i wyjeździe. Na szczęście zanim rozsądek zaczął mnie męczyć pytaniami,

przytulił się do mnie sen i Morfeusz zamknął mi oczy na dobre. We śnie pojawiła się Partycja w tiulowej różowej sukience. Szła roześmiana słoneczną ulicą, trzymając za rękę małe dziecko, a ja odjeżdżałam autobusem i machałam jej przez zakurzone szyby. Kiedy się obudziłam, czułam żal, że nie mam dziecka, albo może dlatego, że odjeżdżam. Nie wiem. Mówią, że ten, kto wyjeżdża w nieznane, aby rozpocząć nowy etap w życiu, mniej tęskni i cierpi, niż ci, których pozostawia. Bzdura, ja zawsze w ostatnim momencie zazdroszczę tym, którzy zostają, aby wieść dalej znane sobie życie. Nagle dostrzegam wszystkie wspaniałe strony życia, które zostawiam, i ludzi, których opuszczam. I wydaje mi się, że tym ludziom jest dużo lepiej niż mnie. Litość bierze, jak się mazgaisz – zbeształam samą siebie. Tym razem chcę patrzeć z wiarą, że zaczynam coś wspaniałego, i cieszyć się, że sama podjęłam tę decyzję!

Jesień

Podróż z miasta do kancelarii pana Błażeja Zakrzewiaka rozpoczęła się w wygodnym autokarze. Gładko sunął autostradą, zjadając kolejne kilometry z wielkim apetytem. Na nielicznych przystankach, na których się zatrzymywał, wsiadali i wysiadali głównie studenci oraz sezonowi podróżnicy, odwiedzający rodziny mieszkające na drugim końcu kraju. Rozmyślałam o pożegnaniu, jakie urządziła mi Patrycja. Zaprosiła moje nieliczne koleżanki. Pamiętała nawet o Kamili. Dokonano nade mną sądu, naśmiewając się przyjaźnie z mojego pomysłu, przyjęto zakłady dotyczące daty mojego powrotu do miasta. Padł też jednogłośny werdykt, że to Mikołaj jest winny całemu zajściu oraz że powinien błagać i czołgać się, aby uzyskać moje łaskawe przebaczenie. Wspierały mnie bezkrytycznie i absolutnie.

Od lat przyjaźniłam się z Moniką, piękną niebieskooką blondynką o cudownych kształtach. Łamała serca mężczyznom jednym uśmiechem, a jej własne roztrzaskiwało się na kawałki po cichutku i w tajemnicy, bo lokowała swoje uczucia w facetach jeżdżących czarnym BMW lub motocyklem, którym blondynki kojarzyły się z pustymi laleczkami Barbie. Monika z pewnością nie była Barbie, tylko mało kto o tym wiedział, bo umiała tę rolę świetnie zagrać. Wspaniale gotowała i komponowała dzieła sztuki na talerzu, czym wzbudzała mój podziw. Tego wieczoru też zajęła się gotowaniem. Przyrządziła łososa w sosie czosnkowym, a na deser ciasto marchewkowe. Jako prezent pożegnalny otrzymałam od niej pojemnik humusu.

Była też Anita – studentka psychologii. Uwielbiałam z nią rozmawiać, ale w głębi duszy mnie przerażała. Czulałam się w jej towarzystwie głupia i niedojrzała. Bardzo ceniłam jej zdanie, nie tylko w materii damsko-męskiej. Anita badawczo wypytała mnie o praktyczną stronę przedsięwzięcia, a w związku z tym, że nie umiałam odpowiedzieć na żadne z jej szczegółowych pytań dotyczących tego, co będę teraz robić, wyposażyła mnie w listę dobrych rad i ostrzeżeń odnośnie życia na wsi. Sama spędziła tam w zasadzie całe życie, dopiero dwa lata temu przyjechała do miasta. Według niej powinnam zawsze chodzić w butach sięgających kolan ze względu na zmię, wykopać studnię, bo to najpewniejsza woda, natychmiast założyć ogródek warzywny i ziołowy oraz zabezpieczyć go przed kozą, która musi zająć jedną z pierwszych pozycji na liście moich obowiązkowych nabytków. Jako prezent na nowy etap życia ofiarowała mi poradnik samorozwoju, który niedawno odkryła, uznając go za absolutną rewelację dla kobiet szukających akceptacji siebie i satysfakcji z życia. Obiecała też, że mnie odwiedzi w czasie urlopu, żeby sprawdzić, jak mi idzie praca nad sobą i prowadzenie gospodarstwa.

Irminka potraktowała mnie łagodnie. Po prostu była, dolewała mi wina i pytała, czy jestem pewna swojej decyzji. Zawsze koił mnie ton jej głosu – mówiła powoli, delikatnie i starała się nikogo nie urazić. Sama jest jak z porcelany, ale z życiem zмага się dzielnie, chociaż w swoim rytmie. Kojarzyła mi się z motylem, ubrana w barwne stroje, trochę po dziewczęcemu w koronki i sukienki. Lubiłam z nią chodzić na zakupy, bo ma świetne oko do wyjątkowych rzeczy.

Całe to nasze towarzystwo skrzyło się i lśniło, każda inna, każda piękna na swój sposób. Kamila promieniowała spokojem i podzieliła się z dziewczynami nowiną o dziecku. Zaczęły ją ścisnąć i wymyślać imiona oraz snuć przypuszczenia, kim dziecko zostanie, gdy dorośnie. Wyglądały jak dobre wróżki znad kołyski Królowy Śnieżki. Stwierdziłam, że po tej dawce czystej kobiecej energii na tak wczesnym etapie rozwoju dziecko musi być dziewczynką. Tego wieczora czulałam się z nimi wyjątkowo dobrze! A niedługo miałam być zupełnie sama.

U Patrycji mieszkałam jeszcze tydzień, a Mikołaj zadzwonił tylko raz, na drugi dzień po pożegnaniu z dziewczynami, kiedy z obolałą głową leżałam na kanapie. Chciał wiedzieć, kiedy przyjadę po resztę rzeczy. Gdy usłyszałam jego głos w słuchawce, w gardle nagle mi zaschło, potem zabrakło tchu, a na koniec dopadł mnie ślinotok. Czułam się jak dziecko, które coś zbroiło, a teraz, kiedy wszystko się wydało, z niepokojem oczekuje kary. Poprosiłam, żeby spakował moje rzeczy w pudła, i powiedziałam, że Patrycja się po nie zgłosi.

– No to cześć – rzucił tylko.

– Cześć, Mikołaj – odpowiedziałam i już słyszałam sygnał przerwane połączenia.

I wtedy znów zaczęłam płakać.

Teraz siedząc w autobusie, zastanawiałam się, dlaczego nie prosił, żebym wróciła, nie pytał, nie chciał wyjaśnić. Widocznie wcale mnie nie kochał. Tak, nigdy mnie nie kochał i jest draniem, i dlatego go zostawiłam, i koniec! Myśląc o tym, wytarłam rękawem ze złością łzę zebraną w kąciu oka.

Dotarłam na miejsce i zostawiłam walizkę w przechowalni. W kancelarii miałam się zjawić o trzynastej. Była 11.30, więc wolnym krokiem ruszyłam kupić dworcową kawę w papierowym kubeczku. Smakowała jak wczorajsza gazeta. Za barem stała chuda dziewczyna o zmęczonych oczach. Wyglądała, jakby umierała z nudów i męczył ją każdy oddech. Właściwie to wyglądała, jakby już umarła. Byłam ciekawa, czy zarabia tu na studia, czy może na utrzymanie dziecka, które sama wychowuje. Albo może jak ja nie ma na siebie pomysłu i pracuje tu, bo to pierwsza posada, jaką znalazła. Zostawiłam niedopitą kawę i ruszyłam pieszo do kancelarii.

Pan Błażej był brunetem w okularach. Miał piękną sekretarkę o nienaganych manierach, a w małej poczekalni skórzane kanapy. Na ławie leżały magazyny i kilka folderów prezentujących samochody ekskluzywnych marek. Upewniłam się tym samym, że bezbłędnie rozpoznałam jego auto na parkingu – lśniące czarne infiniti. Siedział teraz przede mną w krawacie i prążkowanej koszuli. Zadowolony z siebie i swobodny. Kolejna osoba, która robi coś z pasją, no i świetnie na tym zarabia. Poczułam małe ukłucie zazdrości.

– A więc jaka jest decyzja? Czy przyjmuje pani spadek? – zapytał.

Zaproponował mi już kawę, sprawdził moją tożsamość oraz odczytał testament ciotki Niny. Dowiedziałam się, że dostaję wszystko, co zostało w domu, ziemię, samochód i oczywiście sam dom, a warunek jest jeden – mam tam zamieszkać i nie mogę niczego sprzedać przez rok. Wymagane jest podpisanie zobowiązania, pan Błażej będzie moim opiekunem. Dopiero gdy minie rok, a ja nadal tam będę mieszkać, dostanę akt własności i mogę robić, co zechcę. Bardzo sprytne, tylko po co tak to komplikować, pomyślałam. Z jakiegoś powodu ciotka za wszelką cenę chciała mnie tam zatrzymać dłużej niż do mojego pierwszego zniechęcenia życiem na wsi, gdzie nie ma co robić i wszędzie jest daleko. Dłużej niż do momentu, kiedy uznam, że to za trudne i nudne. Dobrze mnie jednak znała!

Spojrzałam na podpis Niny na dokumencie. Zawsze podziwiałam jej pismo – leciutko pochylone w jedną stronę kształtne litery i spore zawijasy. Mówiła mi, że kiedy uczyła się kaligrafii, dostawała od nauczycielki po rękach grubą liniijką za każdym razem, gdy ta uznała, że pismo nie jest wystarczająco estetyczne. Obolałą dłonią jeszcze trudniej było utrzymać pióro i cała historia powtarzała się od nowa. Twarda szkoła, ale jakie efekty.

– Może się pani zastanowić, nie musi pani podejmować decyzji natychmiast – odezwał się pan Błażej, mój nowy anioł stróż.

Pomyślałam, że ładnie wyglądałby z loczkami blond i przewieszonym przez plecy kołczanem pełnym strzał o grotach w kształcie serduszka.

– Chcę ją podjąć dzisiaj, i tak, przyjmuję spadek – powiedziałam szybko, mając nadzieję, że zabrzmiało to zdecydowanie. W końcu i tak chciałam tam zamieszkać, będę miała dodatkową

motywację, żeby wytrwać w swojej decyzji.

– Z dobrodziejstwem inwentarza i zobowiązaniem? – zapytał jeszcze pan Błażej.

– Tak, poproszę.

Podsunał mi do podpisu dokumenty, a następnie wręczył z uśmiechem klucze.

– Gratuluję! Będziemy w stałym kontakcie. Do widzenia. – Wstał i wyciągnął dłoń.

Uścisnęłam ją mocno, a jego krótki i zdecydowany uścisk wzbudził moje zaufanie.

– Do widzenia! – odpowiedziałam z uśmiechem i wyszłam z gabinetu.

Powrotną drogę na dworzec autobusowy pokonałam prawie biegiem. Ścisnęłam w ręce pęk kluczy. Breloczek zrobiony był z łuski od naboju. Ciekawe, skąd ciotka go miała? Byłam podekscytowana, że zaczynam odkrywać jej tajemnice, i nie mogłam się doczekać, kiedy będę w domu. Jednak, jak na porządny koniec świata przystało, dzieliło mnie od tego miejsca około godziny jazdy lokalnym autobusem, następnie pół godziny minibusem, a potem jeszcze kilkunastominutowy spacer. Niestety nie wiedziałam, kiedy odjeżdża minibus. Miałam tylko nadzieję, że będą taksówki. Zdyszana wpadłam na dworzec i nieomal się udusiłam, bo mój szalik zahaczył o klamkę drzwi wejściowych. Uczynny niewidomy, stojący tuż obok wejścia, sprawnie pomógł mi się uwolnić, za co wrzuciłam mu do puszek drobne, które znalazłam w kieszeni płaszcza.

– A gdzie się panience tak spieszy? Jak kocha, to przecież poczeka – zawołał schrypniętym głosem.

– Do domu! – krzyknęłam przez ramię.

Odebrałam walizkę z przechowalni. Miałam jeszcze piętnaście minut, więc zadzwoniłam do Patrycji. Odebrała od razu.

– Cześć, dotarłaś?

– Cześć, jestem w drodze. Jeszcze trzy etapy i będę na miejscu.

– Dziewczyno, jak ja cię tam znajdę, w tej dziurze? – jęknęła.

– Spoko, nie łam się! Przetnę szlaki, wyślę ci mejla z dokładnymi instrukcjami i zrobisz sobie taki surwiwal na wsi, miejska bestio!

Dobrze mi było z nią żartować i szczerze mówiąc, trochę żałowałam, że nie zobaczymy się tak prędko. Od ludzi, którymi się otaczałam, czerpałam dużo optymizmu i energii. Odległość sprawi, że te transfuzje nie będą tak częste i stan pacjenta może się pogorszyć. A może wreszcie znajdę jakieś złoza nieodkryte w sobie samej? Tak się działo w wielu książkach, które przeczytałam z wypiekami na twarzy. Ich bohaterowie wyjeżdżali do Indii lub Afryki, porzucali dotychczasowe życie, a potem cudownie odnajdywali siebie i prawdziwy sens swojego życia. Bardzo lubię takie historie i w głębi duszy marzyłam, że spotka to i mnie. Nie byłam do końca pewna, czy postępuję tak jak moi bohaterowie, ale pocieszyłam się słowami Scarlett O'Hary, że pomyślę o tym jutro. Dodałam jeszcze magiczne zaklęcie w postaci – jakoś to będzie. Zawsze jakoś w końcu jest! Jak mawia Irminka: „Jeśli nie wiesz, jak sobie poradzić, no to po prostu musisz sobie jakoś poradzić”. I tak miałam zamiar zrobić!

Mój autobus podjechał, więc pożegnałam Patrycję i wsiadłam. Tym razem pasażerami byli głównie uczniowie. Podróż mijała więc radośnie przy wtórze odtwarzanych przez telefony komórkowe utworów z list przebojów. Kierowca postanowił zagłuszyć całe to towarzystwo, puszczając z kasetowego odtwarzacza przez głośniki wesołą pieśń, złożoną z wielu zwrotek. Jej refren wrył mi się na zawsze w pamięci: „Śmieję się, śmieję, ha ha ha ha, niech radośnie płynie czas”. Pomimo pozytywnego przesłania pod koniec podróży bardziej chciało mi się płakać, niż śmiać. Do celu dotarłam późnym popołudniem. Zrobiło się już prawie ciemno i dość zimno. Nie lubię przyjeżdżać w nowe miejsce o zmroku. Zwłaszcza gdy jest to małe miasteczko, gdzie życie zamiera po siedemnastej. Z przystanku autobusowego ruszyłam z walizką w kierunku postoj

taksówek. Mijane okna odbijały kolorowe światła telewizorów. Wiatr przetaczał po niebie ciężkie chmury. Na postoju nie było ani jednego samochodu. Nie było też numeru telefonu, marnej ulotki, nic. Z pobliskiego nocnego sklepu spożywczego wychodzili klienci objuczeni zakupami, z baru za rogiem dolatywał zapach frytek. Weszłam do sklepu, chcąc dowiedzieć się o numer telefonu do taksówkarzy. Bardzo zajęta dziewczyna w stoisku monopolowym niestety nie umiała lub nie chciała mi pomóc. Zajrzałam do baru. Zebrało się tam wesołe towarzystwo. W środku nie dominował już zapach frytek, a lekko przetrawionego piwa. Moje „dobry wieczór” zawisło w powietrzu w grubej warstwie dymu papierosowego. Stojący za barem gość w naciągniętym swetrze, do którego moje pozdrowienie było skierowane, nawet na mnie nie spojrzał, wzrok miał wlepiony w zawieszony pod sufitem telewizor. Oczekałam chwilę, po czym spróbowałam jeszcze raz:

- Przepraszam, czy ma pan może numer do jakiegoś taksówkarza?
- Tu nie informacja – odburknął.
- Nie jeżdżą już dzisiaj, ruchu nie mają, to co będą stali – powiedział jeden z mężczyzn siedzących przy barze i wzruszył ramionami.
- Acha, dziękuję – odparłam. Po czym rzuciłam wrogie spojrzenie nadętemu barmanowi i odwróciłam się na pięcie.

Wyszłam z baru i głęboko wciągnęłam powietrze w płuca, aż zabolalo. Byłam zła, ale oprócz tego poczułam się opuszczona i samotna. Nie należałam do tego miejsca i nie chciałam tam być, marzyłam o tym, żeby się dostać do nowego domu i stopniowo odnajdować tam spokój i wewnętrzne szczęście, tak jak to sobie wymyśliłam. Po łydce delikatnie, ale ostrym pazurkiem drapały mnie jednak wątpliwości. Czy zmiana miejsca zamieszkania ma jakiś sens? Po co ja tam jadę? Nie byłam tam piętnaście lat, a może w tym domu nie da się mieszkać? Nagle rozpaczliwie mocno zatęskniłam za swoim starym, bezpiecznym życiem. Owszem, potrzebowałam przerwy, ale w trakcie przerywnika w życiu też trzeba coś robić, za coś żyć, czymś wypełnić dni, tygodnie i miesiące. Westchnęłam i zerknęłam na wyświetlacz telefonu, bardzo chciałam, żeby ktoś teraz do mnie zadzwonił. Gdybym tylko mogła opowiedzieć, co się dzieje i jak się czuję... Oswoiłabym to, ubrała w słowa, rzuciła żart i byłoby łatwiej. Sama sobie nie umiałam dodać otuchy. Schowałam telefon do kieszeni, mocniej opatuliliłam się szalikiem i ruszyłam na poszukiwanie noclegu. Centrum miasteczka stanowił mały rynek, na którym rozsiadł się budynek urzędu miasta. Wokół rynku wzdłuż głównych uliczek toczyło się całe życie: sklepy spożywcze, kwaciarnia, kiosk ruchu, kilka banków, księgarnia, zieleniak, poczta – wszystkie otwarte do szesnastej. Wyglądało na to, że moje życie będzie podporządkowane zupełnie innym regułom niż te, do których przywykłam. Przy końcu jednej z głównych uliczek rynku rozpoczynał się niewielki park. W oddali zobaczyłam małą restaurację. W oknach paliły się świece, a w głębi widać było płonący w kominku ogień. Uruchomił się we mnie mechanizm rządzący życiem człowieka jaskiniowego – chciałam się tam znaleźć, rozgrzać się przy ogniu i zapaść w niego. Zrobiło mi się nieco raźniej na duszy, przyspieszyłam i wkrótce zdecydowanym krokiem weszłam do środka. Zapach pizzy przypomniał mi, że powinnam już dawno coś zjeść, a mój brzuch głośnym burczeniem domagał się posiłku. Niewielkie i przytulne miejsce nie było zbyt tłoczne. Kilka osób z apetytem jadło ogromną pizzę, jedna zakochana para, trzymając się za ręce, patrzyła sobie głęboko w oczy. Miła dziewczyna za barem przyjęła moje zamówienie.

- Małą wegetariańską z dużą ilością sera i wodę niegazowaną poproszę.
- Bardzo proszę – uśmiechnęła się dziewczyna.
- Przepraszam, czy tutaj można gdzieś przenocować?
- No, niestety nie ma u nas hotelu, ale niedaleko są pokoje do wynajęcia w gospodarstwie agroturystycznym. Jest już po sezonie, więc na pewno mają wolne miejsca. To jakieś dziesięć

minut spacerkiem stąd.

– Dziękuję, uratowała mi pani życie. Już myślałam, że będę dzisiejszego wieczoru bezdomna.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. Z daleka pani przyjechała? – podtrzymywała rozmowę, nalewając wody do szklanki.

– Z bardzo daleka – powiedziałam w zadumie i nie myślałam wcale o liczbie kilometrów, jakie dzielą mnie od miejsca, z którego wyruszyłam, ale raczej o tym, jak odległe wydawało mi się teraz moje dotychczasowe życie, bez możliwości powrotu. Największe odległości stwarzamy sobie sami.

Kobieta krzątała się za barem. Gdyby to był film, jej rolę grałaby Jennifer Aniston lub Meg Ryan – taka sympatyczna dziewczyna z sąsiedztwa. Ciekawe, kto wcieliłby się w moją postać? Usiadłam przy stoliku stojącym najbliżej kominka i pogrążyłam się w rozmyśleniach na temat najlepszej kandydatki do zagrania roli mojego życia, życiowej roli, która zapewni Oscara. Najbardziej chciałabym, żeby była to Jodie Foster – odważna, zdecydowana i inteligentna, lub Audrey Hepburn – piękna i uwodzicielska, ale obawiam się, że lepiej by pasowała Audrey Tautou. Wrzucone do ognia kawałki drewna wesoło trzaskały i syczały. Było swojsko i domowo, pizza pachniała cudownie, a smakowała jeszcze lepiej. Oto znalazłam swoją stołówkę i wcale nie potrzebuję faceta, który by mi gotował. Świetnie potrafię się zatroszczyć sama o siebie.

Z pełnym brzuchem i poczuciem radosnego zmęczenia opuściłam to miłe miejsce i udałam się we wskazanym przez dziewczynę kierunku. Latarnie wokół rynku wygrywały z wieczorną ciemnością. Maszerowałam, stukając obcasami, a turkot kółek walizki dopełniał melodii. W okolicy nie było żywego ducha. Dziwnie się z tym czułam. Przez ostatnich kilka lat nie prowadziłam bujnego życia nocnego i towarzyskiego, ale przywykłam do ciągłej obecności ludzi na ulicach, w autobusach, w parkach i centrach handlowych. A tu teraz taka pustka i tylko ja sama. Albo może raczej, aż ja sama. Ciekawe doznanie.

Dotarłam na miejsce, tak jak mówiła dziewczyna, w niespełna 10 minut. Gospodarstwo nazywało się „Pełna Chata” i zapraszało do środka rozświetlonymi oknami. Ciężkie dwuskrzydłowe drzwi wejściowe otworzyły się z głośnym stęknieniem. Jasny korytarz prowadził do przestronnej kuchni z długim, drewnianym stołem pośrodku. Siedzieli przy nim starsza kobieta i mężczyzna. Z glinianych kubków popijali pachnącą obiecująco herbatę. Ktoś lekkim, jakby kocim krokiem zbiegał po schodach.

– Dobry wieczór. – Ukłoniłam się grzecznie.

– Dobry wieczór – równocześnie odpowiedzieli para przy stole i blond dziewczyna z szerokim uśmiechem na twarzy, która właśnie weszła do kuchni.

– Czym mogę służyć? – zapytała.

– Szukam noclegu na dzisiaj.

– Jednoosobowy pokój?

– Tak.

Dziewczyna wpisywała moje dane do zeszytu, a ja obserwowałam noc za oknem i przysłuchiwałam się cichej rozmowie, która toczyła się przy stole.

– Mój wnuczek chodzi na rehabilitację – mówiła kobieta – i powiada mi kiedyś w niedzielę: tak się modliłem do Matejki, żeby mi ta noga zelżała, i po obiedzie mu coś przeskoczyło, i lepiej z tą nogą.

„Matejki?” – zdumiałam się. – „To Matejko był świętym?”.

– Tak mu Matejka pomogła – dobiegły mnie słowa kobiety.

Mateńka! To zmienia postać rzeczy. Wróciłam myślami do swoich spraw, zapłaciłam dziewczynie za nocleg i uzgodniłyśmy, że klucz oddam do dziesiątej, jak tylko zjem śniadanie.

Zaniosłam walizkę do pokoju i rzuciłam się na łóżko. Zamknęłam oczy. Przepętniony żołądek podchodził mi do gardła, a w głowie, jak płatki śniegu, wirowały nerwowe myśli. Moje serce biło ciężko – nie wiedziałam, czy to bardziej z niepokoju, że tak impulsywnie rozstałam się z Mikołajem, czy dlatego że bałam się tego nowego życia. Atmosfera małego miasteczka, z jego niezbyt miłymi mieszkańcami, zupełnie mi nie odpowiadała. Nie miałam ochoty ich poznawać, bo nic tak mnie nie odrzuca jak opryskliwość i brak manier. W takich sytuacjach zatrząskuję wszystkie okiennice i drzwi i zrywam kontakt. Co będzie, jeżeli nie znajdę tu osób miłszych niż piwośze z baru? Jak ja wytrzymam rok, bez przychylnych mi ludzi? Nie lubię nawiązywać nowych przyjaźni.

Z ulgą pomyślałam, że już jutro będę w dobrze znanym miejscu, gdzie znajdę trochę ciszy i przestrzeni. Chciałam ogrodu wiosennego z kwilącymi ptakami, kwitnących drzew owocowych oraz nadziei i energii, którą niesie wiosna. Tymczasem za oknem miałam ołowiane niebo październikowe i drobny deszczyk miarowo uderzający o szybę, jakby chciał mnie osaczyć swoim bębnieniem. Uciekam z nadzieją, że tam, gdzie dotrę, znajdę to coś, czego szukam. W oczach mnie zapiekło, policzki zrobiły się gorące i już płakałam sama nad sobą, z żalu, rozczarowania, zmęczenia swoim dreptaniem życiowym, a gdzieś po stronie serca rosło we mnie poczucie, że popełniłam duży błąd. Łzy toczyły się po moich policzkach, wślizgiwały do ucha i dalej po szyi wlewały się za koszulkę. Płakałam zapamiętałe i żałośnie, aż wylało się ze mnie wszystko i została tylko pustka. Skuliłam się jak małe dziecko, narzuciłam na siebie puchaty koc i od razu zasnąłam.

Obudziłam się o szóstej rano z głośno bijącym sercem. Śnił mi się Mikołaj, szliśmy razem wzdłuż kamienistej plaży, morze szumiało i lizało moje stopy, a on się śmiał chłopcym, głośnym śmiechem, który uwielbiałam. Przez kilka sekund po przebudzeniu nie pamiętałam, gdzie jestem. Stopniowo narastał we mnie niepokój. Blade światło słoneczne przeświecało przez cienkie firanki i po chwili skojarzyłam, że znajduję się w „Pełnej Chacie”. Zmusiłam się, żeby wstać od razu i zająć się dzisiejszym dniem, zanim dopadnie mnie smutek, że sen nie jest jawą, a od morza dzieli mnie setki kilometrów. Uchyliłam okno i wyjrzałam na podwórko. Jakiś mężczyzna krzątał się wokół zabudowań gospodarczych, leciutka mgła unosiła się w oddali, a zza drzew wylaśniało się pomarańczowe słońce. Wzięłam kilka wdechów, potem zrobiłam parę skłonów, przysiadów i wymachów nogami. Szybki prysznic mnie orzeźwił i poukładał sobie w głowie plan na dzisiaj.

Stojąc pod strugą gorącej wody, spokojnym głosem tłumaczyłam sobie, że nie ma co oglądać się wstecz i wahać. Podjęłam decyzję, więc trzeba się jej trzymać, przetrwam rok bez morza i jak będę chciała, to wrócę. Jeśli trzeba, wytrzymam całe życie bez Mikołaja, bo do niego nie mogę wrócić. To on musi mnie odnaleźć i o mnie zawalczyć. Serce chciało znów wyć, ale o poranku silniejszy był we mnie głos zdrowego rozsądku – bezuczuciowy, twardy jak stal, nieokrzesany i pragmatyczny mówił: nie trzeba się oplatać, owijać bliskimi, uczepiać się przyjaciół i faceta przez całe życie. Owszem, trochę o nim pomyślisz czasami, ale to takie śladowe ilości tęsknoty, odpowiednie do uczucia, jakie nas łączyło. Czas stanąć na nogi, nawet jeżeli są chwiejne. Zawsze można je wzmocnić, mięśnie wyćwiczyć i odzyskać równowagę. Jakoś, kiedyś, chyba. Dziś moim zadaniem jest dotrzeć do domu, rozejrzeć się i przekonać, na co się decyduję. I tyle. Reszta musi poczekać i nie będę na razie płakać z tęsknoty, zawsze mogę to zrobić jutro, za tydzień i przez kilka kolejnych miesięcy, w samotności! „Jest (...) czas płaczu i czas śmiechu, czas zawodzenia i czas płaśów” – tak mówi Kohelet i ja mu wierzę. Chcę wierzyć.

Niecierpliwym ruchem starłam z twarzy krople wody, podejrzanie słonejsze, i przekreśliłam kurek. Szybko się wytarłam i ubrałam. Zeszłam na śniadanie. W obszernej kuchni była już

znajoma para, rodzina z dwojgiem dzieci i dziewczyna, która przyjmowała mnie wczoraj wieczorem. Pachniało jajecznicą na boczku i kawą, którą dziewczyna podała mi sprawnie i z pięknym uśmiechem. Podśpiewywała sobie pod nosem, a ja zadumałam się nad tym, jak wspaniale jest szczęśliwa. Kiedy płaciłam za nocleg, zagadnęłam do niej:

– Przepraszam za moje pytanie, ale co sprawia, że jest pani taka szczęśliwa? Aż pani promienieje i wydaje się, że za chwilę szczęście pani wytryśnie uszami – starałam się brzmieć lekko i zabawnie, ale jestem pewna, że było widać, że miałam opuchnięte oczy.

Zaśmiała się perliście.

– Miłość – powiedziała krótko. – Miłego dnia życzę!

– Dziękuję, do widzenia – pożegnałam się.

Miłość! Jednym daje powody do radości, innym do płaczu, więc coś tu nie gra. Nie może być równoznaczna ze szczęściem i unoszeniem się 5 centymetrów nad podłogą z samego rana. I właśnie dlatego ruszam na poszukiwanie szczęścia, radości i spokoju, bez miłości!

Wyprostowałam się, zdecydowanym ruchem pociągnęłam za sobą wierną walizkę i czując delikatną pieszczotę wiatru na twarzy, poszłam w kierunku przystanku autobusowego.

Była dziesiąta rano, jechałam zdezelowanym minibusem, którego drzwi były opatrzone napisem: „Transport krajowy i międzynarodowy”, a w środku śmierdziało spalinami i brudem. Kierowca miał imponująco długie włosy spięte w kucyk i niebieskie oczy. Nie protestował, kiedy na siedzeniu obok siebie ulokowałam swój bagaż. Sprzedał mi bilet za trzy złote i ofiarował bladą kserokopię zapisanego maczkiem rozkładu jazdy. Ruszyliśmy z przystanku z jękiem i jakby protestem silnika wysłużonego pojazdu. Nieprzyjemnie kołysało i bujało. Zamknęłam oczy, starając się odpłynąć mentalnie w miłsze rejony.

– Nosi pan kiedy rozpuszczone włosy? – zagadnęła kierowcę jedna z pasażerek, a ja natychmiast wróciłam do tu i teraz, zaintrygowana tym niezwykłym pytaniem.

On spojrział na nią we wstecznym lusterku i uśmiechnął się. Niecierpliwie oczekiwałam na odpowiedź.

– Nie, nie lubię.

Oczyrna wyobraźni widziałam grzywę, którą od czasu do czasu pięknym gestem odrzuca na plecy. Z zamyślenia wyrwał mnie jego głos, bo ku mej radości podjął temat.

– No chyba, że suszę albo jak się upiję i się wygłupiam. Żona chciała, żebym miał długie, i tak już dwadzieścia lat. Myślałem, że wyłysię szybko, jak ojciec, ale mi się włosy trzymają głowy. Siwieję za to szybciej, bo tyle zmartwień...

Jak to w życiu rzadko dostaje się to, co się chce, pomyślałam i zaczęłam wnikliwie studiować rozkład jazdy. Okazało się, że do miasteczka jest jeden kurs rano oraz jeden po południu, ale w przeciwnym kierunku można się przemieścić tylko przed południem, bo popołudniowy bus nie wraca. Na kolejnym przystanku wsiadło kilka osób, których nie rozpoznałam, a które obrzuciły mnie badawczym spojrzeniem. Wszyscy się znali i prowadzili intrygujące rozmowy: „powódź była, bo ziemia się przekręciła i teraz wszystko jest na odwrot (...), byłam, pani, u tego psychologa, ale to nic nie pomaga, to takie gadanie tylko (...), człowiek się opracuje, a do śmierci całej roboty nie zrobi”. Uszami chłonełam mądrość ludu, a oczyma pożerałam widoki za oknem.

W Bartnicy nic się nie zmieniło, może tylko drzewa nieco urosły i przybyło parę nowych domów wzdłuż głównej drogi. Międzynarodowy minibus omijał zgrabnie dziury w asfalcie i podskakiwał na tych, których kierowca nie zdążył lub nie mógł objechać. Wsiadłam pod sklepem i weszłam do środka. Potrzebowałam chleba, wody, mleka, kawy i czekolady. Okazało się, że w sklepiku sprzedaje ciągle ta sama pani, którą pamiętałam z dzieciństwa. Zdziwiłam się, że mnie rozpoznała. Różne jednak ludzie mają talenty. Jedni pięknie grają na flecie, inni budują

mosty czy piszą epopeje, a niektórzy kojarzą fakty, rozpoznają bezbłędnie czyichś bliskich i zapamiętują na zawsze imiona i kolejność urodzeń dzieci w danej rodzinie, odtwarzają przebieg wydarzeń na podstawie strzępków informacji i przewidują zachowania ludzkie z wielką przenikliwością i zdrowym rozsądkiem. Wychodziłam z zakupami odprowadzana ciszą, która zaległa w sklepie po moim wejściu. Jak tylko zamknęły się za mną drzwi, gwar rozmów popłynął na nowo. Teraz rozmawiają o mnie, pomyślałam, zastanawiają się, po co przyjechałam, i ustalają, kiedy byłam tu ostatnio oraz jaka jest moja sytuacja życiowa.

Lekki wiatr mierzwił mi włosy. Wdychałam go mocno, aż szczypało w nosie. Przynosił zapach ziemi i dymu z ogniska. Minęłam cmentarz i zeszłam z drogi asfaltowej w wąską drogę polną, prowadzącą już prosto do domu ciotki. Po obu stronach znajdowały się zaorane pola, a na wzgórzach różnokolorowe drzewa. Jesień upięknszyła to miejsce, które w deszczowe, ciemne dni musi wyglądać nieco smutno. Ale teraz pyszniło się złotem, czerwienią i pomarańczem liści. Gdyby tak kobiety, zamiast siwieć, zmieniały kolor włosów jak jesienne drzewa, miałyby lepszą starość, przemknęło mi przez głowę. Nigdy nie byłam u ciotki jesienią, zimą ani wiosną. Znałam tu tylko lato i byłam bardzo ciekawa, jak tu się żyje, tak na stałe. Mijałam właśnie dom sąsiada, zza otwartej bramy wybiegły dwa niewielkie psy, ujadając zażarcie. Firanka w jednym z okien poruszyła się nieco. „Mój przyjazd został dostrzeżony” – mruknęłam do siebie. Ignorując rozszczekane psy, poprzez kałuże, ostre kamienie i błotniste koleiny wspinałam się pod ostatnią górkę. Walizka zaczęła mi już ciążyć, nie dało się jej ciągnąć, bo kółka tonęły w błocie, więc niosłam ją, sapiąc i nieświadomie rozmazując brązową maź po nowych dżinsach.

Wreszcie zobaczyłam najpierw dorodny świerk przy drodze, a potem dom. Dokładnie taki, jak go zapamiętałam. Brakowało mi tchu, więc przystanęłam na chwilę. Droga wiła się malowniczo wzdłuż łąk, smukłe brzozy po obu stronach drogi zwieszały wdzięcznie gałęzie, pokryte drobnymi, złotymi liśćmi. Gdzieś niedaleko w trawie zakrzyknął przenikliwie bażant. Różowe obłoki zdawały się rozrzucone po całym niebie bez ładu i składu. Promienie słońca załamywały się na czerwonych koralach jarzębiny. Uśmiechnęłam się szeroko i szepnęłam: „dzień dobry”, a potem energicznie ruszyłam dalej, wzdłuż starego drewnianego płotu otaczającego zabudowania. Miejscami powyłamywany strzegł jednak domu i ogrodu przez wszystkie te lata. Wciąż wisiąło na nim kilka glinianych garnków. Pchnęłam skrzypiącą furtkę i weszłam do ogrodu. Wąski chodnik zdobiły złote liście. W otaczających dom drzewach tak samo jak przed laty kwiliły ptaki, pewno już wielokrotne prawnuki tych, których piosenek słuchałam w dzieciństwie. Wiatr przecesał mi szorstko włosy, jak zwykła to robić ciotka Nina na powitanie. Dotknęłam ręką ściany domu, była ciepła. Z niewielkiego otworu w murze, tuż pod dachem wyleciał nagle mały ptaszek, a wśród gałęzi leszczyny uwijała się ciemnobrązowa wiewiórka. Życie toczyło się tu pełną parą, chociaż bez gospodyni, i wygląda na to, że mimo braku współlokatorów i bliskich sąsiadów nie będę mieszkać tu sama. Wyjęłam klucze z torebki, wspięłam się po schodach porośniętych zielonym mchem i otworzyłam po raz pierwszy mój dom. Mój pierwszy prawdziwy dom.

Drzwi rozwarły się o dziwo bezszelestnie. We wnętrzu pachniało jabłkami i kurzem. Słońce zaglądało do środka, na korytarz przez kuchenne okno, które znajdowało się dokładnie na wprost drzwi wejściowych, za oszklonymi drzwiami kuchennymi. Na podłodze, w kącie czekały dwa rozdeptane kapcie. Nie zamknawszy za sobą, ostrożnie otworzyłam drzwi do kuchni. Dziwnie było tu wchodzić bez wiedzy ciotki i bez jej przywitania. Kuchnia była głównym i największym pomieszczeniem w domu. Ogromny chlebowy piec rozsiadał się w jednym kącie. Nieopodal stał ciotki fotel i jego najlepsza przyjaciółka, stojąca lampa z abażurem. W koszyku na podłodze obok fotela, pokryte kurzem, leżały druty z zaczęłą robótką i kłębki włóczki. Stary dębowy kredens, solidny stół i maszyna do szycia zajmowały przeciwległą ścianę. Kanapa

z wysiedzianym na środku wgłębieniem, pokryta pasiastą narzutą, oraz radziecka lodówka królowały pod oknem. Na ścianie ten sam zegar, który od zawsze tu wybijał co pół godziny upływ czasu. Teraz był milczący, bezrobotny, albo już na emeryturze i szczelnie owinięty siateczką pajęczyn. Usiadłam na kanapie. Jeszcze kilka tygodni temu do głowy by mi nie przyszło, że mogłabym się tu znaleźć. To miejsce należało do mojej przeszłości i nie istniało w moim aktualnym świecie. Teraz wspomnienia całą gromadą wysypywały się z zakamarków pamięci, obudzone zapachami, dźwiękami, widokami i przedmiotami. Zdjęłam ubłocone buty i ruszyłam na wycieczkę po domu.

Dopasowywałam klucze do kolejnych drzwi. Najpierw duży pokój – w kącie kaflowy piec. Zamknęłam oczy, a mój palec bezbłędnie odnalazł drogę po kształcie wzorku na jego kaflach. Na całej długości jednej ze ścian stał, wysoki aż do sufitu, regał z książkami. Wszystkie tu były, moje ulubione! *Baśnie z dalekich mórz i oceanów* nadal czekały na mnie na najniższej półce. Otworzyłam książkę i od razu kichnęłam, kurz łaskotał mnie w nosie. Powoli obeszałam cały pokój, w kątach czaiły się pająki, balansujące na gęstych sieciach. Brakowało też kilku mebli, które pamiętałam – widocznie ciotka musiała je sprzedać.

Drzwi do jej sypialni starałam się otworzyć wyjątkowo ostrożnie. Musiałam je jednak mocniej pchnąć, bo lojalnie nadal strzegły ciotkowych tajemnic. Byłam tu bardzo rzadkim gościem. Pamiętam, że w sypialni pachniało różaną wodą toaletową. Ogromne łóżko przykryte bordową narzutą, szafka nocna z małą lampką. Kiedy się ją włączyło, w środku zaczynał się obracać plastikowy kolorowy element, pobudzając do wędrówki po ścianach tajemnicze kształty. Pękata trzydrzwiowa szafa i wiklinowy fotel też wyglądały znajomo. W kącie pod ścianą stały trzy kartonowe pudła obklejone dokładnie taśmą. Pewno ciotka robiła porządki i nie zdążyła ich wyrzucić. W najmniejszym pokoju, przeznaczonym dla gości, znajdowało się dotychczas tylko łóżko, komoda i jedno krzesło. Teraz ledwo dałam radę otworzyć drzwi. Stał się składzikiem, wypełniały go ogrodowe narzędzia, ubrania, połamane meble, gazety i wszelkie zepsute domowe urządzenia. Także pomieszczenie używane jako łazienka nie do końca zasługiwało na to określenie. Nie było ubikacji ani umywalki. Sytuację ratowała ogromna żeliwna wanna. Drzwi otworzyły się z głośnym protestem, co mnie zaskoczyło, bo pozostałe uchylały się cichutko. Nabrałam podejrzeń, że to pomieszczenie nie było używane zbyt często i stanowiło składzik numer dwa. Sprzęty zalegające łazienkę były jeszcze starsze niż te w pokoju gościnnym: beczka do kiszenia kapusty, maślnica, wielka metalowa balia, żeliwna koza do ogrzewania, elektryczny piecyk, lampa naftowa, drewniany młynek do kawy, pralka Frania z wyżymaczką i wiele innych przedmiotów, których przeznaczenia nie byłam pewna.

Przywitałam już cały dom i wyszłam na taras. Tuż obok niego rosła ogromna jabłoń, której gałęzie szczelnie zakrywały okno w łazience i niemal wpychały się przez drzwi wejściowe. Było jasne, że to natura niepodzielnie panowała w tym miejscu. Ciemnobrązowa wiewiórka, która nadal buszowała w ogrodzie, tym razem zaszczyciła mnie swoją uwagą. Zastygła w bezruchu, nastroszyła podniesioną kitę, zaczęła fukać i tupać nogą. Mój śmiech jeszcze bardziej ją wkurzył, tupanie się nasiliło i zrobiła kilka kicnięć do przodu. Ale potem brązowymi jak paciorki oczami oszacowała moje rozmiary, zestawiała ze swoimi i wycofała się w zarośla. Spacerowałam powoli po ogrodzie, szukając wspomnień z dziecięcych zabaw. Odnalazłam miejsce, gdzie razem z bratem mieliśmy indiańską wioskę, drzewa, między którymi rozkładaliśmy hamak, i krzaki malin najśłodszych na świecie. Wszystko tu było... Przez te lata brakowało tylko mnie!

Czułam, że nabieram energii. W myślach już planowałam, co trzeba zrobić w ogrodzie. Będę mieć kwiaty i pachnące krzewy, uroczę zakątki sprzyjające medytacji oraz oczko wodne. Nigdy nie zajmowałam się ogrodnictwem, ale od czego są książki!

Otworzyłam wrota stodoły. W środku panował półmrok, pachniało sianem i ziemią. Wysoko pod sufitem wisały kolby kukurydzy, ususzone bukiety z kwiatów i ziół oraz poruszające się z lekka, duże kawałki kolorowych tkanin, niczym duchy wprawione w taniec za sprawą wiatru, który wpadał przez otwarte szeroko drzwi. Dołączały do nich drobinki kurzu, wirujące w wąskich pasmach światła słonecznego, wkradającego się przez szczeliny pomiędzy deskami. W kącie o ścianę opierał kołowrotek z ułamaną nogą, obok niego rozłożone były sztalugi, a na nich jakiś niedokończony obraz przedstawiający dom ciotki. Na stoliku w wielkim nieładzie stały tubki z farbami, pędzle i rozmaite szklane butelki i buteleczki. Wyglądało to trochę jak pracownia alchemika. Wybujała wyobraźnia podsunęła mi wizję siebie samej wyrabiającej tutaj piękną biżuterię z niezwykłych kamieni, malującej obrazy jak Picasso i szyjącej zwiewne suknie, sprzedawane potem w światowych domach mody. W wyobrażeniu tym pojawiły się też kobiety, wykonujące przy ognisku taniec brzucha. Tak, to będzie pracownia artystyczna, rozkręcałam się, i będą przyjeżdżać tu ludzie zagubieni w pośpiechu, brudzie i smrodzie miast, szukający odpoczynku, siebie i odpowiedzi na ważne pytania. Zakochają się w tym miejscu, tak jak ja właśnie zakochałam się w nim na nowo – mocno i namiętnie, jak nigdy dotąd w żadnym mężczyźnie.

„Mikołaj!” – westchnęłam i skurczyłam się w sobie od ukłucia niewidzialnej szpilki prosto w miejsce, gdzie powinnam mieć serce, a obrazy, wyłączone nagle przez wyobraźnię, zniknęły jak fantasmagorie. Byłam pewna, że Mikołajowi spodobałoby się tutaj! Robiłby zdjęcia, kosił trawnik i piekł kielbaskę na grillu. Tylko że on nawet nie wie, że to miejsce istnieje ani że ja właśnie tutaj jestem, podpowiedział rozsądek. Nie wie o minibusie międzynarodowym ani w którą polną drogę skręcić, jak już się z niego wysiadzie. Wyzaczyłam mu zadanie odnalezienia mnie, nie udzieliwszy żadnych wskazówek. Co więcej, on nawet nie wie, że jest jakieś zadanie! Wie tylko, że się wyprowadziłam, nie podając powodów.

– Gdyby mnie naprawdę kochał, to by mnie szukał, nawet jeśli by nie wiedział, że chcę, żeby mnie znalazł – powiedziałam na głos powoli i wyraźnie, upewniając samą siebie, że mówię prawdę.

Potrzebowałam teraz pilnie się czymś zająć, żeby odpędzić tęsknotę, która rosła we mnie jak drożdżowe ciasto.

– Szukałby, zanim by się dowiedział! – krzyknęłam, a spod sufitu wyfrunęła jaskółka. Zrobiła kółko nad moją głową i wyleciała na zewnątrz. Jak ja bym chciała polecieć za nią... Mogłabym być zwykłą wroną, byleby umieć latać. Poleciałabym prosto do mieszkania Mikołaja, usiadła na parapecie i podglądała, co robi, ujrzałabym, jak za mną tęskni, może nawet płacze. Zagłębiłam się w tych rozmyślaniach, co chwilę ciężko wzdychając. Ale już budził się kolega roztkliwienia, zdrowy rozsądek, z rumianymi policzkami, bezczelnym uśmiechem i wydatnym brzuszkiem: „Tak, tak, siedząc na parapecie, zobaczyłabyś, jak odetchnął z ulgą, że się humorzastej baby pozbył, więc narobiłabyś mu tylko na parapet i odleciała!”. Taki widok pomógł mi otrząsnąć się z tęsknoty. Trzeba się skoncentrować na tu i teraz, tak mówią podręczniki, odsunąć od siebie złe myśli i oddychać przeponowo.

– Działaj i żyj – mruzczałam pod nosem, kontynuując wędrówkę po ogromnej stodole i odkrywając w kątach jakieś narzędzia do pracy na roli. Na samym środku klepiska stał samochód, nieco przysypany sianem. Faktycznie, pan Błażej o nim wspominał, chociaż ja nie pamiętałam, żeby ciotka miała samochód i prawo jazdy. Nie wyglądał na specjalnie nowy ani zadbane Ciekawa byłam, czy w ogóle jeździł. Otworzyłam drzwi od strony kierowcy i wgramoliłam się na dość wysokie siedzenie. Ja też nie miałam prawa jazdy, chociaż często śniłam, że prowadzę samochód z wielką wprawą. Zatrzasnęłam drzwi i wokół zatańczyło jeszcze więcej drobin kurzu. W tym momencie w kieszeni zadzwonił mój telefon, a na wyświetlaczu

pojawił się nieznany numer.

– Tak, słucham.

– Dzień dobry. Błażej Zakrzewiak, kancelaria notarialna. Pani Rito, czy dotarła pani na miejsce?

– Dzień dobry, tak właśnie dzisiaj przyjechałam.

– Wszystko w porządku w domu?

– Na to wygląda.

– Wcześniej nieco się zaprzyjaźniłem z pani sąsiadem. To bardzo sympatyczny pan.

Z czasem stał się moim pomocnikiem w opiece nad gospodarstwem. Dał mi właśnie znać, że ktoś wchodził do domu.

– Aha – odruchowo obejrzałam się i poczułam nieswojo.

– Gdyby pani czegoś potrzebowała, może się pani do niego zwrócić. Ja przyjadę w przyszłym miesiącu zobaczyć, jak pani sobie radzi. Powodzenia!

Szybkim krokiem wróciłam do domu. Nie bardzo wiedziałam, od czego zacząć, a że sprzątanie zawsze mnie uspokajało, zatem postanowiłam zabrać się za porządki. Elektryczny czajnik na szczęście działał, więc za chwilę miałam gotową kawę. Jako że potrzebowałam ciepłej wody do ścierania kurzu i zmywania podłogi, kolejnym zadaniem stało się rozpalenie w piecu. Ciotka na szczęście zgromadziła ogromną ilość drewna na opał. Przytaszczyłam z wysiłkiem pełny kosz, potem włożyłam papier, ułożyłam drewnienka i podpaliłam zapałkę. Modliłam się, żeby w kominie nie było ptasiego gniazda. Ale wszystko poszło jak z płatka. Ogień buzował i dom zyskał serce i duszę.

Z powodu braku zlewu w kuchni pewnym problemem wydało mi się zdobycie wody. Przypomniałam sobie, że dawniej ciotka używała elektrycznej pompy umieszczonej w studni, która zasysała wodę i doprowadzała ją do wiadra ustawionego przy piecu chlebowym. I okazało się, że to wspaniałe urządzenie nadal działa, co wywołało we mnie eksplozję radości, bo nie musiałam nosić wody ze studni! Dzięki zaawansowanej technice sprawnie nalewałam wodę do znalezionych w głębi dębowego kredensu garów, garnków i garnuszków. Ustawiłam je na rozgrzanej blasze kuchni. Byłam z siebie dumna, że wykonuję gospodarskie czynności z takim znanstwem i swobodą!

Ze składziku przyniosłam odkurzacz. Chociaż staruszek z wyglądu, pracował bez zarzutu, niemilosiernie tylko hałasując. Trzepanie, zamiatanie, omiatanie pajęczyn, odkurzanie i wycieranie pochłonęło mnie na resztę dnia. Nawet nie czułam głodu. Włączyłam sobie radio i podśpiewując, doprowadzałam dom do porządku. Postanowiłam, że posprzątam najpierw w pokoju z książkami i urządzę tam swoją sypialnię. Nie chciałam jeszcze naruszać królestwa ciotki. Wyniosłam z pokoju wszystko oprócz łóżka, wiklinowego kosza i regału. Zdjęłam brudne firanki i umyłam okna. Pościel powiesiłam na balustradzie, a w szafie znalazłam uprane poszewki i prześcieradła. Pachniały lawendą, bo pomiędzy nie włożone były małe, wonne mydełka. Wszystkie książki zdjęłam z półek i każdą z osobna wycierałam z kurzu. Zwinęłam dywan i z wysiłkiem wyniosłam go do ogrodu. Podłogę odkurzyłam i zmyłam wodą z proszkiem. Okazało się, że pod wytartym dywanem są piękne dębowe deski. Z dumą patrzyłam na czysty pokój. Pachniało w nim świeżością, pajęczyny, pająki i kurz zniknęły. Wieczór zakradł się szybko, a ja zmęczyłam się tak rozkosznie, że nie miałam już siły myśleć i cieszyłam się z tego zmęczenia, bo bardzo obawiałam się pierwszej nocy spędzonej samotnie w domu, z dala od ludzi.

Wraz z wieczorem zapadła ciemność absolutna. Nie rozjaśniały jej latarnie, reflektory samochodów ani światła wystaw sklepowych. Wyjrzałam przez okno i zamigotały do mnie gwiazdy, które, przysięgam, widziałam po raz pierwszy od lat! Wczorajsza ciemność w miasteczku to nie był nawet półmrok. Teraz miałam produkt oryginalny. Spocona, zasapana

i z pajęczynami wplecionymi we włosy popijałam zieloną herbatę. Siedziałam na niskim stołeczku, tuż obok pieca, który dawał mi ciepło. Dawno nie czułam się tak zadowolona z siebie. Pomyślałam, że jeżeli uda mi się doprowadzić do ładu ten dom, na pewno uporządkuję też swoje życie.

Tymczasem zajęłam się przygotowaniem kąpieli. Oczyszcziłam sobie wąską ścieżkę wśród zalegających łazienkę sprzętów. Wielką szczotką znaną w kredensie i resztką proszku do prania wyszorowałam wannę, a następnie napełniłam ją gorącą wodą. Niewielki problem pojawił się w momencie, gdy dały znać o sobie kawa i kilka wcześniejszych herbat. Za czasów wakacyjnych pobytów u ciotki korzystaliśmy z drewnianego wychodka stojącego niedaleko stodoły, pełnego pajaków i innych obrzydliwych owadów. Wobec egipskich ciemności i lekkiego strachu przed tym, co może mnie podczas załatwiania potrzeb złapać za którąś z części ciała, postanowiłam skorzystać z patentu piknikowego – pod drzewkiem, na trawkę. Potem szybko pobiegłam z powrotem do domu, z poczuciem, że jeżeli się zatrzymam, to dopadnie mnie coś, co na pewno mnie goni. Zamknęłam drzwi na oba zamki i wślizgnęłam się do wanny. Leżąc z zamkniętymi oczami i wdychając uspokajający zapach olejku do kąpieli, rozmyślałam o tym, co mam robić dalej? Dom wyglądał na zaniedbany, nie miałam bieżącej wody ani ogrzewania. Moje niewielkie oszczędności nie wystarczą na kapitalny remont. Zresztą nawet nie miałam pojęcia, ile pieniędzy potrzebuję, żeby go przeprowadzić, oraz jak znaleźć firmę, która nie oskubie mnie, no i wykona zlecenie porządnie. Poza tym, skoro być może za rok dom sprzedam, jeżeli okaże się, że nie dam rady tu żyć, to po co od razu inwestować w remont? Może na początek powinnam się skupić na niezbędnych rzeczach? Zawsze martwiłam się na zapas i z niepokojem patrzyłam w przyszłość. Może dla odmiany powinnam spróbować żyć w perspektywie jednodniowej, zaspokajając jedynie podstawowe potrzeby? Minimalizm i prostota jako lekarstwo na zamęt w sercu, duszy i głowie. Woda w wannie stygła szybko, więc przerwałam rozmyślenia egzystencjalne i czym prędzej wytarłam się puchatym ręcznikiem.

Flanelowa pidżama, grube skarpety i szlafrok, a następnie kubek gorącej herbaty wypity, gdy otulona w koc siedziałam w fotelu ciotki, sprawiły, że poczułam się sennie i komfortowo. Cisza aż świdrowała w uszach. Od czasu do czasu trzaskał tylko ogień w rozgrzanym piecu i dom skrzypiał tajemniczo, a ja rozglądałam się z niepokojem i wypatrywałam przez okno włamywaczy i morderców. Nie czułam się pewnie, nie czułam się jeszcze u siebie. Mimo postanowień, że będę zajmować się tylko teraźniejszością, po mojej głowie wciąż, jak rozpędzone konie, przetaczały się nieposłuszne myśli. Próbowałam sobie wyobrazić, co robiłabym, gdybym nadal była w naszym mieszkaniu w mieście, z Mikołajem. Może wracalibyśmy właśnie z kina, albo szli na kolację do restauracji? Może wracałabym ze spotkania przy kawie z Patrycją? Może wędrowałabym po sklepach w poszukiwaniu wyprzedaży i kupowała właśnie coś fajnego w supercenie? Miałam swój bezpieczny świat, z przyjemnościami, które lubiłam, i problemami, które były jak wygodny wełniany sweter – co z tego że zniszczony, i tak szkoda go wyrzucić. Teraz czekała mnie zupełnie nowa rzeczywistość. Nie bardzo wiedziałam, jak się w niej odnaleźć. I tak właśnie w ten pierwszy wieczór u siebie, kołysana na przemian wspomnieniami i wycieczkami w przyszłość, zasnęłam. Obudziłam się skostniała i jeszcze bardziej obolała, bo spałam całą noc skulona w fotelu.

Dokładnie tak samo jak dzień pierwszy wyglądało kilka kolejnych dni: mycie, szorowanie, omiotanie i padanie do łóżka późnym wieczorem. Bolały mnie wszystkie mięśnie, kości i kosteczki. Bolały mnie oczy od kurzu i płaczu, bo niestety moje wnętrze zalała powódź i wypłakiwałam wszystko, co się we mnie nagromadziło. Ręce za to miałam wysuszone od detergentów i moczenia w wodzie. Cieszyłam się ze zmęczenia, które mnie usypiało, bo nie miałam siły na żal i łzy. Cieszyłam się, że pracy mam na następnych kilka tygodni i będzie to

wciąż owo niewymagające myślenia sprzątanie, czyszczenie i mycie oraz przesuwanie domowych sprzętów. Nikt mnie nie odwiedzał, nikt nie dzwonił i nikt nie przejeżdżał drogą. Nie było listonosza ani pana z gazowni. Nie oglądałam telewizji. Zachłysnęłam się samotnością, ciszą i pustką w sobie.

Pewnego dnia, wychodząc z łazienki, z impetem otworzyłam drzwi i... poszybowawszy razem z nimi i z futryną, wylądowałam twarzą na podłodze. Łzy stanęły mi w oczach, w głowie zawirowało. Miałam siniaka na nosie, otarłam sobie skórę na policzku i obijałam kolano. Odtąd moja łazienka, choć pozbawiona drzwi, odznaczała się za to świetną wentylacją. Kiedyś przeczytałam zdanie, że największa samotność jest wtedy, gdy nie trzeba już nawet zamykać drzwi od łazienki. Z tej perspektywy moja samotność wydawała się jeszcze bardziej żałosna, bo ja tych drzwi w ogóle już nie miałam.

Ciotka zostawiła dobrze zaopatrzoną spiżarnię, więc obżerałam się słodkimi dżemami i konfiturami, piłam kompoty, zagryzałam ogórkami ze słoika i marynowanymi grzybkami. A kiedy było mi smutno, śpiewałam piosenki żołnierskie, tańczyłam w ogrodzie z grabiami i rozmawiałam z drzewami, roślinami i buszującymi po ogrodzie ptakami. Jediną odmianą była wizyta w sklepie, gdy już nie miałam chleba, kawy, mleka lub środków czyszczących. Sprzedawczyni zagadywała do mnie przyjaźnie. Jednocześnie delikatnie podpytywała, zawieszając głos i ewidentnie chciała wybać moje zamiary. Zwykle jestem bezradna wobec wścibskich ludzi, tym razem było łatwiej się nie wysypać, bo sama nie wiedziałam, co chcę zrobić. Przecież jej nie powiem, że mam zamiar posprzątać dom i ogród na błysk, a dalej to jeszcze nie wiem. Nikt nie wprowadza się do starego domu na wsi bez planu na przyszłość. Nikt?

Już dawno gdzieś spotkałam się ze stwierdzeniem, że wczesne wstawanie to pierwszy warunek sukcesu. Tak też robiłam. Nie było to łatwe, bo zawsze lubiłam spać. Szczególnych osiągnięć mi to nie przysporzyło, no może poza większą ilością czasu oraz dostrzeżeniem kolorów, głosów i westchnień dostępnych tylko wczesnym rankiem. Ranki są magiczne, przynoszą świeżość w przyrodzie i w umyśle. Wstawałam o świcie i robiłam kawę, potem dla rozgrzewki wykonywałam kilka prostych ćwiczeń w ogrodzie – machałam obolałymi ramionami, podskakiwałam i robiłam przysiady i skłony. Starłam się oddychać głęboko, chciałam, żeby mnie przeniknęły spokój i harmonia natury. Wydawała się dużo mądrzejsza niż ja sama. Mająca cel i plan. W te ulotne poranne minuty siadałam w końcu, opatulona w grubym sweter, na niskiej ławeczce przy domu i oddawałam się marzeniom. Chciałam, żeby mój ogród był na wiosnę kwitnący, pełen ziół, barw i zapachów. Chciałam jeść warzywa, które w nim urosną. Chciałam poczuć się tutaj jak u siebie i żeby wszyscy zobaczyli, jak wspaniale dałam sobie radę! Tak jak ciotka.

Październikowe słońce wschodziło niechętnie, często ubrane w czerwień. Przeświecało przez różnobarwne liście na drzewach, wyczarowując widoki jak z kalejdoskopu. Śledziłam błyski, odbłaski i złudzenie kosztownych kamieni w trawie. Chłoniłam wzrokiem świat przyrody, podglądałam ptaki i sarny w ogrodzie i patrzyłam, jak jesień eksploduje kolorami. Dni mijały jeden po drugim, bardzo do siebie podobne. Zasybiałam wczesnie, ponieważ nie lubiłam wychodzić z domu po zmroku, a poza tym nie miałam co robić, bo nie mogłam się skupić na lekturze. Nadal przerażała mnie nieprzenikniona ciemność, ogromne włochate ćmy, a raz na śmierć przestraszyła mnie uciekająca w zarośla sarna. Światło słoneczne było moim sprzymierzeńcem, a dom stawał się ostoją, gdy zapadała noc. Po dwóch tygodniach, około dziesiątej rano ze zdziwieniem spostrzegłam, że w domu nie ma już nic do sprzątanego, mycia i polerowania. Zatrzymałam się na chwilę zaskoczona, jak kierowca, którego pojazd nagle staje, bo skończyło się paliwo, a przecież sam go w porę nie zatankował. Wyznaczone cele zostały osiągnięte, co dalej?

W domu widać było zmianę. Pozbyłam się wszystkich niepotrzebnych mebli – starych i uszkodzonych. Wyniosłam graty zalegające pokój gościnny i łazienkę. Sapałam przy tym i pociałam się, ale działałam zgodnie z nową zasadą, że jeżeli do czegoś potrzebne są dwie osoby, wystarczy jedna, tylko uparta. W efekcie miałam: w ogrodzie dwie sterty – drewnianych gratów na opał i metalowych na złom – oraz mocno nadwyrężone mięśnie i obolałe plecy, a także ogromną satysfakcję, że dałam sobie radę sama. Co było brudne, zostało umyte, uprane lub wyczyszczone. Co było zepsute, zostało naprawione, pozostawione do naprawy mądrzejszym osobom lub wyrzucone, gdy uznałam, że naprawić się nie da. Zrobiło się dużo miejsca, a przez umyte okna wciskało się słońce, rozświetlając każdy kąt. Dom wyglądał na zadowolony i zamieszkały. Często do niego mówiłam, a on trzeszczał w odpowiedzi i wzdychał. W ogrodzie zgrabiłam liście i spaliłam na ognisku, wyplewiłam też chwasty spomiędzy płytek chodnika i rosnących przed domem kwiatów.

Zaskoczona tym momentem, kiedy wolnego czasu zrobiło się więcej niż zajęć wypełniających dzień, przypomniałam sobie, że w sypialni leży mój niedziałający od dawna, bo niedoładowany telefon i podłączyłam jego kabel bo gniazdka. Na wyświetlaczu pojawiło się 12 nieodebranych połączeń, 5 wiadomości na poczcie głosowej i parę SMS-ów, wszystkie od dziewczyn, żadnej wiadomości od Mikołaja. Wcale nie miałam ochoty oddzwaniać czy odpisywać. Usiadłam na ławce przed domem i popatrzyłam na świat świeżym okiem, bez planowania, co muszę zrobić, a raczej dla samej przyjemności patrzenia. Ptaki były jakby mniej hałaśliwe, a powietrze ostrzejsze. Dopiero teraz sobie uświadomiłam, jak blisko do zimy i jak krótki stał się dzień. Była to jednak tylko wymiana, bo kosztem dnia wydłużyły się wieczory, podczas których siadywałam w fotelu. Patrząc w ogień, zapadałam w odrętwienie, odbierające umiejętność racjonalnego myślenia. Na pewno mam zamontowany w głowie jakiś sprytny mechanizm, który skutecznie blokuje konfrontowanie się z bardziej złożonymi problemami. Potrafiłam rozwiązywać tylko te praktyczne, proste sprawy, wyłączałam się zaś zupełnie z rozważań dotyczących mojej sytuacji życiowej, celów i planów. Podejmowanie decyzji odbiera swobodę, przynosząc w zamian nieprzyjemne zobowiązania. Nie planując, nie obarczam się zajęciami, które po jakimś czasie mogłyby się stać balastem, a nie źródłem radości. Sprytnie!

W tej chwili bezruchu i kontemplacji zapragnęłam, żeby ktoś mnie odwiedził, zjadł ze mną kolację i porozmawiał. Byłam zadowolona z efektów swojej pracy i chciałam się tym z kimś podzielić. Co z tego, że coś mam, skoro mam to sama? Dodatkowo wyjałowienie z kontaktu z ludźmi uwrażliwiło mnie bardzo na głosy we mnie samej i to stawało się powoli nie do wytrzymania. Perfekcjonizm, upór, krytykanctwo – zaczęłam zauważać tych nieproszonych gości w mojej głowie. Nie podobało mi się to, jaka jestem. Marzyłam, żeby ktoś zaprzeczył, że to właśnie ja i moje wady w całej okazałości. Teraz, kiedy uporządkowałam już przestrzeń wokół siebie, desperacko chciałam, żeby porządek zapanował też w mojej głowie i w sercu. Żeby wiedziała, jaka jestem i czego chcę. Niecierpliwiłam się, że to nie nadchodzi. Gdybym czytała książkę, to główna bohaterka już dochodziłaby do przełomowych odkryć, zaczynałaby się jej przemiana, podejmowałaby decyzje i odkrywała swoje powołanie. Ktoś by ją odwiedził niespodzianie albo poznałaby nową miłość. Wydarzyłoby się *cokolwiek*, co pchnęłoby akcję naprzód. A tymczasem u mnie nic! Może mam jakąś ukrytą wadę?

Dotrwałam w bezruchu do południa. Zjadłam naleśniki z konfiturami wiśniowymi i wypięłam zieloną herbatę. Cały czas wgapiłam się w przyczepioną na drzwiach lodówki kartkę, gdzie od początku stopniowo zapisywałam rzeczy, które muszę kupić, i prace, które należy wykonać. Nic jednak nie robiłam, żeby cokolwiek z tej listy zrealizować, a patrzeć, jak mój spis niemal każdego dnia się wydłuża, zaczęło działać przygnębiająco. Przeczytałam listę raz jeszcze i westchnęłam ciężko. Dobra, to co muszę zrobić, żeby zrealizować punkt pierwszy? Nie

odmieni to co prawda mnie jako osoby, ale standard mojego życia w tym miejscu na pewno: woda bieżąca w domu. Czyli potrzebny hydraulik! Nigdy nie zajmowałam się takimi sprawami. Jeżeli coś psuło się u nas w mieszkaniu, załatwiał to Mikołaj. Miałam już jednak dość stresu związanego z piknikowym sikaniem oraz noszenia garów gorącej wody do wanny.

Właśnie rozważałam z wielką niechęcią konieczność udania się do miasteczka w celu znalezienia hydraulika, kiedy usłyszałam kroki na schodach. A więc jest, zbliża się mój przełom i zwrot akcji! Ktoś szedł powoli, ciężkim krokiem i następnie bez pukania otworzył drzwi. O rany, dopiero co narzekałam, że nic się nie dzieje, a tu, proszę! O ja głupia! Wywołałam z lasu wilka albo jakąś inną bestię! Napad i włamanie zajmują szczytowe miejsce na mojej liście obaw i sytuacji, których za wszelką cenę chciałyby uniknąć. Miałam jednak obmyśloną strategię na taką ewentualność. Mianowicie, co noc, obok łóżka stawiałam ogromną siekierę. Teraz, w momencie krytycznym na szczęście pamiętałam o swojej broni. Kocim ruchem skoczyłam do sypialni i tak uzbrojona ruszyłam na spotkanie napastnika.

– Halo! – wołał niskim głosem i otwierał już drzwi do kuchni, gdzie stałam, opierając się lekko jednym kolaniem o fotel, żeby nie upaść. Intruz był dość wysoki, włosy miał siwe, zarost na twarzy, braki w uzębieniu i podobnie jak ja, lekko chwiały się na nogach.

– Dzień dobry – automatycznie odpowiedziałam na jego powitanie i zastygłam, przekonana, że teraz po wymianie uprzejmości nastąpi napad.

– A to mieszka tutaj sama? – zagadnął niskim głosem i chciał wejść dalej do kuchni, aby jak przeczynałam, wyjąć płócienny worek z kieszeni i zacząć plądrować mój skromny dobytek. Zdecydowana do tego nie dopuścić, ruszyłam w jego kierunku, co spowodowało, że wreszcie się zatrzymał, a jednocześnie był na tyle blisko, że mogłam wyczuć od niego lekki zapach piwa.

– Idzie rąbać drzewo? – zadał kolejne pytanie.

– Kto? – nie rozumiałam, o co mu chodzi.

– No, ma siekierę. – Wskazał na moje narzędzie do samoobrony.

– A, no mam. – Patrzyłam mu dumnie w oczy, aby pokazać, że mam broń i nie zawaham się jej użyć, jeżeli zacznie napad. Jego twarz wydawała mi się znajoma, choć pamiętałam ją jako dużo młodszą.

– Ten adwokat mówił, że przyjedzie mieszkać, ale że taka młoda i sama, to nie wiedziałem.

Sięgnął do kieszeni, a ja naprężyłam wszystkie mięśnie w oczekiwaniu na atak nożem.

– Ciotce zawsze pomagałem w robocie w polu, przy drzewie – kontynuował, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów. – A po co tu przyjechała? Tak na zimę? – pytał i jednocześnie bardzo uważnie rozglądał się po kuchni.

Wzruszyłam tylko ramionami. Nie miałam ochoty rozmawiać na ten temat i raziła mnie jego obcesowość. Napięcie we mnie powoli ustępowało miejsca zmęczeniu.

– A może mnie też by pan pomagał w takich pracach? Ogród jest zaniedbany, warzywa bym chciała mieć na wiosnę – mówiłam do jego pleców, bo w międzyczasie odwrócił się i wychodził już z domu. Nie odpowiedział jednak na moje pytanie. Powoli schodził już po schodach i kierował się ścieżką w stronę furtki.

– Do widzenia! – krzyknęłam za nim, nie w pełni świadoma, że macham mu trzymaną w ręce siekierą, i myśląc jednocześnie, że jest gburem, alkoholikiem i pewno bije żonę.

– No... – zamruczał, nie odwracając się i zapalając jednocześnie papierosa.

Po wyjściu niezapowiedzianego gościa odłożyłam siekierę na jej miejsce przy łóżku, wepchnęłam do kieszeni spodni swoją listę niezbędnych prac domowych, zgarnęłam z wieszaka ciepłą kurtkę i ruszyłam w kierunku przystanku. W oddali widziałam znajomą przygarbioną sylwetkę. Mężczyzna skręcił właśnie do domu, z którego w dniu mojego przyjazdu ktoś mnie

obserwował przez firankę. A więc to pan Nowak... Jak mu było na imię? Słyszał z brawurowej jazdy traktorem, zamiłowania do wysokobrownych napojów i nie zawsze legalnych działań w celu zdobycia potrzebnych w gospodarstwie materiałów, w czasach, kiedy sklepy nie były zbyt dobrze zaopatrzone. Pamiętam, że latem zwykł przychodzić do ciotki wieczorami. Popijali razem piwo, siedząc przed domem. Pomagali sobie nawzajem w pracach w gospodarstwie, kiedy potrzeba było więcej rąk do roboty. Miał na imię Włodzimierz, przypomniało mi się, kiedy siedziałam już w busie. Jakby znikąd pojawił się też obraz mnie i mojego brata wyruszających w pole z panem Włodkiem, o świcie, jego czerwonym traktorem, z doczepioną z tyłu kosiarką. Było to ogromne wyróżnienie i wakacyjna atrakcja, całodzienna wyprawa zakończona podjadaniem czereśni zerwanych przez pana Włodka w drodze powrotnej z przydrożnego drzewa. Uśmiechnęłam się do tego wspomnienia szeroko. I pomyśleć, że dziś byłam gotowa rozłupać mu siekierą głowę!

W miasteczku panował ruch, jak w każdy wtorek – dzień jarmarku. Na rozstawionych na rynku kramach kupić można było wszystko: od narzędzi kuchennych, przez miotły, kosze, kwiaty, po bieliznę i ciepłe kapcie. Nabyłam obieraczkę do warzyw, deskę do krojenia i wiklinowy koszyk, który przy stoisku z warzywami i owocami napełniłam samymi witaminami. Idąc wolnym krokiem z zakupami, na tablicy ogłoszeniowej przeczytałam zawiadomienie o obowiązkowym czyszczeniu kominów oraz – prawdziwy dar niebios! – ofertę firmy wykonującej instalacje wodno-kanalizacyjne. Zadzwoiłam od razu i ustaliliśmy, że za dwa dni ktoś z firmy przyjedzie obejrzeć, co jest do zrobienia. W planie miałam jeszcze znalezienie biblioteki. Liczyłam, że będzie tam Internet, odbiorę mejle i napiszę do dziewczyn.

W skrzynce było kilka wiadomości od Patrycji, parę zdjęć z mojego wieczoru pożegnalnego, wysłanych przez Monikę, i list od Anity. Odpisałam wszystkim, starając się, aby mój przekaz był pozytywny i radosny. Nikt nie musi wiedzieć o moich pełnych stagnacji wieczorach i lękowych nocach. Przeglądałam właśnie wiadomości na portalu informacyjnym, kiedy usłyszałam chlipanie dochodzące gdzieś z końca sali. Ktoś łkał i wydmuchiwał nos, a potem znów łkał. Wychyliłam się zza ekranu komputera, ale dostrzegłam tylko burzę blond włosów wystających ponad inny monitor i pod stołem dwie szczupłe nogi odziane w bardzo wąskie dżinsy. Wychyliłam się jeszcze bardziej, na granicy upadku z krzesła, i wtedy ją rozpoznałam. Dziewczyna z „Pełnej Chaty”! Była miła, radosna i zakochana, kiedy ją ostatnio widziałam. Skojarzyła mi się wtedy z iskrzącą się bąbelkami wodą mineralną, lekko schłodzoną i orzeźwiającą w upalny dzień. Teraz wyglądała jak szeroko rozlana kałuża. Wytarła znów nos z głośnym trąbieniem. Ukryłam się za swoim monitorem i rozważałam, czy się odezwać. Sama nie chciałam, żeby ktoś mnie w takiej sytuacji zagadywał. Płacz jest wyjątkowo intymny, a jednocześnie głośniejszy niż krzyk, no i w efekcie musisz zadać to pytanie:

– Przepraszam, czy coś się stało?

– Nie, nic, wszystko doooobrze – zaszlochała rozpaczliwie dziewczyna i wydobywając z paczki kolejną chusteczkę higieniczną, rozsypała wszystkie, co okazało się ciosem tak wielkim, że w spazmach płaczu, przewracając wypchaną sporych rozmiarów torebkę, wybiegła z biblioteki, zostawiając wszystkie swoje rzeczy. Wylogowałam się szybko i pozbierałam jej rozsypane drobiazgi. Znalazłam ją na ławce w parku przed pizzerią. Miała zaczerwienione policzki i okulary słoneczne na nosie. Usiadłam obok i czekałam, co będzie dalej.

– Dzięki – powiedziała po dłuższej chwili, już spokojnym głosem i bez szlochów.

– Nie ma sprawy – odparłam i znów zapadła cisza. – Masz ochotę na kawę?

– spróbowałam ostrożnie.

– Jasne – ku memu zdziwieniu zgodziła się.

Poszliśmy do pizzerii, w której za barem znów była Meg Ryan. Zajęliśmy stolik w głębi sali. Moja towarzyszka z dramatycznie zapuchniętymi oczami milczała, więc postanowiłam

dokonać prezentacji.

– Jestem Rita, a ty?

– Malwina.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Tak, jeżeli możesz sprawić, że Karol do mnie wróci – odpowiedziała. Znowu miała załamane oczy i sięgała po chusteczkę.

– Złamane serce? – westchnęłam ciężko. – Niestety nie jestem ekspertem w tej kwestii – powiedziałam bardziej do siebie niż do niej.

– No ja też nie.

Zapadło milczenie. Czulałam się niezręcznie, wpatrywałam się więc w swoją filiżankę, a Malwina spuściła głowę i skubała serwetkę na drobne kawałeczki. Nigdy nie wiem, czy mam pytać, czy nie w takich sytuacjach. Czy lepiej, jak się ktoś wygada, czy lepiej, żeby się nie rozklejał? Meg rzuciła ku nam badawcze spojrzenia zza baru i jakby ponaglące w moim kierunku. Pewno wie, co wypada powiedzieć, a ja zdobyłam się tylko na jedno pytanie:

– Może potrzebujesz trochę się oderwać, zastanowić nad tym wszystkim w spokoju?

– Z wielką chęcią zaszyłabym się teraz gdzieś na końcu świata – westchnęła. – Na razie nie mam siły na zwyczajne życie – dodała po krótkiej przerwie na wydmuchanie nosa.

Czulałam się winna, że nie wiem, co powiedzieć, i nie potrafię jej pomóc. Zanim się zastanowiłam, słowa same wymykły mi się z ust:

– To zapraszam! – Uśmiechnęłam się do niej szeroko, jakbym właśnie wyjmowała króliczka z kapelusza. – Mówisz i masz, bardzo profesjonalny koniec świata, w sam raz do leczenia ran sercowych.

– Co? – Przyjrzała mi się uważnie.

– No, zapraszam cię do siebie. Możesz wziąć wolne z pracy?

– Już powiedziałam, że biorę urlop, ale nie wiedziałam, co dalej. Wiesz, wolałabym być jednak blisko, jakby Karol przyjechał.

– Mój koniec świata jest akurat niedaleko stąd – uspokoiłam ją. – Jeżeli będzie potrzeba, to w dwadzieścia minut zjawisz się z powrotem.

Popatrzyła na mnie zapłakanymi oczami, na których dni zamigotały teraz maleńkie iskierki.

– Muszę tylko pójść do „Pełnej Chaty” po rzeczy. – Jednym haustem dopiła kawę i energicznie wstała.

Godzinę później, gdy szliśmy połą drogą do domu, prosto w kierunku nisko zawieszono, zachodzącego słońca, przedstawiła mi w zarysach swoją historię. Studiuję zaocznie na drugim roku hotelarstwo, a właścicielem agroturystyki jest jej wujek. Z Karolem spotykali się pół roku. Poznali się przez Internet i ona zakochała się absolutnie i nieodwołalnie już po pierwszym spotkaniu. Tak właściwie to jest pewna, że zakochała się w momencie, gdy uścisnęła jej dłoń na powitanie i głębokim głosem powiedział: „Ty jesteś na pewno Malwina”. Wpadła jak niedojrzała śliwka w gorący kompot, bo wkrótce okazało się, że Karol miał jeszcze co najmniej dwie takie znajome jak ona! Kiedy wszystko się wydało, porzucił ją, chociaż chciała mu wybaczyć! Zanim dotarliśmy do domu, wiedziałam też, że Malwina uwielbia poezję Pawlikowskiej, marzy o podróży do Indii, kocha tańczyć tango i wierzy, że miłość zdarza się tylko raz. Ma zamiar otworzyć własne biuro podróży i mieć troje dzieci, z Karolem oczywiście.

– Jak myślisz, da mi szansę? – zapytała z nadzieją dwie godziny później, gdy siedziałyśmy obok siebie na podłodze, przykryte kocem, i piłyśmy herbatę z cytryną, plecami opierając się o nagrany piec kaflowy.

– Myślę, że to jest wyjątkowy... – nie dokończyłam, bo zadzwonił mój telefon.

– Dobry wieczór, przepraszam, że tak późno dzwonię – głos pana Błażeja miło zawibrował tuż przy moim uchu.

– Dobry wieczór, nic nie szkodzi.

– Czy mógłbym do pani jutro przyjechać?

– Oczywiście, a coś się stało?

– Nie, nie, tylko zgodnie z umową chciałbym panią odwiedzić, żeby zobaczyć, jak się pani zagospodarowała.

– Aha, to dobrze, czekam zatem na pana jutro.

– Będę około południa. Do widzenia.

– Do zobaczenia.

Malwina od razu wróciła do przerwane go wątku.

– Mówiłaś, że jest wyjątkowy, mój Karol. Ja to wiem i nie mogę, nie chcę go stracić.

Wstałam i wyjęłam z kredensu dwa kieliszki i butelkę nalewki. Był to jedyny sposób na dokończenie zdania, które zaczęłam. Napelniłam hojnie kieliszki i podałam jeden Malwinie.

– Ile razy byłaś już zakochana?

– Pierwszy raz.

– A ile krajów zwiedziłaś?

– Byłam na Słowacji.

– Ile spełniłaś marzeń?

– No... dopiero się przygotowuję – powiedziała niepewnie.

– I naprawdę myślisz, że poznanie Karola to ostatnia wspaniała rzecz, która cię w życiu miała spotkać?

– No a skąd wiesz, że nie?

– To się napijmy – zakończyłam ten mój szczególny wywiad z nią.

– A doradzisz mi coś? – zapytała nieśmiało i z wielką nadzieją.

– Nie – pokręciłam głową – nie potrafię i nie wiem, co mam ci powiedzieć, a nawet jakbym wiedziała, to i tak tego nie usłyszysz. Sama musisz to odkryć w sobie, tak jak każdy.

– A ty jesteś zakochana? – zapytała po dłuższej chwili.

– Zadajesz bardzo trudne pytania... – Patrzyłam w ogień, grzałam ręce o błyszczące kafle i po przerwie dodałam: – Tęsknię czasami, ale nie wiem, czy jestem zakochana.

Dolałam jeszcze nalewki i dorzuciłam drewna do pieca. Noce są coraz zimniejsze i trzeba palić na okrągło, żeby nie szcząkać zębami, choćby się było ubranym w kilka swetrów. To tak jak z miłością, pomyślałam. W szale uniesień kobiety i siebie same rzucą w ogień, byle podtrzymać płomień uczucia. Podzieliłam się swoją myślą z Malwiną. Nic nie powiedziała, tylko patrzyła na tańczący płomień świecy. Nie miałam serca powiedzieć jej wprost, że Karol to wyjątkowy dupek. Sama będzie musiała do tego dojść. Wniosłyśmy łóżko dla Malwiny z pokoju ciotki, bo w mojej sypialni, nagrzanego od kaflowego pieca, było cieplej. Kiedy leżałyśmy już w łóżkach, opowiedziałam jej historię domu, mojego przyjazdu i jak zwykłam spędzać wakacje u ciotki Niny. Zasnęłyśmy pomiędzy jednym zaczęłym zdaniem a drugim.

Następnego dnia rano obudziłam się znacznie później niż zwykle, co odkryłam, nie patrząc na zegarek, ale oceniając, jak wysoko jest słońce, a raczej jego październikowa imitacja. W pokoju było zimno, a Malwina oddychała spokojnie. Cicho wstałam, wciągnęłam jeszcze jeden sweter na grzbiet i poszłam rozpałić ogień w kuchni. Chciałam, żeby Malwina obudziła się w przytulnym domu, żeby nie potęgować zimna, które i tak pewno czuła od środka. Zrobiłam kakao i kanapki z twarogiem i pomidorem. Była moim pierwszym gościem i należało jej się śniadanie do łóżka. Kiedy cicho weszłam do pokoju, odkryłam, że już nie śpi. Siedziała na łóżku, oparta o kaflowy piec, z błogim wyrazem twarzy i zamglonymi oczami.

– Dzień dobry – przywitałam ją.
– Dość dobry – zgodziła się.
– Mam nadzieję, że lubisz kakao.
– Lubię i do tego umieram z głodu – uśmiechnęła się promiennie w odpowiedzi, dokładnie tak jak zapamiętałam to z „Pełnej Chaty”. Istnieją więc na świecie rzeczy, które mogą dać tyle samo radości co miłość, a są znacznie łatwiej osiągalne i prostsze!
– Czy po śniadaniu mogę cię zaprosić na spacer po moim ogrodzie? – złożyłam jej propozycję.

– Jasne!

Mój plan był jednak bardziej przewrotny. Miałam zamiar wykorzystać Malwinę do pomocy przy wnoszeniu do stodoły ostatnich niepotrzebnych sprzętów, które były za ciężkie i z którymi nie mogłam sobie poradzić sama. Stwierdziłam, że i jej odrobina wysiłku i ruchu nie zaszkodzi, a wręcz przeciwnie, będzie zbawienna dla złamanego z trzaskiem dziewczęcego serca. Kiedy już wywabiłam Malwinę do ogrodu i pokazałam jej moje ulubione zakątki, zabrałyśmy się do pracy. Nie miała nic przeciwko temu, żeby mi trochę pomóc, a jak skończyłyśmy, to jeszcze schwyciła za grabie i uprzątnęła opadłe liście. Z zaróżowionymi policzkami, liśćmi brzozy we włosach i błyszczącymi oczami przypominała leśną boginkę. Obserwowałam, jak stoi zadumana i wpatrzona w październikowe niebo, i ten widok sprawił, że zapragnęłam mieć w ogrodzie posąg silnej kobiety, żeby mi przypominał, że zawsze jesteśmy w stanie się podnieść. Bo jest w nas coś większego niż my same. Zdziwiła mnie samą tą myśl, jakby nie moja, a przecież zrodzona w mojej głowie. A więc jest tutaj, moja długo wyczekiwana przemiana! Odetchnęłam głęboko.

– Wiesz co, Malwina?

– No? – Wyrwana z zadumy patrzyła na mnie nieobecny wzrokiem.

– Niezależnie od tego, na ile kawałków rozpryskuje się nam serce, ciało czy umysł, tak długo, jak dusza nienaruszona otrzepuje się i wstaje, nic nam nie będzie!

Zaczęłam się śmiać, a ona po chwili konsternacji zawtórowała. Rzuciłam w nią garścią liści. W odpowiedzi Malwina wepchnęła mnie w całą ich stertę. Szamocząc się w liściach, nie usłyszałyśmy nadjeżdżającego samochodu ani skrzypnięcia otwieranej furtki. Chichotałyśmy i pokrzykiwałyśmy na siebie w wirze zabawy, a Malwina nawet dostała czkawki.

– Dzień dobry – dobiegł mnie nagle ciepły, męski głos pana Błażeja, w którym pobrzmiwała nutka rozbawienia. Malwina zagrzebana w liściach znieruchomiała i tylko kolejne czknięcia zdradzały jej obecność.

– A dzień dobry, panie Błażeju – wstałam pospiesznie, starając się przywitać go z godnością.

– Widzę, że jest pani szczęśliwa w swoim nowym domu – zagadnął z uśmiechem.

– Tak, na pewno nie brakuje mi tu powodów do szczęścia – zgodziłam się z nim bardziej z grzeczności, ale mówiąc to, uświadomiłam sobie, że tak właśnie jest i nie mam na myśli tylko tego momentu. „O rany, ja doceniam to, co mam!” – pomyślałam w przeblysku autorefleksji.

– Proszę, zapraszam do środka – zachęcająco uśmiechnęłam się do pana Błażeja i zamierzałam zaprowadzić go do domu. On jednak wpatrywał się w stertę liści.

– Ale tam jest jeszcze człowiek – powiedział z powagą.

– Nie, to tylko Malwina, moja koleżanka – machnęłam ręką w odpowiedzi.

– Dziękuję ci bardzo – wydobył się spod liści głos Malwiny, a następnie pokazała się jej głowa. Pan Błażej szarmancko podał jej dłoń, którą przyjęła i dzięki temu cała jej urocza postać została przywrócona do pionu. Podziękowała cicho i patrzyła z zakłopotaniem na swego wybawcę, a ja pomyślałam, że być może rośnie w niej nowe uczucie i być może będzie konkurencyjne dla tego, które żywiła do kłamliwego Karola. Pan Błażej skłonił jej się lekko,

a następnie ruszył za mną do domu. Rozglądał się uważnie wokół i wydawało mi się, że kiwał głową z aprobatą. Gdy wszedł do kuchni, na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Zrobiła tu pani kawał dobrej roboty z tym sprzątaniem. Teraz trudno poznać, że to ten sam dom.

– Dziękuję, ale starałam się też zachować większość sprzętów i mebli. Nie chcę zacierać śladów po ciotce.

– Nie, nie to miałem na myśli – zaprzeczył szybko. – Podoba mi się, jak tu pani pozmieniała. Pani Nina była dość słaba pod koniec, bo pewno sama uprzątnęłaby to miejsce. A jak się spisuje samochód? – zapytał, wyciągając równocześnie z teczki podłużną kopertę.

– Nie wiem, jeszcze nie miałam okazji się przekonać.

– To dla pani. – Podał mi kopertę. – Pani Nina prosiła, żeby to przekazać, jak minie pierwszy miesiąc pani pobytu tutaj.

– List od ciotki? Dla mnie? – Zaskoczona wpatrywałam się w kopertę z moim imieniem, napisanym pięknym pismem ciotki Niny. Skinął głową w odpowiedzi. Nie mogłam uwierzyć, że ciotka zostawiła dla mnie list. Nie rozmawiałyśmy tyle czasu, nawet się nie widziałyśmy, odkąd przestałam przyjeżdżać na wakacje. Byłam strasznie ciekawa, co chciała mi przekazać.

– To ja się będę zbierał. Zobaczymy się za dwa miesiące. Do widzenia. – Podał mi rękę, a ja uściśnęłam ją machinalnie.

– Dziękuję, do widzenia – pożegnałam go.

Gdy wyszedł, od razu rozerwałam kopertę. W środku była tylko jedna kartka złożona na pół i zdjęcie, z którego patrzyła na mnie ciotka uważnym, dość surowym spojrzeniem i młodsza o dwadzieścia lat wersja mnie samej, w letniej sukience, z opaloną twarzą, dwoma warkoczami i z kotem na kolanach.

Kochana Rito! – pisała ciotka.

Nie widziałyśmy się już tak dawno i nie wiem, jak wygląda teraz twoje życie i co robisz. Od dłuższego czasu zastanawiam się, co stanie się z domem i gospodarstwem, jak mnie zabraknie. Jeżeli czytasz te słowa, to znaczy, że jesteś w Bartnicy od miesiąca. Daj temu miejscu szansę, daj sobie szansę! Nie przejmuj się, co mówią inni. Ciesz się ludźmi, a nie z nimi porównuj. I proszę, zadbaj nieco o dom i ogród, zanim zdecydujesz się wyjechać. Natura nie znosi pustki. Jeżeli nie wypełnisz jej czymś dobrym i pięknym, to zapelni się czymkolwiek, najprędzej chwastami.

Ciesz się, że tu jesteś, tak jak zawsze się cieszyłam, gdy przyjeżdżałaś na wakacje.

Pozdrawiam,

Nina

Jak zawsze krótko i zwięźle. Czytałam list kilka razy i miałam wrażenie, że pomiędzy wersjami ciotka powiedziała znacznie więcej niż w zapisanych liniijkach. Przyjrzałam się jeszcze raz ciotce na zdjęciu – z twarzą już naznaczoną zmarszczkami, ale wyglądającą zdrowo stała swobodnie, pewna siebie i silna. Nigdy się nie zastanawiałam, jaką była kobietą, bo za bardzo mnie onieśmielała. Żałowałam, że nie poznałam jej lepiej, że nie mogę jej poznać teraz. Rozmyślenia przerwała mi Malwina, która jak tajfun wpadła do kuchni.

– Rita, ale on jest fajny! – zakrzyknęła od progu.

– Kto? – wróciłam do rzeczywistości, wciąż jeszcze dwiema nogami pozostając we wspomnieniach.

– Jak to kto? Ten zjawiskowo wspaniały i szarmancki mężczyzna, który właśnie odjechał swoim lśniącym samochodem!

– Malwina! Jesteś uleczona, możesz wracać do swojego życia, a ja mogę zanotować

pierwszy sukces na koncju Hotelu Złamanych Serc! – zawołałam i porwałam ją za ręce. Potem odtńczyliśmy coś na kształt tańca, do melodii, która nam w duszach grała i którą wreszcie usłyszaliśmy.

Jesień rozpieszczała mnie piękną pogodą. Zbierałam w ogrodzie czerwone jabłka, obierałam je z błyszczącej skórki, a potem cały dom wypełniał się zapachem pieczonych jabłek i cynamonu, co sprawiało, że stawał się jeszcze bardziej przytulny. Malwina odwiedzała mnie teraz przynajmniej raz w tygodniu. Okazało się, że nie tylko czyta poezję, ale też sama pisze, na razie głównie o miłości i złamanym sercach. Po chwilowej poprawie nastroju, związanej z poznaniem pana Błażeja, popadła w lekkie przygnębienie. Wróciła jednak do pracy i żyła jakoś z plasterkiem na zranionym sercu. Uznałyśmy za dobry znak, że dostrzega przystojnych mężczyzn wokół, ale i tak nie uniknęła próby wejścia dwa razy do tej samej rzeki i szukała kontaktu z Karolem. On jednak nie dał jej szansy na ofiarowanie mu przebaczenia, nie odpisał na SMS z propozycją spotkania ani na mejl – taki o niczym i co słyhać. W związku z tym na kilka dni oczy Malwiny znów zaszyły mgłą, a ona sama stała się bardziej milcząca.

W międzyczasie przyjechał do mnie pan z firmy „Wodnik instalacje”. Długo oglądał, mierzył, wzdychał, pukał w stare rury i dziwił się, że jak tak bez łazienki... Palił cienkie papierosy i używał dziwnych słów. Wreszcie ustaliliśmy cenę i obiecał jak najszybciej przystąpić do pracy. Potem na tydzień znów zapadła cisza, a ja zupełnie przestałam przyjmować płyny od godziny trzeciej po południu, aby uniknąć nocnych wycieczek do ogrodu. Wreszcie stało się to, na co tak długo czekałam, i o siódmej rano w poniedziałek przyjechał hydraulik. Zaczął z pomocnikiem wypakowywać wszystkie materiały, a mnie wręczył trzystronicową fakturę. Przesunęłam wzrokiem niedbale po tajemniczych nazwach towarów, których nie umiałabym nawet wskazać wśród wnoszonych właśnie przedmiotów. Za to suma, jaka widniała w dole ostatniej strony, była bardzo konkretna. No, ale trudno, co musi być zrobione, musi być też zapłacone. Trzy dni, od rana do wieczora trwało wiercenie, pukanie i stukanie. Łza wzruszenia zakręciła mi się w oku, kiedy to czwartego dnia w łazience stanęła bielutka wanna, umywalka oraz ubikacja, a w kuchni lśniący zlewozmywak – szczyt moich marzeń. W życiu nie sądziłam, że tak bardzo będę się cieszyć z tak prozaicznych rzeczy. Następnie uroczyście przekręciłam kurek i oto popłynęła woda, prosto ze studni, zbadana w sanepidzie – czysta i zdrowa.

– Teraz trzeba zrobić tu porządne ogrzewanie, bo pani w zimie umarznie, a lód rozsądzi rury – powiedział rozsądnie hydraulik, pakując narzędzia.

– A kiedy pan mógłby się tym zająć? – zapytałam z nadzieją.

– No, na takie większe prace to trzeba się umawiać z wyprzedzeniem. Ja to na wiosnę mam dopiero wolne terminy. – Podrapał się po głowie i wzruszył ramionami.

Uzgodniliśmy, że jak wypadnie mu jakieś zlecenie, to zadzwoni, ale nie dawał mi większych nadziei. Mimo wszystko tego popołudnia uznałam, że jest powód do celebrowania i wyjęłam butelkę nalewki ciotki Niny. Czym prędzej zadzwoniłam też do Patrycji.

– Kochana, zapraszam do mnie na kąpiel i do WC! – zawołałam podekscytowana, gdy tylko odebrała.

– No gratuluję, widzę, że cywilizacja dociera pod strzechę – zaśmiała się.

– Wiesz, czuję, że nabieram wreszcie rozpędu!

– No, no, woda to w końcu życie. A właśnie, za co będziesz teraz żyła? Masz już jakiś pomysł? – Dobrze wiedziała, że nie mam za dużo oszczędności, a już prawie od trzech miesięcy nie pracuję.

– Nie wiem jeszcze. Dziś jest najważniejsze, że nie będę już sikać pod drzewem!

– Jestem naprawdę pod wrażeniem! A kiedy otwierasz kino, teatr i pierwszą restaurację?

– kpiła w żywe oczy.

– Zobaczysz, jeszcze cię zaskoczę – odgrażałam się żartobliwie, choć sama w to nie wierzyłam.

Jak tylko skończyłyśmy rozmawiać, do kuchni wślizgnęła się Malwina, bezszelestnie i jakoś tak bezcieleśnie. Usiadła na fotelu ciotki Niny i patrzyła w ogień.

– O, cześć. Fajnie, że jesteś. Co słychać? – przywitałam ją.

– Cześć, mam dobrą wiadomość, mój znajomy może ci zrobić to ogrzewanie.

– Jesteś wspaniała! Ale się cieszę. Dzięki, że o mnie pamiętałaś – uśmiechałam się do niej promiennie.

– Nie ma sprawy!

– Oczywiście, że jest sprawa. Gdyby nie ty, umarzyłabym na sopelek jeszcze tej zimy.

Malwina zamilkła. Miała chyba ochotę porozmawiać o czymś dla niej ważnym.

Postanowiłam dać jej czas do namysłu, a kiedy się nie odzywała, po chwili zagadnęłam na inny temat.

– Słuchaj, Malwina, gdzie można znaleźć więcej takich dziewczyn jak ty?

– Taka jest tylko jedna – odpowiedziała z szelmowskim uśmiechem.

– No tak, ale wiesz, podobnych. Odkąd Pan Przystojny Błażej wręczył mi list od ciotki, ciągle mam w głowie jej słowa, żeby dać temu miejscu i sobie szansę, że „natura nie znosi pustki. Jeżeli nie wypełnisz jej czymś dobrym i pięknym, to zapełni się czymkolwiek, najprędzej chwastami” – zacytowałam. Znałam już ten fragment na pamięć, bo ciągle zaglądałam do listu.

– No i... – nie rozumiała, o co mi chodzi.

– Patrę na zdjęcie ciotki i szukam w nas podobieństw i różnic. Zastanawiałam się, czy będę jak ona, czy też wrosnę w to miejsce, okrzepnę i będę szukała za kilkadziesiąt lat kogoś, kto by się tym wszystkim zajął, żeby to przetrwało. Ona tak jakby przekazała mi misję! Podoba mi się ta myśl, żeby być częścią projektu wykraczającego poza moje własne życie, łączącego w sobie pracę, energię i marzenia pokoleń kobiet. Taka organiczna praca, ślad i pamiątka. Ja ciotkę odnajduję ciągle w przedmiotach, drzewach i kwiatach, dom szepcze jej imię, a ptaki śpiewają jej piosenki. Może za pięćdziesiąt lat ktoś będzie mnie tak odnajdywał? Może to jest jakiś sposób, żeby przetrwać na zawsze?

– Masz jakiś konkretny pomysł? – nadal nie było dla niej jasne, do czego zmierzam.

– Chciałabym, żeby do tego miejsca przyjeżdżały kobiety i, tak jak ty czy ja, miały szansę odkryć w sobie nową siłę, przeżyć coś, co je umocni, przemyśleć jakiś problem lub zwyczajnie odpocząć od dzieci, męża i pracy.

– Albo od mycia garów.

– No nie wiem, mycie garów by chyba było, bo kto to zrobi? – zamyśliłam się, ujrzawszy siebie jako hotelową gospodynię-pomywaczkę, a nie o to jednak chodziło w moim niejasnym planie. Jak zwykle wiedziałam raczej, czego nie chcę, niż czego chcę.

– Kupisz zmywarkę – pocieszyła mnie.

– Zobacz, odkąd się znamy, obie sobie pomogłyśmy dzięki temu, że rozmawiamy, że ty wpadasz do mnie. Robimy coś razem, dzielimy się swoim doświadczeniem, albo po prostu się śmiejemy lub siedzimy i nic nie mówimy, i to też pomaga.

– Hmm, no pomaga, tylko to trzeba tak regularnie, wiesz – patrzyła na mnie smutno i przeciągle.

– No właśnie, trzeba pomyśleć co i jak, zaplanować jakoś...

– Ja bym szukała w Internecie. Tam znalazłam Karolka, tam można znaleźć każdego

– zakończyła zdanie westchnieniem, które na pewno zdmuchnęłoby z drzew ostatnie tegoroczne liście. Usiadłam obok niej i objęłam ją ramieniem.

– Znowu ci ciężko na sercu, co?

Pokiwiała głową.

– I więcej o nim myślisz i zastanawiasz się, co robi?

– Wiesz, ile bym dała, żeby go zobaczyć, chociaż z daleka zobaczyć i usłyszeć.

Poobserwować jego codzienne życie, jak robi zakupy, czeka na autobus albo wybiera gazetę.

Kiedyś pojedę tam, dowiem się, gdzie mieszka, i będę czekać za rogiem, żeby go zobaczyć.

Ostatnie słowa powiedziała już przez łzy, które kapały na moje ręce. Wszystkie kobiece łzy są takie same, pomyślałam, a Malwinę przytuliłam jeszcze mocniej i kołysaliśmy się razem w ciszy, aż się uspokoiła i przestała płakać.

Miłość ma jednak rozłożyste korzenie i uparcie wypuszcza coraz to nowe pędy, nawet gdy usuwa się istniejące. I potrafi przeżyć na wyjątkowo nieurodzajnej glebie: parę wspomnień, jedna fotografia utrzyma ją przy życiu przez długi czas. Tylko że taka niedożywiona, nie będzie owocować – rozmyślałam. Potem Malwina położyła się spać, a ja siedziałam z książką, opatulona w koc tuż przy rozgrzanym chlebowym piecu. Czytając *180 000 kilometrów przygody* Halika, natrafiłam na ciekawy fragment:

Lud gwatemalski od bardzo dawnych czasów hołduje staremu przesądowi. Kiedy ktoś chce się dowiedzieć czy będzie szczęśliwy u boku ukochanej istoty, powinien zapytać o to dwa przeciwstawne żywioły – ogień i wodę. Zakochani muszą wyjść na szczyt góry położonej między wulkanem a jeziorem. Gdy się już tam znajdują, narzeczony ma zagrać na flecie i jeśli echo powtórzy muzykę, wróżba jest korzystna. Następnie powinni obserwować powierzchnię wody. Gładka jak lustro zwiastuje pełne harmonii i pogody życie małżeńskie. Potem kobieta napełnia tykwę wodą z jeziora i daje pić mężczyźnie. Jeżeli woda jest słodka oznacza to, że mogą się pobrać, ale jeżeli ma zły smak, lepiej żeby się rozstali.

Oczywiście wszystko oddane inicjatywie mężczyzny, on testuje odpowiedź żywiołów, a kobieta podaje wodę i cierpliwie czeka na decyzję. O nie! Tak nie będzie. W mojej głowie powstał plan pomocy Malwinie i miałam zamiar go wprowadzić w życie nazajutrz. W tym celu musiałam się jeszcze włamać do jej torby i wydobyć spomiędzy stron kalendarza, ściągnięte przez nią z poczty mejlowej i wydrukowane na zwykłej kartce, zdjęcie Karolka, który z wielką rybą stoi dumnie na pomoście, gdzieś na Mazurach. Według mnie w szpiczastym kapeluszu wyglądał jak Włóczykij z *Muminków*. Malwina jednak nie zgadzała się ze mną w tej kwestii i podkreślała błękit jego oczu i inteligentny wyraz twarzy. Troskliwie owinęłam zdjęcie w płócienną chusteczkę do nosa, jedną z wielu, jakie znalazłam w szufladzie komody ciotki Niny, a potem ukryłam w swoim plecaku. Wreszcie z poczuciem ulgi, że pierwszy akt złodziejstwa mam już za sobą, wyłączyłam lampę w kuchni i przyświecając sobie telefonem, dotarłam do sypialni, a następnie opatulona w koc wślizgnęłam się do łóżka. Malwina oddychała cicho i miarowo, miałam więc nadzieję, że śni jej się coś przyjemnego.

Następnego dnia obudziłam się rześka i ze świadomością, że mam coś ważnego do zrobienia. Leżałam przez chwilę i obmyślałam motto na ten dzień: „Bądź uważna na innych i samą siebie”. Potem wstałam, zaczęłam robić kanapki i pakować je do plecaka, razem z małymi kiełbaskami i zapalkami. Po chwili namysłu zawinęłam też w folię bąbelkową w połowie już pustą butelkę nalewki ciotki Niny i ukryłam ją na dnie plecaka. Wstawało słońce, w radiu powiedzieli, że nie będzie padać. To wymarzony dzień, żeby Malwina mogła odczytać z ognia i wody przepowiednie na temat swojej relacji z niewiernym Karolem.

Pamiętałam, że w okolicy jest jedno wysokie wzgórze, gdzie mieści się stary cmentarz wojskowy z pierwszej wojny światowej – idealny na próbę z echem. Niedaleko w lesie jest też źródło, do którego czasami chodziliśmy z ciotką po wodę. Miałam nadzieję, że nadal jest tam

woda i że nie zapomniałam drogi. Pozostawała jeszcze tylko sprawa fletu – jego rolę będzie musiała odegrać harmonijka ustna, ta sama, na której ciotka Nina czasami grywała skoczne melodie w letnie wieczory. Moja krzątanka obudziła wreszcie główną bohaterkę dzisiejszego dnia. Ziewając, przyczłapała do kuchni i przywarła obiema dłońmi do kubka świeżo zaparzonej kawy.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała, podbierając suszone owoce z otwartej już paczki.

Wyraźnie zaintrygował ją mój wypchany plecak.

– Wybieramy – zaakcentowałam ostatnią sylabę.

– My?

– Wybieramy się na spacer po okolicy, jest piękny dzień i zaplanowałam go specjalnie dla ciebie – oznajmiłam jej z uśmiechem. – Więc zbieraj się, moja droga, bo przygoda czeka.

„Przygoda, przygoda każdej chwili szkoda” – zanuciłam pod nosem.

– Wycieczka, wspaniale! – wykrzyknęła, klaszcząc w dłonie. Uwielbiałam jej entuzjazm i spontaniczność wobec niespodziewanego.

Zjadłyśmy płatki owsiane na mleku, założyłyśmy ciepłe swetry, zamknęłam dom i ruszyłyśmy ku furtce. W tym samym momencie pojawił się w niej pan Włodzimierz, z nieodłącznym papierosem w dłoni. Popatrzył na nas krzywo i skinął głową.

– Dobry... – wydobyło się z jego zaciśniętych na papierosie ust.

– Dzień dobry – odparłyśmy z Malwiną chórem i czekałyśmy, co będzie dalej.

– Trzeba, żeby ustaliła, gdzie będą grządki na warzywa na wiosnę – powiedział, patrząc gdzieś w dal.

– Kto? – wyrwało się Malwinie.

– Ja – powiedziałam uspokajająco. – A gdzie miała je Nina? – zapytałam pana Włodzimierza.

– Skąd wiesz, że ty? – koniecznie chciała w tym samym momencie wiedzieć Malwina.

Zignorowałam ją i skupiłam się na tym, co mówił pan Włodzimierz.

– A no tam, od orzecha w dół kawałek, jak maliny są. – Machnął ręką w kierunku tej części ogrodu, gdzie jeszcze nie byłam, odkąd przyjechałam, bo pełna była pokrzyw, ostów i na pewno żmij, przed którymi ostrzegala mnie kiedyś Anita.

– To ja też bym tam chciała.

– A maliny przycięła?

– Nie jeszcze. Nie za bardzo wiem jak – postanowiłam się od razu przyznać.

– Normalnie, od góry trzeba przyciąć, a te, co suche całkiem, to przy ziemi.

– Aha – zgodziłam się z nim, kiwając głową. – To ja to zrobię w poniedziałek, bo teraz mamy ważną sprawę do załatwienia.

– Trzeba najpierw w polu obrobić przed zimą, to jest ważna sprawa – wyraził swoje zdanie pan Włodzimierz.

– Ano trzeba – powiedziałam filozoficznie.

– To do widzenia! – zawołała Malwina i pomachała mu ręką, a on ku memu zdumieniu podniósł rękę w jej kierunku, kiwnął głową i zapalając kolejnego papierosa, skierował się w głąb ogrodu.

– Kto to był? – zainteresowała się Malwina, kiedy już odeszłyśmy trochę od domu.

– Mój sąsiad i opiekun domu, współpracuje z panem Błażem, a kiedyś pomagał ciotce w pracy na gospodarstwie.

– Przyjemny człowiek... – oceniła.

Parsknęłam śmiechem, a ona zawtórowała. Szłyśmy marszowym krokiem, obie wyprostowane, oddychałyśmy głęboko i nawet w pewnym momencie zaczęłyśmy śpiewać

o polnej stokrotce. Ja tylko od czasu do czasu ukradkiem rozglądałam się niepewnie, czy w okolicy nie ma krów, bo od dziecka nie przepadałam za spotkaniem z nimi. Na szczęście wszystkie gdzieś się pochowały.

– Dla kogo śpiewałyby te wszystkie ptaki, gdyby nas tu nie było? – zapytałam Malwinę.

– One chyba po prostu to lubią i śpiewałyby tak czy inaczej – odparła trzeźwo.

– Nie wierzę, myślę, że dla nas się bardziej starają!

– Akurat!

Kamienista droga pięła się w górę. Wkroczyłyśmy w sosnowy las. Powietrze stało się bardziej wilgotne. Pachniało mchem i grzybami. Z góry roztaczał się rozległy widok. Pagórki, porośnięte grzywką lasów, mieszały się z pasmami zaoranego pola. Widać było też drogę, wzdłuż której przycupnęły domy. Wysoko na niebie pogwizdywał myszołów. Kiedy dotarłyśmy na szczyt wzgórza, rozłożyłyśmy nasze piknikowe produkty i zabrałyśmy się za jedzenie, jako że intensywny marsz pobudził już nasze żołądki do gniewnego burczenia. Kanapki smakowały wspaniale, a herbata z termosu dopełniała całości.

– Musimy znaleźć trochę gałązek na ognisko. – Zaczęłam się rozglądać wokół.

– Ognisko?

– Tak, bo teraz nadszedł czas na twój test. Przy okazji upieczemy kielbaski

– powiedziałam do Malwiny, a ona wytrzeszczyła na mnie oczy.

– Jaki test?

Wyjęłam przepisany na kartce fragment książki, którą czytałam poprzedniego wieczoru, i zapoznałam ją z rytuałem.

– Z braku Karola zrobisz to sama – wyjaśniłam rzeczowo. – Aby jednak stworzyć wrażenie jego obecności, kiedy będziesz grała na harmonijce i piła wodę, mam tu jego zdjęcie.

To mówiąc, z czcigi wyjęłam z plecaka zawiniątko. Spoglądałam na nią przy tym niepewnie, w obawie, że może się wkurzyć o grzebanie w jej rzeczach.

– Och Karol! – zawołała Malwina tkliwie i przytuliła jego wizerunek do piersi, a ja nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem.

– Przepraszam, nie śmieję się z ciebie, tylko do ciebie, bo bardzo cię lubię, wiesz?

– wyznałam jej. A ona rzuciła we mnie torebką po kanapce, uśmiechnęła się szeroko i oznajmiła:

– Jesteś świruską, ale co tam, ja też cię lubię.

– Wiem – wyszczerzyłam zęby w uśmiechu.

– To może najpierw zrobimy próbę wody, a po drodze pozbieramy gałązki w lesie na ognisko? – zaproponowałam.

– Czyli ty naprawdę na serio to wszystko i ja mam teraz to zrobić? – zapytała z niedowierzaniem.

– No oczywiście, kochana, skoro to działało u Indian, zadziała i dla ciebie. Wpuść do swego życia trochę legendy! – próbowałam zarazić ją entuzjazmem.

– Dobrze, ale to pierwszy i ostatni raz – zapowiedziała stanowczo.

– Po prostu bądź tu i teraz – doradziłam, tak jak polecały moje podręczniki samopomocy.

W lesie panował półmrok, a pod stopami szeleścił jesienny dywan z liści.

– Nie chcesz zrobić tej próby dla siebie? – zapytała Malwina po chwili ciszy.

– Nie mam żadnego kandydata na męża – skłamałam szybko.

Tak naprawdę przemknęło mi to przez głowę już wcześniej, ale uznałam, że to próba dla zakochanych. Ja muszę przeprowadzić jakiś inny test, który pomógłby mi się dowiedzieć, co czuję do Mikołaja.

– A jesteś pewna, że jak zamienimy kolejność, to dobrze wyjdzie? – wyczuwałam kpinę w jej głosie.

– Kolejność jest nieistotna, ważne jest, jak to zrobisz. Musisz się wczuć – pouczyłam ją.
– A poza tym to by było niebezpieczne, żeby rozpalone ognisko zostawiać przy lesie.

– Dobra, dobra – zgodziła się.

Las popiskiwał, kwilił i ćwierkał głosami zwierząt i ptaków. Wysokie drzewa szumiały dostojnie. Atmosfera wydawała się idealna. Wydeptana ścieżka doprowadziła nas do źródelka. Niestety z wystającej z kamiennej obudowy metalowej rurki, zamiast krystalicznie czystej, lodowatej wody, bardzo powoli sączyła się brudnozielona ciecz.

– Ja tego na pewno piła nie będę, zapomnij – powiedziała tylko Malwina.

Stałam obok, ze zdjęciem Karola, które całą drogę pieczołowicie niosłam w lnianej chusteczce. Czułam, że muszę szybko ratować sytuację, aby ocalić rytuał.

– Oczywiście, że nie będziesz piła – zgodziłam się. – Widzisz, jaki to sygnał? Że ten związek nie byłby dobry dla ciebie. Powierzchnia nie jest gładka jak lustro, bo nie ma nawet powierzchni, nie miałybyś z nim życia! – rozkręcałam się.

Malwina patrzyła na mnie ze sceptycznym uśmiechem, ale w jej oczach niedowierzenie powoli ustępowało miejsca namysłowi.

– Jeśli coś tak ohydnie wygląda, to może nie warto nawet próbować tego pić
– zakończyłam.

Wracałyśmy w zupełnym milczeniu, obie pogrążone w zadumie. Wymyśliłam tę wycieczkę i opracowałam cały jej program, żeby Malwinę trochę rozerwać. Byłam przekonana, że pojawią się sprzeczne wyniki prób. Zakładałam, że woda będzie smaczna, a echo na małej polanie się nie odezwie. Ostatecznie decyzję i tak Malwina będzie musiała podjąć sama. Zanieczyszczone źródło mnie zaskoczyło. Było tak, jakby naprawdę siły przyrody dawały nam odpowiedź. Nam obydwu, bo zaczęłam się zastanawiać, jaką wodą był dla mnie Mikołaj, co pokazywał swoim zachowaniem, czy zaufałam mu na tyle, żeby napić się wody, którą był. Używanie nie tylko serca, ale oczu, uszu i rozumu w ocenie szczerości własnych i cudzych uczuć nagle wydało mi się oczywistym i najprostszy kluczem do harmonijnego związku. Kiedy wychodziłyśmy na polankę, obie miałyśmy pełne narecza gałązek na ognisko. Słońce zaświeciło nam prosto w oczy, a niebo zrobiło się różowe jak landrynki. Malwina przerwała milczenie:

– Zakochanie odbiera rozsądek. Gdyby mnie Karol poprosił, to bym to wypila. Ale dziś po raz pierwszy się zastanowiłam, czy to byłoby dla mnie dobre – powiedziała bardzo cicho.

Wydawało mi się, że zabłyśły jej w oczach łzy. Uśmiechnęłam się do niej tylko i rozpalałam ognisko. Suche gałęzie paliły się z głośnym trzaskiem, kielbaski przyrumieniały się obiecująco i pachniały smakowicie. Nastrój zabawy i beztroski powrócił, kiedy zaczęłyśmy wspominać harcerskie piosenki i delektować się smakiem nalewki, której pojawienie się Malwina przywitała z aplauzem.

– Bardzo lubię siedzieć przy ognisku. To na ognisku po raz pierwszy się z chłopakiem całowałam – wyznała.

– Ja też lubię patrzeć w ogień. Może to jednak nie mieć związku z tym, że właśnie na ognisku zobaczyłam, jak moja pierwsza wielka miłość całuje się z inną dziewczyną. Na domiar złego potem wdepnęłam w płomień i do dziś mam blizny – powiedziałam z udawaną rezygnacją i obydwie wybuchłyśmy śmiechem.

Kiedy zjadłyśmy, dorzuciłyśmy do ogniska suchych liści, żeby powstał dym jak z wulkanu. Efekt przeszedł nasze oczekiwania. Wkrótce krztusiłyśmy się wśród kłębow dymu, który wzbijał się wysoko, a potem falami opadał na pola i domy u podnóża naszego rytualnego wzgórza.

– Masz ochotę zagrać – podałam Malwinie harmonijkę – zanim nam wulkan zgaśnie?

Najpierw odkasznęła i przetarła zażławione od dymu oczy, a potem przyłożyła do ust

harmonijkę. Wydobył się z niej cienki pisk, niezbyt efektowny, jakby miauknięcie niezadowolonego kota, któremu ktoś nastąpił na ogon. Z powodu gryzącego dymu Malwina nie mogła nabrać dużo powietrza w płuca. Z poświęceniem podjęła jeszcze jedną próbę, ale instrument znowu nieśmiało tylko zakwilił, a ona zaczęła kaszleć. Wydawało się, że taki marny będzie rezultat naszego rytuału, ale w tym momencie odpowiedział jej donośny, przerywany dźwięk, jakby ją nawołujący powtarzającą się melodią. Spojrzałyśmy na siebie ze zdumieniem, a potem z przerażeniem spostrzegłyśmy w dole, na drodze czerwony wóz strażacki migający światłami.

– O cholera, no to mamy odpowiedź na moje granie! – przestraszonym głosem zawołała Malwina.

– Gaśmy! – krzyknęłam, rozpaczliwie rozgrzebując patykiem ognisko, z którego wydobyło się w efekcie jeszcze więcej dymu. Dźwięk zbliżał się nieubłaganie, a my umorusane biegałyśmy wokół ogniska, próbując je zasypać ziemią. Ukryłam nalewkę w plecaku i zamarłyśmy w oczekiwaniu na dzielnych strażaków. Wóz zatrzymał się na skraju polany i przez krótką chwilę nic się nie działo.

– Obserwuj nas – szepnęła Malwina i rozkaszała się ponownie.

– Albo dzwonią po posiłki – mruknęłam. Dym drapał mnie w gardle, a po twarzy ciurkiem płynęły łzy.

W tej chwili z wozu wysiadło dwóch strażaków z gaśnicą i niespiesznie ruszyło ku nam.

– Dzień dobry – zagadnęłam.

– Co tutaj się dzieje? – odezwał się niższy. – Dlaczego palą panie ognisko tuż przy obszarze leśnym?! To jest rezerwat i w żadnym okresie nie wolno tu rozpalać ognia, a tym bardziej w sytuacji, gdy ściółka leśna ma 0% wilgotności!

– Przepraszamy, to nie było duże ognisko, tylko dymu się tyle zrobiło – zaczęła tłumaczyć Malwina, ale przerwał jej napad kaszlu. Wyższy strażak tymczasem ugasił gaśnicą pozostałości naszego rytualnego ogniska, po czym rzucił nam badawcze spojrzenie.

– To skrajna nieodpowiedzialność, powinny panie dostać mandat – powiedział krótko.

– Oczywiście, że tak. – Niższy z wężem był gotowy wracać do wozu i wzywać policję.

– Poczekaj – powstrzymał go wysoki. – Czy pani się dobrze czuje? – zwrócił się do Malwiny.

– Tak – powiedziała bez przekonania, a jej twarz była dziwnie blada.

– Proszę sobie usiąść – zarządził, po czym wziął ją za ramię i posadził na pieńku. – Teraz proszę spokojnie oddychać, zaraz będzie tu mniej dymu i poczuje się pani lepiej.

Przykucnęłam obok Malwiny i podałam jej wilgotną chusteczkę, żeby mogła przetrzeć sobie twarz. Wysoki poszedł w kierunku samochodu, a ja westchnęłam cicho, przekonana, że teraz na pewno zadzwoni na policję. On wrócił jednak z butelką wody i podał ją Malwinie. Przepłukała sobie usta, a potem piła łączywie. Strażacy tymczasem stali z boku i cicho rozmawiali. Po naszym wulkanie została tylko niewielka kupka rozgrzebanego popiołu. Siedziałyśmy w milczeniu obok siebie. Wysoki zbliżył się do nas.

– Na szczęście ognisko było niewielkie, tylko zrobiło się mnóstwo dymu. Dziś jedynie panie pouczymy, ale proszę nigdy nie palić ognisk w takim miejscu jak to. Przy wietrze i tak suchej ściółce mogło się to źle skończyć, i dla lasu, i dla was.

– Przepraszamy bardzo, ma pan rację – zgodziłam się pokornie.

– Podwieziemy was na dół do wsi, jeżeli chcecie – zaproponował.

– Bardzo dziękujemy. – Pozbierałam szybko nasze rzeczy do plecaka.

Zawieźli nas pod sam dom, ponieważ zdaniem wysokiego Malwina nie wyglądała najlepiej. Panu Włodzimierzowi z pewnością nie umknął nasz powrót w towarzystwie strażaków,

bo jak tylko nas wysadzili i odjechali, zjawił się w ogrodzie.

– Co to, pożar mają? – zapytał.

– Nie, po prostu nas strażacy podwieźli – odpowiedziałam i weszłyśmy z Malwiną po schodach do domu.

– Jakby nie mieli nic innego do roboty. – Pokiwał tylko po swojemu głową i obszedł dom wokoło, chcąc się zapewne samemu przekonać, czy mówię prawdę i czy wszystko jest w porządku.

– Do widzenia! – krzyknęłam mu w odpowiedzi. Potem wyglądałam jeszcze chwilę zza firanki, obserwując, jak odchodzi. On mnie sprawdza, to ja go też! W końcu jestem tutaj gospodynią, tak?

Malwina rzuciła się na fotel w kuchni bezwładnie i z głośnym westchnieniem.

– Zrobię ci herbaty – zaproponowałam, a ona pokiwała głową w zamyśleniu.

– Dzięki, już mi trochę lepiej. Wiesz, ta woda była bardzo orzeźwiająca i smaczna, co mi ją ten strażak dał.

Zatrzymałam się w pół drogi po kubek i odwróciłam się, żeby na nią spojrzeć. Siedziała z zamkniętymi oczami, więc uśmiechnęłam się szeroko do swoich myśli – wróżba pięknie się udała! Potrzeba tylko trochę czasu, żeby się spełniła.

Jak się okazało kilka dni później, gdy rozpakowywałam plecak, Karolek-Włóczykij gdzieś zaginął. Malwina jednak nie zapytała o jego zdjęcie ani tego dnia, ani tydzień później, ani nawet miesiąc później i liczyłam, że całkiem o nim zapomni, gdyż znajomość ze strażakiem rozwijała się powoli, ale obiecująco.

W pełni jesieni ogród przycichł, zwinął się w kłębek i zasnął. Gwizdał w nim już tylko wiatr, a nie drozdy i szpaki. Wróble rzadziej urządzały pod moim oknem kłótnie, a znajomy kot, któremu zostawiałam resztki z obiadu przed domem, miał już bardziej puszyste, zimowe futerko. Przynajmniej na takie wyglądało, bo właściciel tego futerka konsekwentnie ignorował moje zachęcające „kici, kici” i nigdy nie dał się pogłaskać. Byłam tylko panią ze stołówki. Zawsze znajdował najcieplejszą plamę słońca w ogrodzie, kładł się na boku i obserwował mnie swoimi ogromnymi zielono-żółtymi oczami. Potem niepostrzeżenie oddalał się, załatwiać swoje kocie sprawy.

W ciągu dnia pracowałam w ogrodzie. Patrycja przysłała mi książkę o urządzaniu ogrodów i paczkę nasion selera z dopiskiem, że dobrze robi na libido. Już zapomniałam, gdzie położyłam selera, ale książkę przeczytałam, zaznaczając stosowne fragmenty. Chciałam zgodnie z jej zaleceniami wykonać wszelkie prace, zabezpieczyć krzewy i przygotować miejsce pod nowe rabaty. Poprosiłam też o pomoc pana Włodzimierza. Pewnego dnia zajechał z fantazją o szóstej rano czerwonym ursusem, żeby przygotować ziemię, na której miały się znaleźć rabaty warzywne. Oczywiście wyobraźni widziałam dorodne marchewki, sałatę i rzodkiewkę. W ustach niemal czułam smak słodkich truskawek i poziomek. Miałam już podłączony Internet, więc przeglądałam strony z poradami ogrodniczymi i myślami wybiegałam ku wiosnie, a tymczasem w moje okno coraz częściej pukał deszcz i słychać było, jak wyl gniewnie wiatr.

Znajomy Malwiny zwlekał z rozpoczęciem instalacji centralnego ogrzewania. Cały czas paliłam w piecu chlebowym i kaflowym, a i tak w łazience marzłam i najchętniej kąpałabym się w ubraniu. Pozostawało być jak Pollyanna i powtarzać sobie, że fantastyczna jest już sama możliwość kąpieli, który to luksus zawdzięczałam tylko wyjątkowo ciepłemu listopadowi. Przyzwyczaiałam się do samotności, siedziałyśmy obok siebie jak najlepsze przyjaciółki i wcale jej od siebie nie odganiałam. Łagodniałam w ciszy, wolniej wykonywałam codzienne czynności i czułam się coraz lepiej w swojej nowej skórze.

Usiadłam kiedyś i spisałam całą historię moją i Mikołaja, najpierw fakty, potem moje

uczucia, oczekiwania, myśli i błędy, które popełniłam. Pojawiło się pytanie „co dalej?”. Nie bałam się być sama, więc *nie potrzebowałam* go, ale docierało do mnie, że *chciałam* z nim być. Odtwarzając w pamięci nasze wspólne dwuletnie życie niczym film, patrzyłam na siebie z zewnątrz. Wypadałam marnie i egoistycznie. Taka mała, rozkapryszona dziewczynka, która dużo chce, ale nie słyszała o dawaniu. Miałam bardzo rozwrzeszczane i dziecinne *ja*. Niezadowolenie z siebie rosło i tężało. Spisałam listę swoich wad i tego, co powinnam w sobie poprawić. Gdyby lista miała palec, to wbijałaby mi go oskarżycielsko prosto w pierś. Czy wystarczy dostrzec, co jest złe, niedojrzałe, żeby to znikło lub stało się dobre i dojrzałe? Nie chciałam pozostać taka, jaka byłam. Nie wiedziałam jeszcze, co zmieniło się we mnie przez te prawie dwa miesiące odosobnienia i jak chcę się dalej rozwijać. Czy można to w ogóle zaplanować?

Cisza, samotność i przestrzeń wydrażyły mnie. Okazało się, że nie potrzebuję wielu rzeczy, bez których dotąd nie mogłam się obyć. Wieczorami najczęściej siedziałam przy świetle małej lampki lub świec, czasami słuchałam radia. Lubię, jak ludzie do siebie mówią, dyskutują i dzielą się myślami. Chciałam, żeby takimi rozmowami i spotkaniami tętnił mój dom. Zасыпiałam zmęczona rozmyślaniami i czasami, żeby uciszyć myśli, pogrążałam się na cały dzień w książce. Zapadała noc, a ja leżąc w łóżku, w najczarniejszej czerni, martwiłam się, czy jutro wstanie słońce. Egzystencjalne lęki, czy moje życie w takiej formie ma sens i cel, a co będzie, jak nagle się skończy, dopadały mnie i powodowały głuchy łomot serca. A gdy wreszcie zasypiałam, z najmroczniejszych zakamarków mojego umysłu wypelzały straszne sny. Śnił mi się człowiek uwiązany na łańcuchu. Groźny i wzbudzający jakiś pierwotny, paraliżujący lęk, ciemny i potworny, jak smoła wlewana do ust. Ale potem nastawał na szczęście poranek. Z ulgą witałam pierwsze szarosine przebłyski dnia. Odzyskiwałam wiarę, że to jeszcze nie koniec.

Bycie samemu ze sobą jest oczyszczające, choć bywa też trudne. Umacnia i uwalnia, ale jednocześnie daje przestrzeń, którą trzeba mądrze zapełnić, żeby nie zarosła znów chwastami, jak przestrzegała w liście Nina. Ona musiała być specjalistką od samotności! Ciekawe, czy odkryła to, co ja, że samotność jest też zaborcza? Przyzwyczajasz się do ciszy, a kiedy drugi człowiek ci ją zakłóca, czujesz się niekomfortowo, męczysz się i masz ochotę zatkać sobie uszy. Z jednej strony cieszysz się, bo stęskniłeś się za towarzystwem, rozmową i wymianą myśli, z drugiej strony z twojego wnętrza woła jakiś głos: „Wracać do siebie, nie zajmuj przestrzeni, którą sobie wypracowałam, nie burz moich zasad!”. Zaczynasz szanować słowa i swoje prawa. To właśnie milczenie uczy mówić z sensem, to samotność uczy być z drugim człowiekiem. Ciekawe, czy Nina by się z tym zgodziła?

Pewnej soboty, wczesnym rankiem odebrałam telefon od Kamili.

– Cześć, skowronku, co tam słysząc – przywitałam ją radośnie.

– Cześć, co dzisiaj robisz? – brzmiała spokojnie i rzeczowo.

– Hmm, czekam na ciekawe propozycje... – zawiesiłam głos żartobliwie.

– To super, jak dokładnie do ciebie dojechać?

– Co? – Zdecydowanie nie doceniłam Kamili, a przecież znałam doskonale jej spontaniczność, zamiłowanie do włóczki i nowych, nieznanymi miejsc.

– Z mapy wynika nam, że jesteśmy już bardzo niedaleko, ale potrzebujemy dokładniejszych wskazówek. Czuję, że się załapiemy na jajecznicę na śniadanie – mówiąc to, zaśmiała się perliście.

Rzeczywiście, w niespełna pół godziny klakson oznajmił ich przyjazd, a na podwórko wtoczył się powoli uwalany błotem samochód. Z piskiem wyleciałam do ogrodu i już ścisnęłam Kamilę, starając się zachowywać ostrożnie, bo widać już było jej brzuszki, w którym pomieszkiwał sobie nowy człowiek. Opatulona w szalik, w kolorowej włóczkowej czapie,

z błyszczącymi oczami i rumieńcem na twarzy wyglądała pięknie.

– Ale tu u ciebie jest cudownie i co za powietrze! – zachwycali się oboje z Filipem.

– Masz piec chlebowy? Może upieczemy dziś chleb? Od kogo kupujesz warzywa?

– Kamila miała do mnie sto pytań. A ja zamiast zaprosić ich do siebie, podskakiwałam co chwila z radości, że ją widzę.

Gdy weszliśmy do domu, Kamila od razu zniknęła w łazience, zostałam więc sama z Filipem. Był ciekaw gospodarstwa. Kiedy parzyłam im herbatę, wypytywał o klasę ziemi i powierzchnię posiadanych przeze mnie gruntów. Ciągnęło go do stajni i stodoły. Obejrzał cały dom i zawyrokował, że podłogi trzeba wycyklinować i będą lśniły jak nowe, a okna to już na pewno do wymiany w przyszłym roku. Usadowiłam Kamilę w fotelu ciotki Niny, Filipowi podsunęłam krzesło, a sama przysiadłam na swoim ulubionym niskim stołeczku.

– Co ty tu robisz całymi dniami? – chciała wiedzieć Kamila.

– Dopiero skończyłam porządkować dom i zaczęłam prace w ogrodzie. Poza tym to jem, śpię i rozmyślam. W końcu po to wzięłam sobie urlop od swojego starego życia, pamiętasz?

– Tęsknisz za miastem? – zaciekawił się Filip.

– Nie za bardzo. Upajam się na razie przestrzenią, wolnym czasem i naturą.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Ja bym tu jeszcze miała jakieś zwierzęta: psa, kota, kury, króliki i kucyka – roztaczała wizję Kamila.

– Musiałabym je chyba wynająć – zaśmiałam się. – Kto wie, czy nie wyjadę stąd za rok?

– A wiesz, że rodzice dziewczyny, którą przyjęli na twoje miejsce do sklepu, prowadzą gospodarstwo agroturystyczne? Ale takie ekskluzywne: konie, naturalne jedzenie, joga i jak klient ma życzenie, to masaże, aromaterapia, a w ogrodzie basen i sauna. Mają też zajęcia aerobiku i pilates. Klienci są cały rok! – ekscytowała się Kamila.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam minę pana Włodzimierza na widok kobiet w bikini wylaniających się z basenu w moim ogrodzie i bardzo rozśmieszyła mnie ta myśl.

– To jest jakiś pomysł, muszę dobrze przemyśleć swój kolejny krok – powiedziałam.

– Chodźcie, pokażę wam ogród i resztę.

– Tak, tak, chodźmy – ucieszył się Filip.

Gdy zobaczył samochód, aż zagwizdał.

– O, kochana, ty masz tutaj skarb prawdziwy! Na chodzie?

– Nie wiem, nie mam prawa jazdy – odparłam nieuważnie, bo właśnie pokazywałam Kamili lawendę ciotki Niny i słuchałam, co mi mówiła na temat azalii i magnolii.

– Widzę, że twoja ciotka znała się na rzeczy. Tym to ty dojedziesz tutaj nawet w środku zimy. Który to rocznik?

– Nie mam pojęcia, wygląda na dość stary. Papiery są gdzieś w domu.

Popatrzył na mnie tylko z politowaniem.

– A może wybierzemy się na przejażdżkę? – najwyraźniej bardzo spodobał mu się mój samochód.

– Ruszajmy! – przyklasnęła pomysłowi Kamila – Może znajdziemy jakiś domek dla nas niedaleko i będziemy gospodyniami z jednej wsi, będziemy wpadać do siebie po sól i pomagać sobie w pracach gospodarskich!

– Jedźmy koniecznie poszukać wam domu! – roześmiałam się.

Mimo iż byłam przekonana, że samochód wcale nie działa, odpalił za pierwszym razem, a Filip tylko kiwał głową z aprobatą, naciskając różne przyciski. Nawet radio grało. Pojechaliśmy w przeciwną stronę niż tam, dokąd zwykle jeździłam minibusem, czyli do miasteczka. Wzdłuż głównej, dość wąskiej drogi stało sporo domów. Asfaltowa wstążka wiła się figlarnie. Filip

i Kamila co pewien czas wydawali okrzyki zachwytu na widok krajobrazów, mijanych domów i gospodarstw. To oni powinni mieszkać na wsi, a ja bezpiecznie, ciepłutko i szczęśliwie w mieście. Jestem przekonana, że gdybyśmy z Kamilą zamieniły się rolami, częstowałaby mnie dziś świeżo upieczonym chlebem, a drzwi jej spiżarni nie domykałyby się z nadmiaru zgromadzonych tam przetworów na zimę. Nie snułaby się nostalgicznie po ogrodzie jesiennym, jak robię ja. Pomyślałam to, zanim przypomniałam sobie zasadę ciotki Niny: „Ciesz się ludźmi, a nie z nimi porównuj”.

– Bardzo się cieszę, że przyjechaliście – powiedziałam.

– Teraz, jak już wiemy, gdzie jesteś, będziemy bywać częściej – obiecała Kamila.

Tego wieczoru zamyśliłam się głęboko nad filiżanką naparu z rumianku. Coś zaczynało mi świtać w głowie. Chciałabym, żeby odwiedzali mnie ludzie, ale nie przypadkowi, a jedynie ci w pewien sposób wyselekcjonowani, nie tacy, którym trzeba tylko dostarczać rozrywki, ale tacy, którzy szukają spokoju i odpowiedzi na ważne pytania, odznaczający się wysublimowaną osobowością. To miejsce jest wyjątkowe, lecz złamane serca szybciej niż psychoterapia, trzeba to wykorzystać. Muszę mieć stronę internetową, żeby się o mnie można było dowiedzieć. Moi goście coś musieliby też tutaj robić, przecież nie będą tylko spacerować po ogrodzie, zbierać grzybów i oglądać wiewiórek. Chodził mi po głowie jakiś pomysł, ale ciągle wymykał się w ostatnim momencie. Chciałam być towarzyszką od spraw serca, chciałam zorganizować miejsce wyjątkowe dla osób szukających siebie i odpowiedzi na nurtujące je pytania, chciałam też tworzyć, bo zawsze w głębi duszy czułam się artystką. Ostatecznie postanowiłam spisać w formie pytań i odpowiedzi cały tok rozmyślań.

– Jaki jest mój cel? – Przetrwaj tu rok i robić rzeczy, które mają dla mnie sens.

– Co mnie pasjonuje? – Rozwój osobisty i szukanie siebie, ale też lepsze rozumienie innych.

– Co bym chciała robić? – Chciałabym jak najlepiej wykorzystać czas spędzony tutaj i być wśród ludzi. Marzy mi się klub dyskusyjny i jakieś warsztaty artystyczne, i żeby przyjeżdżały do mnie kobiety takie jak w *Biegącej z wilkami*.

Tylko gdzie ja takie znajdę? Zmartwiłam się na poważnie, bo jak na razie miałam tylko jedną Malwinę. Tak sama mam się rozwijać?

– Chwilowo, z braku towarzystwa, muszę zacząć sama i zobaczyć, co z tego wyniknie – powiedziałam na głos.

Uspokojona takim wnioskiem, poskładałam kartki do teczki z napisem „Projekt: rozwój, cel: dojrzałość” i z poczuciem dobrze wykonanego zadania poszłam spać.

Następnego dnia starałam się motywować i nastawiać się pozytywnie.

– Będę działać systematycznie i krok po kroku – przemawiałam do siebie stanowczo w drodze na zakupy.

Gdy otwierałam drzwi do sklepu, dobiegły mnie podniesione kobiece głosy.

– No, naprawdę nie ma miejsca. Będziemy musiały go odesłać, jest za duży! – stanowczo stwierdziła siwa pani w okularach i niebieskich kaloszach.

– Jak to oddać? Bez sensu! Tyle naszej pracy, trzeba coś wymyślić – nie zgodziła się z nią postawna kobieta w kolorowej kwiecistej chusteczce na głowie.

– Sama widziałas, że nie da rady! Twojego jest mniejszy i dlatego się mieści – włączyła się do dyskusji ekspedientka, a ja nadstawiłam ucha, zaintrygowana tematem rozmowy. Rzuciłam szybkie spojrzenie kobiecie w kwiecistej chustce, do której słowa sprzedawczyni były skierowane, i starałam się nie mieć wyrazu współczucia na twarzy. Pochwyciła to moje spojrzenie, coś figlarnego zabłysło jej w oczach, po czym pokręciła energicznie głową i zawołała:

– A nie, nie, nie. Nie to, co pani myśli.

– Ja? – udawałam, że nie wiem, o czym mówi, i zajęłam się wybieraniem najbardziej czerwonych pomidorów.

– Rozmawiamy o piecu – powiedziała spokojnie i jakby z naganą w głosie siwa pani, która wyglądała jak moja nauczycielka matematyki.

– Aha – pokiwałam głową.

– Takim do wypalania gliny – włączyła się sprzedawczyni.

– Mój mąż ma taki piec w pracy i ten piec jest mniejszy – dodawała kolejne szczegóły pani w chusteczce.

– Aaa, i taki mniejszy jest lepszy? – nieudolnie próbowałam znaleźć w tym sens.

– Jak jest dużo miejsca, to duży jest lepszy – surowym tonem stwierdziła nauczycielka.

Poczułam się jak na lekcji matematyki i już nie kontynuowałam tematu, bo jeszcze nie daj Boże zaczęłyby mnie odpytywać z geometrii.

– Na razie, póki nie pada i jest ciepło, niech stoi pod remizą. Coś musimy wymyślić na najbliższym spotkaniu w środę – podsumowała nauczycielka.

– To pani z koleżanką paliła to ognisko... – bardziej stwierdziła, niż zapytała sprzedawczyni, kiedy płaciłam za zakupy.

Pokiwałam głową z rezygnacją i skierowałam się do wyjścia. Świetnie, cała wieś już wie o naszym wyczynie. Cieszyłam się, że z nikim stąd nie utrzymuję bliższej znajomości.

– Całkiem jak Nina! – zawołała ze śmiechem ta w kwiecistej chusteczce. – Pamiętacie, jak odprawiała swoje obrzędy w ogrodzie?

– No iomalże nie spaliła stodoły i domu – dodała z przekąsem siwa pani. – Zachciało jej się czarów!

– A tam, czasami można się po prostu pobawić, najważniejsze, że wszystko się dobrze skończyło – ugodowym tonem powiedziała ta w kolorowej chustce.

Zawróciłam od drzwi.

– Moja ciotka odprawiała czary?

– A tam, takie gadanie – próbowała łagodzić sprzedawczyni.

– Podobno w każdej plotce jest ziarno prawdy. Niech więc pani uważa – ostrzegła mnie siwa, czym mnie wkurzyła do reszty.

– Ja za to jestem pewna, że w każdej plotce jest więcej zawiści i głupoty niż prawdy, a niektórzy nie potrafią się zdobyć nawet na odrobinę wysiłku, żeby drugiego człowieka zrozumieć. Do widzenia paniom – pożegnałam się i wyszłam.

Zagotowało się we mnie. Co za wredna baba! Tak o ciotce mówić! A swoją drogą, gdy jako małe dziecko czytałam Andersena, w mojej wyobraźni postać Baby-Jagi zawsze grała ciotka Nina. Była najbardziej tajemniczą i najgroźniejszą kobietą, z jaką się zetknęłam, ale żeby zaraz czarownicą?

Szłam szybkim krokiem, chcąc rozładować emocje. Zaczynałam czuć się głupio, że tak naskoczyłam na tę kobietę. Miałam wrażenie, że dostało się jej też za podobieństwo do nielubianej nauczycielki. Zanim dotarłam do domu, narosło we mnie niezadowolenie z siebie. Kroczę już niby tą swoją drogą wewnętrznej radości i pogodzenia ze sobą i ludźmi, ale jak tylko spotykam kogoś, z kim się nie zgadzam, zaraz z niej zbaczam. O ileż prostsze jest przestrzeganie zasad harmonii w samotności, wtedy spokój i miłość do wszelkiego stworzenia aż ze mnie eksplodują. Tak jak z Mikołajem najwięcej pomysłów na to, jak układać sobie związek, miałam teraz, gdy od prawie trzech miesięcy byłam całkowicie sama. Ile czasu potrzebowałabym, żeby popępnąć błąd lub wejść na powrót w swoją starą rolę? Taki ze mnie ekspert teoretyk.

Nie mogłam sobie w domu znaleźć miejsca. Zgodnie z moim rozkładem dnia nadszedł już czas na wykonanie ćwiczeń z poradnika samorozwoju dla kobiet, ale nie mogłam się skupić na

tym, jakie są moje mocne strony i co rozświetla moją duszę. Zabazgrałam kartkę papieru przeznaczoną na refleksje nad sobą i szukanie nowej ścieżki życia, po czym założyłam ciepły sweter, czapkę i szalik i wyszłam do ogrodu. Energicznie zaczęłam ćwiczyć skłony, podskoki, przysiady i wymachy. Gdybym umiała, zrobiłabym też pompki. Zasapana wykonywałam właśnie krążenia bioder, kiedy za plecami usłyszałam chrząknięcie. Odwróciłam się w pół ruchu. Pan Włodzimierz stał na drodze oparty o płot i zaglądał do ogrodu. Postanowiłam, że się z nim nawet nie przywitam, skoro tak bezczelnie podglądał. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem i wreszcie odezwał się pierwszy:

– Dzień dobry. A co, mrówki oblażyły?

– Dzień dobry, a co telewizor się zepsuł i musi pan sąsiadów podglądać? – odgryzłam się i patrzyłam mu wyzywająco w oczy. Co sobie myśli, stary dziad, ciągle przychodzi naburmuszony i mnie poucza, a teraz się jeszcze naśmiewa! Pewno zaraz się obrazi i się dowiem, że mi brak szacunku dla starszych. Ku memu zaskoczeniu pan Włodzimierz w odpowiedzi wybuchnął gromkim śmiechem, aż załzawiły mu się oczy i poczerwieniał nos.

– Taka jak ciotka! – Klepnął się dłońmi po udach.

– Pewnie, że jak ciotka, w końcu jesteście rodziną – powiedziałam już łagodniejszym tonem i nawet się do niego uśmiechnęłam.

– Niech się nie przejmuję, co baby gadają, i robi swoje – powiedział, zapalając papierosa.

– Zbierają się co srode po kościele i z nudów wymyślają bajki o ludziach ze wsi zamiast się wziąć do roboty – dodał, gdy zaciągnął się dymem i wypuścił go z płuc.

Byłam zaskoczona, że już o wszystkim wiedział, i zrobiło mi się ciepło koło serca, że tak całą tę sytuację oceniał. Miałam ochotę zapytać, jak to było z ogniskiem ciotki, ale właściwy moment minął i pan Włodzimierz już się oddalał wolnym krokiem, a za nim ciągnęła się smużka papierosowego dymu. Poczulałam się bardzo lekko, a cała złość gdzieś się ulotniła. Wykonałam coś, co w moim zamierzeniu było piruetem baletnicy, a co jakimś cudem nie umknęło uwadze pana Włodzimierza, który z pewnością miał dodatkową parę oczu na plecach. Z oddali tak to bowiem skomentował:

– A nóg niech nie połamie, bo do szpitala daleko i na zimę idzie.

Minęły dwa nudne i ciemne dni. Zadzwoiłam do Malwiny z pytaniem o fachowca. Obiecała, że go oczaruje całym swoim wdziękiem i przekona siłą argumentów, żeby rozpoczął pracę w tym tygodniu. Jednak kolejne dwa dni przeszły, a telefon wciąż milczał. Pewno zajęła się oczarowywaniem strażaka i zabrakło jej wdzięku i czasu dla mojego fachowca, myślałam z filozoficznym spokojem, dorzucając drewna do pieca. W srode po południu podjęłam decyzję, żeby pójść na spotkanie koła gospodyń wiejskich. Kiedy podczas kąpieli mój umysł wytworzył tę myśl, sama byłam zszokowana. Zwykle unikałam konfrontacji i nie narzucałam się innym ze swoim towarzystwem, rzadko wykazywałam jakkolwiek społeczno-towarzyską inicjatywę. Teraz jednak, zgodnie z ideą przekraczania swoich utartych nawyków, postanowiłam zachować się zupełnie inaczej. Przemyślałam sprawę i chciałam te baby, o których mówił pan Włodzimierz, poznać lepiej, a przy okazji zmierzyć się z tym, z czym trudno mi sobie poradzić, zamiast jak zwykle uciekać.

„Jeju, dlaczego praca nad sobą to taka harówka?” – pytałam samą siebie, kiedy w lekkiej mżawce i przy urywającym głowę wietrze szłam późnym popołudniem do remizy na spotkanie. Już bardziej podobał mi się mój pierwszy pomysł zaszcycia się na rok w guszy i samotności. Cóż z tego, kiedy w umyśle wykwitła nowa idea. „Nie mogę przecież stać w miejscu. Poza tym siedzenie samej w domu jest okropnie nudne, potrzebuję odmiany” – dyskutowałam ze swoim lenistwem dalej. Wieś była jak wymarła, nikt nie pracował na polu, bo wszystkie prace już

wykonano, nie ma baru ani restauracji, ani kina, ani biblioteki, więc wszyscy siedzą w domu i oglądają seriale, albo po prostu siedzą sobie przy ciepłym piecu i piją pyszną herbatę, myślałam z zazdrością, zaglądając w mijane okna.

– Och, zamknij się już, leniuchu jeden, idziemy na spotkanie i koniec – wysyczałam wreszcie znieważona swoim pragnieniem bierności.

Remiza była cała rozświetlona, a im bardziej się do niej zbliżałam, tym więcej widziałam zgarbionych pod naporem wiatru i deszczu sylwetek, które zmierzały w jej kierunku. Kobiety, opatulone, idące pojedynczo i dwójkami, w wysokich kaloszach i przeciwdeszczowych płaszczach, pozdrawiały się i szybko wchodziły do środka. Ruch i gwar rozmów panował w rześście oświetlonej sali. Było to największe zgromadzenie, w jakim się znalazłam od czasu opuszczenia miasta i nadmiar bodźców trochę mnie denerwował. Ale jakby tego było mało, już w progu natknęłam się na siwą nauczycielkę. Świetnie!

– O, witam panią, jak to miło znów się spotkać – powiedziała z przekąsem.

– Przyszłam na zebranie.

– Wspaniale! Zapraszamy do pierwszego rzędu.

Tego było za wiele, nie będzie mnie dyscyplinować, jak uczennicę pierwszej klasy!

– Ostatni będzie zupełnie w porządku – odparłam krótko i nie patrząc już na nią, odeszłam, a potem zajęłam miejsce jak najdalej od drzwi, gdzie siwa mała stała nadal, mam nadzieję, że osłupiała.

Na środek wyszła kobieta, którą pamiętałam ze sklepu, tym razem bez chusteczki, za to w długiej kwiecistej sukience i zarzuconym na ramiona wełnianym szalu. Klasnęła w ręce i zawołała:

– Kochane panie, jeżeli macie już swoją kawę czy herbatę, to proszę usiąść i zaraz zaczynamy!

Gwar cichł powoli, tu i ówdzie jeszcze wybuchały salwy śmiechu, słychać było szepty. Policzyłam wzrokiem, na sali było dwadzieścia kobiet. Zebranie prowadziły kwiecista i siwa, towarzyszyła im młoda, drobna blondynka. Najpierw przekazano komunikaty z ośrodka zdrowia o szczepieniach dla dzieci, badaniach wzroku i mammografii, potem podsumowano piknik rodzinny, który odbył się w szkole. Uważniej zaczęłam słuchać, kiedy pojawił się temat andrzejkowego wieczoru. Chętnie wzięłabym w nim udział, a nawet zaangażowała się przygotowania. Okazało się jednak, że jak co roku robi to pani Basia, Bożenka i Czesia. Szybko ustalono cenę biletu na 10 złotych. Za zebrane pieniądze postanowiono kupić materiał oraz uszyć nowe firanki i zasłonki do sali w remizie, a to, co zostanie po zakupie, dołożyć do mikołajkowych paczek dla dzieci z domu dziecka w pobliskiej miejscowości. Na koniec wstała znów kwiecista i poruszyła sprawę pieca.

– Jak wiecie, panie, z projektu, który napisałyśmy, zakupiłyśmy piec do wypalania gliny. Przywieziono go w poniedziałek i okazało się niestety, że nie mamy wystarczająco miejsca, żeby z niego korzystać. Potrzebne jest przestronne pomieszczenie, z przewodem kominowym i przestrzenią, w której można by ustawić szafy na narzędzia i materiały, stół do pracy i krzesła. Nie dysponujemy na razie takim pomieszczeniem. Czy ktoś ma jakiś pomysł, co zrobić?

– zawiesiła głos z nadzieją.

– U mnie na wiosnę będzie miejsce w stodole, ale na razie to tam pełno siana i słomy

– odezwała się z pierwszego rzędu wysoka kobieta w długim płaszczu.

– A nie postoi do wiosny tam, gdzie jest teraz, byle pod dachem? – praktycznie podeszła do sprawy mała kobiecinka opatulona w ogromną chustę.

– Wykluczone! – zaprotestowała siwa. – To drogi sprzęt, nie może tak niszczyć.

– A w szkole? Nie byłoby miejsca? – zapytała wychudzona i blada kobieta ze smętnymi

pozostałościami po trwałej ondulacji.

– Może na plebani? – zaproponowała równocześnie inna.

– Już rozmawialiśmy z dyrektorem i księdzem, niestety nie da rady – pokręciła głową kwiecista.

– Trzeba było wpisać w projekt coś innego – zawołała przysadzista kobieta z buraczkowymi włosami i w obcisłych dżinsowych spodniach. – Na co komu w ogóle taki piec?

– Tak, dobrze mówi – poparła ją koleżanka po prawej, a ta po lewej kiwała w milczeniu głową.

– Ależ drogie panie – odezwała się na to drobna blondyneczka – można zorganizować wspaniałe warsztaty, nauczyć się wyrabiać różne naczynia, to świetny sposób na stres. No i można zarobić, sprzedając te wyroby na jarmarkach rękodzieła...

– A tam! Takie malowanie to dzieci w przedszkolu robią – przerwała jej buraczkowa, a blondyneczka zaczerwieniła się i usiadła.

– Trzeba by to sprzedać, a pieniądze przeznaczyć na coś porządnego – wysunęła propozycję pani z trwałą.

Burza mózgów trwała, a mnie się zrobiło szkoda blondyneczki. Wzbudzała moją sympatię i mówiła rzeczy, które do mnie przemawiały, a tymczasem kobiety zakrzyczały ją jak stado kur.

– Ja mam miejsce na ten piec – powiedziałam głośno, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

– Nie możemy sprzedać pieca w ciągu najbliższego roku – tłumaczyła właśnie siwa pani.

– Halo! HALO! – Wstałam i machałam ramionami, aż ucichły i wszystkie oczy zwróciły się na mnie. – Ja mam miejsce na ten piec i bardzo mi się podoba pomysł warsztatów, chętnie też pomogę w ich realizacji. – Usiadłam, bo trochę trzęsły mi się nogi.

Siwa patrzyła na mnie z niezadowoleniem, kwiecista się uśmiechała, a twarz blondyneczki wyrażała wdzięczność. Pozostałe panie odwróciły się w moim kierunku i wgapiły się bezceremonialnie, jakbym była ufoludkiem. Zaraz też zaczęły się szepty i poszturchiwania. Sklepowa, siedząca tuż przede mną, odwróciła się skinęła mi głową z uśmiechem.

– Mieszkam w domu Niny Antkowicz – kontynuowałam. – Piec można by przywieźć w każdej chwili.

Siwa milczała, zebrane panie szeptały. Wreszcie kwiecista popatrzyła na siwą, a ta odwróciła głowę i wzruszyła ramionami, zdawało mi się, że z pogardą. Kwiecista westchnęła, a potem odchrząknęła i się odezwała:

– No to sprawę pieca mamy załatwioną, mój mąż przewiezie go ciągnikiem do domu pani Antkowicz.

– A ile sobie za wynajem policzy? – chciała wiedzieć pani z ondulacją. Ta w dżinsach też wydawała się zainteresowana warunkami udostępnienia pomieszczenia.

– Nic sobie nie policzę, piec może stać u mnie za darmo, tak długo, jak będą panie potrzebowały.

– Dziękujemy pani – uśmiechnęła się do mnie kwiecista, jak mi się wydawało trochę szelmowsko.

Zebranie się skończyło i panie zaczęły pośpiesznie wychodzić, a ja podeszłam do blondynki, która coś pisała w małym notesie.

– Cześć, podobało mi się to, co mówiłaś o warsztatach.

– Dzięki – uśmiechnęła się nieśmiało – i za to, co powiedziałaś, też. Czasami trudno się tu przebić z czymś nowym. Kaśka jestem – przedstawiła się, wyciągając rękę.

– Rita. – Odwzajemniłam jej zaskakująco zdecydowany uścisk dłoni, który nie pasował do wątej sylwetki i rumieńców na twarzy.

– W spotkania koła wciągnęła mnie mama, studiuje terapię zajęciową, jestem już na piątym roku.

– A twoja mama to...? – zawiesiłam głos.

– Ta pani w okularach i z siwymi włosami – wskazała.

– Wygląda na nauczycielkę – rzuciłam niewinnie, myśląc jednocześnie, jaka to szkoda, że właśnie ona.

– Emerytowaną obecnie – skinęła głową – ale nadal się angażuje w życie społeczności.

A jak ci się mieszka w domu pani Niny? To trochę na uboczu... – kontynuowała rozmowę, zbierając swoje rzeczy.

– Nie przeszkadza mi to. Mieszka się wspaniale. Jeżeli masz ochotę, to zapraszam w odwiedziny. Będziemy mogły porozmawiać o tych warsztatach.

– Może dam ci swój telefon, będzie łatwiej się umówić. – Już pisała numer na kartce wyrwanej z notesu.

W tym momencie podeszły do nas jej mama i kwiecista.

– My się jeszcze nie przedstawiłyśmy – zaczęła przyjaźnie kwiecista. – Baśka jestem.

Uśmiechnęłam się do niej szeroko i szczerze. Była jak dojrzałe wiejskie jabłko, prosto z drzewa, wydawała się silna i rozsądna. Chyba lubiła się śmiać, bo zmarszczki wokół jej oczu bezbłędnie odnajdywały swoje miejsce, gdy się uśmiechała, a potem się chowały aż do następnego uśmiechu. Zerknęła na swoją koleżankę, która porządkowała coś w torebce, i po krótkiej chwili wahania dokonała prezentacji:

– A to jest pani Matylda Kowalska.

Ta skinęła głową, patrząc gdzieś ponad moją głowę.

– Miło mi, jestem Rita, siostrzenica Niny Antkowicz – patrzyłam prosto na panią Matyldę, która właśnie w pośpiechu zakładała płaszcz.

– Katarzyno, chodźmy, ojciec na pewno czeka już na nas i na kolację. Do widzenia paniom – pożegnała się.

– Cześć, Rita – pomachała mi Kaśka.

– Ale się porobiło... – Basia mrugnęła do mnie, kiedy zostałyśmy same. – Dziękuję, że przyszedłeś i że chcesz pomóc. Naprawdę nie wiedziałybyśmy, co zrobić.

– Nie ma sprawy – odparłam z uśmiechem. Podobało mi się, że mówiła mi na ty.

Wkładałam kurtkę, a ona gasiła światła i przekopywała torebkę w poszukiwaniu kluczy.

– Wybacz mi kiedyś? – zapytałam ją, bo ufałam jej od momentu, kiedy się przedstawiła.

– A ma co? – odpowiedziała pytaniem i wybuchła śmiechem. – Mówienie prawdy prosto w oczy to chyba nic złego? Sama z tego słynie. Nie przejmuj się! Najważniejsze, że do nas dołączyłaś, zobaczysz, będzie dobrze.

Kiedy wchłonął nas wilgotny listopadowy wieczór, poklepała mnie po plecach.

– Muszę lecieć, bo dzieciaki w domu, mąż i w ogóle takie tam – machnęła ręką. – Do zobaczenia!

– Do widzenia! – Odmachałam jej z uśmiechem, czego nie mogła zobaczyć, bo osłonięta od zacinającego deszczu parasolką, oczywiście w kwiaty, brnęła w ciemności, w przeciwnym niż ja kierunku.

Powrotną drogę odbyłam wolnym krokiem, tak żeby przeniknął mnie deszcz, żebym nim nasiąkła jak gąbka i miała się potem z czego suszyć w zaciszu i ciepłe swojego domu. Dzięki temu, że otacza nas zimno, doceniamy ciepło, brak własnego miejsca na ziemi sprawia, że kochamy swój dom, samotność powoduje, że zaczynamy dbać o więzi z ludźmi. Uśmiechałam się do zimnego wiatru, ciężkiego od deszczowych chmur, ciemnego nieba i głębokiej, zbyt wczesnej nocy, bo powodują, że tak kocham wiosnę i słoneczny, ciepły dzień. Gratulowałam

sobie, że wybrałam się na to spotkanie. Może wreszcie pozbędę się poczucia, że wszyscy idą zawsze w przeciwnym niż ja kierunku? Może wreszcie z kimś będzie mi po drodze? A znacznie później, zasypiając w ciepłym łóżku, flanelowej pidżamie i frotowych skarpetach, rozgrzana szklanką mleka z miodem, już nie mogłam się doczekać, co będzie dalej...

Zima

Był późny listopad. Poranki i noce stały się bardzo chłodne, a trawę coraz częściej pokrywał szron. Co rano budziłam się cała zmarznięta, wypuszczając z ust kłębuszki pary. Nadchodziła zima, wobec której czułam się bezradna, mogłam tylko włożyć na grzbiet kolejny sweter. Procedura wyglądała tak, że zakładałam najpierw własne ubrania, dwie lub trzy warstwy, a dodatkowo opatulałam się większymi, należącymi do ciotki, które wydobyłam z jej ogromnej szafy. Potem pozostawało jeszcze wrzucenie kolejnej szczapy drewna do pieca i przytulanie się do rozgrzanych kafli. Wiedziałam, że należało jak najwięcej się ruszać, ale nie było nic do zrobienia. Poza tym i tak miałam znacznie ograniczoną swobodę ruchów, bo z nadmiaru założonej odzieży nie zginały mi się ramiona w łokciach. Nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym przetrwać tak całą zimę.

Kilka dni wcześniej przyjechał mąż Basi z piecem. Towarzyszyło mu trzech innych mężczyzn, których nie znałam, a po chwili dołączył do nich pan Włodzimierz. Pokrzykując do siebie, sprawnie umieścili piec w stodole, podebatowali przez chwilę z rękami w kieszeniach nad wykonaną pracą i jej efektem, po czym mąż Basi, uruchamiając silnik, zawołał, że żona niedługo do mnie przyjedzie, i odjechali. Pan Włodzimierz tu puknął, tam stuknął i ciągle kiwał głową.

– Co, nie podoba się panu? Porządny sprzęt, do wypalania gliny...

– Aha... – przerwał mi bez przekonania, a gdy nic nie mówiłam, kontynuował głośniej:

– Na co to komu?! W stodole siano ma być i słoma, a w gospodarstwie zwierzęta i na polu zrobione, a nie takie nie wiadomo co, jakieś zabawy baby wymyślają!

– No, tylko nie baby! – teraz oburzyłam się ja. – Pan chce gospodarzyć, to proszę bardzo, niektórzy mają inny pomysł na życie.

– Jaki to niby pomysł? Przechadza się tu, fika nogami w ogrodzie, a taka piękna gospodarka na zmarnowanie idzie!

– To pan myślał, że ja tu bydło i drób sprowadzę i będę rolę uprawiać na wielką skalę?

– To po co przyjechała? Wyglupiac się gdzie indziej można, nie trzeba na wieś przyjeżdżać!

Wreszcie pojęłam, o co mu chodziło od samego początku. Olśniło mnie, dlaczego do tej pory miałam wrażenie, że mnie nie lubi i ciągle mu się coś w tym, co robię, nie podoba.

– Ludzie wszystkie we wsi się dziwią, po co tu siedzi, sama, i nic nie robi, na takim zadupiu. Bardzo się dziwią! – podkreślił raz jeszcze, jakby chciał wyraźnie dać do zrozumienia, że właściwie to powinnam zaraz zacząć się pakować do wyjazdu lub biec na targ zakupić krowę, albo przynajmniej pójść i tych wszystkich, co się dziwią, grzecznie przeprosić.

– Wie pan co? Ludzie się dziwią, bo ich oczekiwania wobec życia są zupełnie inne niż moje, i dlatego nie potrafią mnie zrozumieć.

– Co? – nie nadał za moim tokiem myślenia albo mówienia, bo już się trochę zdenerwowałam i zaczęłam wyrzucać z siebie kolejne zdania szybciej niż zwykle.

– To, że może ci wszyscy ludzie chcą mieszkać w mieście, a nie na zadupiu i dlatego tak trudno im przyjąć, że ktoś chciałby tu żyć!

Patrzył na mnie, nie rozumiejąc ani słowa z tego, co mówiłam. Miałam wrażenie, że cały mój przekaz odbierał jako jakieś miauknięcia albo piski, szумы i trzaski. Chciałam mu jeszcze tłumaczyć, na czym polega moja koncepcja, i przekonywać go do mojej wizji życia na wsi, kiedy nagle uświadomiłam sobie coś ogromnie ważnego, a dotyczącego mojej relacji z Mikołajem. Machnęłam więc tylko ręką, odwróciłam się na pięcie i zostawiłam go przy tym piecu, kości

naszej niezgody, bez słowa.

Czułam, że muszę to, co mi przyszło do głowy podczas rozmowy z panem Włodzimierzem, tę ulotną myśl, szybko schwytać, zapisać i przeanalizować, zanim rozpierzchnie się jak dym. Usiadłam w kuchni i przeszukiwałam umysł i serce. Co to było? Była to myśl, że skoro z panem Włodzimierzem, którego ledwo znam, i innymi nieznanymi mi ludźmi ze wsi, podjęłam dyskusję o oczekiwaniach i motywach postępowania, to o ile ważniejsze jest przeprowadzenie podobnej rozmowy z osobą, z którą idę przez życie? A nigdy takiej rozmowy z Mikołajem nie przeprowadziliśmy! Podejmowaliśmy jakieś próby, ale szybko je ucinaliśmy, bo było coś innego, ważniejszego, bo rozmowa była za trudna, towarzyszyło jej za dużo emocji i przeszkadzał lęk, że przez to nieporozumienie związek się skończy i każdy pójdzie swoją drogą. W konsekwencji i tak poszliśmy swoimi drogami, być może właśnie dlatego, że takich rozmów nie było. Skoro wchodzę w dialog z prawie obcym człowiekiem, kiedy on nie rozumie lub po prostu nie chce usłyszeć tego, co mówię, to o ile więcej jest okazji do przedyskutowania podstawowych spraw w relacji bliższej! Ile ja przeoczyłam, bo myślałam, że takie rzeczy jakoś same się układają i rozwiązują. Wcale się nie rozwiązują! Niewypowiedziane oczekiwania i nieubrane w słowa motywy naszych działań wcale nie znikają. Zalegają głęboko niczym korniki w pięknym meblu, mającym na zewnątrz tylko niewielkie dziurki, które właściwie dodają mu uroku. Korniki jednak cały czas drążą po cichu drewno, aż pewnego dnia ów mebel po prostu się rozsypuje. Tak samo związek dwojga ludzi, zżerany od środka, rozpryskuje się na kawałeczki w czasie jednej kłótni, takiej o wszystko!

Chciałam się dowiedzieć, czego oczekiwał ode mnie Mikołaj i jakie ja miałam niespełnione oczekiwania wobec niego. Postawiłam te pytania i jak zwykle moje wewnętrzne ja już bezradnie rozkładało ręce, mówiąc: „Nie wiem, to trudne”. Ale nie, tym razem nie pójdę na łatwiznę. Koniec tej ciuciubabki, albo się z tym zmierzę teraz, albo nigdy. Bezwład i niedbałość w zgłębianiu swojego wnętrza nie będą już mną dłużej rządziły! Jeśli chodzi o oczekiwania Mikołaja, cóż, najlepiej byłoby jego zapytać, ale tymczasem mogę pobawić się w detektywa. Mikołaj chciał chyba, żebym bardziej okazywała, że jest dla mnie ważny. Oczekiwał ode mnie szczerzej deklaracji, popartej czynami – może nawet zwykłym przygotowaniem wspólnego posiłku, do czego przywiązywał przecież tak wielką wagę – że chcę z nim być i to wszystko nie jest tylko na chwilę, ale dokądś prowadzi. Chciał czuć się bezpiecznie w naszym związku. A czego ja oczekiwałam? Czego potrzebowałam i nie dostałam? Oczekiwałam, że będzie mnie bardziej wspierał w dążeniu do rozwoju zawodowego, że mnie zmotywuje, zainspiruje, że wyjdzie czasami z kuchni i da mi się o siebie zatroszczyć, zamiast zakładać ten idiotyczny fartuch i spędzać na kulinarnych wyczynach pół dnia, że zaskoczy mnie czymś nieprzemysłanym, zamiast rozważać drobiazgowo wszystkie za i przeciw w każdej błażej sprawie. Chciałam być bliższa ideałowi, ale Mikołaj zajął już tę pozycję i pilnie jej strzegł. Z czasem skostnieliśmy w swoich rolach, tego, komu musi zależeć mniej, bo drugiemu zależy dużo bardziej, tego, kto jest zdobywany, i tego, kto się stara, kto jest rozbrykanym dzieckiem i kto zachowuje się odpowiedzialnie. Aż wreszcie dziecko tupnęło nogą i się obraziło, a teraz właśnie odkryło, że źle zrobiło, bo zachowało się dokładnie według scenariusza, a kluczem było odrzucenie roli i postąpienie inaczej niż dotychczas. Kiedy dotarłam do tego punktu, czułam się już bardzo zmęczona, ale fakt, że potrafiłam przyjrzeć się spokojnie swoim uczuciom i myślom, a dzięki temu zdobyłam wreszcie tak długo oczekiwane odpowiedzi, dodał mi skrzydeł. Byłam podekscytowana, że właśnie zrobiłam to, o czym mówią książki, właśnie się rozwinęłam!!! Poczulałam się wolna, a ten stan smakuje lepiej niż słodki deser.

Basia przyjechała z Kaśką, obie w świetnych nastrojach i pełne energii. Obejrzały ustawienie pieca i zdecydowały, że trzeba przeczyścić komin i wszystko prawidłowo podłączyć.

Baśka zaraz zadzwoniła do znajomego fachowca i umówiła się na przyszły tydzień. Podobał mi się jej sposób bycia, pełen humoru i swobody. Z każdym rozmawiała bezpośrednio i naturalnie. Nie miałam wątpliwości, że jest po prostu sobą i nikogo nie udaje.

– Skąd tutaj właściwie takie pomieszczenie macie? – zainteresowała się.

– Nie wiem. Może ciotka jako lokalna szamanka-artystka planowała coś takiego jak ten piec już dawno? – zasugerowałam trochę ironicznie.

– Może – zupełnie poważnie odpowiedziała mi Basia.

– To co? Jak tylko piec będzie podłączony, zaczynamy? – Kaśka klasnęła w dłoń. – Już się nie mogę doczekać!

– Kiedy przyjedzie gość od instruktazu, jak to obsługiwać, to ty i Rita się przeskolicie, żeby potem prowadzić zajęcia – dodała Basia, jakby była to najbardziej oczywista sprawa pod słońcem i przedyskutowana już dawno.

– Ja? – upewniłam się, że dobrze słyszę.

– No jasne, ty nam wyświadczasz przysługę, to musisz coś z tego mieć, prawda?

– mrugnęła do mnie w odpowiedzi.

– A może zorganizujemy też warsztaty wikliniarskie? – podsunęłam. – Zawsze marzyłam, żeby wypieść sobie kosz i fotel.

– Świetna myśl, zadzwonię do Franka, on ma plantację, może zna kogoś, kto prowadzi warsztaty.

– I jeszcze koniecznie malowanie na szkłe i robienie witraży, to już potrafię i chętnie podzielę się wiedzą z innymi – kontynuowała snucie planów Kaśka, wreszcie w swoim żywiole, bo mogła robić to, co kocha najbardziej, czyli tworzyć i uczyć innych, jak wydobywać z siebie to, czego wypowiedzieć się nie da, a można namalować, ulepić, nadać kolor i kształt.

Podziwialiśmy naszą pracownię, dopóki zimno nas nie wygoniło do domu.

– Poproszę pana Włodzimierza, żeby założył tu porządną zamek – obiecałam, gdy wychodziłyśmy.

– To ja już muszę lecieć, dziewczynki – Basia zaczęła się żegnać, jak tylko weszłyśmy do domu. – Ty sobie jeszcze zostań, przejdę się ten kawałek – zwróciła się uspokajająco do Kaśki.

Popołudnie minęło nam na wymyślaniu, co jeszcze mogłybyśmy robić w naszej pracowni. Kaśka była bardzo energetyczną osobą, mówiła całą sobą: rękoma, oczami, całym ciałem. Wstawiała i demonstrowała, co ma na myśli, robiła miny, a pomysły zapisywała na kartce w formie rysunków i krótkich haseł. Emocje rozpałały ją całą i bez trudu można je było z niej odczytać, przez co wzbudzała zaufanie.

– Słuchaj, a jak nazwiemy to miejsce? – zapytałam ją, gdy zbierała się do wyjścia.

– No... Pracownia.

– Aha... Artystyczna... pod Aniołami – dokończyłam.

– Pod Aniołami? – zdziwiła się.

– No, takimi jak te drewniane, rzeźbione, tylko nasze będą prawdziwe i ze skrzydłami – pomachałam ramionami, żeby zademonstrować, o jakie mi chodzi.

– No tak, niech nas wspierają – uśmiechnęła się Kaśka.

Od tego popołudnia codziennie kontaktowałyśmy się telefonicznie albo mejlowo w sprawie projektu. Postanowiłyśmy poświęcać na to regularnie choć trochę czasu, żeby mieć poczucie, że posuwamy się do przodu.

Tego samego popołudnia rozpoczęła się też moja znajomość z panem Barankiewiczem. Ale jak się rozpoczęła – od frustrującej rozmowy telefonicznej!

– Halo – odebrałam dzwoniący telefon.

– Halo – odpowiedział mi męski głos.

- Słucham.
- Halo – usłyszałam znów w odpowiedzi i zaczynało mnie to już irytować.
- Dzień dobry – spróbowałam inaczej, starając się brzmieć radośnie, zgodnie z zasadą z mojego podręcznika samorozwoju: „Odbieraj telefon z uśmiechem”. Nawet podpisałam własnoręcznie *Manifest pozytywnego życia*, w którym był zawarty ten punkt.
- Dzień dobry, pani Antkiewicz? – zabrzmiał donośniej męski głos i z jego tembru wywnioskowałam, że nie należał do przystojnego ani inteligentnego mężczyzny.
- Tak to ja – oczekiwałam z niecierpliwością na dalszy ciąg rozmowy.
- Barankiewicz mówi, mogę jutro zacząć u pani robić to ogrzewanie.

To jedno zdanie zmieniło układ całego wszechświata. Pokochałam go w tym momencie mocno i bezgranicznie, a jego głos stał się dla mnie najpiękniejszą muzyką.

Zgodnie z zapowiedzią przybył tego wieczoru, nie chciał kawy ani herbaty, za to sprawnie zabrał się do szacowania, co robi, jak i za ile. Zadawał mi przy tym, podobnie jak hydraulik, wiele pytań, których nie rozumiałam, więc prosiłam o wyjaśnienia i poradę, jak będzie najlepiej. I ten tak samo, pochylał się, wzdychał i drapał po głowie oraz tłumaczył mi, dlaczego nie ma jednoznacznej odpowiedzi na moje pytanie. Kiwałałam głową z uprzejmości, a w głowie śpiewałam sobie piosenki. Kiedy miał już zapisane i narysowane wszystko w notesie, sięgnął po ciasteczko i zagadnął:

- Tak na odludziu pani sama mieszka?
- Piosenkę w swojej głowie puściłam nieco głośniej.
- Na razie tak, sama – przytaknęłam z rezygnacją i postanowiłam, że znajdę sobie męża, psa, kota, papuzkę, przygarne staruszkę, kogokolwiek i cokolwiek, żeby już nigdy nie słyszeć tego pytania.
- Smutno tak czasem, co?
- Nie narzekam, do tej pory prowadziłam bujne życie i teraz tutaj odpoczywam – ucięłam krótko.

Cały tydzień pracował pan Barankiewicz i dużo mówił, bo miał wyrobioną opinię na wiele tematów i niepodważalne argumenty do obrony swojego zdania, którymi chętnie się dzielił. Znosiłam jego pomstowania polityczne i obyczajowe, wysłuchiwałam rad, jak zabezpieczyć dom, ogród, wszelkie dobra ruchome i nieruchome na posesji, bo wszyscy i wszędzie kradną, a sąsiadowi to już najmniej ufać trzeba. Same żmije zazdrosne dookoła. O wychowaniu dzieci też pan Barankiewicz wiedział wiele, chociaż sam kawaler, lecz z wyboru, bo nie ma dobrych kandydatek. Nie gotowałam mu obiadów, ale nawet sałatka, którą go poczęstowałam, kanapki, a także kawa i herbata, jego zdaniem mogłyby być troszkę lepsze i on przygotowałby je inaczej. Pierwsze dwa dni jakoś przetrzymałam, bo miałam zajęcie – przyjechał wtedy fachowiec do komina od pieca. Okazało się, że potrzebny jest i w domu, pracował więc z ekipą kolejne trzy dni, co spowodowało wydanie moich żelaznych rezerw, przeznaczonych na przetrwanie do końca roku. Oznaczało to, że dopóki nie zdobędę jakichś środków, nie będę kupowała jedzenia, ubrań, mydła, szamponu, ani w ogóle niczego. Postanowiłam wrócić do tego problemu nieco później, bo tymczasem jeszcze miałam co jeść, a przede wszystkim nastąpiło pierwsze uruchomienie pieca. Uformowałam i wypaliłam w nim glinianego baranka, a Kaśka stworzyła całkiem zgrabny dzbanuszek, który mi ofiarowała.

- Malwina, ja już nie daję rady, on dziś wciąż jest, a jeszcze przyjdzie jutro – marudziłam piątego dnia do telefonu.
- Weź zaciśnij zęby, idź do ogrodu czy co.
- I tak już spędzam pół dnia poza domem, zimno mi!
- No to nie ma rady, musisz poszukać w nim pozytywnych stron, inaczej zwariujesz,

zaraził cię już jak wampir swoim negatywizmem. Dlatego od teraz przestajemy o nim mówić – zdecydowała. – Lepiej powiedz, jak tam wasz anielski projekt?

– Świetnie! – ożywiłam się. – Dzieci ze szkoły mają przyjść na lekcję plastyki i na ferie też przygotowujemy zajęcia.

– I super, pamiętaj jednak, co jest twoją specjalnością – kobiece, żywe i tętniące miłością serca.

– No właśnie, a jak ma się twoje?

– Czerwone jak samochód strażacki na sygnale! – w jej głosie znów były bąbelki.

Pozytywną stroną pana Barankiewicza, którą odnalazłam w nim dwa dni później, było to, że odjeżdżał, pozostawiając po sobie wyłącznie cudowne ciepło, rozchodzące się od rozgrzanych kaloryferów po całym domu. Dotykałam ich co kilka minut, bojąc się, że nagle znikną, jak wyczarowane przedmioty w bajce o rybaku i złotej rybce. Ale nie, za każdym razem były tam, ciepłe i tak przeze mnie wyczekane. A ja w jednej tylko warstwie ubrań, jak normalny człowiek, przechadzałam się po domu. Zadziwiające, jak można zatęsknić za oczywistymi rzeczami i jak uprzywilejowanymi wydajemy się sobie, kiedy po chwilowym ich braku, dostajemy je z powrotem. Potem, z upływem czasu, znów powszedniej i zaczynamy je traktować jak coś, co mieliśmy od zawsze. Tak samo jest z ludźmi. Pan Barankiewicz, zanim odszedł z moimi ostatnimi pieniędzmi, przekazał mi szczegółowe instrukcje odnośnie użytkowania instalacji, a ja wszystko zapisałam, tak na wszelki wypadek, żebym nie musiała do niego dzwonić, gdy coś zapomnę. Byłam zupełnie splukana, ale wreszcie było mi ciepło!

Trzy dni później, gdy otworzyłam rano oczy, miałam wrażenie, że zasnęłam, ale zaprzeczyła temu godzina na zegarku – obudziłam się wcześniej niż zwykle. Wyjrzałam przez okno, a tam tylko biel. Zima dopadła mnie w ciągu jednej nocy. Jedyne drzewo do miasteczka było teraz zasypane powyżej kolan. Wiedziałam, że nikt z zewnątrz nie będzie jej odśnieżał, ani żaden z moich dwóch sąsiadów tego nie robi, bo nie używali tej drogi zimą. Ubrałam się, wyszłam na taras i spokojnie przyjrzałam się okolicy: było kompletnie białe, cicho i nieruchomo. Odgarnęłam brzożową miotłą śnieg ze schodów, potem poszłam poszukać łopaty do odśnieżania. Wąska ścieżka przecięła doskonałą biel ogrodu. Wysiłek fizyczny sprawiał mi przyjemność, czułam się zdrowa i silna. Mroźne powietrze i delikatnie sypiący śnieg muskały mi policzki. Byłam szczęśliwa, bo ogród wyglądał bajkowo, słońce i śnieg zaś sprawiały, że wszystko było bardzo wyraziste, a ja lubię rzeczy wyraziste.

Z praktycznego punktu widzenia tragedii nie było: nie musiałam iść do pracy, bo jej nie miałam, już dawno też zgromadziłam dzemy, soki, konserwy i zapas chrupkiego pieczywa. Ciotka oprócz domu przekazała mi ponadto w spadku ogromną ilość opału, więc nie było się czym martwić. Miałam tylko powody, żeby się cieszyć, i czas, żeby tę sytuację docenić i wykorzystać. Część śniegu zalegającego na schodach zużyłam na ulepienie bałwana. Był wyższy ode mnie, dostał w rękę brzożową miotłą, na głowę garnek i węgielki jako oczy. Marchewkę miałam zamiar zjeść, więc bałwan pozostał bez nosa. Wreszcie miałam towarzystwo! Obfotografowałam zasypane białym puchem drzewa, wijącą się drogę i obtulony śniegiem dom. Już dawno nie widziałam takiej ilości czystego śniegu. Światło słońca odbijało się od białych kryształków i kłuło w oczy, a całkowity bezruch przyrody i absolutna cisza były aż nie do uwierzenia. Wdychałam ją i oczyszczałam nią swój umysł. Tak jakby biel tej zimy wymazywała wszystkie zalegające we mnie lęki, smutki i pragnienia. Cały ten śmietnik, który zgromadziłam tam przez lata. Było mi lekko i dobrze. Piękno tego miejsca sprawiało, że czułam się wyróżniona, mogąc je oglądać, i wcale nie miałam ochoty dzielić się tym na Facebooku. Było tylko moje. Wróciłam do domu i włączyłam radio, w którym jak zawsze w takich sytuacjach panował zamęt. Informacje, że zima znów zaskoczyła drogowców i stoimy w korkach, żeby dotrzeć do bardzo

ważnej pracy, i że to straszne pierwsze uderzenie zimy, aż krzyczały z głośników. Mnie to jednak tym razem nie dotyczyło. Nade wszystko Kocham w życiu ciszę, spokój i brak pośpiechu. Dlatego też w ten tak dramatyczny dla zewnętrznego świata poranek zrobiłam sobie kawę, a potem ciepło ubrana, wolnym krokiem jeszcze raz obeszłam swój ogromny ogród, który nakryty białą pierzynką wyglądał znacznie efektowniej i porządniej niż do tej pory. Zaczynałam nabierać wiary, że jakoś uda mi się przetrwać tę zimę!

Kaśka zadzwoniła z wiadomością, że na razie odwołała wszelkie działania w pracowni, w tym planowane na andrzejkowy wieczór wróżby, bo nie ma się jak do mnie dostać. Ustaliliśmy, że będziemy przygotowywać stronę internetową z ofertą na wiosnę i jak tylko spłynie śnieg, ruszymy pełną parą. Strona powstawała z pomocą strażaka Malwiny i chłopaka Kaśki, który studiuje informatykę. Otwierała się z animacją w postaci zlatującego na dach walącej się stodoły stada grubawych i figlarnych aniołków, głośno łopoczących skrzydłami. Z mojej inicjatywy oraz przy wsparciu Malwiny i z ironicznymi komentarzami Patrycji znalazło się na niej też moje wypieszczone dziecko, czyli mieniący się barwami czerwieni i tętniący jak puls link do Hotelu Złamanych Serc. Nie byłam pewna, czy tak się ten przybytek powinien nazywać, ale Internet wszystko przyjmie, więc machnęłam ręką i z polotem opisałam swoje dzieje, które doprowadziły mnie do zamieszkania na wsi, i ideę miejsca, no i oczywiście podałam cennik. Okrasiałam wszystko zdjęciami domu i ogrodu, a Malwina dodała swoją opinię na temat skuteczności „terapii”. Pozostawało mi tylko czekać na pierwsze klientki.

Tymczasem przyroda zamarła i ludzie też byli mniej aktywni. Na wsi rytm życia podporządkowany jest porom roku i pogodzie. Zima to czas, kiedy siedzi się w domu i odpoczywa, tak jak ziemia po sezonie. Jakie to mądre, żeby dać sobie czas, żeby zwolnić i naładować baterie. Ja łądowałam więc swoje. Na podłodze koło łóżka i fotela piętrzyły się książki. Szukałam w nich pomysłu na życie w tym zakątku. Potrzebowałam planu na przyszłość, bo już naprawdę nie miałam pieniędzy, a losy pracowni były na razie wielką niewiadomą. Może hodowla owiec, plantacja lawendy albo truskawek? Moje pomysły były zupełnie oderwane od rzeczywistości, ale śnieg przykrywał je litościwie i nie ujawniał ich nikomu poza mną samą.

Zadzwonił pan Błażej, upewniając się, czy wszystko jest w porządku, i przeprasząc, że nie przyjedzie w tym miesiącu z powodu warunków na drodze. Dzień po jego telefonie zobaczyłam przez okno pana Włodzimierza w czapce uszance, jadącego traktorem z przyczepionym z przodu pługiem. Odgarnął śnieg do mojej bramy, zawrócił i nie wyłączwszy silnika, wysiadł, pchnął furtkę i wszedł do ogrodu. Nie widzieliśmy się od czasu naszej rozmowy. Musiał się poczuć mocno urażony, bo nie przywiodła go nawet ciekawość, co się u mnie dzieje, gdy przyjeżdżał Barankiewicz. Ucieszyłam się, gdy go zobaczyłam, i postanowiłam przeprosić. Trudno, po prostu nie rozumiemy się, mamy inne światy w głowach i w sercach, ale nadal możemy być dobrymi sąsiadami. Otworzyłam mu drzwi, zanim zapukał.

– Dzień dobry, panie Włodzimierzu.

– Dobry..., notariusz mówił, żebyś zajrzała, śnieg odgarnął, jakby chciała iść do busa.

– Dziękuję bardzo, że pan pomyślał o mnie.

Pokiwał tylko głową i zapatrzył się gdzieś przed siebie.

– Śnieg mogę przyjść odgarnąć czasami – powiedział schrypniętym głosem, a ja poczułam, że to są właśnie jego przeprosiny, i stwierdziłam, że moje powinny wyglądać podobnie, ale nie miałam pomysłu, co mogłabym dla niego zrobić. W sumie nic o nim nie wiedziałam. Wydawało się też, że nie potrzebował mojej pomocy.

– Chce pan zobaczyć, jak zainstalowali piec? Już sprawdzaliśmy, wszystko działa jak trzeba. Mam też zupełnie nową kotłownię w domu – kuśiłam.

– To szybko, bo nie mam czasu – odpowiedział, wruszając ramionami.

Obejrzał wszystko dokładnie, sprawdzał jakieś zawory, przestrzegł, że trzeba przewody regularnie czyścić. W pracowni zrobił kwaśną minę na widok wykonanego przez Kaśkę szyldu z aniołami o pucułowatych twarzyczkach, ubranymi w niebieskie, kuse koszulki.

– To ma się tak nazywać? – skrzywił się, jakby bolał go ząb. Potem podniósł baranka, którego wypaliłam, i popukał w niego palcem. Pomalowany był błyszczącymi farbami na wściekły różowy, miał zawinięte błękitne rogi, a każde kopytko innego koloru. Pan Włodzimierz pogładził powierzchnię mojego dzieła i ważył je w dłoni.

– To dla pana zrobiłam – powiedziałam.

– Może być – odpowiedział, schował baranka do kieszeni i skierował się do drzwi.

Czyli topór wojenny zakopany! Odetchnęłam z ulgą i uśmiechnęłam się do jego zgarbionych pleców, bo czułam, że sprawiłam mu przyjemność, zdecydowanie większą pokazaniem wykonanych prac niż barankiem.

Do widzenia! – zawołałam, a on pomachał mi ręką, nie odwracając się.

Kolejny tydzień minął mi spokojnie i w dobrym towarzystwie. Czytałam ponownie książki z dzieciństwa i odkrywałam te, które ciotka kupić musiała już później. Dominowała literatura podróżnicza. A więc ona w tym swoim małym zakątku, choć wrosła w to miejsce jak drzewo korzeniami w ziemię, to jednak do końca marzyła o wyjazdach. W książce Halika „180 tyś. kilometrów przygody” odkryłam tym razem historię z Acapulco:

Legenda powiada, że za czasów imperium indiańskiego przybyła do Acapulco prześliczna dziewczyna, córka azteckiego wodza. Zamierzała znaleźć sobie męża. Oblegali ją najbardziej obiecujący młodzieńcy. Ona jednak ogłosiła wszem i wobec, że poślubi tego, kto wykaże najwięcej odwagi i dzielności. Młodzi zalotnicy, którzy prowadzili życie spokojne i pogodne, dalekie od bohaterskich wyczynów, patrzyli na siebie skonsternowani. Cóż mogliby zrobić, skoro nawet nie było wojny, w której mogliby dać próbę waleczności? Aż pewnego dnia młodzieniec imieniem Talt, zakochany w dziewczynie, poprosił ją, aby była świadkiem próby śmiałości, jaką chce jej zaprezentować. Dziewczyna z całą świtą przybyła na umówione miejsce (...), jeden z najwyższych szczytów skalnej ściany nad brzegiem morza. (...)

– *Co masz zamiar zrobić, Talt?* – zapytała dziewczyna.

– *Zaraz zobaczysz. Oto morze i plaża (...) podczas przyływu wody będzie tyle, że głębia stanie się trzykrotnie większa niż najwyższy mężczyzna. I właśnie wtedy rzucę się w morze.*

– *Zabijesz się!*

– *Muszę zaryzykować. Muszę ci dowieść swej odwagi! Czyż nie tego właśnie chciałaś?*

– *Tak!*

– *A potem dowiodę ci, że jestem mężczyzną!* Talt odwrócił się, sprężył do skoku i stanął na palcach. W chwili, gdy fale, rycząc, podeszły ku nadbrzeżnym skałom, rzucił się w wodę(...)

– *Zabił się!*

– *Już nie wypłynie.*

– *Taki młody...*

Ale wkrótce radość zagościła we wszystkich sercach, nawet w sercach jego rywali. Talt wypłynął na powierzchnię wody. Szybko dotarł do brzegu, po czym stanął przed dziewczyną. Gratulowała mu gorąco, dumna, że narażał życie z miłości do niej.

– *Będę twoją żoną, dowiodłeś mi, że będziesz dzielny – powiedziała młodemu bohaterowi. Talt uśmiechnął się:*

– *Dowiodłem ci swej odwagi, ale muszę dowieść czegoś jeszcze.*

– *Czego?*

– *Tego, że jestem mężczyzną. Posłuchaj, co ci powiem... zakochałem się w tobie,*

zakochałem się tak bardzo, że mniej sobie cenię własne życie niż pieśczętę twoich rąk i ust. Ale jestem mężczyzną. Nie mogę się żenić z kobietą, która nie liczy się z moim życiem i bez wahania przystała na to, abym jedynie dla jej pustej przechwałki narażał się na śmierć.

– Ale...

– Uważam, że moja decyzja jest rozsądna. Co ci po mojej dzielności, jeśli nie służy ona niczemu? A co mnie po życiu u twego boku, jeżeli nigdy nie sprawiłaby ci bólu myśl, że mogę zginąć dla twego kaprysu. Nie, nie ożenię się z tobą. Żegnaj!

Poczułam na ciele gęsią skórę i lęk przeszył mnie gdzieś w środku, od brzucha do serca. Ja też byłam jak ta indiańska dziewczyna, zapatrzona w siebie, przez moje głupie gadanie o rycerzach i naiwne oczekiwania romantycznych uniesień. Czy jestem dojrzałą kobietą, czy jakimś trofeum dla zwycięzcy? Jakie to bezmyślne, chcieć starań ze strony mężczyzn, a nie zauważać, jak się wtedy stajesz jedynie dodatkiem do całości. I jeszcze robiłam wykłady o kradzionym wietrze! Czułam, że zaczerwieniły mi się policzki, zamknęłam szybko książkę i schowałam ją pod fotelem.

Żeby się uspokoić, poszłam do sypialni ciotki Niny. Miałam ochotę z nią porozmawiać. Pokój był w takim stanie, w jakim go zastałam. Nic tu nie zmieniłam i nadal czułam się w nim trochę jak intruz. Może teraz bałabym się jej nieco mniej i mogłabym ją zapytać o rzeczy ważne dla mnie, a ona podzieliłaby się ze mną swoim doświadczeniem i mądrością? Nie znałam jej, nie wiedziałam, o czym marzyła i czy była kiedyś zakochana. Czemu była sama i mieszkała na odludziu? Otworzyłam jej szafę na ubrania. Wisiał w niej jeden płaszcz, jeden żakiet i czerwona parasolka. Ubrania, złożone starannie i posortowane według koloru, zajmowały zaledwie dwie półki. Na najniższej stały równiutko ustawione buty. Toaletka prawie pusta, jeden słoń porcelanowy z uniesioną trąbą, lusterko i szczotka do włosów, mały flakonik perfum. Otworzyłam i powąchałam. Na dnie była jeszcze resztką różanego zapachu, którym zwykle pachniała Nina w niedzielę. Usiadłam na jej łóżku, chyba zawsze spała w nim sama. Pokrywała je kolorowa narzuta, wydziergana na drutach, i stos małych poduszek. Ciotka albo spała na siedząco, albo miała bezsenne noce i czytała o podróżach. Popatrzyłam na pudła stojące w rogu pokoju. Nie pasowały do uporządkowanego wnętrza. Miała zamiar je wyrzucić i nie zdążyła? Zdmuchnęłam warstewkę kurzu zalegającą na wierzchu pudła, odkleiłam taśmę i zajrzałam do środka pierwszego z nich. Były w nim zeszyty. Ciotka trzymała swoje zeszyty szkolne? Miały niebieskoszare tekturowe oprawki, wypisany rok na tytułowej stronie i były ponumerowane. Kurz tańczył po pokoju i łaskotał mnie w nosie, kiedy otwierałam zeszyt z nagłówkiem: *Rok 1997.*

Żeby robić cokolwiek dobrze, trzeba to robić! – zaczęłam czytać. – Ćwiczyć, trenować, poświęcać temu czas i wysiłek. Trzeba pracować, bo nie od razu obraz jest jak dzieło van Gogha, a tekst jak spod pióra Balzaca. I tak samo w pracy nad sobą i swoim życiem, dzień po dniu wysiłek, nie da rady samym talentem i szczęściem. Niczego nie ma tak ot, od ręki. Czego nie zdobędziesz sama, nie dostaniesz od nikogo. Żal i bierność to nie jest rozwiązanie. Trzeba zawalczyć o swoje życie i wytrwale pracować. Ale nie dla samej pracy, bo ona się tu nigdy nie kończy i łatwo się zatracić w zmęczeniu, wyznaczaniu sobie coraz to nowych celów, pracy ponad siły, żeby wszystko było zrobione, i ciągłym popędzaniu siebie, żeby zdążyć.

Przebiegłam oczami tekst, a później przekartkowałam jeszcze początkowe fragmenty zapisków. Niewiarygodne! Ciotka pisała pamiętniki. Otworzyłam kolejne pudło, w nim też zeszyty! A więc robiła to przez dłuższy czas. O rany! Czytałam dalej pierwszy zeszyt:

Wczoraj w nocy, kiedy się położyłam, podjęłam decyzję, że koniec z głupimi marzeniami i snuciem ckliwych, romantycznych historii. Koniec z wyobrażeniami, że jestem inna i żyję inaczej. To jest głupie i dziecinne. Muszę się zająć swoim własnym, prawdziwym życiem i sobą taką, jaką jestem. Coś przecież mogę zrobić! Będę widzieć piękno i dobro w rzeczach małych i będę ich szukać, a nie czekać na nie. Sama też taka będę i nieuchwytna jak noc. Będę gotować i sprzątać, uprawiać ziemię i karmić kury, i to będzie wartościowe i piękne.

Otworzyłam trzecie pudło i upewniłam się, że też zawiera zeszyty. Wyjęłam je wszystkie. Ten, od którego zaczęłam czytanie, miał najnowszą datę i było ich wszystkich dwadzieścia, czasami na rok przypadały dwa zeszyty, czasami jeden, i to nie w pełni zapisany. Najstarszy miał datę 1970 i mocno pożółkłe kartki. Pobieźnie przejrzałam, o czym w nim ciotka pisała. Był cały, od pierwszej do ostatniej kartki, o miłości. Bo Nina była wtedy rozpaczliwie, nieprzytomnie i szaleńczo zakochana! Niewiarygodne, mnie jeszcze nie było na świecie, a Nina przeżywała swoją wielką i nieszczęśliwą, nieodwzajemnioną miłość.

Już wiedziałam, co będę robić przez najbliższe dni! Przeniosłam wszystkie zeszyty do kuchni i ułożyłam je na podłodze obok fotela w stosy, w kolejności według dat. Dołożyłam więcej drewna do pieca, aż zahuczał rubasznie, i zaparzyłam sobie herbaty. Przezornie wyłączyłam też telefon. Zagłębiłam się w lekturze i już nie patrzyłam, co dzieje się za oknem, gdzie śnieg sypał drobniutki, jak wiórki kokosowe, i pokrywał cały uśpiony ogród, schody i parapety kolejną warstwą białości.

Ciotka nie zawsze lubiła siebie, wręcz przeciwnie, dogadywała sobie dość ostro na kartkach najstarszych zeszytów:

Chciałabym kochać, ale nie mam kogo. Chciałabym być kochana, potrzebna i oczekiwana, a jestem brzydka, nudna i sama. Nigdzie na świecie nie znajdę kogoś, kto by dostrzegł we mnie piękno. Każdy chce być z kimś ładnym i nic nie pomogą urok osobisty ani eleganckie ubrania. Jak z tym żyć? Nie wiem, ale muszę próbować. Wampem nie będę już nigdy, kochana też nie. Jeszcze nie byłam, a wiem, że już nigdy nie będę!

O, jak się myliła! Swoją wczesną młodość spędziła ze spuszczoną głową, zagubiona i niepewna, kim i po co jest. Potem odnalazła cel, jakim była praca w domu dziecka. Była tam kucharką, ale dzieci Ignęły do niej jak ćmy do blasku lampy, a ona z obowiązków zawodowych napełniała ich brzuszki pysznym jedzeniem, a gratisowo wlewała w serca mnóstwo uczucia i radości. Wszystko to bardzo ją zmieniło, dodało jej skrzydeł. A potem niespodzianie, jak grom z jasnego nieba, spadła na nią miłość, wbrew jej zdroworozsądkowej naturze. Zakochała się w przystojnym mężczyźnie, który ją omotał, oplątał i oczarował, a ona przestała być człowiekiem myślącym, zmieniając się w zaślepioną uczuciem kobietę. Oddała mu wszystko, nie oczekując nic w zamian, chciała tylko trwać w miłości. On był rolnikiem, więc i ona zakupiła upadające gospodarstwo od pewnej starszej wdowy i zamieszkała na wsi. Nigdy mu nie powiedziała o swoim uczuciu, bo spotykali się niezobowiązująco. Trwało to siedem lat. Z czasem on zakochał się w innej kobiecie, która go jednak nie chciała. Ciotka go pocieszała i była dla niego cała i zawsze, a na kartkach swojego pamiętnika pisała:

Nie jestem stworzona do szczęśliwej miłości, niestety. Nikt nie spędza ze mną całej niedzieli, tylko wieczory. Daje mi ciepło na chwilę, a potem odchodzi do tej, którą naprawdę kocha, ale która go nie chce. Ja bym wszystko mu dała i chcę być atrakcyjna tylko dla niego, ale

moje uczucia dla niego nie istnieją. Ja nie istnieję. Tylko moje ciało. Na poziomie rozumu nie chcę miłości i w nią nie wierzę, ale serce całe oddaje się uczuciu, i zanurza się w nim, i już pogrąża się w jego odmętach. Uwodzi mnie, bo chce zaspokojenia, a ja mam nadzieję, że jak dam się uwieść, to mnie pokocha. Chciałabym być na tyle silna, żeby zrezygnować z tych spotkań, bo to nie jest dla mnie dobre. Już się do niego przywiązałam, już się uzależniłam, a przyjęliśmy na początku wspólne założenie, że się nie angażujemy! I siedzę, i myślę, i czekam, a kiedy on ode mnie wychodzi, to znikam. W sercu ma kogoś innego. Zbieram więc doświadczenia dotykowe, misternie owijam je w ozdobny papier i układam w szufladzie.

Chciałabym mieć jednego faceta od wszystkiego – rozmowy, przytulania, oglądania filmów i bycia razem. Ale jak na razie trafiają mi się modele z niewielkim wyborem funkcji. Mam wszystko, czego może pragnąć kobieta, ale kiedy on wychodzi, czuję się taka pusta. Ma wyjątkowo ciepły dotyk, ale to dotyk jednakowy dla każdego kobiecego ciała. Naruszyłam już chyba wszystkie swoje zasady – w myśleniu i zachowaniu. Co mi zostanie, jak to się skończy? Pustka i smutek, jak zwykle. To tylko facet, taki zwykły, który mnie bardzo pociąga. I tyle. Nie mogę głupieć i wariować! Mam jeszcze przed sobą część życia i nie wolno mi więcej zrezygnować z własnych planów dla niego i po to, żeby być z nim, bo jemu to obojętne, czy jestem, czy mnie nie ma.

Wymyśliłam go sobie od początku do końca, nadałam mu cechy charakteru i kolor oczu, kazałam sobie kochać. Nie posłuchał. Nie ma go takiego, istnieje tylko w moich marzeniach. On sam jest kimś innym, kogo nie znam i kto nie zna mnie. Chciałabym mieć szansę się z nim poznać.

Miłość przewijała się wciąż na kartkach pamiętnika, łącząc się wyraźnie z tęsknotą w sercu ciotki. Długie lata miłość ta żywiła się nadzieją i skrawkami szczęśliwych chwil. Potem znowu latami umierała powoli, zaprawiana raz szczyptą goryczy, raz okrucieństwem nadziei. Korzenie miała tak głębokie, że uparcie wypuszczała nowe pędy, mimo iż ciotka cięła je bezlitośnie, wypalała ciężką pracą, posypywała samotnością i surowym realizmem:

Przecież cię nie chciał – pisała – i nigdy nie zechce, bo już go nie ma, bo żyje swoje życie, a ty jesteś już w przeszłości cieniem niewyraźnym.

Ciotka długo nie mogła zamknąć karty przeszłości i zająć się teraźniejszością. Ciało doszło do siebie pierwsze, zahartowane, pocięte zmarszczkami, traktowane jak narzędzie do pracy w gospodarstwie. Serce, oplecione korzeniami miłości niechcianej, a tak potężnej, długo jeszcze wybijało jej rytm. Właśnie wtedy zainteresowała się ziołarstwem i zaczęła leczyć drobne dolegliwości, a przy okazji spotkań z ludźmi, którym pomagała, stawała się, jak to się zwykle zdarza, powierniczką ludzkich sekretów, cierpienia serca i duszy. I tak stała się szamanką w oczach niektórych, bo ich zdaniem przekraczała subtelne granice tego, co wypada i czego nie wypada, o czym się mówi, a o czym milczy. Wysłuchiwała tajemnic małżeńskich i bolesnych sekretów rodzinnych. Do jej domu, ukrytego tak zręcznie wśród drzew, krzewów i żywopłotu, przychodzili też ci, którzy szukali czegoś więcej niż tego, co widać, rzeczywistości głębszej w sobie i poza sobą.

Ciotka nie cenzurowała swoich pamiętników, pewno miała zamiar je zniszczyć, zanim ktokolwiek mógłby je przeczytać. Postawiłam na stole jej zdjęcie, które dołączyła do napisanego do mnie listu i co jakiś czas zerkałam na nie, żeby sobie uświadomić, że tak, to ona pisała! Moja surowa, milcząca, na pierwszy rzut oka niewrażliwa i w moim wyobrażeniu stara ciotka. Tak pięknie złamało się jej serce i tak szczerze o tym pisała, a taka niezdolna wydawała mi się do jakichkolwiek uniesień. Odarła siebie z każdego skrawka emocji i z odwagą przyglądała się

temu, co zostało. Nie uciekała przed sobą samą, jak to robię ja! Mam wrażenie, że poznanie zakamarków swojego serca i pogodzenie się ze sobą szło u ciotki w parze z rezygnacją z nadmiaru słów, którą ja odbierałam jako surowość, brak manier i obycia. Nie zawsze milczenie wynika z braku mądrych rzeczy do powiedzenia, złości czy niechęci. W najpiękniejszych zakątkach natury często panuje milczenie pełni i harmonii, a przecież my też jesteśmy częścią natury, więc może z ludźmi jest podobnie? Tajemnica duszy i serca drugiego człowieka to największy sekret świata. Znasz kogoś lata, odwiedzasz go, spędzasz wspólnie czas, śmiesz się lub kłócisz, a potem okazuje się, że nosił w sobie prawdy, których nawet nie podejrzewałaś, że jego serce jest głębsze i pojemniejsze niż największe jezioro. Myślałam, że urodziła się na wsi i tak się ułożyło jej życie, że już tam została. Ona jednak zamieszkała tam z miłości, a potem pozostała, aby leczyć serce pracą i ciszą. Zupełnie inaczej niż ja. Ja tutaj uciekłam od miłości, niby tylko na chwilę. Ale co się stanie, jeżeli ze względu na jakieś nieznanne na razie okoliczności pozostanę tu do końca życia? Nie jestem taka twarda jak Nina. A przecież nie trzeba wiele, żeby wydarzyły się rzeczy, które uznajesz za niemożliwe i nie do przyjęcia. Nie potrzeba długiego czasu, żeby wbrew swojej woli utknąć gdzieś na zawsze. Nie jesteś w stanie zatrzymać tego, jak rzeźbi cię życie i ludzie, którymi się otaczasz, i warunki, w jakich żyjesz. Rośniesz jak drzewo, albo karłowaciejesz i nie jesteś pierwszą osobą, która to dostrzeża.

Pogrążyłam się w swoich rozmyślaniach, a potem znów wróciłam do lektury i odnalazłam podobne rozważania w pamiętnikach ciotki. Przeszły mnie ciarki i skończyłam czytanie. Wskoczyłam do ciepłego łóżka. Nie wyłączyłam tej nocy lampy, zbyt wiele postaci z przeszłości przewinęło się dziś przez ten dom i nie chciałam, żeby ogarnęła go ciemność. Chciałam za to jak najszybciej zasnąć i przestać myśleć o tym, że jestem odrostem drzewa zasadzonego tutaj przed wiekami. Że ściągnęło mnie tu jakieś fatum, przeznaczenie. Bałam się, że gdy spojrzę w lustro, zobaczę twarz ciotki, jaką zapamiętałam, a potem rozpoznam jej dotychczas nieodgadnione dla mnie myśli, i to będą już moje myśli. Nasze wspólne myśli, bo stanę się nią. Po raz pierwszy tego wieczoru bałam się w tym domu, który tak cudownie mnie przyjął. Długo nie mogłam zasnąć, a gdy wreszcie odpłynęłam, męczyły mnie niemal magiczne wizje.

Po nocy nastął jednak dzień, a ja znów, jak przyciągana magnesem, podobnie jak za dawnych czasów, gdy hipnotyzowały mnie książki, zasiadłam w fotelu i czytałam dalej. Tajniki serca ciotki stały się moim sekretem. Pokochałam ją mocno i przestałam się jej bać. Z upływem czasu i liczbą zapisanych kartek ciotka przestawała pisać o miłości. Uczucie to zamknęło się na zawsze w jej sercu, jak mały owad zatopiony w bursztynie. Na kartkach jej pamiętnika pojawiły się za to próby uporządkowania swojego życia, nadania mu celu i sensu, a potem zwrócenia się do siebie i do innych przyjaźnie.

Myślę, że mam tu do zrobienia coś wspaniałego, ciekawego, w czym w końcu się wyrażę i uzewnętrznję. Coś, czego nikt nie potrafi we mnie zrozumieć, o czym nawet nie wiedzą, że istnieje. I marzę, że dzięki temu ktoś w końcu powie „rozumiem cię”, i to będzie prawda!

Tylko raz, prawie na końcu ostatniego zeszytu, pojawiło się krótkie zdanie, które świadczyło o tym, że był jeszcze jakiś mężczyzna w jej życiu:

Chcemy oboje nie być sami, ale niestety nie chcemy też być razem. Po prostu nie jesteśmy sobie pisani. I tyle. Cała tajemnica. Nie ma co rozpaczać.

Nie wyjaśniała, o kogo chodziło, nie podawała żadnych szczegółów, nie napisała też, kiedy ta znajomość się zaczęła i jak się potoczyła. Ujawniła mi tyle szczegółów o sobie w swoich

zeszytach, a i tak pozostałam z nierozwiązaną zagadką, kiedy skończyłam czytać ostatni z nich.

Z niechęcią wracałam do codziennych spraw, zresztą miałam ich niewiele i wydały mi się nagle bardzo płaskie, nieciekawe i mdłe. Wychodziłam co dnia na krótki spacer, odgarniałam pracowicie śnieg do furtki i dosypywałam ziarna ptakom do karmnika. Ale potem, żeby jeszcze zostać na dłużej w świecie dramatycznych miłości – czytałam dalej. I tak z rozpędu pochłonęłam całą *Trylogię*, *Krystynę*, córkę Lavransa, *Przeminęło z wiatrem*, ukochanego nad wszystko *Mistrza i Małgorzatę*, a potem *Wichrowe wzgórza*. Oczywiście miałam czerwone i zamglone, kiedy odrywałam się od losów moich bohaterów, żeby zjeść i się umyć. Tak minęło pół grudnia, a ja byłam na ciągłym haju książkowym i potrzebowałam odstawienia narkotyku, żeby wrócić do życia. Moja skrzynka mejlowa jeszcze nigdy nie była tak przepełniona wiadomościami, na które dawno powinnam była odpowiedzieć. W telefonie na poczcie głosowej alarmujące pytania, czy żyję, mieszały się z groźbami, że stracę przyjaciół, jeżeli natychmiast nie oddzwonię. Tego się przestraszyłam i ostatecznie uznałam, że jedynym wyjściem, żeby naprawić moje zniknięcie, była organizacja sylwestra dla nich wszystkich, z kuligiem, bitwą na śnieżki i nalewką ciotki Niny w roli głównej. Jedzenie będą musieli przywieźć ze sobą, bo na skutek kłopotów finansowych mogłam zapewnić niewiele ponad chleb i mleko. Najpierw zadzwoniłam do Malwiny i Kaśki. Obie wybaczyły mi dość szybko, kiedy opowiedziałam im historię miłości ciotki Niny, i od razu przyjęły zaproszenie sylwestrowe. Malwina w dobroci serca zaproponowała mi też spędzenie u niej Wigilii i Bożego Narodzenia. Wiedziałam, że z Patrycją, Anitą i Moniką nie pójdzie tak łatwo, wysłałam więc piękne zaproszenie mejlem z wizerunkiem galopującego rumaka i barwnym opisem planowanych atrakcji i czekałam na odpowiedź. Wszystkie trzy mnie zignorowały, więc musiałam postarać się jeszcze bardziej. W efekcie Patrycji nagrałam na pocztę głosową, misterne po względem wokalnym, wykonanie jej ulubionej piosenki Piotra Rubika, Monice przyrzekłam, że zrobię pierogi ruskie, czyli jedyne danie obiadowe, które wychodzi mi naprawdę dobrze, Anitę skusiłam możliwością obserwacji zmian w mojej osobowości i zaburzeń psychicznych pod wpływem odosobnienia, a ona dość złośliwie przyznała, że mogłaby się nawet z tego doktoryzować. Irminka też dostała zaproszenie, ale tak naprawdę w ostatnim mejlu skierowanym do mnie sama proponowała, że przyjedzie w sylwestra, żebym nie czuła się samotnie. Kamila nie była w grupie tych, którzy martwili się o mnie, bo uznała, że skoro widziała mnie niespełna miesiąc temu, pewnie wszystko jest w porządku. Ucieszyła się jednak szczerze, że żyję, bo kilka dni wcześniej miała sen, że zamarłam i moje bosc stopy obgryzał polarny niedźwiedź. Ale nie mogła przyjechać, bo niezbyt dobrze się czuła i nie chciała ryzykować takiej wyprawy. Obiecała, że pojawi się latem.

Z zapałem posprzątałam cały dom, a potem zajęłam się dekoracjami. Okazało się, że spirale z kłębków włóczki ciotki Niny i moje kolorowe skarpety to jedyne ozdoby, jakimi dysponowałam. Z ciężkim sercem i wielką niechęcią spisałam więc listę zakupów: balony, brystoł, farby, czapeczki i trąbki, a następnie pozostawiłam na chwilę swój cudowny świat, w którym nie szalała zima, tylko porywy namiętności, ubrałam się ciepło i po raz pierwszy skorzystałam z numeru telefonu, który, tak na wszelki wypadek, zostawił mi pan Błażej, i zadzwoniłam do pana Włodzimierza.

– Dzień dobry.

– No, dobry – odburknął jak zwykle swoim głębokim głosem.

– Jedzie pan dziś do miasta?

– No, może jadę.

– Zabrałabym się z panem na zakupy.

– A prawo jazdy niech zrobi wreszcie, samochód ma w stodole.

– Zrobię, zrobię. A o której pan jedzie?

- Już jadę.
- To ja jestem za pięć minut.

Kiedy przyszedłam, zdyszana, pan Włodzimierz grzał już maszynę na podwórku. Jechaliśmy z fasonem kremowym polonezem, którego silnik krztusił się i jazgotał. W miasteczku trwały gorączkowe zakupy. Ludzie biegali po sklepach ogarnięci szalem przygotowań do Świąt, a ja odsuwałam się z ich drogi i pozwalałam im się wpychać w kolejkę przede mną, ale robiłam to z wyrazem wyższości na twarzy, okazując tym samym, że jestem ponad to wszystko. Sprawunki zajęły mi trzy godziny, z czego pan Włodzimierz nie był zbyt zadowolony, ale na mnie poczekał. W drodze powrotnej chciałam z nim załatwić jeszcze jedną sprawę:

– Ma pan może sanie?

– No...

– A używa pan ich jeszcze?

– Jak trzeba, to używam.

– Bo ja chciałabym zorganizować kulig dla swoich gości w Nowy Rok. Wie pan, to takie miastowe dziewczyny, na pewno spodobałaby im się taka przejażdżka.

Parsknął i odniosłam wrażenie, że gdyby mógł, splunąłby ze wstrętem.

– W dupach się wam przewraca! Gadzina w zimie odpoczywa, jak w polu nie robi i ja nie będę po próżnicy woził. Chęć rozrywki, niech sobie włączą telewizor.

– Ale wie pan, nawet tak niedaleko? Ja zapłacę... – Czułam się trochę głupio, nie widziałam jednak nic złego w swojej propozycji. – A poza tym w telewizji nie ma nic ciekawego – powiedziałam nieśmiało i dość cicho, żeby go nie denerwować.

Kiwał tylko głową z dezaprobatą i nie odezwał się już do mnie ani słowem. Straciłam nadzieję, że kulig się odbędzie. Gdy dojechaliśmy, pozbierałam swoje zakupy i wysiadłam z samochodu. Powoli brnęłam przez śnieg w stronę domu. Wydeptana była tylko wąska ścieżka, a i ją wiatr zawiewał uparcie i sypał mi śniegiem w oczy. Przez chwilę pomogło mi wyobrażenie, że oto zdobywam biegun północny, w połowie drogi musiałam jednak przystanąć, odsapnąć i otrzeć uparcie toczące się po policzkach łzy złości, a może tylko wyciśnięte przez szalejące podmuchy... Myślałam, że będzie lepiej, odkąd przyjął tego głupiego barana. A tu nic! Niech się wykicha z tymi swoimi saniami, pojeździmy sobie na workach z górki, też będzie fajnie. I wcale nie musi mnie lubić, dziad jeden, ja też go nie będę lubić, kim w końcu dla mnie jest? Żeby jeszcze mnie pouczał, co mam robić, a czego nie?!

Wróciłam do zacisznego domu i chciałam zapomnieć o sprawie. Nadmuchiwałam balony i rozwieszałam papierowe serpentyny. Cały czas jednak miałam świadomość, że zgodnie z obietnicą daną sobie będę musiała opisać, co mnie zezłościło, w swoim dzienniku pracy nad sobą. Zaparzyłam więc po południu zieloną herbatę i zasiadłam do pisania: co się wydarzyło, co powiedziałam, pomyślałam, zrobiłam i na ile to było uzasadnione. Okazało się po raz kolejny, że zachowałam się jak mała dziewczynka, która tupie nogą, bo tatuś nie dał jej zabawki.

Zniechęcająca część pracy nad sobą polegała na ciągłej konfrontacji z tym, czego w sobie nie znosisz. Ale czemuś to służy. Negatywne cechy mają ci tak obrzydnać, żebyś zaczęła zachowywać się inaczej. Ludzie nie muszą spełniać moich pragnień, a ja mogę na to reagować spokojnie i sama zdobywać to, na czym mi zależy. Zapisawszy ten wniosek czerwonymi drukowanymi literami, poszłam do stodoły poszukać dużych foliowych worków i wypchać je sianem, żeby dobrze się zjeżdżało z górki. Humor mi się poprawił i nawet wieczorem odwiedziłam pana Włodzimierza i ofiarowałam mu w prezencie butelkę nalewki ciotki Niny. Zdziwił się, ale bez zbędnej wylewności przyjął prezent, a na koniec życzył mi wesołych świąt. Zadowolona z siebie wróciłam do domu.

Święta minęły błyskawicznie. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego desperacko staramy

się złapać ważne momenty w życiu, a jednocześnie często umyka nam to, co w nich najważniejsze. Dwie tylko takie noce w roku, obie pełne nadziei, i dzieją się w nie rzeczy wielkie, a giną pod stosem jedzenia lub prezentów. Rodzina Malwiny przyjęła mnie ciepło i gościnnie, a jej mama bacznie pilnowała, żebym najadła się do syta. Patrząc przez okno w wigilię Bożego Narodzenia na skrzący się w blasku księżycy śnieg, chciałam wierzyć, że będą kiedyś takie święta, które spędzę z tym, kogo kocham, i razem będziemy mieć nadzieję, że ta noc po raz kolejny odmieni nas i świat. Z radością i spokojem wracałam po dwóch dniach do siebie. Dom witał mnie znajomym już zapachem, słońce zaglądało przez okna, jakby chciało zobaczyć, czy już jestem, a krople wody z roztopiających się sopli, które wisały u rynny, z cichym pluskiem uderzały w parapet i brzmiało to jak: dobrze, że już jesteś. Zastanawiałam się, jak spędza święta Mikołaj. Czy zostawił dla mnie kawałek opłatka, jak ja dla niego? Większość czasu w okresie od świąt do sylwestra spędziłam w łóżku, oglądając najpierw musical o małym chłopcu i jego przyjacielu bałwanku, a potem ulubione epizody *Przyjaciół* i pięć filmów z Audrey Hepbourn. Było mi smutno, że nie idziemy na lodowisko jak co roku i że w kolekcji świątecznych kartek brakuje tej wyjątkowej, od Mikołaja.

Z odrętwienia otrząsnęłam się dopiero w wieczór przed sylwestrem. Nie chciałam przedstawiać swoim długo niewidzianym przyjaciółkom rozmemłanej wersji siebie, ale tę gospodarsko-wiejską, rozsądną i silną. Wyskoczyłam ze szlafroka pod prysznic, włączyłam Paolę Nutiniego i jeszcze raz posprzątałam odkurzaczem i wytarłam kurze w całym domu, umyłam i wypolerowałam kieliszki i szklanki, ułożyłam komplety czystej pościeli w sypialni ciotki i w pokoju gościnnym. Włożyłam pod poduszki maleńkie woreczki z suszonymi kwiatami lawendy, a obok łóżek zawinięte w rulony świeże ręczniki i pachnące świeczki. Na drugi dzień rano starannie przygotowałam się na spotkanie z wyczekiwanymi gośćmi. Naszykowałam starą czapkę uszankę, jeden z relikwów przeszłości, który ocalałam dla potomnych podczas sprzątania domu, i wysokie gumki, w które dla potrzeb scenograficznych dnia dzisiejszego upchałam nieco słomy, aby mi z butów wystawała. Dla kontrastu paznokcie pomalowałam na krwistoczerwony kolor, po raz pierwszy od trzech miesięcy zrobiłam makijaż i skropiłam się perfumami. Całości dopełniały dziurawe na kolanach džinsy, naciągnięty wełniany sweter i wielobarwny szal, który zaczęła na drutach ciotka, a skończyłam ja, w efekcie czego jego koniec był o dobrą połowę węższy niż początek.

Spodziewałam się dziewczyn wczesnym popołudniem. Miały wziąć taksówkę z miasteczka i zadzwonić, gdy do niej wsiądą, żebym zdążyła wyjść im naprzeciw i przekonać, że tam, gdzie droga się kończy i wydaje się, że nie ma niczego prócz ton śniegu, jest kierunek, w którym trzeba iść, aby dotrzeć do celu. Jakie było moje zdumienie, kiedy usłyszałam dźwięk dzwonek, piski i krzyki w chwili, gdy kończyłam lepić pierogi, malowniczo posypana mąką, w fartuchu z holenderskimi wiatrakami. Wyjrzałam przez okno, a tam zbliżały się do domu wielkie sanie zaprzężone w dwa konie. Z tyłu rozchichotane i z zaróżowionymi policzkami Irmina, Anita i Monika, a na koźle pan Włodzimierz z nieprzeniknioną twarzą, opatulony różowym szalem i z wyraźnymi śladami szminki na policzkach. Obok niego Partycja z rozwianym włosom, wymachująca batem i pokrzykująca na konie. Nadjeżdżali rozpędzeni, pozostawiając za sobą chmurę wzbitego w powietrze śniegu. Gwałtownie zatrzymali się przy furtce. Przez chwilę obserwowałam z wielką radością, jak każda z dziewczyn opuszczających sanie wyciskała kolejno na wysuszonych policzkach pana Włodzimierza soczystego całusa. A potem szybko skompletowałam swój strój reprezentacyjny i wybiegłam im na spotkanie, dysząc z radości i ekscytacji.

– Dziewczyny, ale fajnie, że jesteście!!! – przywitałam je najgłośniejszym głosem, jak umiałam.

– Rita, witaj! Ale masz supergościa sąsiada! – ryczała Patrycja, wymachując batem

w powietrzu, aż konie strzygły uszami i gryzły wędzidła. – Włodek, Kocham cię! – wrzeszczała dalej jak opętana.

– Cześć, wariatki! – Pośliznęłam się, otwierając im furtkę, i przewróciłam Monikę. Ta, dotknawszy śniegu językiem, wybuchła śmiechem, a Irmina zaczęła jeszcze wcierać jej śnieg w policzki. Przyjechały wszystkie zawiane! Oczom nie mogłam uwierzyć, nawet Anita straciła swój zwykły, nieco surowy wygląd i poważne spojrzenie zza okularów i jak tylko wyskoczyła z sań, zaczęła zwoływać wszystkich do lepienia bałwana i obrzucać śnieżkami. Wreszcie na koniec razem z Patrycją wytarzały się w śniegu, zachęcając pana Włodzimierza, żeby do nich dołączył.

Wycalowałam i wyściskałam wszystkie po kolei. Teraz dopiero uświadomiłam sobie, jak bardzo mi ich brakowało.

– Chodźmy do domu, czas wrzucać pierogi! – uznałam, że trzeba opanować rozochoczone towarzystwo.

– Pan wejdzie z nami – zachęcała pana Włodzimierza kulturalnie Irminka. – Pierożki będą dzisiaj – kusila go, przytrzymując się dyskretnie jego ramienia, bo ewidentnie chwiała się na nogach. Coś tam mruknął, że musi końmi się zająć i że zaraz przyjdzie.

– Czekamy! – Patrycja pomachała mu zalotnie.

– Ale masz fajowy dom, a gdzie łazienka? – zainteresowała się Monika już od progu.

– Zaraz na prawo – wskazałam jej.

– A drzwi ci zginęły czy ich nie widzę? – zdumiała się.

– Ale za to mam drzwi do kuchni. Zamkniemy je za sobą, a ty się nie krępuj – wyjaśniłam jej rzeczowo, a ona musiała być na tyle zdesperowana, że nie protestowała.

– Tak się tutaj do ciebie jedzie i jedzie, że się wydaje, że świat się dokoła objeżdża

– filozoficznie nastawiona Irmina wypakowywała przywiezione wiktuały.

– A jak romantycznie było... – weszła jej w słowo Patrycja, która już wyławiała z garnka pieroga. – Wsiadamy z taksówki, rozglądamy się po okolicy, a tu zajeżdża w tumanach śniegu saniami twój sąsiad i zgarnia nas jak ten Bohun albo jakiś inny Wołodyjowski.

Nie miałam pojęcia, skąd pan Włodzimierz wiedział, o której one przyjadą, ale byłam mu wdzięczna, że zapewnił im tyle frajdy.

– Dobrze zaopatrzona biblioteka i tak przytulnie – kiwała głową z uznaniem Anita, która zdążyła obejść cały dom i zdecydowała, że będzie spać w sypialni ciotki, skąd przyniosła już jeden z jej pamiętników i umościła się w fotelu z zamiarem zagłębienia się w lekturze.

Tymczasem Monika wróciła z łazienki i już nastawiała płytę, i porywała do tańca Patrycję, która podrygiwała z nabitym na widelec pierogiem. Pojawił się też pan Włodzimierz. Nakryłam do stołu i zasiedliśmy do uczy, wszyscy nagle bardzo wygłodzeni. Potem zaczęły się toasty i nowo wybuchające powitania i uściski, bo ściskał się każdy z każdym, nawet dziewczyny między sobą. Pan Włodzimierz patrzył na to z politowaniem, a potem rozpaczliwie próbował zapanować nad sytuacją.

– Bagaże wniosą i pojedziemy po wsi na kulig – zarządził, następnie jednak, ze względu na brak naszej reakcji, sam zabrał się za wnoszenie walizek dziewczyn do domu. Na koniec nawet zamknął drzwi wejściowe i dopilnował, żebyśmy wszystkie wsiadły do sań.

Mróz szczypał w nos, a pęd powietrza chłostał po twarzy. Patrycja intonowała piosenki i koordynowała śpiew, i tak mknęliśmy przez zasypaną po uszy wioskę wśród ujadania okolicznych psów. Echo niesło nasze pieśni i okrzyki z wiatrem, ale poza tym było cicho i biało. Kiedy wracaliśmy, robiło się już ciemno. Po drodze zabraliśmy Kaśkę i Malwinę, które objuczone jedzeniem szły w kierunku domu. Gdy przedstawiłam moje nowe przyjaciółki dziewczynom, te wyściskały je z wielkim uczuciem. Anita zapytała Malwinę:

– To ty jesteś ta wyleczona?

– Tak, i znów zakochana – zaśmiała się Malwina.

– Musisz mi koniecznie wszystko opowiedzieć – zapaliła się Anita i straciłam w tym momencie nadzieję, że moja przemiana będzie tematem jej doktoratu, jako że wyleczone złamane serce, i to w rekordowo krótkim czasie, dla każdego jest tematem bardziej interesującym. Konie parskały, sanie sunęły gładko, a gwiazdy migały obiecująco nad nami. Cały czas w głowie miałam słowa: „Trwaj, chwilo, jesteś piękna”. Miłość jest ważna, ale to jedynie przyprawa do dania głównego, którym jest przyjaźń.

Gwar, piski i śmiechy opanowały mój tak cichy na co dzień dom i nie było słyhać jego zwykłych, tajemniczych trzasków, westchnień i szeptów. Muzyka grała, dom ożywiony był światłami jak nigdy dotąd, a szmer rozmów i salwy śmiechu wypełniały nawet najdalsze zakątki ogrodu.

– To jak się przemieniałaś? – niecierpliwie domagała się sprawozdania Anita, kiedy już siedziałyśmy przy stole, popijając grzane wino i obserwując, jak Patrycja z Moniką tańczy.

– Miałaś jakieś wglądy? Pracowałaś z poradnikiem? Robiłaś ćwiczenie wody? – zasypała mnie pytaniami.

– Tak inaczej niż w książkach mam, wiesz – zwierzałam się jej z westchnieniem. – Cisza i brak wydarzeń wokół mnie sprzyjają odkryciom, które w zgiełku codzienności pewno bym przeoczyła lub nie miała na nie czasu. A potem długo nic się nie dzieje i wreszcie nagle zauważam, że już się zmieniłam. Nie wiem, czy to tak dobrze.

– Ważniejsze jest, czy w dobrym kierunku – zauważyła Anita.

– Widzisz, tak filozoficznie to mówisz, a ja nie znam kierunku i nie wiem, dokąd ma mnie to wszystko zaprowadzić – odpowiedziałam bezradnie.

– To ciesz się tym, że nie stoisz już więcej w miejscu, jak to było dotychczas.

– Jest mi tu dobrze, ale nadal nie wiem, co dalej. – Upiłam spory łyk wina, a Patrycja, przemyskując obok w tańcu, od razu napełniła mi znów kieliszek.

– To znaczy, że nie żałujesz, że tu przyjechałaś i zostawiłaś Mikołaja? – przyłączyła się do rozmowy Irmina.

– Cieszę się, że tu przyjechałam – odpowiedziałam, unikając ich wzroku, a Irmina przytuliła mnie mocno i już o nic nie pytała.

– Malwina, może rozpalimy ognisko o północy? – zaproponowałam z kpiną w głosie o jedenastej. – Musimy przecież jakoś wyjątkowo przywitać nowe!

– Albo lepiej zróbmy krąg życzeń – zawołała Anita.

I tak o północy, kiedy zaczynał się Nowy Rok, po którym znów tyle sobie obiecywałyśmy, złapałyśmy się wszystkie za ręce, a następnie stojąc na bieluteńkim śniegu i patrząc w granatowe niebo pełne gwiazd, których naprawdę nigdy nie widać w mieście, wykrzycałyśmy każda swoje życzenie na nadchodzące miesiące. W niebo poszybowały wyrzucone równocześnie z naszych ust nadzieje, jak zaklęcia.

– Chcę się zakochać!

– Będę sławna!

– Wyjdę za mąż!

– Będę tworzyć!

– Zacznę studia!

– Będę kochać!

– Będę sobą!

I pomieszały się ze sobą i nikt nie wiedział już, co kto krzyczał, ale odnajdywałyśmy część siebie we wszystkich tych życzeniach. Anita powiedziała, że krzyząc razem, mamy

większe szanse, że się nam marzenia spełnią, ale jednocześnie jest duże ryzyko, że spełni się nam nie własne życzenie, ale czyjeś i że to jest wyraz mądrości księgi życia, która wie lepiej, co dla nas dobre. Uznałam, że wszystkie życzenia były warte ziszczenia, więc niech nam się spełnią!

„Ten, komu samotność daje zadowolenie, jest albo dzikim zwierzęciem, albo bogiem”, stwierdził Bacon. Mnie samotność hojnie obdarowywała, ale nie czułam się ani jednym, ani drugim. Jednocześnie za żadne skarby nie oddałabym nikomu swoich przyjaciół. Prawdziwe spotkania z drugim człowiekiem dawały mi radość, siłę i możliwość weryfikacji kierunku, w jakim zmierzam. W życiu wyznawałam jednak zasadę, że z ludźmi, nawet najbardziej kochanymi, tylko się bywa. Idzie się kawałek razem, w towarzystwie i jest to czas wartościowy i piękny. Ale potem trzeba wrócić do siebie, chociaż na chwilę. I ostatecznie z ważnymi zadaniami, pytaniami i celami oraz wyborami życiowymi pozostajemy sami, bo taka jest po prostu nasza ludzka natura.

Dom opustoszał po wyjeździe dziewczyn i usłyszałam, jak głośno gra w uszach cisza. Nieskazitelną biel, uparcie trwająca zimowa aura nastrojała mnie nostalgicznie. Zawsze lubiłam poezję Stachury, jego ideę indywidualizmu i pójścia pod prąd. Teraz poczułam, że żyję jak on, a za oknem trwa *Zawieja w Michigan*. Patrząc, jak prószy i wieje śnieg, przesypując się przez sito nisko zawieszonych chmur, słuchałam:

*Zapada serce w śnieg,
Pustkowie ciągnie się,
Wysepki żadnej, drzew,
Ni domu, z domu gest:
Wejdz! Wejdz! Wejdz! Wejdz! Wejdz!*

*Pustkowie hen i hen,
Zawieja mróz i biel,
Zawylem aż po kres,
Czy się spodziewać, że...
A wicher w trąbki dmie:
Nie! Nie! Nie! Nie! Nie!*

*Miłości nasze tam,
Są tam, gdzie nie ma nas (...).*

Nie potrzebna była mi ta przestroga. Wiedziałam, że nie mam się czego spodziewać, ale czy serce nie żyje czasami swoim życiem, wrywając się przed rozum, zarozumiale udając, że wie lepiej niż wszyscy? Ciągle nie miałam wiadomości od Mikołaja, nie pojawiła się też żadna próba nawiązania ze mną kontaktu przez mojego rycerza z nienapisanej jeszcze bajki. Doszłam więc do wniosku, że słowa, które mi mówił, były pustymi deklaracjami. Skoro tak mnie kochał, dlaczego pozwolił mi odejść i nigdy mnie nie szukał? Jakbym była niczym! Idiotyczne, bo przecież istniałam bez niego. Schudłam co prawda na swojej prostej diecie, wynikającej częściowo z lenistwa, a częściowo z braku umiejętności i środków, ale przecież nadal byłam. Tylko jakiś kawałek mnie zaginął, bezpowrotnie przepadł w momencie, kiedy się od niego wyprowadziłam. Myślałam najpierw, że to małe, nieistotne cząstka, że jakoś dam radę, ale z upływem czasu przekonywałam się, że to był najważniejszy element układanki.

Zawsze chciałam mieć taki dom, w którym mieszkałabym ze względu na emanujące z niego ciepło, a nie z konieczności. Teraz miałam dom, uwite gniazdko, w którym czułam się

bezpiecznie, ale nie kochałam, bo moje serce zostało gdzieś w świecie. Czy kiedyś do mnie wróci? Czy wróci samo, czy muszę wyruszyć na poszukiwania, żeby je znaleźć? Skoro to ja wyjechałam, to i ja muszę wrócić, jak Odys, chociażby po to, żeby się przekonać, co się stało z moim sercem, czy było pielęgnowane i ktoś się o nie troszczył, czy może leży gdzieś na śmietniku. Ukołysała mnie cisza i ciemny dzień, zasnęłam snem nagłym i głębokim, z którego człowiek budzi się gwałtownie, nie wiedząc, gdzie jest. We śnie jakaś kobieta wykopywała dorodną roślinę z ogrodu, obserwowałam ją z napięciem i też chciałam tę roślinę mieć. Poprosiłam, a ona oderwała mi małą część, którą postanowiłam zasadzić i pielęgnować, aż będzie tak duża jak roślina tej kobiety.

Zima zadowoliliła się śniegiem, którym sypała przez ostatni miesiąc, i zrobiło się pogodnie. Kaśka przyjeżdżała więc kilka razy w tygodniu i przygotowywałyśmy pracownię na pierwsze warsztaty, wyrabialiśmy glinę i ćwiczyłyśmy obsługę pieca. Czasami towarzyszyła jej Basia, przyjeżdżała, żeby posiedzieć i pogadać. Stopniowo zaczęły też dołączać inne kobiety z koła. I tak niepostrzeżenie, w styczniu tego roku spotkania przeniosły się z remizy do mnie. Jedynie pani Matylda nie przychodziła, a wszystko, co miała do powiedzenia, przekazywała nam na zebraniu zakłopotana całą sytuacją Kaśki. Podglądałam, jak pani Grażyna szydelkuje i robi na drutach. Udzieliła mi kilku wskazówek i popłakała się ze śmiechu, gdy zobaczyła, jak pięknie wykończyłam szal ciotki Niny. Malwina też przychodziła, kiedy tylko mogła i raz się zdarzyło, że książką, którą mi oddawała, zainteresowała się pani Czesia. Tak zaczęłyśmy się wymieniać książkami i myślami na temat tych przeczytanych. Wreszcie odnalazłam kogoś, kto kochał historię *Mistrza i Małgorzaty* tak jak ja. Była to Beatka, nadal z trwałą i w obcisłych dzinsach, wyglądająca dokładnie tak, jak zapamiętałam ją ze swojego pierwszego spotkania koła i jednocześnie ostatnia osoba, którą podejrzewałabym o miłość do lektury. Dyskutowałyśmy wieczorami zawzięcie na temat wyborów życiowych i losu Piłata, a kiedy przeczytała *Biegnącą* i zakochała się w niej jak ja, zdradziła mi, w największym sekrecie, że marzy o napisaniu książki. Zасыpiając, uśmiechałam się do siebie, bo czułam, że krok po kroku zaczyna się tworzyć coś pięknego. Bez planu i szumnych celów, ale naturalnie i spontanicznie, według naszych potrzeb.

Echo pamiętników ciotki Niny nieprzerwanie odzywało się we mnie i wciąż porównywałam jej drogę życiową z moją własną. To zaskakujące, jak łatwe było wczucie się w jej sytuację teraz, kiedy przyszło mi żyć na jej miejscu, oglądać te same widoki i patrzeć w to samo niebo. Nieuzasadnione stały się wszelkie osądy, opinie, etykiety, które miałam do tej pory na jej temat. Pojawiła się pokora wobec intymności osobistego doświadczenia i wyborów drugiego człowieka, których nigdy nie jesteśmy w stanie w pełni odczuć i zrozumieć. Ta świadomość zmieniła też mój stosunek do kobiet z koła. Stałam się delikatniejsza w rozmowach, ostrożniejsza w ocenach i krytyce. Dzięki temu ciągle odnajdywałam w tych kobietach zaskakujące cechy. Każdy dzień rozpoczynałam pełna zapału. Co wieczór, zamykając oczy, żałowałam, że nie ma obok mnie Mikołaja, któremu mogłabym opowiedzieć, jak minął mi dzień, i zapytać, jaki był jego. Gdyby tylko nawiązał ze mną kontakt, dał mi sygnał, że czeka, i nadzieję, że coś jeszcze jest możliwe... Wkurzałam się na niego, że nie zadał mi ani jednego pytania i nie zrobił ani jednego wyrzutu, a tym samym nie mogłam się wytłumaczyć. Co mogłam zrobić? Musiałam dalej działać, żeby utwierdzać się w przekonaniu, że było warto wywrócić swoje życie do góry nogami.

Strona internetowa miała tylko kilka wejść dziennie. Stwierdziłyśmy, że to stanowczo za mało i razem z Kaśką i Malwiną umówiłyśmy się raz w pizzerii, w której jadłam swój pierwszy posiłek po przyjeździe do miasteczka, żeby obgadać, jak to zmienić. Dzień był mroźny, więc z ulgą wpadłam do środka, tupiąc mocno butami, żeby strząsnąć z nich śnieg. Na kominku ogień trząskał wesoło i od razu zrobiło mi się cieplej na jego widok. Zdjęłam czapkę, odwinęłam szalik

i usiadłam jak zwykle najbliżej ognia. Za barem była znów Meg Ryan. Zmieniła fryzurę i miała zafrasowany wyraz twarzy, który pokryła uśmiechem, jak tylko wyczuła, że na nią patrzę. Zamówiłam herbatę i czekałam na dziewczyny, bezmyślnie patrząc w okno. Z oczekiwania wyrwał mnie nagle dzwonek telefonu.

– Dzień dobry, czy to Hotel Złamanych Serc? – usłyszałam w słuchawce.

– Tak, witam.

– Chciałabym zarezerwować miejsce na najbliższy weekend.

– Oczywiście, dla jednej osoby... – bardziej stwierdziłam, niż zapytałam.

– Tak, na nazwisko Solska, Małgorzata Solska.

– Bardzo proszę, o której godzinie można się pani spodziewać?

– W piątek, około dziewiętnastej.

– Świetnie, proszę jeszcze o adres mejlowy, to wyślę pani mapkę i wskazówki dojazdu.

– Nie trzeba, znam okolicę, do zobaczenia.

Spodziewałam się gości z daleka, a tu ktoś z sąsiedztwa. To mi podsunęło pomysł, żeby rozwiesić plakaty i rozprowadzić ulotki w miasteczku. Dziewczyny właśnie weszły, więc od razu podzieliłam się swoimi przemyśleniami i nowiną, że w hotelu będzie pierwszy gość. Malwina poszła zamówić herbatę, a Kaśka od razu wyjęła szkicownik i zaczęła robić projekt plakatu.

– Niech będą na nim anioły – doradziła Malwina, wracając z herbatą. – Będzie się kojarzyło też z pracownią, a poza tym anioły są dobre na kłopoty sercowe.

– No, najlepiej anioły stróże, żeby strzec cię przed głupim lokowaniem uczuć – dodałam.

– Będzie serce z plasterkiem, a nad nim anioł przepasany szarfą z nazwą hotelu i zdjęcia roześmianych kobiet w tle – Kaśka opisywała, co miała zamiar narysować.

– Aaaaa, jak cudownie – zawołałyśmy z Malwiną ironicznie, a Kaśka dość mocno kopnęła mnie pod stołem w kostkę.

– Najlepiej, żeby był motyw drogi. Mam fajne zdjęcie tej polnej drogi, która prowadzi do domu Niny – powiedziałam już na serio.

– Tak, i to na tej drodze anioł spotykałby skaleczone serce – dodała Malwina.

– I jeszcze przeprowadzałby przez kładkę dwoje dzieci idących do szkoły – dołączyłam się ze śmiechem.

– Droga i zdjęcia kobiet to nie jest zły pomysł, a najlepiej nasze zdjęcia! – rozkręcała się Kaśka – A z anioła to może zostawię skrzydła. – Szkicowała zawzięcie.

Postanowiłyśmy rozbudować stronę o kącik mola książkowego oraz dodać forum.

Umieściłyśmy też ogłoszenia o wszystkich planowanych warsztatach.

Lokal był pusty, a my rozmawiałyśmy dość głośno i kilka razy podchwyciłam spojrzenie Meg Ryan z za baru. Badawczo nam się przyglądała i po prostu słuchała, o czym mówiłyśmy. Niewiele myśląc, Kaśka poszła do niej i zagadnęła:

– Zapraszamy do naszej pracowni, co myślisz o plakacie? – Pokazała jej swój projekt.

– Przepraszam, że tak bezczelnie podsłuchiwałam, ale to bardzo ciekawe, o czym mówicie. Chętnie zapisałam się na warsztaty garncarstwa.

Kaśka wzięła od niej adres mejlowy, obiecała, że ją wpisze na listę i da znać, kiedy warsztaty będą się rozpoczynały. Niedługo potem się pożegnałyśmy, bo Malwina szła do pracy, a Kaśka na zajęcia do szkoły. Ja wracałam do siebie, układając sobie w głowie, co muszę zrobić przed przyjazdem Małgorzaty. Byłam podekscytowana i pełna zapału do działania. Rażno zmierzałam w stronę domu. Kiedy mijałam cmentarz, zza drzewa kołyszącym się krokiem wyszedł niski gość w kożusku, ogromnej czapie, wielgachnych rękawicach oraz z przerwą między przednimi zębami. Uśmiechnęłam się do niego przyjaźnie, a on zagadnął:

– Skarbeńku, a czemu śmieci tu na cmentarz przynosisz?

– Słucham? – uśmiech zamarł na moich ustach.

– Wyrzuciłaś tu śmieci, tak nie można!

Rozejrzałam się, nikogo za mną nie było, musiał zatem mówić do mnie, zupełnie od rzeczy, obłąkany pewno jakiś. Wzruszyłam więc tylko ramionami i szłam dalej, biedak. Do cmentarza miałam z przystanku autobusowego jakieś półtora kilometra, i to pod górę. Trudno mi było sobie wyobrazić kogokolwiek taszczącego z dołu śmieci na cmentarz, a już najmniej mnie samą. Facet jednak najwyraźniej był przekonany, że to ja. Stał wciąż na drodze i coś jeszcze do mnie mówił, lekko wygrażając pięścią. Kiedy odeszłam na tyle, że już go nie słyszałam, spokój powrócił i szybko zapomniałam o całej sprawie. Wokół było pięknie. Śnieg skrzył się i migotał, mroźne powietrze szczypało w płucach. Nagle ogarnęła mnie ochota, żeby się wytarzać w śniegu jak młody pies. Z kominów moich sąsiadów unosiły się wąskie smużki dymu, jak okiem sięgnąć żywej duszy. Niebieskobrudna linia nieba stykała się z białą okolicą, w oddali krakały wrony. Zdjęłam plecak i położyłam się na śniegu. Zaczęłam robić anioła i tak mnie to ucieszyło, że chichotałam już na cały głos. Patrzyłam prosto w niebo, które wydawało się oddalone zaledwie na odległość ręki, zawieszane nisko, jak na sznureczkach. Było mi trochę zimno w plecy, ale skoro już leżałam na śniegu, dlaczego się nie sturlać po zboczu? Złożyłam ręce razem na piersi, zrobiłam zamach biodrem i już sunęłam po miękkiej pierzynie. Śnieg oblepiał mi twarz, zgubiłam też czapkę, na przemian pluąc śniegiem i śmiejąc się w głos. Zatrzymałam się po kilkunastu metrach.

– Boże święty, co się stało?! – usłyszałam zbliżający się dość szybko, zaniepokojony kobiecy głos.

Przetarłam ręką twarz i usiadłam powoli.

– W porządku, dobrze się czujesz, dziecko? – Starsza pani, owinięta niemal od stóp do głów ogromnym szalem, z niewielkim plecaczkiem, w czapce z pomponem i w zaciemnianych okularach, stała nade mną i przyglądała mi się z troską w oczach.

– Dziękuję, wszystko dobrze. Tak się trochę poślizgnęłam... – tłumaczyłam się mętnie, otrzepując ubranie ze śniegu.

Podawała mi rękę i pomogła wstać. Uścisk miała mocny, a oczy zdecydowanie zbyt niebieskie.

– Ja do Artystycznej pod Aniołami, dobrze idę? Tu chyba nic nie ma... – patrzyła na mnie pytająco, jakby niepokojąc się, czy upośledzone dziecko tarzające się w śniegu udzieli jej dobrych informacji.

– Trzeba iść w tamtą stronę – wskazałam dłonią.

– A będzie tam ktoś dzisiaj? Ja się nie umówiłam, po prostu przyjechałam, bo poczułam, że to dla mnie najlepsze miejsce na naładowanie baterii na początku roku. Nie lubię telefonów, więc nie dzwoniłam, lepiej się dogadać twarzą w twarz – powiedziała, uśmiechając się promiennie, a mnie się wydało, że od tego uśmiechu zrobiło się nagle ciepło.

– Tak, oczywiście. Ja też idę w tamtą stronę.

– Bardzo tutaj pięknie i niedostępnie. Musiałam wziąć taksówkę, bo nic tu nie jeździ – słowa płynęły z jej ust, a ja bardzo chciałam ich słuchać, bo brzmiały jak czarodziejski flet.

Szłyśmy gęsiego po chrupiącym śniegu. Słyszałam, że miała lekką zadyszkę, nie szłam więc szybko, chociaż biel śniegu drażniła oczy, a mróz szczypał coraz bardziej. Otworzyłam furtkę i przytrzymałam ją, puszczając gościa przodem. Uśmiechnęła się szeroko i tak jakoś dziewczęco.

– Też tu przyjechałaś leczyć złamane serce? – zapytała porozumiewawczo.

– Jak tu przyjechałam, to jeszcze nie wiedziałam, że było złamane – odpowiedziałam.

Uniosła wysoko brwi, a ja wyjęłam z kieszeni klucze i zaczęłam otwierać drzwi

wejściowe do domu.

– A więc to ty? – Przyglądała mi się badawczo.

– To ja? – nie wiedziałam, o co jej chodzi.

– Ja jestem Tola – wyciągnęła do mnie rękę na powitanie, a kiedy ją uściśnęłam, miałam wrażenie, że czyta ze mnie jak z otwartej książki i w jakiś sposób dotyk jej w tym pomaga.

– Od Niny wiem, że tu jesteś.

– Od ciotki Niny? Niby jak?

– Zabójczo przystojny notariusz dostarczył mi kilka tygodni temu list z propozycją od Niny, abym cię odwiedziła na początku roku, o ile jeszcze tu będziesz.

– Dostała pani list od Niny?

– Po prostu Tola, nie pani – ucięła krótko. – Tak, dostałam od niej list. Cóż, poza tym nie odzywała się do mnie, odkąd odeszła, chociaż obiecywała, że da znać, jak jest po drugiej stronie – dodała z uśmiechem.

Poczułam ciarki na plecach. Ta kobieta przyciągała mnie i przerażała jednocześnie, jak anioł i diabeł w jednej osobie.

– To co? Wchodzimy do środka? – zagadnęła, przytupując.

– Tak, oczywiście, proszę – powiedziałam zachęcająco.

Weszła niespiesznie i rozglądała się bardzo uważnie. Chciałam usłyszeć, że jej się podoba to, co widzi. Tola jednak milczała. W korytarzu zdjęła płaszcz i buty, a potem jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem, wsunęła stopy w kaptur Niny, powędrowała wprost do jej fotela i rozsiadła się wygodnie. Wydawała się nie zauważać mojego zaskoczenia, które starałam się pokryć rozmową.

– Nigdy nie byłeś tu u Niny? – zapytałam.

– Znałyśmy się z czasów, gdy pracowała w domu dziecka, potem już tylko pisałyśmy do siebie i ona odwiedzała mnie bardzo rzadko. Jestem tu pierwszy raz i już rozumiem, dlaczego tak kochała to miejsce i została tu do końca. Tutaj jest niesamowita atmosfera, jak na pustyni i nic wokół, tylko to, co w tobie.

– Dziwne, nie znalazłam żadnego listu od ciebie w rzeczach Niny – zastanowiłam się na głos, bo nagle przyszło mi do głowy, że to jakaś wariatka, którą sama wpuściłam do swojego domu, i nie wiadomo, co się wydarzy dalej.

– W naszej przyjaźni pojawił się okres kryzysu, pewno wtedy zniszczyła je wszystkie. Bywała bardzo gwałtowna, gdy chodziło o ludzi, na których jej zależało – odpowiedziała Tola w zamyśleniu.

Jeżeli to prawda, to ona na pewno zna odpowiedzi na wszystkie pytania odnośnie ciotki Niny, z którymi pozostawiła mnie lektura jej pamiętników, ucieszyłam się. Milczaliśmy. Miałam wrażenie, że pograżyła się w przeszłości i próbuje odnaleźć Ninę w tym domu, podobnie jak to robiłam ja, kiedy tu przyjechałam. Bardzo lubię ludzi, z którymi się dobrze milczy. Wzbudzają moje zaufanie i to mnie do Toli przekonało ostatecznie. Postanowiłam poczekać i zobaczyć, po co do mnie przyjechała. Po dłuższej chwili odezwała się:

– Na pewno znalazłaś i przeczytałaś jej pamiętniki? Bazgrała je co wieczór przez pół życia – zagadnęła, kiedy przygotowywałam herbatę i wysypywałam na talerzyk owsiane ciasteczka.

Skinęłam głową.

– Przeczytałam i bardzo chciałabym z nią teraz porozmawiać. Chociaż raz ją spotkać. Tola kiwała głową, jakby doskonale rozumiała, o czym mówię.

– Wspominała, że niezbyt dobrze się znałyście.

– Nie była osobą, której mała dziewczynka wpycha się na kolana, żeby usłyszeć bajkę

– wzruszyłam ramionami.

– A już na pewno nie taka dziewczynka, jaką byłaś ty.

To krótkie zdanie sprawiło, że poczułam się jak na kanapie u psychologa i dostałam gęsiej skórki. Cała ta historia z listem od Niny wytrąciła mnie z równowagi, a teraz Tola niebezpiecznie szybko przystępowała do obierania mnie z kolejnych warstw obronnych, jak cebulki. Odnosiłam wrażenie, że gram niewielką rolę w przedstawieniu, którego nie rozumiem, i dzieją się rzeczy, na które nie mam wpływu, a moja wolna wola wcale już taka wolna nie jest – wszystkimi moimi działaniami kierują jakieś potężne siły przeznaczenia i losu utkanego przez starą, zasuszoną babcię z domku na kurzej stopce. Wypiłyśmy powoli herbatę, potem pokazałam Toli dom i obejrzałyśmy razem zdjęcia z albumu ciotki Niny. Tola wspominała, jaką Nina była świetną kucharką i jakim okropnym kierowcą, podobno na widok jej samochodu pozostali uczestnicy ruchu zjeżdżali do rowu, żeby uniknąć nieszczęścia.

– Bardzo kochała to, co robiła w domu dziecka. Ja uważałam, że nie powinna się była tu przeprowadzać – powiedziała z zadumą, kiedy odłożyłam album na miejsce w sypialni Niny.

– Zrobiła to z wielkiej miłości – zaprotestowałam.

– Aha, wymieszanej pół na pół z wielką głupotą – dokończyła Tola z lekkim przekąsem.

– Może wydawało jej się, że miłość jest związana z poświęceniem i wyrzeczeniem dla kochanej osoby.

– Miłość ma mnożyć, a nie odbierać. Jej zabrała wszystko, a na koniec on odszedł i została z pustymi rękami.

– Ale też ze świadomością, że zrobiła dla tej miłości wszystko, co mogła. Mnie jest to obce – dodałam.

– Tak, to jakie jest twoje wyobrażenie o miłości? – zainteresowała się.

– Fascynuje mnie miłość trudna, miłość wbrew wszystkiemu, która rodzi się z bólu, niedowierzania, niechęci i ożywa w odpowiedzi na czyjeś głębokie uczucie. Wzrusza mnie rodzenie się miłości z niczego, w sytuacji, kiedy jej być nie powinno, i do osób, które krzywdzą z miłości i jednocześnie desperacko pragną być kochane.

– Aha, czyli twoja miłość jest przynoszona na ołtarz, jako dar za czyjeś uczucie, nie rodzi się z fascynacji czy zauroczenia?

Pokiwałam głową w odpowiedzi.

– W takim razie jest niebezpiecznie bliska litości.

– Może... – powiedziałam tylko, a w głowie dokończyłam: „Może dlatego tak trudno mi odpowiedzieć na pytanie, czy kogoś kocham. Zazwyczaj nie miewam motyli w brzuchu, a te pojedyncze sytuacje, kiedy czułam takie motyle, kończyły się zwykle dla mnie boleśnie, bo byłam odrzucana i wszystko pozostawało na poziomie czysto cielesnym”.

Poczułam się niezręcznie pod baczny spojrzeniem Toli. Wstałam i poskładałam koc, włożyłam kubki do zlewu, a potem zaczęłam sprzątać okruszki z blatu kredensu. Stojąc do niej tyłem, czułam się mniej przezroczyta i bezbronna wobec jej analiz.

– Miłość w odpowiedzi na miłość, stworzona z łez, kamieni, ziemi, kwiatów, przygotowanej herbaty i posiłków, obserwowania i przeżywania czyichś trudności, a także z pragnienia, żeby ustrzec przed kolejnymi, dać pocieszenie, ochronić, taka miłość może i jest bliska litości, ale jest też bliska zwykłej dobroci. I to mam na swoją obronę. Miłość drugiego człowieka rozczuła mnie i powoduje, że chcę dać coś z siebie, nawet jeżeli nie jest to według ciebie miłość – powiedziałam po chwili, gdy już ułożyłam sobie w głowie to, co chciałam wyrazić.

– Pytanie tylko, czy taka miłość wystarczy, żeby być z kimś, dla kogo miłość bliższa jest fascynacji, motylom i zauroczeniu. A druga, mniej piękna strona takiego uczucia, to władza, jaką

ci daje. Ty nie płaczesz z miłości, nie obgryzasz paznokci z niepewności i nie robisz się zazdrosna. Jesteś letnia.

– Ja jestem tam z miłości!

– Tak, ocierasz łzy, a przy okazji możesz kontrolować stopień bliskości i czuć się bezpiecznie, wiedząc, że nie zostaniesz porzucona, a nawet jeżeli, to nie będziesz bardzo cierpieć.

– No dobrze, zgadzam się, to trochę karłowata miłość, jaka rośnie na niezbyt żyznym podłożu, ale czy jest nikczemna i godna potępienia? Mogę powiedzieć z ręką na sercu, że kocham, ale nie czuję się po uszy zakochana, jak w amerykańskiej komedii romantycznej. W filmach jest to czymś złym, końcem znajomości, podłożem, na którym nie da się stworzyć udanego związku, a dla mnie staje się materiałem budulcowym, z którego powstają rzeczy trwałe.

– Trwałe, ale czy dobre? A jeżeli poznasz kogoś, w kim się zakochasz i zauroczysz? Czy twoja miłość, będąca mieszanką dobroci, litości i dobrej woli, okaże się na tyle silna, żeby uniemożliwić odejście za nowym uczuciem?

Nie odpowiedziałam, bo nie znałam odpowiedzi na to pytanie. Siedziałam w milczeniu i obserwowałam pająka, który wędrował po ścianie, a Tola po chwili kontynuowała:

– Wiesz, mnie się wydaje, że gdy nie mówisz czyjejs miłości „nie”, to mówisz jej „tak”. Przyciągasz i odpychasz potem według swojego kaprysu, ale ona nadal opiera się na braku twojego sprzeciwu. Gdy nie kończysz czegoś, co nie ma u ciebie szansy, to tworzysz więź, relację z czystego egoizmu, która jest zwyrodniałym mutantem miłości, ale bardzo żywotnym, bo opycha się nadzieją jak dziecko cukierkami.

Narastała we mnie niechęć. Co ona wie, mądra taka? Przyjeżdża tutaj, nawet nie na moje zaproszenie, i od progu wciska mi prawdy, których się wcale od niej nie domagałam! Byłam na nią zła i wymawiając się od rozmowy zmęczeniem, poszłam do łóżka. W nocy nie mogłam jednak długo zasnąć. Zbudowałam całą teorię swojej trudnej miłości, a ona mi sugeruje, że kocham najbardziej siebie. Obudziłam się następnego dnia niechętnie i żałowałam, że nie jestem w domu sama. Odsunęłam zasłony i uchyliłam nieco okno, a dzień przywitał mnie błękitnym niebem, mroźnym powietrzem i wielką kulą słońca. Nie byłam pierwsza na nogach. Po kuchni krzątała się już Tola, podśpiewując pod nosem *Godzinki*. No proszę, byłam przekonana, że jest czarownicą, a to jest pobożna starsza pani, z niekonwencjonalnym sposobem bycia i ubioru oraz niewyparzoną językiem i skłonnością do roztrząsania ludzkich uczuć jak psychoanalityk. Ubierałam się bardzo powoli i rozmyślałam, że to dzisiaj przyjeżdża Małgorzata i niezależnie od tego, jaka jest jej miłość, Tola zetrze ją, jak jabłuszko na tarce.

Gdy weszłam do kuchni, czekał na mnie już omlet i kubek malinowej herbaty, a Tolę ujrzałam przez okno, jak opatulona spacerowała po ogrodzie. Małgorzata około południa wysłała mi SMS, że musi odwołać przyjazd z ważnych powodów. Zostałam więc sama z Tolą, ale ona wyciszyła się i już nie rozmawiałyśmy o miłości ani o mnie, jakby zrażone otwartością naszej pierwszej rozmowy. Uczyla mnie gotować rosół i piekła chleb, opowiadała o ziołach, jakie powinny się znaleźć w moim ogrodzie, i o ulubionych kwiatkach Niny, pokazywała mi, czym wywabiać uporczywe plamy i jak przygotować najlepszy środek czyszczący łazienkę. Wieczorem, podobnie jak ciotka Nina, zagłębiła się w lekturze, a ja z radością zrobiłam to samo. Wreszcie zapytałam ją o Ninę:

– Czy ona była tutaj szczęśliwa, jak już odszedł jej ukochany i wiedziała, że nie wróci?

– Była – odparła bez namysłu – oczywiście, że tak.

– I nie żałowała, że nie mieszka w mieście, nie chciała wracać, robić kariery? Mówiłaś przecież, że kochała pracę z dziećmi.

– Ale bardzo pokochała też ziemię i pracę na roli. I to jak tu pięknie i cicho, że tyle przestrzeni. Wiesz, ja myślę, że to jest dojrzałość, umiejętność godzenia się ze stratą.

– Nie miała poczucia, że utknęła? Zmarnowała życie? Po co tak ciężko pracowała w domu i na roli, skoro i tak nie miała tego komu przekazać?

– Jak to nie miała? Przecież przekazała tobie. Czasami myślę, że ona do końca tutaj na niego czekała i nie chciała przegapić, gdyby jednak się zjawił. Miała pewność, że będzie wiedział, gdzie jej szukać. A potem wrosła w tę ziemię, jak drzewo, i znalazła inne szczęście niż miłość i praca z dziećmi. Dużo satysfakcji dawały jej spotkania z ludźmi, którym pomagała. Była bardzo uczynna.

– Ja ją pamiętam jako szorstką i niedostępną, trudno mi uwierzyć, że dzieci w domu dziecka do niej lgnęły.

– Otwierała się na tych, którzy czuli się nieszczęśliwi i jej potrzebowali. Widocznie ty nigdy taka nie byłaś.

Zabrzmiało w jej głosie coś, co sprawiło, że się nie oburzyłam i nie obraziłam, a zamilkłam, zaskoczona, że to powiedziała i tym, że może mieć rację. Może tak właśnie było, że czekałam, aż ciotka zrobi pierwszy krok, a ona czekała, aż zrobię go ja, bo była niezmiernie delikatna, co odbierałam jako oschłość.

– A kim był mężczyzna, który pojawił się później?

– Pojawił się?

– Tak, wspomina o nim w pamiętniku, że nie są sobie pisani i mimo iż oboje są samotni, to nie chcą być razem.

Uniosła wysoko brwi i wyglądała na zaskoczoną. Zapatrzyła się w płomień świecy i podparła ręką czoło tak, jakby chciała przede mną ukryć swoją twarz. Milczenie przedłużało się i straciłam nadzieję, że mi odpowie. Otworzyłam znów książkę, po raz kolejny *Mistrza i Małgorzatę*. Małgorzata przyjęła właśnie propozycję Wolanda i smarowała się kremem dostarczonym przez Azazella, żeby potem odmłodzona i silna odlecieć na miotle, pełna nadziei, że odzyska swojego Mistrza. Czytanie przerwała mi Tola:

– Przepraszam, że tak umilkłam, dopiero dziś się dowiedziałam, że był ktoś jeszcze. Bardzo obcesowo potraktowałam Ninę, kiedy tak zaangażowała się w tę znajomość, a dla mnie było jasne, że nic z tego nie będzie. To dlatego nic mi nie powiedziała, a przecież tyle lat pisałyśmy do siebie o wszystkim, tak przynajmniej myślałam – była wyraźnie poruszona.

– Nie da się dzielić wszystkim. Są rzeczy, które muszą pozostać tajemnicą, zwłaszcza takie, które dotyczą miłości i relacji dwojga ludzi, bo to świat o pojemności dwóch osób.

– Masz rację. Jak się wmiesza trzecia osoba, nawet najlepsza przyjaciółka, i zaczyna udzielać dobrych rad, coś bardzo kruche i intymnego znika bezpowrotnie – dodała, kiwając głową, i do końca wieczoru siedziała z otwartą książką, ale nie przewróciła ani razu kartki.

Tola była cała zanurzona w przeszłości, rozważając swoją przyjaźń i pewno zastanawiając się, co by było, gdyby nie zawiodła swojej przyjaciółki tak, że ta odcięła się od niej i zatrasnęła bezpowrotnie drzwi prowadzące do tajemnic swego serca. Tak więc nie wszystkie tajemnice Niny rozwikłała mi rozmowa z Tolą. Męczyła mnie jeszcze jedna sprawa i zapytałam o nią w ostatni dzień pobytu Toli u mnie. Jadłyśmy właśnie pączki z dżemem różanym, które przygotowała dla mnie jako prezent pożegnalny, i popijałyśmy sokiem porzeczkowym ze spizarni Niny.

– Czy ciotka umiała czarować? – odważyłam się wreszcie spytać, kiedy mój żołądek, błogo syty, przestał reagować na cudowny zapach pączków i zachłannie domagać kolejnego smakołyku.

Tola zaczęła się śmiać gromko, aż jej korpulentna postać cała się zatrzęsała.

– Myślę, że bardzo by chciała, ale jestem przekonana, że nie potrafiła.
– Kobiety w sklepie kiedyś wspomniały o czarach i o obrzędach przy ognisku.
– Twoja ciotka była dość niekonwencjonalną osobą i zawsze robiła to, na co miała ochotę, jeżeli tak podpowiadało jej serce i intuicja. Wierzyła, że można pomóc innym w radzeniu sobie z kłopotami, jeżeli wyzwoli się ich twórczy potencjał. Myślę, że ognisko, o którym mówisz, to był jeden z jej, jak to nazwały panie ze sklepu – obrzędów.

– Czyli odprawiała obrzędy...

– Oczywiście, a jak inaczej wytrzymałaby tutaj sama, w głuszy, bez odrobiny rozrywki i szaleństwa? Potrafiła naprawdę niezłe improwizować, a przy tym nie obawiała się rozmawiać z ludźmi o rzeczach ważnych zamiast o duperelach.

– Szkoda, że tego nie widziałam. Pamiętam tylko, że lubiła śpiewać wieczorami, wtedy obawiałam się jej nieco mniej i czasami, kiedy siedzieli z sąsiadem w ogrodzie, ja u siebie w sypialni nuciłam razem z nimi.

– To wiem, pisała mi o tym i ciągle miała nadzieję, że wyjdiesz i się do nich przyłączysz.

– Naprawdę? Pisała ci o tym? – byłam zaskoczona, że ciotka pisała na mój temat do swojej przyjaciółki. – Lubiała mnie? – chciałam dowiedzieć się więcej.

– A myślisz, że gdyby było inaczej, to podarowałaby ci dom?

– Wiesz, co innego coś dać, a co innego powiedzieć, że się lubi czy kocha.

– Tak, a jeszcze coś innego dać to, co się najbardziej na świecie kocha, tak jak ona kochała to miejsce. Lubiała cię, chociaż czasami chciała, żebyś była inna – wyjaśniała mi Tola cierpliwie i delikatnie. – Dostrzegała jednak w tobie wiele podobieństw do siebie samej. Myślę, że dlatego zapisała ci dom. Miała nadzieję, że docenisz wartość i magię tego miejsca.

– Magię! Właśnie sprawiasz, że znów zaczynam wierzyć, że tu dzieją się czary, jak tylko się odwracam plecami – zaperzyłam się. – Obie z ciotką macie miotły zaparkowane w garażu i czarnego kota na ramieniu, a ciągle zaprzeczacie, że wasza chatka ma kurzą stopkę!

Tola śmiała się tak, że łzy płynęły jej ciurkiem po twarzy i myślałam, że już nigdy nie przestanie. A kiedy skończyła, to spojrzała na mnie i zaczęła znowu. Zostawiłam ją samą w kuchni i poszłam po jeden z pamiętników ciotki, który chciałam Toli dać prezencie. Pisała tam dużo o swojej przyjaciółce, myślę, że chodziło właśnie o Tolę. Miałam poczucie, że Tola chciałaby się zyskać pewność, że Nina za nią tęskniła, żałowała swojej złości na nią i zerwania kontaktu. Przez wiele miesięcy zastanawiała się, jak by to było, gdyby ich przyjaźń rozwijała się nadal, i wielokrotnie pisała, że przeprasza i że drugiej takiej przyjaciółki już nigdy w życiu mieć nie będzie. Wróciłam do kuchni z zeszytem przewiązany różową wstążką i wręczyłam go Toli, która zdążyła już spakować swój plecaczek i czekała tylko na to, żeby się ze mną pożegnać. Przyjęła prezent z błyszczącymi oczyma i uściśnęła mnie bardzo mocno, a pan Włodzimierz, który miał ją zawieźć saniami do drogi, gdzie umówiła taksówkę, właśnie nadjeżdżał.

– Cieszę się, że cię poznałam i mam nadzieję, że odwiedzisz mnie jeszcze – powiedziałam, kiedy szliśmy razem do furty.

– To był magiczny czas – mrugnęła łobuzersko i widząc moją minę, zawołała: – No, przestań się boczyć, w życiu zdarza się nam dokładnie tyle magii, w ile jesteśmy w stanie uwierzyć, i nie mam na myśli żadnych czarów!

W gości niewinności podniosła do góry obie ręce w pasiastych, wełnianych rękawiczkach z jednym palcem. Ucałowała mnie siarczyście w oba policzki i wskoczyła zgrabnie na sanie, a ja pomyślałam, że i panu Włodzimierzowi bardzo dziś błyszczą oczy.

Powoli szłam w stronę domu. Na schodach czekał na mnie bury kot i głośnym miauczeniem domagał się jedzenia. Nie przyszedł ani razu, kiedy była Tola, i swoją wizytą

ogłaszał powrót do normalności, czyli domu wolnego od intruzów. Nasypałam mu do miski karmy.

– Oj kocie, to dopiero początek! Na wiosnę mój hotel to będzie hit! Wiesz, ilu osobom łamią się każdej wiosny serca na skutek źle ulokowanych uczuć?

Na kocie nie zrobiło to jednak wrażenia, i tylko chrupał karmę i mruczał zadowolony.

Uśmiechnęłam się do nisko zawieszonych ciemnych chmur i weszłam do domu. W kuchni na stole leżał mały pakunek, podpisany moim imieniem. Niecierpliwie rozerwałam papier.

W środku była płyta *Cztery pory roku* Vivaldiego, a do niej przyczepiona mała karteczka, na której napisane było zamasztyrzym pismem: „Powiedziałam ci kiedyś, że trzeba umieć godzić się ze stratą. Myślę, że trzeba też umieć odzyskać i potem się odrodzić na nowo. Tola”.

Po wyjeździe Toli opatuliła mnie szalenie zima. Wiało, sypało i kurzyło. Pan Włodzimierz od czasu do czasu odśnieżał moją drogę ku cywilizacji, a ja korzystałam z niej rzadko. Zaczęłam pisać list do Mikołaja, ale moje zapęty ostudziło kilka nieudanych prób ubrania myśli w słowa. Gdybym chciała być szczerą, musiałabym napisać po prostu SMS: „Tęsknię za Tobą. Może kiedyś będę gotowa wrócić. Uciekłam, bo potrzebowałam czasu, żeby przyjrzeć się sobie, nie dlatego, że cię nie kocham. Wybacz mi i czekaj na mnie”. I tyle. To jednak za mało, żeby wyjaśnić pośpieszny wyjazd i milczenie przez kilka miesięcy, a jednocześnie jest w tym za dużo oczekiwań wobec niego. Bałam się, jak mógłby odpowiedzieć na taką wiadomość, a jeszcze bardziej się bałam, że nie odpowiedziałby wcale, że jego miłość już się wypaliła i zgasła, i została w jego sercu wyłącznie jej następczyni – obojętność. A ja nie chciałam o tym wiedzieć, wolałam ludzić się, że nadal mnie kocha i jest zraniony. Chciałam wierzyć, że może kiedyś mu przejdzie i o mnie zawalczy znowu.

Przez dwa tygodnie ferii mieszkała u mnie Kaśka. W tym czasie przeprowadziłyśmy zajęcia dla czterech grup dzieci. Moje rozmyślenia na temat życia uczuciowego i miłości chwilowo znikły, ucięte ostrym nożem wszechobecnych dziecięcych wrzasków, pisków, entuzjastycznych okrzyków i pytań. Podziwiałam Kaśkę za to, jak świetnie sobie radziła z naszymi podopiecznymi. Garnęli się do niej i słuchali uważnie, co do nich mówiła. Ja pełniłam funkcję pomocniczą, a w praktyce skupiałam się na wyrabianiu gliny, pomaganiu dzieciom cichym, bo mniej mnie wyprowadzały z równowagi, i maluchom, które nie radziły sobie za dobrze. Rozmawiałam z nimi o tym, co malowały na serduszkach, pieskach, kwiatkach i ludzikach, uformowanych z tak wielkim trudem oraz z pomocą wystawionego i przygryzanego koniuszka języka. Opowiadały bardzo chętnie, o swoich rodzinach, zwierzętach i marzeniach. Na koniec wychodziły od nas z uśmiechem od ucha do ucha, a my miałyśmy poczucie, że robimy coś strasznie ważnego i pożytecznego. W trzeciej grupie dzieci była Kornelka, która już pierwszego dnia zwróciła moją uwagę dwoma cienkimi warkoczykami, z zawiązanymi na końcach niebieskimi kokardami, i poważnymi brązowymi oczami. W trakcie zajęć przyglądałam się jej uważnie i słuchałam, o czym rozmawiała z innymi dziećmi. Wydawała mi się dystyngowana i nad wiek dojrzała. Nie dokazywała i nie rzucała się plasteliną z resztą rozbrykanego towarzystwa, stojąc nieco z boku, ale interweniowała od razu, gdy komuś działo się krzywda albo gdy ktokolwiek był smutny. Chętnie opowiadała o swoich dziełach i o tym, co lubi robić. W przyszłości chciała być weterynarzem. Udzielała mi informacji, jakie ptaki gromadzą się przy moim karmniku. Przejęła zresztą od pierwszego dnia obowiązki jego napełniania ziarnem i przyniosła mi książkę o ptakach, żebym zdobyła wiedzę na temat tego, jakich skrzydlatych mieszkańców mam w ogrodzie i co zrobić, żeby im się u mnie dobrze żyło. Od Kaśki dowiedziałam się, że to najstarsza córka Basi. Ostatniego dnia zajęć dziewczynka podeszła do mnie i złapała za rękę.

– Chciałabym tu jeszcze przyjechać – powiedziała, wpatrując się we mnie swoimi

wielkimi oczami.

– Super, na pewno jeszcze kiedyś was zaprosimy i zrobimy ciekawe zajęcia.

– Na zajęcia też – zgodziła się.

– A na co jeszcze? – zaintrygowała mnie.

– Na odpoczynek – powiedziała poważnym tonem, a mnie się zachciało śmiać. – Mama mówiła, że jest tu hotel dla osób, które cierpią przez serce. Widziałam też stronę w komputerze.

– Chcesz powiedzieć, że potrzebujesz odpoczynku i masz złamane serce? – nie wiedziałam, czy dobrze ją zrozumiałam.

Pokiwała głową w milczeniu.

– To ja cię zapraszam na wypoczynek, jak tylko mama się zgodzi – spontanicznie zaproponowałam, chociaż nie miałam zbyt wielkiego pojęcia, jak należy zajmować się sześciolatką, jak leczyć jej złamane serce, i nie potrafiłam opowiadać bajek na dobranoc.

Kornelka zmarszczyła czoło, jakby jeszcze nad czymś myślała, i nadal nie puszczała mojej ręki.

– Fajnie! – ucieszyła się. – Bo ja miałam taki sen ostatnio, że była piękna wiosna, nie tak jak teraz, i ja siedziałam tutaj przy drodze, i grałam na fujarce – powiedziała szybko, na jednym wydechu.

Tym razem nie wytrzymałam i zaczęłam się śmiać.

– Bardzo się cieszę, bo na fujarce nikt tu jeszcze nie grał, więc tym milej mi będzie, jeżeli przyjedziesz – powiedziałam wesoło i pogłaskałam ją po miękkich włosach. – A umiesz grać na fujarce? – zainteresowałam się.

– Jeszcze nie próbowałam, ale skoro mi się śniło, że potrafię, to może już potrafię?

– odpowiedziała z żelazną dziecięcą logiką. I kto wie, może miała rację, że uczymy się w snach.

Kaśka tymczasem ledwo panowała nad czeredą rozbrykanych dzieciaków szalejących na śniegu i dawała mi rozpaczliwe sygnały, więc poszłam jej pomóc. Kornelka nadal stała, zapatrzona gdzieś daleko, i przemknęło mi przez głowę, że chyba nie jest szczęśliwa. Szybko jednak zapomniałam o tej myśli i dopiero kiedy już całe towarzystwo odjechało, wrócił do mnie obraz zamysłonej dziewczynki. Ale przekonałam samą siebie, że Baśka na pewno była świetną mamą i zauważyłaby, gdyby coś było nie tak.

Zajęcia dla dzieci okazały się strzałem w dziesiątkę. Po ich zakończeniu szkoła z miasteczka zainteresowała się stałą współpracą. Kaśka energicznie zaangażowała się w rozmowy, a ja zastanawiałam się, jak oprócz dzieci, przyciągnąć ich rodziców, a szczególnie matki. Pojawił się też problem, że nie mam wykształcenia potrzebnego do pracy z dziećmi, ale Baśka i Kasia wstawiły się za mną i jeżeli wierzyć tej ostatniej, zrobiła to również jej mama. Pani Matylda podsunęła Kaśce pomysł, żebym poszła na kurs wychowawcy kolonii, który nie trwa długo i jest tymczasowym wyjściem z sytuacji. Nie mogłam uwierzyć, że wstawiła się za mną, bo wydawało mi się, że obraziła się na mnie na wieki, ale widocznie sprawa pracowni leżała jej na sercu i chciała dowiedzieć, że zakup dokonany przez koło był trafioną inwestycją. Tak czy inaczej zaimponowała mi swoją wielkodusznością i postanowiłam, że przy najbliższej okazji ją przeproszę, a potem spróbuję naszą znajomość zacząć od nowa. Przemyślałam sprawę i doszłam do wniosku, że moje impulsywne reakcje wobec ludzi zwykle nie były stosowne i w głębi serca żałowałam, że nie ugryzłam się wtedy w język. Albo inaczej, nie żałowałam tego, co powiedziałam, ale jak to zrobiłam i tylko za to miałam zamiar ją przeprosić.

Kurs zajął mi trzy dni, na szczęście lutowy mróz nieco zelżał i zmobilizowałam się jakoś do codziennej jazdy do miasta. Dowiedziałam się na zajęciach, jakie zabawy dzieciom organizować w czasie słonecznej i deszczowej pogody oraz poznałam zasady BHP i pierwszej pomocy. W czwartym dniu był egzamin. Musiałam też przygotować pracę pisemną – plan zajęć

dla dzieci na tydzień pobytu na kolonii. Z niewielką pomocą Kaśki, Internetu i własnych wspomnień z dzieciństwa udało mi się stworzyć to dzieło w trakcie jednego wieczoru. Otrzymałam dyplom potwierdzający moje kwalifikacje i przepelniała mnie duma, bo był to pierwszy dokument poświadczający, że coś potrafię. Cóż, w świecie dorosłych nie obowiązuje niestety zasada Kornelki i nie wystarczy umieć w snach. To doświadczenie skłoniło mnie do myślenia na serio o dalszej edukacji. Zaczęłam przeszukiwać Internet i spisywać na kartce, co mogłabym i chciałabym robić. Znalazły się na niej trochę bardziej realne projekty niż na tej pierwszej liście sprzed dwóch miesięcy.

Pewnego lutowego dnia, o godzinie szóstej rano, kiedy świat wciąż pogrążony był w najgłębszej ciemności, niemal zabił mnie dźwięk telefonu. Z łomoczącym sercem usiadłam na łóżku, przerażona i wciąż na wpół śpiąca. Zamiast na telefon trafiłam ręką w kubek z resztką herbaty i jego zawartość rozlała się na pościel, a sam kubek uderzył głucho o podłogę. Zakląłam, sięgnęłam do włącznika lampy i wreszcie znalazłam telefon – Patrycja dzwoni. Kiedy odebrałam, początkowo myślałam, że ktoś tylko używa jej telefonu, bo zamiast jak zwykle radosnego i mocnego głosu w słuchawce usłyszałam chlipanie i pociąganie nosem, a potem żalosne „czeeeeść”, przechodzące płynnie w szloch.

– Patrycja? To ty? Boże, co się stało? – zaniepokoiłam się na poważnie.

– Dupa, gówno, źle jest i beznadziejnieeee – wydusiła z siebie wreszcie, a ostatnie słowo znów rozlało się jak wiadro wody.

Słowo po słowie, zdanie po zdaniu udało mi się jakoś zrozumieć, co się dzieje. Biznes kiepsko idzie, zakochała się w jednym z klientów i chce przyjechać, żeby, jak Malwina, się odkochać.

– Patrycja, po prostu przyjeźdź do mnie i zobaczymy, dobra?

– Jak to po prostu przyjeźdź? Obiecuj, że zrobisz te swoje czary-mary i wracam. No, w końcu tak teraz zarabiasz na życie? Tym się zajmujesz, tak? Mam dwa tygodnie, ale chciałabym wrócić tak szybko, jak się da. Chcę, żeby było tak jak dawniej. Nie mogę siedzieć pół życia na jakimś zadupiu! I może jeszcze się wywnętrzać? To idiotyczne – nakręcała się.

– Patrycja, zamknij się na chwilę i posłuchaj.

– Nie to ty posłuchaj!

– Nie to ty posłuchaj! – przerwałam jej. – Na pewno chcesz, żeby było jak dawniej?

A może, jak wrócisz ode mnie, to będzie jeszcze lepiej?

W odpowiedzi usłyszałam najpierw tylko odgłos wycieranego nosa.

– Wsiadam w pociąg o ósmej i na siedemnastą powinnam być gdzieś w okolicy twojej wiochy. Przyjeźdź po mnie, proszę – powiedziała, a ostatnie słowo zabrzmiało cicho i było wilgotne. Patrycja znów płakała.

Wyjechałam po nią do miasteczka. Po raz pierwszy widziałam ją w takim stanie, bez makijażu, ubraną niedbale, z załzawionymi oczami i imponująco czerwonym nosem. Taszczyła ze sobą różową walizkę, a szalik na jej plecach zwiślał smętnie i włókł się za nią po brudnym śniegu.

Zakochała się w muzyku. Andreas grał na gitarze w jej klubie, po pracy korzystał z usług klubu i patrzył jej głęboko w oczy. Co wieczór porывała ją jego muzyka, a nocami jego ciało i obietnica szaleństwa w czarnych oczach. Widziała już siebie na cygańskim wozie, w taborze ciągnącym gdzieś po stepach Kaukazu, z nim i jego gitarą przy gorącym boku. I wtedy przyjechała do klubu jego żona – krągła i smągła piękność, od której widoku też Patrycji w żyłach zagrało, z wściekłości i żalu. Od tego czasu zgasła w niej radość i energia, jakby słońce przestało świecić. Przez trzy dni leżała w swoim mieszkaniu i płakała, a potem postanowiła zadzwonić do mnie z pytaniem, czy chwilowo może ze mną zamieszkać. W głębi duszy nie

wierzyła jednak, że to coś zmieni. Opowiedziała mi tę historię w taksówce, zużywając przy tym trzy paczki chusteczek higienicznych i kiedy wysiadaliśmy z samochodu, kierowca również przyznał, że gość to drań, już pal licho tę żonę, ale żeby krzywdzić taką kobietę jak Patrycja? Na co ona obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem i fuknęła jak rozwścieczona kotka:

– Tak, drań, jak wy wszyscy! – I ruszyła energicznie wąską ścieżką wydeptaną wśród ośnieżonych pól, a ja szybko pożegnałam kierowcę i dogoniłam ją, żeby pomóc z walizką.

Dotarliśmy do domu i Patrycja, w kompletnym ubraniu, czapce, na szczęście bez butów oblepionych śniegiem, położyła się do łóżka. Jej rozpacz była największą, jaką widziałam. Bo kiedy się Patrycja śmiała, to zarażała wszystkich swoją radością, ale kiedy płakała, potrafiła wciągnąć za sobą w wielką, czarną, bezdenną dziurę nieszczęścia. Co gorsza, oczekiwała ode mnie cudów, a nie chciała nawet herbaty ani lodów, które przecież pomagają na wszystko. Przygotowałam jej pachnącą kąpiel, zapaliłam dla niej świecę w łazience i włączyłam cicho muzykę. Łaskawie zgodziła się przejść do łazienki i skorzystać z tego relaksu. Kiedy po pół godziny zajrzałam sprawdzić, czy z nią wszystko w porządku, dolewała do wanny swoich łez i bucząc jak bóbr, wskazywała dramatycznym gestem na radio. Okazało się, że to przy tej piosence wyznawał jej po raz pierwszy miłość kłamlivy kochanek. Pościeliłam jej łóżko najstaranniej, jak umiałam, postawiłam obok na szafce kieliszek wina, chipsy i pudełko chusteczek higienicznych. Przyniosłam z mojej sypialni laptop i uruchomiłam płytę z *Mamma Mia*. Patrycja, szurając pantoflami, przysłała w tym czasie z łazienki i ciężko opadła na łóżko. Patrzyła na mnie przez chwilę zboląłym wzrokiem, a potem zamknęła oczy i zakryła je sobie dłońmi.

– Widzę, że cierpisz – powiedziałam. – I w porządku, masz prawo, bo masz złamane serce.

Westchnęła tylko przeciągle i ani drgnęła.

– A ja będę towarzyszyć ci w cierpieniach i oglądać film – dokończyłam.

Nie uzyskałam odpowiedzi. Popatrzyła na mnie jedynie złym wzrokiem i sięgnęła po chipsy i wino.

– Z Malwiną przynajmniej odprawiałaś czary, a mnie puszczasz film? Tylko na tyle cię stać?

– Dzisiaj tak, bo miałam ciężki dzień i strasznie zmarzłam.

– To niesprawiedliwe, czary powinny być w pakiecie pobytowym!

– Kochana, sprawiedliwie to nie znaczy dla wszystkich to samo, ale każdemu według potrzeb. Ty siedź tu, a ja wezmę szybki prysznic i wrócę. – Cmoknęłam ją w policzek i wyszłam.

Dziesięć minut później z sypialni ciotki Niny dochodził mnie głośny śpiew *Honey, Honey*, a potem jeszcze *Money, money, money*, wykonany mocnym głosem mojej przyjaciółki. Gdy weszłam do pokoju po kolejnych pięciu minutach, zastałam Patrycję stojącą na łóżku, z rozwianymi włosami, łzami toczącymi się po policzkach i butelką balsamu do ciała w roli mikrofonu, śpiewającą *Mamma mia*. Gestem zaprosiła mnie, aby do niej dołączyć, więc chwyciłam jej telefon, bo nic innego nie było pod ręką, i już wspólnie odśpiewaliśmy resztę piosenek: *Dancing Queen*, *S.O.S.*, *The Winner takes it all*, a potem jeszcze *Take a chance on me*. Zraniona przez muzyka, muzyką się leczyła, a przy okazji dotleniała. Kiedy już odśpiewaliśmy wszystkie piosenki i film dobiegł końca z finalnym *I have a dream* i *Waterloo*, padłyśmy zmęczone na łóżko i na deser obejrzałyśmy jeszcze *Kill Billa*.

– Ja też jestem taki *fighter* – stwierdziła Patrycja stanowczo, gdy Czarna Mamba mściła się po kolei na wszystkich, którzy ją skrzywdzili.

– Oczywiście, że jesteś, silna i niezniszczalna! – potwierdziłam.

Tej nocy nie spałyśmy prawie wcale. Patrycja chciała wiedzieć, jak radzę sobie sama, bez

Mikołaja, i jaką podjęłam decyzję.

– Wydaje mi się, że swoją decyzję podjęłam już dawno, wyjeżdżając, a sama widzisz, że on mnie wcale nie szuka.

– No ale ty też czegoś miałaś tu szukać, siebie? Sensu? Celu życia? I co, znalazłaś?

– Znalazłam dużo spokoju. Odkryłam, że ciągle uciekam i boję się w pełni zaangażować, a potem jeszcze odnalazłam swoją tęsknotę za Mikołajem i koślawą miłość do niego, tak gdzieś pomiędzy odkurzaniem starych książek i uświadamianiem sobie własnej niedojrzałości a przysłuchiwaniem się, co o miłości mówią kobiety starsze i bardziej doświadczone ode mnie.

– I co z tymi odkryciami zrobisz?

– Na razie nic, jeszcze nie jestem gotowa. Poczekam do wiosny.

Partycja nawijała na palec kosmyk włosów i rozplatała go. Patrzyła za okno, a na twarzy miała spokój, po raz pierwszy, odkąd tu przyjechała.

– A wiesz – powiedziała w końcu – poczekam tutaj przez jakiś czas z tobą. Chcę mieć swój miesiąc na końcu świata.

– Cieszę się, trochę mi się tu już zrobiło samotnie samej.

Wzięła telefon, wybrała numer swojego współnika i powiedziała, że musi sobie jakoś bez niej poradzić przez najbliższy miesiąc, a za to ona nie poleci na wakacje latem, tylko będzie pilnować interesu. Ustalili, że będą się kontaktować mejlem. A potem wyłączyła telefon, dla pewności wyjęła z niego kartę i schowała wszystko pod łóżko, żeby odciąć jedyną drogę, jaką nawiązać mógł z nią kontakt Andreas.

Mimo iż znałam Partycję od lat, nigdy nie mieszkałyśmy razem. Codziennosc w jej wykonaniu była jak życie kota. Dbałam o nią, rozpieszczałam, ona odwdzięczała się swoją obecnością i przygotowywała sałatki, bo Patrycja jest ekspertem od sałatek i zdrowego żywienia. Ja wykonywałam pozostałe prace w domu, przynosiłam drewno, paliłam w piecu, odgarniałam śnieg. Odwiedzał nas czasami pan Włodzimierz, który wydawał się ją bardzo lubić, i codziennie, niezależnie od pogody, spacerowałyśmy. Patrycja ciągle czekała na czary. I rzeczywiście, pewnego dnia zdarzyły się, choć tym razem nie w moim wykonaniu i nawet bez mojego udziału.

Wczesnym popołudniem przyjechałyśmy busem z miasteczka, do którego wybrałyśmy się na pizzę. Było dość ciepło, słońce grzało jakby mocniej i śnieg powoli się topił, kapiąc z dachów, a gdy wystarczająco głęboko wciągnęło się powietrze w płuca, czuć było delikatny zapach z bardzo daleka wracającej wiosny. Wróble świergotały w żywopłotach mijanych domów, a psy ujadły w ogródkach. W oddali ujrzałam nadchodzącą z naprzeciwka postać. To chyba mężczyzna, niewysoki, ubrany w kożuszek. Jego chód wydawał mi się znajomy, kołysał się na boki i energicznie machał ramionami.

– O rany, Patrycja, to ten biedny chory człowiek – rozpoznałam go.

– Przecież idzie, jaki chory?

– W głowie trochę chory. Kiedyś mnie z kimś pomylił i coś mówił o jakichś śmieciach, że mu je ukradłam czy coś.

– Ukradłaś komuś śmieci? – popatrzyła na mnie zdumiona.

– Albo zaniiosłam gdzieś... Nie pamiętam. A, już wiem, że naśmieciałam na cmentarzu.

Tak jakoś powiedział!

– Mam nadzieję, że tego nie zrobiłaś? – zapytała surowym tonem, a ja uszczypnęłam ją w ramię. Odskoczyła w bok z piskiem i tym sposobem czary się zaczęły, bo wpadła w ramiona mijającego nas właśnie mężczyzny. On, mimo iż z zaskoczenia najpierw ją chwycił, to w następnej sekundzie wypuścił ją z objęć i Patrycja wylądowała zadkiem prosto w mokrej, śniegowej papce. W tym momencie jakby zatrzymało się wszystko, wróble zamarły z otwartymi dziobami, psy wykonały tylko pół machnięcia ogonem, a mężczyzna zastygł z wytrzeszczonymi

oczami. Spodziewałam się, że burza gradowa w postaci wściekłej Patrycji rozpęta lada chwila i naprawdę lepiej byłoby dla tego biednego, schorowanego mężczyzny, żeby jak najszybciej odzyskał władzę w nogach i się oddalił. Ledwo to pomyślałam, oto nadchodziła.

– O zesz ty!... – zaczęła Patrycja gromkim głosem, gramoląc się dość niezgrabnie i w efekcie upadając ponownie, tym razem na kolana w brudny śnieg. – Ja cię nie!!!... – ryknęła jeszcze głośniejszym głosem i w tym momencie mężczyzna z przerwą między zębami szarmanckim gestem wyciągnął do niej dłoń, pochylił się lekko i drugą ręką objął ją władczy gestem w pasie. Podniósł ją zupełnie bez wysiłku, a ona bezwolnie mu się poddała i milczała, zaglądając mu głęboko w oczy. Nie krzyczała na niego, nie pomstowała, jej dłoń spoczęła na jego karku i tam pozostała, mimo iż Patrycja stała już na nogach. A ja patrzyłam na tę scenę wybałuszonymi oczami i na dłuższą chwilę mimowolnie wstrzymałam oddech, więc zaraz później zaczerpnęłam gwałtownie powietrza i dostałam czkawki. Moja trzydziestodwuletnia wybredna, jeżeli chodzi o mężczyzn, przyjaciółka, w środku dnia obściskuje się z facetem o atrakcyjności poniżej średniej, pewnie drugie tyle od niej starszym, zabarwionym na policzkach na miły różowy kolor, który na dodatek wepchnął ją w śnieg, a potem ocalił i przytula się obecnie do niej całym ciałem!

– Patrycja, wszystko w porządku? – zapytałam po chwili, w której zdarzyło się tyle, że wydawało mi się, jakby pół dnia już minęło.

– Co? – zadyszczonym głosem odpowiedziała i jej łabędzia szyja zwróciła wreszcie głowę w moim kierunku.

– Chodźmy do domu, jesteś cała przemoczona! – zakomenderowałam, żeby przerwać tę idiotyczną scenę.

– Nie, nic mi nie jest, tylko strasznie tu gorąco...

Mężczyzna milczał, wpatrzony w nią jak sroka w gnat, a następnie niechętnie wypuścił ją z objęć, obdarzył mnie wrogim spojrzeniem, przesłał Patrycji całusa i odszedł tym swoim kaczym krokiem.

– Patrycja, popatrz na mnie, mów do mnie, nic ci nie jest? – Potrząsałam nią i próbowałam wydobyć z tego dziwnego transu, w jaki wpadła.

– Tak, w porządku...

Obejrzała się za mężczyzną, który też patrzył na nią, właśnie się potknął i prawie upadł twarzą w śnieg.

– Och, uważaj – krzyknęła do niego – i zadzwoń!

– Przecież nie ma twojego numeru. Na litość boską, dziewczyno, co ty wyprawiasz?!

– denerwowałam się i podejrzewałam, że się od tego faceta czymś zaraziła, albo może coś jej wstrzyknął, jak jej dotykał. Ale ona podekscytowana, żywo gestykulując, opowiadała mi swoje wrażenia.

– Ty wiesz, jak on mnie złapał wpół, to taki prąd mnie przeszedł, coś mnie tak przyssało do niego, to było niesamowite!

– Patrycja, bo zaczynam się o ciebie bać. Przecież to był dziadek, w dodatku niepełnosprawny jakiś!

– Ależ wyczułam, że jest w pełni sprawnym mężczyzną – wybuchła śmiechem, jakiego nie słyszałam od dawna i już wiedziałam, że mam ją z powrotem, wyleczoną z nieszczęśliwej miłości, ale równocześnie niebezpiecznie bliską kolejnej zupełnie absurdalnej fascynacji. Kimże jednak jestem, żeby to osądzać? Wróciłyśmy do domu i Patrycja zniknęła od razu w łazience, żeby wziąć gorącą kąpiel. Towarzyszyły temu śpiewy, wykonywane raz bardzo wysokim, a potem znów głęboko niskim głosem. Ja przygotowałam herbatę z dzikiej róży oraz kanapki z masłem i powidłami śliwkowymi. Mój telefon zaczął mrugać, a dzwonka i tak nie usłyszałam przez śpiewy Patrycji. Zerknęłam na wyświetlacz – pan Błażej.

– Halo, dzień dobry panu.
– Dzień dobry, pani Rito, jak pani sobie daje radę tej zimy?
– Bardzo dobrze, dziękuję. Jest pięknie i biało, wszędzie pełno śniegu, ale nie narzekam, bo na szczęście mam wokół siebie wspaniałych ludzi.

– To tylko pozazdrościć – zaśmiał się, naprawdę w bardzo ujmujący sposób.

I wtedy w mojej głowie zapaliła się żarówka Edisona – skoro piorunujący efekt wywarł podstarzały facet, o ileż większą siłę oddziaływania będzie miał zabójczo przystojny i wykształcony młody człowiek? Chytry plan! Miałam ochotę zaśmiać się jak stara czarownica z bajki, ale podskoczyłam tylko kilka razy w miejscu, zadowolona z własnego pomysłu.

– Dawno pan u mnie nie był. Może pan wpadnie w tym tygodniu?

– Może nie w tym tygodniu, ale z pewnością w przyszłym. Coś mam dla pani.

– Kolejny list od ciotki Niny?

– Tym razem coś innego, ale na razie niech to będzie niespodzianka.

– Super, to zapraszam.

– Do zobaczenia.

Tego popołudnia wypadło spotkanie koła gospodyń. Patrycja naśmiewała się z tego od samego rana, ale kiedy uczestniczki spotkania zaczęły się gromadzić i rozsiały wokół tę wyjątkową atmosferę kobiecej wspólnoty, żartów i zwierzeń, włączyła się w to wszystko z wielkim entuzjazmem. Za to właśnie ją kochałam, nigdy nie stała z boku, ale rękami, nogami, głową i sercem angażowała się w to, co się działo. Wymyśliła, że powinnyśmy zorganizować kurs tańca dla kobiet z koła. Znała instruktorów ze szkoły tańca, którzy uczyli dziewczęta w jej klubie. Miała wizję, że będzie to ponętny taniec na rurze, obliczony na wzrost satysfakcji z pożycia małżeńskiego, ale ostatecznie po kolejnych wybuchach nerwowego śmiechu wśród pań stanęło na tańcach klasycznych. Przyniosłam swój laptop i Patrycja zabrała się za pisanie mejla do znajomych. Ustaliłyśmy, że zajęcia powinny się odbyć 21 marca w pierwszy dzień wiosny, bo wtedy w kobietach budzą się wyjątkowe siły witalne, a poza tym była to sobota, która akurat wszystkim pasowała. Na koniec na wielkim arkuszu szarego papieru wydobytego z szafy ciotki Niny Patrycja dokonała wpisu pamiątkowego, jako honorowy gość koła. Arkusz zawisł potem na ścianie w sypialni Niny i zapoczątkował tradycję dzielenia się doświadczeniem i krótkimi, inspirującymi cytatami przez uczestniczki spotkań i zajęć w pracowni.

– Nie ma jak dobry cytat, który mobilizuje do działania – podsumowała tymczasem Patrycja swoje dzieło, a wpis brzmiał: „Weź od życia, co chcesz i zapłać za to!”.

Następnego dnia stroiła się od samego rana, malowała i wyginała przed lustrem. Ja tymczasem, pełna zapału pod wpływem kolejnego słonecznego dnia, zabrałam się za wiosenne porządki. Wyprałam pościel, wytrzepałam na tarasie kołdry i poduchy, dokładnie wycierałam kurze i pierzastą szczotką na długim kiju omiatałam sufity z pajęczyn, podśpiewując radośnie.

– Zapraszam cię na spacer – zawołała do mnie, kiedy byłam w samym środku odkurzania.

– Teraz nie mogę, za pół godziny.

– To ja sama się przewietrzę, pa! – wykrzyknęła i już jej nie było, a mnie pozostała tylko smużka jej mocnych perfum. Podstępna żmija, świetnie to zaplanowała, żebym się z nią nie wybrała. Poszła na pewno w dół do wsi szukać swojego najnowszego adoratora, według zasady: „lecz się tym, czym się zatrułaś”. Zdażyłam posprzątać cały dom, napić się kawy i napisać aktualności na stronie pracowni, a ona dopiero wracała z rozwianym włosom, czerwonymi ustami i błyszczącymi oczami. Towarzyszył jej kroczący sprężyste bohater wczorajszego dnia. Jak kogut zwycięzca i władca kurnika dumnie wypinał pierś, zadzierał głowę do góry i trzymał Patrycję pod ramię. Za nimi podążał pan Włodzimierz z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy i w momencie, kiedy otwierałam okno, żeby zawołać Patrycję do domu, pod pretekstem,

że jest do niej telefon, pan Włodzimierz puścił się biegiem i wymachując rękoma zakrzyknął:

– Nie wstyd ci, stary pierniku?!

Stary piernik stanął jak wryty, a potem gwałtownie się obrócił, ciągnąc przy okazji Patrycję niezbyt delikatnie w bok i do tyłu. I już wydawało się, że moja przyjaciółka wdzięcznym truchcikiem obiegnie swego partnera, ale niestety w ostatniej fazie manewru straciła panowanie na śliskiej nawierzchni i po raz kolejny znalazła się na mokrym śniegu. Nikt się jednak nią nie zajmował, bo pan Włodzimierz, jako strażnik wioskowej moralności, kontynuował wykrzykiwanie obelg pod adresem nowego chłopaka mojej przyjaciółki.

– Żona w domu siedzi, wnuki bawi, a ty się prowadzasz po wsi z panią miastową, co by twoją córką być mogła, capie jeden!

– No co, co? – jękał się podstarzały adorator, ale w ogniu ataków starał się trzymać fason.

– Odprowadzam panią do domu, bo piesków się bała.

– Pies to ty jesteś, na baby! – Pan Włodzimierz wyglądał, jakby miał go zamiar uderzyć, ale zamiast tego pochylił się i pomógł Patrycji się podnieść. Nadal stojąc w oknie, zamarałam ze strachu, że znów zacznie się magia. Patrycja podniosła się jednak szybko, z godnością przetarła pośladki dłońmi, następnie z całej siły walnęła starego piernika w twarz, obróciła się na pięcie i energicznym krokiem ruszyła w stronę domu. Odprowadzał ją głośny śmiech pana Włodzimierza i jego pełen podziwu okrzyk:

– Co za dziewczyna!

Zamknęłam okno i wróciłam na swoje miejsce. Jak tylko umościłam się w fotelu z książką, do domu z impetem wpadła Patrycja.

– Cześć – przywitałam ją. – Jak się udał spacer?

– Fantastycznie! – Weszła do kuchni bez spodni, ale nadal w kurtce. – Znowu wylądowałam dupą w tym cholernym śniegu!

Nie wytrzymałam i zaczęłam się śmiać.

– Czyli widziałas wszystko – zasyczała. – Gdzie masz śmieci?

– Na co ci moje śmieci?

– Dziś w nocy idziemy podrzucić je na cmentarz. Za taką zniewagę płaci się tylko większą ilością śmieci!

– Daj spokój, zimne okłady są dobre na cellulit – nie mogłam sobie odmówić tej małej złośliwości.

– Cellulit to masz ty, na mózgu – odgryzła się natychmiast.

– Dziękuję za komplement – odpowiedziałam i śmiałam się już tak, że ocierałam tylko łzy z twarzy, aż wreszcie dołączyła do mnie Patrycja i obie wprost ryczałyśmy ze śmiechu.

Jeżeli po tych wydarzeniach oczekiwałam spokoju w ciągu dalszego pobytu Patrycji, to grubo się myliłam. Pan Włodzimierz, co prawda, nie zakochał się w Patrycji, ale stary piernik codziennie spacerował pod naszymi oknami i chrząkał znacząco, a Patrycja raz nawet rzuciła w niego ziemniakiem i krzyczała, że jego też rzuca. Wydawała się znudzona brakiem miłosnych uniesień, ale na szczęście nie wpadała już w totalną apatię. Dużo czasu spędzała w Internecie, bo wymyśliła, że powinna dać wyraz swojej przemianie życiowej oraz oddzielić epokę sprzed Andreeasa i po nim przez wkroczenie na nową ścieżkę kariery. Czytała pamiętniki Niny, a ja opowiadałam jej o swoich rozmowach z Tolą na temat miłości. Uparcie powtarzała, że miłości nie ma i nie będzie. Ale kimże była, żeby o tym decydować?

Kilka dni później odebrałam telefon od pana Barankiewicza. Po długim wstępie o pogodzie wyjaśnił mi, że dzwoni, bo zostawił u mnie jakieś narzędzie, bardzo mu obecnie potrzebne. Przyjechał po popołudniu tego samego dnia. Akurat grałyśmy z Patrycją w karty, a dokładnie w Czarnego Piotrusia, ale na pieniądze, przegrana kosztowała 50 groszy.

Barankiewicz wparował do kuchni i od razu rozsiadł się wygodnie.

– Proszę, proszę, piękne kobiety, hazard i wino, naprawdę szczęściarz dziś ze mnie.

– Jak to? – zdziwiła się Partycja bojowo. – Kobiety wyzwolone, w karty pan nie gra i wina też pan nie pije, to co w tym szczęśliwego?

– Zawsze można to zmienić – zaczął flirt.

– Lepiej poszukajmy tego narzędzia, podobno bardzo go pan potrzebuje. Jak wyglądało?

– interweniowałam od razu.

– Długie takie i grube – pokazywał.

A Patrycja nagle obdarzyła go całą swoją uwagą i już otwierała usta, żeby coś powiedzieć.

– Myślę, że będzie w kotłowni – stwierdziłam szybko – tu w domu na pewno nie widziałam niczego takiego.

– No, ja też nie – przyłączyła się Patrycja, wzdychając. – Pan jest hydraulikiem, tak?

– zainteresowała się, a ja w tym czasie próbowałam wypchnąć Barankiewicza z kuchni.

– Tak, wie pani, dobry fach w ręku, mam swoją firmę, nie narzekam, dobrze idzie

– reklamował się.

– To wspaniale, taki przedsiębiorczy mężczyzna.

Patrycja podążała już za nami, ale na szczęście udało mi się zatrzasnąć jej drzwi przed nosem. Cóż, los i magia działają, jak chcą i kiedy chcą. Dokładnie wtedy, gdy z Barankiewiczem zeszedłam do kotłowni, przyjechał pan Błażej, zapukał i wszedł do domu, zachęcony zalotnym „proszę” z ust Patrycji. Ale już w następnym momencie zastygł z ręką na klamce drzwi wejściowych, bo Patrycja zajęta robieniem herbaty, nie patrząc w stronę gościa i przekonana, że to Barankiewicz, zadała mu pytanie:

– I co? Ma pan to swoje długie i grube narzędzie?

Odpowiedziała jej cisza, a potem pan Błażej przełknął ślinę i swoim aksamitnym głosem się przywitał.

– Dzień dobry, ja do pani Rity.

Patrycja odwróciła się wreszcie, oczy jej zabłyśły i wybuchła swoim najpiękniejszym śmiechem.

– Dzień dobry, proszę wejść. Rita szuka narzędzia hydraulika, zaraz przyjdzie, a ja tymczasem zrobię panu kawę.

I właśnie przy picu kawy ich zastałam, gdy wróciliśmy z Barankiewiczem, bo koniecznie chciał pożegnać się z moją przyjaciółką. Nie wiedział, biedak, że jego szansa minęła bezpowrotnie. Kapryśne przeznaczenie chciało inaczej i nie został już obdarzony przez Patrycję ani jednym spojrzeniem – ani on, ani jego narzędzie. Nie wierzę w to, że ludzie łączą się ze sobą, bo są jak dwie połówki jabłka, wierzę w bycie we właściwym miejscu o właściwym czasie. Szansę na miłość trzeba wykorzystywać od razu. Czasami zdarza się ona w trakcie pobytu na końcu świata.

Pan Błażej przekazał mi tego wieczoru wykupiony przez ciotkę Ninę kurs na prawo jazdy. Moja ciotka była geniuszem! Zastanawiałam się, jak ona sobie to wszystko wykombinowała, i miałam niejasne wrażenie, że palce maczała w tym też Tola.

Od tego czasu Partycja rozkwitła, płaśała po domu i ogrodzie w rytm niesłyszalnej dla mnie muzyki. Pod dom co jakiś czas zajeżdżało czarne infiniti, do którego moja przyjaciółka wsiadała z szerokim uśmiechem na twarzy, a wysiadała całkiem już rozanielona.

Kolejne spotkanie koła poświęcone było organizacji Konkursu Piosenki Folklorystycznej. Miał na nim wystąpić lokalny zespół o nazwie Bartnicy. Zespół działał od dawna, ale obecnie

cierpiał na brak młodych wokalistów z mocnymi głosami. Jego dyrygentem była pani Matylda. Po raz pierwszy przybyła na spotkanie u mnie w domu i wyglądała na nieco skrępowaną, mimo iż robiłam wszystko, żeby okazać jej wdzięczność za pomoc w sprawie kursu i za to, że przyszła. Obecni byli też panowie z zespołu, spotkanie szybko więc przeszło w próbę, bo mieli skrzypce, akordeon, flet i harmonijkę.

*Oj góral ja se góral,
Piwa ja się napił,
Poszedł potem do domu
I Marysię obłapił.*

Zanucił jeden z nich, później dołączyły się kolejne głosy, a Patrycja zakończyła zwrotkę głośnym okrzykiem „hej”. Potem były kolejne piosenki, i kolejne. Uczestnicy spotkania wychodzili pojedynczo, ale śpiewy trwały do północy, a na koniec definitywnie dołączyliśmy z Patrycją do zespołu, jako dwa filary wokalne i taneczne. Tego wieczoru było jak za dawnych czasów, kiedy ciotka Nina była tu gospodynią. Czułam się bardzo na swoim miejscu. Jak nigdzie i nigdy dotąd.

Pod koniec miesiąca Patrycja oznajmiła, że niedługo wyjeżdża. Czuła się gotowa wrócić do pracy, zanim rozpocznie nową karierę. Zapowiadała, że będzie znacznie się częściej pojawiać u mnie, a następnym razem przyjedzie już w marcu na kurs tanga oraz występ zespołu. Miał to być jej pierwszy krok w kierunku biznesu muzycznego. Podczas kiedy ja zajmowałam się przygotowaniem ulotek na temat kursu tanga, odpowiadałam na forum pracowni na pytania dotyczące organizowanych zajęć, ona ćwiczyła głos i nauczyła się niemal wszystkich piosenek wykonywanych przez Bartników. Dzień przed wyjazdem Patrycji zadzwoniła do mnie Kamila.

– Cześć, co słychać? – zapytała.

– Głównie Patrycję wydzierającą się w łazience. Wymyśliła, że jej nową karierą będzie rola w musicalu, a na razie ćwiczy pieśń o dzielnym gajowym, na próbę lokalnego zespołu.

– Aha, ciekawe – wydawała się mało zainteresowana przyszłą gwiazdą estrady. – Słuchaj, nie adoptowałabyś psa? – przeszła do rzeczy.

– Psa...? – zaważałam się.

– Zanim odmówisz, to ci wyjaśnię zasady. On jest w schronisku od niedawna, ma dwa lata. Duży, ale posłuszny, w sam raz do twojego ogrodu, będzie cię pilnował. Nie może zostać w schronisku, bo mają problemy z kasą i miejscem. Bez pomocy sobie nie poradzą – nie dawała mi dojść do słowa, jakby się bała, że zdążę powiedzieć „nie”, zanim mnie przekona. – Proszę! Tylko dopóki nie znajdzie się dla niego dom. Wysłałam ci jego zdjęcie na mejla. Przekonasz się, jaki jest cudowny!

– Dobra, spojrzę na zdjęcie, ale nie wiem, czy to dobry pomysł – udało mi się wtrącić.

– Dzięki!

– Ale ja jeszcze nie mówię „tak”.

– Pa – pożegnała mnie szybko.

Zalogowałam się do swojej skrzynki mejlowej i już po chwili patrzyłam na zdjęcie najpiękniejszej psiej mordy na świecie. Owczarek niemiecki, zgrabny z pięknymi brązowymi oczami, które patrzyły badawczo i czujnie, ale też z rezygnacją. Ja i pies? Czy to dobry pomysł, kiedy u mnie w życiu, ciągle nic nie jest na stałe, wszystko okazuje się na chwilę i przemija z wiatrem? Sama nie wiem. A jeżeli wrócę do miasta, to co? Będzie ze mną mieszkał w bloku? Nie wiedziałam, co odpowiedzieć Kamili.

Ciężko mi było rozstać się z Patrycją. Ale przecież trzeba przyjacielom pozwolić odejść,

kiedy już są gotowi, prawda? Kiedy odjechała taksówką, a ja wróciłam do domu, chwyciłam za telefon i napisałam do Kamili, że się zgadzam na psa. Opiekowanie się zwierzęciem, osvajanie go, jak Mały Książę swoją różę, będzie moją próbą generalną przed związkiem z mężczyzną! Otworzyłam okno szeroko i wpuściłam do domu ciemne, lutowe popołudnie, a wraz z nim nadzieję na wiosnę, która się przecież rodzi zimą, tak jak dzień ma za matkę noc.

Wiosna

Gdzieś pomiędzy jesienią i wiosną wymarzyłam sobie swoje życie od nowa. Przeprowadzka i zmiana otoczenia umieściła mnie na chwilę na obrzeżach rzeczywistości. Z tej perspektywy widziałam wszystko jasno i przejrzyście. Samotność, cisza i przestrzeń, a potem spotkania z Niną w jej pamiętnikach i z wszystkimi kobietami, które zawitały do mojego domu, otworzyły mi oczy, dodały skrzydeł i zaczęły mnie zmieniać. Nie od razu to zauważyłam. Po prostu z czasem pewne rzeczy stały się oczywiste i nie mogłam uwierzyć, że do tej pory ich w sobie nie dostrzegałam. Tęsknota za starym życiem stopniowo we mnie gasła, a ja zmuśnię pracowałam nad tym, co mi się w sobie nie podobało, i sięgałam po to, co chciałam do swojego nowego życia włączyć.

Nabierałam pewności, że mój wyjazd nie był tak naprawdę ucieczką od Mikołaja, ale od siebie samej, że był podyktowany moim brakiem umiejętności podjęcia prawdziwego dialogu ze sobą i z drugim człowiekiem. Pytanie nie brzmi więc, czy go kocham, czy nie, tylko czy jestem gotowa wrócić i kontynuować naszą rozmowę, bo to od tego uciekłam. Mam już świadomość, jak go kocham, pojęłam też, jak nie powinnam. Pozostawało jeszcze pytanie, czy Mikołaj chce być przeze mnie kochany i czy taki sposób budowania związku by mu odpowiadał. Wiedziałam, że wyprowadzka od Mikołaja była typową dla mnie ucieczką od rzeczy trudnych i niewygodnych. Unikałam podejmowania decyzji, bo bałam się zaangażowania i przyjęcia odpowiedzialności za to, w jaki sposób żyję. A przecież nie da się żyć bez dokonywania wyborów. Ich unikanie też jest wyborem, i to najgorszym z możliwych. Nauczyłam się uczestniczenia w tym, co się aktualnie dzieje, zamiast narzekania, że nie osiągam jeszcze obranego celu. Wciąż nie wiedziałam, czy całe życie spędzę w Bartnicy. Kiedy o tym myślałam, czułam się nieswojo, ale starałam się pozostać spokojna i cieszyć się tym, czego doświadczałam w swojej samotni. Już wiedziałam, że jestem na tyle silna, żeby zaczynać od nowa. Być może niedługo będę na tyle silna, żeby pozamykać niedokończone sprawy i odbyć zaległe rozmowy?

Zgodnie z obietnicą, po dwóch dniach od mojej deklaracji przygarnięcia na pewien czas psa, Kamila przywiozła go i została u mnie z Filipem cały tydzień, żeby Arni się oswoił z otoczeniem i zaakceptował mnie jako przewodnika. Pies dostał od nich w prezencie piękną drewnianą budę, a ja skrzata ogrodowego z ogromnym nosem i wydatnym brzuszkiem, który unosił w jednej ręce małą latarnię, gdzie było miejsce, żeby postawić świeczkę. Arni nie przypominał zwierzęcia ze zdjęcia, z którym miałam chodzić na spacer i bawić się w ogrodzie. Owszem był to piękny owczarek, wydawał mi się nawet większy niż na zdjęciu, ale był przeraźliwie smutny, a w jego oczach nie było iskry. Większość czasu spędzał, leżąc apatycznie na przywiezionym przez Kamilę legowisku i udając, że drzemie. Jego uszy strzygły jednak niespokojnie na każdy dźwięk w nowym dla niego miejscu. Tylko na Kamilę reagował lekkim wachlowaniem ogona, unosił głowę na dźwięk jej głosu i dawał się zaprosić na spacer. Na mnie patrzył jak przez szybę, chociaż pozwolił się głaskać i wykonywał moje polecenia. Kamila uspokajała, że pies będzie się jeszcze zwyczajnie zachowywał, potrzebuje tylko czasu.

Pod nadzorem Kamili do małych doniczek posiałam zioła, warzywa i kwiaty. Bazylię, tymianek, szalwii i miętę, pietruszkę, szczypiorek, koperek, marchewkę i sałatę, a potem jeszcze aksamitki, maciejka, macierzanka, lawenda i goździki, wszystkie zostały podlane, a pojemniki z nimi ustawione pieczołowicie na słońcu. Co wieczór miałam wносить je do domu, aż rośliny urosną na tyle, żeby je wysadzić w ogrodzie.

Kiedy rozprostowałam kości po pracy i usiadłam na ławce obok Kamili, ona chwyciła

mnie za rękę i ścisnęła ją lekko.

– Spotkałam się z Mikołajem – szepnęła.

Moje serce zrobiło salto i pozostało w okolicy gardła, uniemożliwiając przełknięcie śliny. Teraz ja ścisnęłam mocniej jej dłoń i czekałam.

– Na ulicy, przypadkiem.

– Rozmawialiście? Jak wyglądał? – mój głos był schrypnięty.

– Spieszył się do pracy, zamieniliśmy tylko parę zdań.

Czekałam na słowa, że o mnie pytał, że miał podkrążone oczy i wyglądał źle, wręcz beznadziejnie z tęsknoty!

– Wyglądał dobrze, tak jak ty zresztą...

– Fajnie – głos mi się załamał i musiałam wstać, natychmiast coś zrobić, żeby nie eksplodować od razu z żalu i rozczarowania. – Zrobię herbaty – powiedziałam i wbiegłam po schodach do domu.

W tym momencie moje wszelkie „być może” i „kiedyś na pewno”, które powtarzałam sobie w głowie na nasz temat od miesięcy, straciły rację bytu jako podstawa zachowania przeze mnie optymizmu w kwestii naszej relacji z Mikołajem, a stały się jedynie świadectwem głupoty. Wiedziałam, że powinnam była spodziewać się tego momentu, kiedy stanie się jasne, że nie ma mnie już w jego życiu, bo dobrowolnie je opuściłam i życie Mikołaja potoczyło się dalej płynnie beze mnie. Nie przypuszczałam jednak, że tak bardzo to zaboli. Dużo bardziej niż w momencie, kiedy odchodziłam i zostawiałam w skrzynce na listy klucze do naszego mieszkania. Dopóki myślisz, że ktoś na ciebie czeka, żyjesz nadzieją, dopiero świadomość, że po twoim zniknięciu nie ma już pustego miejsca, odziera cię ze złudzeń.

Kamila przysłała za mną do domu, weszła cicho do kuchni i usiadła przy stole. Podałam jej kubek z herbatą i usiadłam naprzeciwko.

– Jest mi cholernie smutno... – Kąciki moich oczu parzyła sól.

– Wiem.

– Nie chciałam, żeby się to tak ułożyło.

– Chyba rozumiem.

– Nie chce mi się o tym gadać – zadecydowałam.

– Ale wiesz, że to nie znaczy, że to koniec.

Pokiwałam tylko głową i nie poruszaliśmy więcej tego tematu. Przeżuwałam żal i rozczarowanie w sobie, starając się nadal oddychać i żyć. Wieczorami zasypiałam ze słuchawkami na uszach. Z całej płyty odtwarzałam tylko piosenkę numer 11 i moje łzy moczyły poduszkę tak, że każdego ranka musiałam suszyć poszewkę. Adele śpiewała bowiem:

I hate to turn up out of the blue uninvited

But I couldn't stay away, I couldn't fight it.

I had hoped you'd see my face and that you'd be reminded

That for me it isn't over.

Never mind, I will find someone like you.

I wish nothing but the best for you.

Don't forget me, I beg, I remember you said:

Sometimes it lasts in love but sometimes it hurts instead

Razem z nią skowyczało moje zawiedzione serce.

Powtarzałam wciąż w myślach słowa Kamili. To, że Mikołaj o mnie nie zapytał i świetnie wyglądał, nie musi oznaczać, że już o mnie nie myśli. Wcale się dobrze nie znali, więc nie miał

powodu się jej zwierzać ze swoich uczuć. Mógł wyglądać zdrowo, bo wreszcie zaczął regularnie uprawiać sport, aby wypełnić pustkę po moim odejściu. Wszystko dało się jakoś wytłumaczyć. Jednak to, że nadal nie jestem gotowa, żeby wrócić, stanąć twarzą w twarz, porozmawiać, być może spróbować jeszcze raz, zanim ktoś inny się w jego życiu pojawi, to może oznaczać koniec między nami. On niestety nie wiedział, że ja nie byłam jak Adele i wcale nie chciałam kogoś *takiego jak on*, chciałam *jego*! Miałam też pewność, że chcę siebie dojrzałej, świadomej swoich potrzeb, takiej, która nie będzie już nigdy więcej uciekać. Czułam, że najpierw muszę coś jeszcze zrobić tu, na końcu świata. Chciałam się wzmocnić, nauczyć więcej o sobie i zrealizować marzenie stworzenia wyjątkowego miejsca dla kobiet, od których mogłabym się też uczyć. I dlatego potrzebowałam więcej czasu.

Pięknie to wszystko brzmiało, ale tymczasem przekorny głos w głowie, czujny na moje manipulacje swoimi intencjami, mówił spokojnie: „I tak wiem, że jeszcze czekasz na spełnienie bajki o walecznym i niezłomnym księciu, przybywającym po swą królową, mimo trudności i niebezpieczeństw. Wymyśliłaś sobie tylko kolejne piękne uzasadnienie, żeby dać mu więcej czasu”.

Motywy mojego postępowania były naprawdę złożone. Sama się w nich trochę gubiłam, jak mogłam oczekiwać, że Mikołaj je wszystkie pozna, zrozumie i zaakceptuje? Nie mogłam! Po raz pierwszy nie złościłam się sama na siebie o tę moją wielowarstwowość. Proste są tylko istoty i rzeczy doskonałe, a ja taka nie jestem. Z każdym nowym odkryciem przyjmowałam więc po prostu do wiadomości, że to jest jedna z wielu prawd o mnie. Ryzykowałam jednak bardzo dużo i miałam tego świadomość. Bo może się tak zdarzyć, że jeżeli już królowa ruszy swój leniwy tyłek i pojedzie do księcia, to on otworzy jej drzwi z płaczącym dzieckiem na ręku, a z kuchni wysunie głowę inna królowa pytając, kto przyszedł. Mimo to chciałam przez jakiś czas zostać na końcu świata. Nie minął jeszcze rok, który sobie wyznaczyłam. Poza tym, zgodnie z warunkami testamentu ciotki Niny, gdybym wyjechała teraz, straciłabym dom. Jeżeli bym wyjechała, nie dowiedziałabym się też, dokąd prowadzi ta nowo odkryta ścieżka, którą podążam.

Było coś jeszcze, do czego przyznawałam się przed sobą wyjątkowo niechętnie i niemal z zawstydzeniem. Po cichu liczyłam, że to będzie nasz dom: mój i Mikołaja. Dlatego tak bardzo chciałam, żeby tu przyjechał, a potem to miejsce pokochał. Gdyby poczuł jego magię i włożył tu nieco swojej pracy, wtedy doceniłby to, ile już dla nas zrobiłam przez ten rok naszego odosobnienia. Wtedy być może wybaczyłby mi ucieczkę. Dom to w końcu gniazdo, schronienie i inwestycja. Mikołaj zresztą marzył o domu. Planowaliśmy, że gdy się już dorobimy, to kupimy dom za miastem. Wierzyłam mocno, że to się wydarzy, ale też wstydziłam się tych myśli, bo były jak naiwne fantazje młodej dziewczyny o domu z białym płotkiem, ogródkiem i pieskiem. Ale jak na razie nie zgadzał się tylko kolor płotu, no i brakowało męża.

Po tygodniu Kamila oznajmiła, że chciałaby zostać u mnie jeszcze kilka dni. Ja tymczasem bardzo zadowolona, że mnie odwiedziła, jednocześnie z panicznym strachem obserwowałam jej ogromny brzuch, widząc już oczyma wyobraźni, jak zaczyna rodzić u mnie, w środku nocy, a ja grzeję wodę i wyciągam z szafy czyste prześcieradła, chociaż na filmach nigdy nie pokazali, jaki się konkretnie robi z nich użytek. Filip też był zdania, że to za duże ryzyko. Kamila zaś mimo iż wciąż beztrząsco twierdziła, że dawniej dzieci rodziły się w domu i było to naturalne, to ostatecznie uległa łagodnym perswazjom Filipa i zgodziła się wyjechać nazajutrz, po spotkaniu koła, w którym koniecznie chciała uczestniczyć, żeby poznać moje nowe znajome i umieścić zamasytym pismem na tablicy wpisów swoją sentencję: „Mieć nadzieję to znaczy żyć nadal pośród rozpaczy i nadal nucić cicho swą melodię w ciemności”. Pomyślałam, że wpis był przeznaczony tylko dla mnie, ale kiedy popatrzyłam na twarz Basi, na której brakowało zwykłego ożywienia i uśmiechu, odniosłam wrażenie, że czuje się dokładnie tak jak

ja. Przyszło mi jeszcze do głowy, że już gdzieś widziałam bardzo podobne, zamyślane, brązowe oczy. Ale w tym momencie ktoś coś powiedział, ktoś się zaśmiał i moje myśli powędrowały w innym kierunku.

Arni z niepokojem obserwował, jak Kamila i Filip pakowali się i odjeżdżali. Przez chwilę stał przy furtce i węszył, a potem wrócił na swoje miejsce i położył się z westchnieniem. Leżał tak parę godzin. Ani tego dnia, ani następnego nie był zainteresowany zabawkami, które mu kupiłam, mało jadł i z niechęcią opuszczał legowisko. Nie wiedziałam nawet, czy umie szczekać i czy będzie mu się chciało pilnować domu, ponieważ przez kilka dni nikt mnie nie odwiedzał. Raz tylko zadzwonił telefon i Filip podekscytowanym głosem przekazał mi, że na świecie pojawiła się ich wyczekiwana Maja, a Kamila czuje się dobrze, chociaż jeszcze jest zmęczona. Podziękowałam za tę szczęśliwą wiadomość, Filip zaś szybko się rozłączył.

Obserwowałam Arniego, gdy wieczorem czytałam Pawlikowską-Jasnorzewską: „Samotność moja nie może być większa. / Nie może być wspanialej i straszniej, i marniej, / i bardziej obco (...)”, i przyszło mi do głowy, że może mieć psią depresję. Podzieliłam się tą uwagą z Kaśką, która zadzwoniła przypomnieć mi o zajęciach dla młodzieży z domu dziecka, a ona prychnęła tylko i oświadczyła, że psy nie chorują na depresję, bo to przypadłość ludzka, i doradziła, żebym mu kupiła kość i dobrej kielbasy. Pomysł wydawał się niezły, przecież mnie też na smutki pomaga czekolada! Następnego dnia wzięłam więc smycz, a potem ciepłym głosem przywołałam Arniego. Z ociąganiem wstał i wyszliśmy na marcowe słońce. Szedł tuż przy nodze, nie chciał niczego obwąchiwać, chociaż go zachęcałam i nawet trochę mu pokazywałam, jak to się robi, na wypadek gdyby i tego nie potrafił. Nie zareagował wcale na pana Włodzimierza, który zagadnął do mnie, gdy mijaliśmy jego dom.

Kiedy dotarliśmy do sklepu, uwiązałam psa do stojaka na rowery i kazałam mu czekać, co przyjął obojętnie. Wybrałam dla niego największą kość i najdroższą kielbasę. Sprzedawczyni zainteresowała się taką zmianą mojej diety, więc wyjaśniłam przyczyny zakupu. Stwierdziła, że jak pies zgłodnieje, to wszystko zje, a potem jeszcze chwilę rozmawialiśmy o występach zespołu, do którego też należała i w którym była głównym altem. W sklepie kilku mężczyzn piło piwo i głośno dyskutowało na tematy polityczne. Jeden z nich wyszedł na zewnątrz na papierosa, a po kilku sekundach usłyszałam jego krzyk i głucho warczenie Arniego przechodzące w głośne szczekanie. Brzmiało to groźnie, więc w jednej chwili wyskoczyłam ze sklepu, spodziewając się zastać mężczyznę z odgryzioną ręką, zwisającą z zakrwawionego pyska mojego nowego przyjaciela. Tymczasem facet, w którym teraz rozpoznałam męża Basi, leżał na chodniku z niezapalonym papierosem w ustach, zupełnie nieruchomo, a Arni stał nad nim i obserwował go z napięciem. Odezwałam się do psa, wyjęłam z plecaka kaganiec i nałożyłam mu na pysk, a potem trzymałam krótko na smyczy przy mojej mocno drżącej nodze.

– Pani weźmie tego psa, ludzi atakuje, niebezpieczny jest! – wrzeszczał ze złością mąż Basi.

– Pies tak sam z siebie nie atakuje. Musiał pan mu coś zrobić, to spokojne zwierzę – stanęłam w obronie psa.

– Uśpić takiego, a nie po ulicy z nim chodzić! – krzyczał dalej.

Ze sklepu zdążyła już w tym czasie wybiec sprzedawczyni, a za nią koledzy zaatakowanego mężczyzny. Ten, mocno zawiany, z trudem się podnosił, na co Arni znów zareagował warczeniem, ale posłusznie stał obok mnie. Ekspedientka ujęła się za mną i za zwierzęciem.

– Panie Bacik, może pies się zdenerwował, boś mu pan alkoholem w twarz dmuchał, co? Zwierzę mądre jest i zna się na ludziach! – Założyła ręce na piersiach i wyzywająco patrzyła na mężczyznę.

– Na policję zgłoszę! – odgrażał się ten jeszcze, ale potem oddalił się w pośpiechu.
– Poznała pani? To mąż Baški, furiat trochę, ale nieszkodliwy – wyjaśniła. – A pies lepiej niech nosi kaganiec, jak taki nerwowy – doradziła jeszcze.

– Może raczej ten gość powinien nosić kaganiec? Mam wrażenie, że Basia nie będzie szczęśliwa, jak on zawita do domu w takim stanie.

– Chłop nie wielbłąd, napić się musi – podsumowała sprzedawczyni i wróciła do środka.

Jak tylko zjawiliśmy się z Arnim w domu, pies popadł znów w swoją apatię tak, że nigdy bym nie uwierzyła w to, co stało się przed godziną, gdybym tego sama nie widziała. Wyglądało na to, że mój trening przed wejściem w związek z mężczyzną będzie trudniejszy, niż mi się wydawało. Wieczorem zaczęłam zgłębiać temat agresji u psów i sposobów radzenia sobie z nią. Kamila, o ile pamiętam, nie wspominała, żeby Arni kiedykolwiek się tak zachował przy opiekunach ze schroniska. Czułam, że to mężczyzna psa sprowokował. Może jednak tymczasem należy na noc zamykać Arniego w kojcu, dopóki pies się nie przyzwyczai do nowej sytuacji?

Przeglądałam właśnie strony na temat tresury psów, kiedy Arni uniósł głowę, a potem wstał i podszedł do drzwi wejściowych. W tym samym momencie usłyszałam skrzypienie otwieranej furtki i pies szczeknął krótko.

– Dobry pies, przynajmniej wiem, że nie jesteś zepsuty i umiesz pilnować domu

– pochwaliłam go i wstałam, żeby zobaczyć przez okno, kto przyszedł. Niezbyt wysoka kobieta, w czerwonym płaszczu i z niewielką torbą, zmierzała w kierunku domu. Odesłałam Arniego na posłanie i otworzyłam drzwi. Naprzeciwko mnie stała Meg Ryan z pizzerii, z zaczerwienionymi oczami, mokrymi policzkami, wyraźnie zdenerwowana.

– Dobry wieczór, czy można do hotelu? – zapytała bardzo cicho.

– Proszę – zrobiłam jej miejsce, żeby weszła do środka.

– Przepraszam, że nie zadzwoniłam, ale decyzję o przyjeździe podjęłam dość nagle.

– Nie szkodzi, nie ma żadnych gości. Zapraszam – uśmiechnęłam się do niej ciepło w odpowiedzi.

Postawiła torbę na podłodze i powoli, jakby z trudem zdejmowała płaszcz. Arni podszedł i obserwował ją uważnie.

– Piękny pies – uśmiechnęła się Meg.

– To Arni, jest u mnie od niedawna i dopiero się poznajemy. Lubi pani psy?

Pokiwała głową.

– Proszę, pokażę pani pokój. Jestem Rita.

– Małgorzata – przedstawiła się i w tym momencie zadzwonił jej telefon, co zignorowała, ale wydawała się jeszcze bardziej zdenerwowana.

– Mogę pani zaproponować coś do picia? Kawa, herbata, sok, woda, nalewka ciotki Niny? – wymieniałam i oceniłam, że w jej stanie wybrałabym nalewkę.

– Woda wystarczy, dziękuję – odparła krótko.

Wysłałam do kuchni z pewną ulgą. Było w niej coś takiego, co sprawiało, że nie wiedziałam, jak się zachować. Nie przypominała mi też wcale tej dziewczyny, którą pamiętałam sprzed kilku miesięcy. Pierwsze wrażenie bywa jednak mylne, stwierdziłam w myślach do siebie samej. To nie jest już tryskająca humorem i radością życia dziewczyna z sąsiedztwa, jak Meg Ryan, tylko Małgorzata, z jakąś tajemnicą w sercu. Arni tymczasem zachowywał się dziwnie. Zamiast położyć się na legowisku i udawać, że śpi, jak to robił przez ostatnich kilka dni, stał przed drzwiami pokoju, który zajmowała teraz Małgorzata, i węszył.

– Wszystko dobrze, Arni, idź leżeć – próbowałam go zachęcić.

Owszem, położył się, ale w drzwiach pokoju gościnnego.

– Polubiłeś Małgorzatę, co? – zagadywałam do niego, a on po raz pierwszy w odpowiedzi

na moje słowa zamerdał ogonem. Nalałam wodę do szklanki dla Małgorzaty, wyjęłam z lodówki jogurt dla siebie i sałatkę owocową, którą przyrządziłam wcześniej, oraz czekoladę dla równowagi, żeby nie zwariować od nadmiaru zdrowego jedzenia. I czekałam. Meg jednak nie przychodziła. Zapukałam więc do jej pokoju i po cichym „proszę” weszłam z wodą, o którą prosiła, a na tacy w maki podałam jej jeszcze miseczkę z sałatką i połamaną na kostki połówkę gorzkiej czekolady. Małgorzata siedziała na łóżku i pisała coś na telefonie. Podziękowała mi, ale nie wyglądała, jakby miała ochotę na rozmowę, więc wróciłam do przeglądania Internetu. Nie mogłam się już skupić. W pokoju mojego gościa panowała cisza i w domu panowała cisza. Minęła godzina, potem dwie, a Małgorzata nie wychodziła z pokoju. Stwierdziłam, że może w odróżnieniu od pozostałych kobiet, które gościłam, ona potrzebuje po prostu побыć sama ze sobą.

Na drugi dzień rano przygotowałam śniadanie dla siebie i Meg, a potem poszłam wypuścić psa z kojca. Szczeknął, popędził do domu i zajął swoje miejsce przed drzwiami Meg. Wzruszyłam ramionami, właśnie robiłam się o swojego psa zazdrosna. To przecież mnie powinien lubić, pod moimi drzwiami warować, wdzięczny, że go przygarnęłam. Czekałam, aż mój gość wstanie, bo dziś był dzień mojej pierwszej lekcji w szkole nauki jazdy i chciałam uprzedzić Małgorzatę, że jadę do miasteczka. Wstała późno i poszurała kapciami do łazienki. Nadal nie było w niej drzwi, co nie spowodowało żadnego komentarza i zwiększyło moją sympatię do niej.

Poszłam do stodoły obejrzeć auto. Fajnie będzie kiedyś wreszcie dokąś samemu pojechać. Cała ta jazda nie może być przecież aż tak skomplikowana. Co prawda od dzieciństwa myślałam stroną lewą i prawą, miałam też spore trudności z orientacją w nowym mieście, przez co jak ognia unikałam dawania ludziom wskazówek, jak dojechać lub dojechać do celu, ale jakoś sobie radziłam. Zaczynałam od ustalenia, gdzie jest ta ręka, którą piszę – czyli prawa – i wtedy już było z górki. Zastanawiałam się przez chwilę, czy ta metoda sprawdzi się, gdy znajdę się za kierownicą samochodu, i poczułam się nieco niepewnie, dlatego szybko przerwałam rozmyślenia na ten temat. „Skup się na tym, jak będzie super, gdy będziesz już mogła sama jeździć, zamiast zamartwiać się ewentualnymi problemami” – nakazałam sobie stanowczo i zamknęłam drzwi od stodoły, uważnie przekręcając klucz w ogromnej kłódce. Gdy wróciłam do domu, Meg robiła sobie herbatę, a Arni siedział tuż obok, patrząc na nią jak zahipnotyzowany.

– Dzień dobry – powiedziała cichutko.

– Cześć, Meg – powitałam ją wesoło. – Nie wiem dlaczego, ale odkąd po raz pierwszy cię zobaczyłam, nazywam cię w myślach Meg.

Uśmiechnęła się blado.

– Przepraszam, że tak wczoraj zniknęłam na cały wieczór.

– Nie ma sprawy, jesteś tu gościem i ten czas ma być dla ciebie, więc spędzaj go tak, jak masz ochotę.

– Dzięki – popatrzyła na mnie z wdzięcznością – i za śniadanie też, chociaż w zasadzie nie jestem głodna.

– Śniadanie jest w cenie noclegu.

– A właśnie, chciałabym zapłacić za tydzień pobytu. Sprawdziłam w Internecie, ile kosztuje noc – mówiąc to, wyciągnęła z kieszeni kilka banknotów.

– Super, zamówię dziś od razu drzwi do łazienki. W zasadzie przyjmowanie gości zobowiązuje do posiadania drzwi do tego pomieszczenia – rozpaczliwie starałam się zażartować i rozładować ciężką atmosferę, ale Meg ciągle była spięta, odpowiadała mi mechanicznie i oszczędnie. Wydawała się też ucieszona faktem, że niedługo zostanie w domu sama.

– Mogę zamknąć Arniego w kojcu, jeżeli chcesz. On jest ze schroniska, mam go od

niedawna i zdarzyło się, że był agresywny wobec jednego mężczyzny. Nie chcę, żeby ci zrobił krzywdę.

– Chyba mnie polubił – pogłaskała go po łbie – a poza tym czuję się przy nim bezpiecznie.

Zaskoczyła mnie tym, co powiedziała, ale wreszcie zrozumiałam jej zachowanie – ona była przerażona! Nie niemiła czy gburowata, ale z jakiegoś powodu zwyczajnie i rozpaczliwie bała się, ale wcale nie miała ochoty ze mną o tym rozmawiać.

– Tutaj jest bezpiecznie, mieszkam tu sama od kilku miesięcy i nic złego mnie nie spotkało – zaczęłam ją uspokajać, a ona nic mi nie odpowiedziała. – To ja się zbieram. Zaczynam dziś kurs na prawo jazdy i powinnam wrócić około południa. Rozgość się. Lodówka jest pełna, książki i filmy do twojej dyspozycji, a gdybyś czegoś potrzebowała, to dzwoń, na lodówce jest mój numer. Drugie klucze są na haczyku w korytarzu – instruowałam Meg, a ona tylko kiwała głową i głaskała psa, który patrzył jej głęboko w oczy.

Kiedy szłam już w kierunku furtki, po raz pierwszy przemknęła mi przez głowę myśl, że zostawianie obcej osoby w swoim domu, wraz z kompletem kluczy, to nie jest do końca dobry pomysł. Ale szybko odgoniłam ją od siebie, ludziom trzeba ufać, a poza tym skoro słowa już padły, to przecież ich nie odwołam. W przyszłości postanowiłam jednak inaczej to wszystko zorganizować.

Będąc w miasteczku, najpierw zamówiłam solidne drzwi do łazienki, wraz z montażem, a potem udałam się do szkoły nauki jazdy. W sali zgromadzonych było kilkadziesiąt osób, a ich średnia wieku wynosiła niewiele więcej niż połowę mojego. Poczułam się jak stara babcia i usiadłam w pierwszej wolnej ławce. Zajęcia były dość ciekawe, ale z niecierpliwością spoglądałam na zegarek, bo martwiłam się trochę o Meg – miała w sobie coś takiego, że chciało się o nią troszczyć – ale jeszcze bardziej niepokoiłam się o dom i Arniego. Pocięszała mnie tylko myśl, że nic nie umknie uwadze pana Włodzimierza, a więc żaden złodziej wywożący nieznanym samochodem mój dobytek nie prześlizgnie się pod jego oknami. Od razu po zajęciach ruszyłam w drogę powrotną do domu. Zaszalałam i wzięłam taksówkę. W końcu hotel zarabia, tak? Kiedy szybkim krokiem wspinałam się pod górkę, dołączył do mnie pan Włodzimierz.

– Gościa ma... – bardziej potwierdził, niż zapytał.

– Tak, jest jedna pani.

– I tak obcym dom zostawia – kiwał głową z dezaprobatą – i to jeszcze dziwna ona jakaś, nie otworzyła mi drzwi.

– No, przecież pana nie zna! To znaczy, że jest ostrożna i dobrze o niej świadczy.

– To jej powie, że ja swój.

– Powiem.

– Była na lekcji jeżdżenia?

– Byłam.

– Mogę pokazać, jak się autem kieruje.

– Super! Teraz?

– No a kiedy? – Zapalił papierosa, a ja puściłam się klusem do domu po kluczyki. Jak tylko wpadłam do środka, Arni wysunął łeb z pokoju Meg.

– To ja, jestem z powrotem.

Pies szczeknął. Zajrzałam do pokoju gościnnego. Meg leżała i właśnie ją obudziłam.

– O przepraszam, nie wiedziałam, że śpisz. Już mnie nie ma.

Pies wyczuł moje podekscytowanie i wybiegł za mną do ogrodu. Nieufnie przyglądał się, jak pan Włodzimierz otwiera ogromne wrota stodoły. Podałam mu kluczyki i w następnej chwili opadły mnie wątpliwości, bo po minucie zawył silnik wiekowego auta, które szybciej niż

zdażyłam pomyśleć, że jednak nie chcę dziś nim jeździć, ruszyło tyłem ze swojego garażu, wykonało błyskawiczny, acz chwiejny manewr zawracania i zatrzymało się tuż przede mną, a ja instynktownie uskokczyłam w bok. Przeżegnałam się bezwiednie, pan Włodzimierz wysiadł, a ja podeszłam do samochodu na miękkich nogach i zajęłam miejsce kierowcy, spodziewając się najgorszego. Pan Włodzimierz bardzo rzeczowo wytłumaczył mi jednak najpierw, do czego służą poszczególne pedały, drążki i przyciski, a następnie krok po kroku doprowadził do tego, że za moim sprawstwem auto poruszyło się kilka centymetrów i... od razu zgasło. I tak przez pół godziny. Kiedy udało mi się wreszcie pokonać kilka metrów, z radości straciłam panowanie nad sobą – uściskałam i wycalowałam swojego sąsiada serdecznie, a on przypomniał sobie nagle, że ma coś ważnego do zrobienia i musi wracać natychmiast do domu. Arni wszystko obserwował i dopiero kiedy samochód znów znalazł się w stodole, wślizgnął się do domu przez uchylone drzwi.

Meg zgodnie z ustaleniami została przez tydzień. Mało rozmawialiśmy, nie chciała też dołączyć do warsztatów ani uczestniczyć w spotkaniu koła, mimo moich zachęt. Nie narzucałam jej się swoim towarzystwem, ale uważnie ją obserwowałam. Spacerowała tylko po ogrodzie, i to wczesnym rankiem, chętnie gotowała, unikała jednak ludzi. Kiedy przyjechali dwaj panowie zamontować drzwi do łazienki, zaszyła się w swoim pokoju na całe popołudnie. I potem znikwała za każdym razem, kiedy ktoś mnie odwiedzał. Poprosiła, żebym nie mówiła kobietom z koła, że u mnie jest. Byłam już pewna, że się ukrywa i trochę martwiłam się o nią, kiedy po tygodniu wyjeżdżała. Arni wzdychał i długo stał przy furtce po jej odejściu.

Meg pozostała dla mnie zagadką. Nie wiedziałam nawet, czy pobyt u mnie w jakikolwiek sposób jej pomógł i co mogłam jeszcze zrobić, żeby tak było. Pokój zostawiła nienagannie czysty. Pościarała kurze i nawet sprzątnęła odkurzaczem podczas mojej nieobecności. Wszystko wyglądało, jakby jej tu nigdy nie było. Po kilku dniach odnalazłam jedyny ślad, jaki po sobie zostawiła. Było to napisane bardzo drobnym pismem kilka zdań w naszej galerii inspirujących cytatów: „Nie zaznam już gniewu. Nie zaznam głodu. Usiądę w cieniu mojego własnego drzewa, będę medytować, spełniona i spokojna”. Nie podała, skąd pochodziły te słowa, dopisała tylko na koniec: „Dziękuję, Meg”. Zaintrygowana źródłem cytatu, wpisałam go w wyszukiwarke w Internecie, minęło kilka sekund i miałam na ekranie cały utwór. Nosił tytuł *Nareszcie wolna*, a Meg przywołała jego ostatnie trzy wersy. Zrobiło mi się gorąco, kiedy przeczytałam całość, a jej zachowanie nagle stało się dla mnie jasne. Wiersz brzmiał następująco:

*Nareszcie wolna,
Nareszcie jestem wolną kobietą!
Nie jestem już uwięziona w kuchni,
Sama brudna między brudnymi garami.
Uwolniłam się od lubieżnego męża,
Dla którego jestem mniej warta
Niż cień, który wypłata swoimi palcami.
Nie zaznam już gniewu. Nie zaznam głodu.
Usiądę w cieniu mojego własnego drzewa,
będę medytować, spełniona i spokojna.*

Był to utwór Matki Sumangali, która żyła w VI wieku przed naszą erą i była żoną wypłatacza parasoli przeciwsłonecznych. Jako jedna z wielu kobiet opisywała swoje doświadczenia, które potem znalazły się w tomie wierszy.

Nie mogłam spać tej nocy i doczekać się ranka. Miałam przed sobą kolejną lekcję jazdy

i chciałam odwiedzić Meg w pizzerii. Bezskutecznie próbowałam sobie ułożyć w głowie, co jej powiem. Jak zacząć? Jak mam powiedzieć, że domyślam, że ktoś ją krzywdzi i że chcę jej pomóc? Jak mogę jej pomóc? Co powinnam zrobić? A jeżeli wszystkiemu zaprzeczy i się na mnie wkurzy? Może lepiej nic nie robić? Jak będzie chciała, to sama zwróci się o pomoc. W końcu to osobista sprawa między nią i jej mężczyzną. Wierciłam się w łóżku do piątej rano, kiedy z ulgą wstałam i z kubkiem kawy włączyłam komputer, wpisując w wyszukiwarce hasło „przemoc domowa”, które brzmiało dla mnie jak z kosmosu albo marginesu społecznego. Nigdy wcześniej nie przemknęło mi przez głowę, że to dotyka takich normalnych ludzi, wyglądających i żyjących jak Meg, moja filmowa, bezproblemowa i zawsze pogodna dziewczyna z sąsiedztwa. Arni, który ujął mnie swoją sympatią i delikatnością wobec Meg i w związku z tym przestałam go zamykać w kojcu w ogrodzie na noc, przyszedł do mnie, zdziwiony, że już nie śpię. Przyglądał mi się uważnie, a potem z westchnieniem ułożył się obok fotela, jakby wiedział, że chodziło o jego ulubienicę. Dowiedziałam się ze strony Niebieskiej Linii, że powinnam porozmawiać i zaoferować praktyczną pomoc, że są terapeuci, grupy i specjalne ośrodki wsparcia oraz numer telefonu, gdzie można o każdej porze uzyskać pomoc i poradę. Czytałam, że wszystkie służby publiczne i przeróżne instytucje mają obowiązek i środki, aby pomagać osobom krzywdzonym. No to dlaczego Meg nie chce pomocy? Dlaczego nic nie mówi, chociaż okazuję jej sympatię, i znika bez słowa? Dlaczego, jakby nigdy nic wraca do swojego życia? Przecież, jeżeli faktycznie jest nieszczęśliwa i przestraszona, to powinna coś zrobić, żeby to skończyć! Potem przyszło mi do głowy, że może po pobycie u mnie nabrała sił i uciekła od swojego prześladowcy, kimkolwiek on jest. Może wyjechała dokądś, gdzie czuje się bezpiecznie? Tak czy inaczej musiałam się z nią zobaczyć i wyjaśnić swoje wątpliwości.

Tego dnia jazda samochodem szła mi gorzej niż zazwyczaj, co o dziwo było możliwe. Głowę miałam zaprzątniętą Meg i naszą rozmową, więc zupełnie nie potrafiłam się skupić. Parę razy mi się wydawało, że ją widzę wśród ludzi na chodniku i na przystanku. Hamowałam nagle, a kierowcy z tyłu trąbili. Wreszcie minęły jakoś te dwie godziny męki mojej i owego dobrego człowieka, mojego instruktora. Z ulgą wysiadłam z samochodu i już nie słuchałam go, kiedy sugerował dokupienie kilku godzin jazdy przed egzaminem. Przytaknęłam, niemal wyrwałam mu z rąk kartę odbytych jazd i pobiegłam w kierunku pizzerii. W lokalu było pusto, jak zwykle przed południem. Czekałam przy barze kilka sekund, zanim z zaplecza wyszła koleżanka Meg. Powiedziała, że Małgorzata wzięła dwa tygodnie urlopu i wyjechała z chłopakiem na wczasy za granicę. Podobno była tym bardzo podekscytowana. Dziewczyna stwierdziła, że jeżeli to coś ważnego, to da mi jej numer telefonu. I od razu szybko zapisała mi go na serwetce, a ja, trochę zmieszana, jeszcze szybciej wyszłam z lokalu. Nic mi się nie zgadzało. Jak dobrze, że nie zaczęłam z nią tej rozmowy, tylko bym się wygłupiła! Dziewczyna jest szczęśliwa z chłopakiem, może mieli tylko jakiś mały kryzys. A te dwie linijki wiersza, wyrwane z kontekstu są motywujące i może do niej po prostu przemawiają. Do mnie zresztą też. Tylko pierwsza część wiersza mną wstrząsnęła...

Po powrocie do domu zadzwoniłam do Anity. Potrzebowałam potwierdzenia, że to wszystko prawda, co piszą w Internecie. Przyznała, że jest wiele miejsc i instytucji, które pomagają – policja, ośrodki pomocy społecznej, lekarze, ośrodki wsparcia dla ofiar przemocy.

– Przemoc domowa to przestępstwo – tłumaczyła mi – i w każdej miejscowości są ludzie, którzy pomagają. Tyle że osobom skrzywdzonym często dużą trudność sprawia pierwszy krok, czyli ujawnienie problemu.

– To co ja mogę zrobić?

– Już w zasadzie wszystko zrobiłaś, zebrałaś informacje. Możesz jeszcze spróbować z nią porozmawiać i dać jej sygnał, że może na ciebie liczyć.

– I tylko tyle?

– A co chciałaś jeszcze zrobić? To ona musi dostrzec, że jest krzywdzona, jeżeli jest, i uwierzyć, że zmiana sytuacji jest możliwa. Tylko wtedy będzie miała szansę, żeby się od niego uwolnić.

Brzmiało to dla mnie trochę śmiesznie. Zawsze myślałam, że psycholog, prześwieciliwszy swoich klientów, trzaska ich potem informacjami po głębie, potrząsa nimi i robi rewolucję w ich życiu, a oni ze zdumienia przecierają oczy i są mu na koniec bardzo wdzięczni. Podzieliłam się z Anitą swoimi wyobrażeniami, a ona zarechotała:

– Nie ma tak różowo, kochana. To musi być zawsze decyzja klienta, żeby coś w swoim życiu zmieniać, żeby zacząć mówić. Nic na siłę. Zapisz numery telefonów, adres strony, gdzie można znaleźć informację, tak na wszelki wypadek. Może kiedyś Meg z nich skorzysta?

– Może – przytaknęłam, a w głowie miałam natrętą myśl, że musi być jakiś inny sposób, szybszy, skuteczniejszy i bardziej spektakularny, żeby pomóc Meg.

Ostatecznie, kiedy już trochę poukładałam sobie w głowie to wszystko, czego się dowiedziałam, poczułam ogromną ulgę, że ten problem nie dotyczy ani mnie, ani Meg. Utwierdziłam się też w przekonaniu, że tylko w patologicznych środowiskach się dzieje ta przemoc. Zresztą, jakby chciała, to by szukała pomocy. Uspokoiliam się, ale wiersz przez kilka kolejnych dni do mnie powracał. Raz nawet obudziłam się w nocy z lękiem wywołanym przez sen pełen agresywnych scen i zadawanego komuś bólu. Arni przybiegł od razu i polizał mnie po ręce. Wzruszył mnie też bardzo, bo po raz pierwszy, odkąd u mnie zamieszkał, resztę nocy spędził, śpiąc na dywaniku przy moim łóżku.

Tymczasem w przyrodzie na dobre rozgościł się marzec, niepozorny i kapryśny miesiąc nadziei, kiedy słońce grzeje mocniej i wszystko budzi się ze snu i przeciera oczy, a co żywe, chce się zielenić i rosnąć ku słońcu. Śnieg spłynął i w ogrodzie ukazały się szarobura trawa i kretowiska. Otwierałam szeroko okna, żeby napęlić dom wiosną, i zrezygnowałam z termoforu do łóżka. Kilka dni słońca sprawiło, że oszołomione jeszcze pszczoły zaczęły się uwijać w ogrodzie, a na trawie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiły się stokrotki. Ptaki bezczelnie budziły mnie śpiewem o piątej rano, a potem strasznie zajęte, rozgadane, świergoczące i szczebioczące, opanowywały cały ogród. Po wiosennym deszczu trawa zieleniła się niemal z minuty na minutę i już widziałam siebie biegającą po niej boso o poranku, w zwiewnej sukni i pełną gracji. Pisałam na stronie pracowni: „Wyobraź sobie poranek, kiedy nie budzi cię odgłos śmieciarki ani samochodów na ulicy, a tylko śpiew ptaków. Wyobraź sobie wieczór, kiedy ciszę wypełniają tylko świerszcze. Wyobraź sobie noc, kiedy jedynym źródłem światła są księżyc i gwiazdy. Wyobraź sobie dom, w którym pojawiają się tylko życzliwi ludzie i ci, których zaprosiłaś, a poza tym odwiedzają cię wyłącznie zwierzęta, ptaki i dobre myśli”. Liczyłam na to, że wraz z wiosną przybędzie gości w moim hotelu i uczestników zajęć w pracowni, a tym samym że trochę poprawią się moje finanse.

Wciąż bezlistne brzozy po deszczu wyglądały jakby obwieszone kryształami. Nie mogłam się nadziwić, jakie skarby mam na własność u siebie w ogrodzie. Robiło się pozytywnie, obiecująco i ku dobremu. Pełna energii przystąpiłam do grabienia ostatnich nieuprzętniętych jesienią liści i zwiędłych traw, a potem spulchniania i wyrównywania ziemi w tej części ogrodu, gdzie miał być mój warzywnik, a w nim wszystko „eko”, ociekające witaminami i zdrowiem! Tej wiosny sprawiłam, że ogród stał się zadbane, drzewa przycięte, a trawa wygrabiona. Dawało mi to ogromną satysfakcję. Ignorowałam jednocześnie ból pleców i ramion, które od przenoszenia i podnoszenia stały się umięśnione jak u tenisisty, oraz połamane paznokcie z nieusuwalną czarną obwódka. Oto czyniłam świat piękniejszym, i to było najważniejsze. Z niecierpliwością czekałam, kiedy pojawią się posadzone jesienią narcyzy, tulipany i lilie. Trudno było mi uwierzyć, że

przetrwały głęboko w ziemi i że cud się zdarzy, że wystrzelą zielone liście, a później też kolorowe kwiaty i będą cieszyć moje oczy. Zadumałam się przez chwilę nad tą tajemnicą. Czy to, że roślin jeszcze nie widać, znaczy, że ich nie ma? Przecież wiem doskonale, że je sadziłam, brzydkie i suche cebulki. Co dzień sprawdzałam, czy kielki już wyszły i oto wreszcie są! Małe zielone łodyżki. Będą też zatem i upragnione kwiaty. Z miłością jest chyba tak jak z tulipanami: zdarza się, że trwa zasuszona, aż trudno uwierzyć, że jeszcze w ogóle jest. Ale to, że na pewien czas zasypia, nie znaczy, że już odeszła i nie wróci nigdy.

Przez rozmowę z Kamilą i wiosnę znów więcej myślałam o Mikołaju. To na wiosnę się poznałyśmy. Spacerując wśród żółtych narcyzów były sceny naszych pierwszych zwierzeń i długich rozmów o wszystkim. To z nim kojarzą mi się przebieśnieni i zapach rozmarznętej ziemi, i wiosenny wiatr. Ciężko mi było. Już straciłam nadzieję, że będzie mnie szukał. Już chciałam przerwać tę zabawę i wyjść z kryjówek. To było jak w dzieciństwie, gdy całą gromadą bawiliśmy się w chowanego. Byłam najmniejsza i czasami tak dobrze się chowałam, że pozostałe dzieci, znudzone, przestawały mnie szukać. Zaczynały się bawić w coś innego beze mnie, a ja wtedy wychodziłam z ukrycia i udawałam, że mi wcale nie zależało, żeby mnie znaleźli. Ale bolało, że nikt nie docenił, jak dobrze się ukryłam i że przecież wygrałam! Ani wtedy, ani teraz nie czułam wcale smaku zwycięstwa.

Zacisnęłam zęby i żyłam dalej, dzień za dniem. Sama.

Samotność mnie zahartowała, odarła z niepotrzebnych warstw uprzejmości, miłych słów i wymiany grzeczności z ludźmi. W samotności mniej się mówi i nadmiar słów jeszcze bardziej razi, zwłaszcza tych pustych, które nic nie wnoszą i są tylko marnowaniem energii. Jedynym głosem, jaki chciałam słyszeć, był *jego* głos i śmiech. Wyrzucałam jednak z głowy myśli związane z Mikołajem. Za każdym razem, kiedy się pojawiały, znajdowałam sobie zajęcie w domu, w ogrodzie, w pracowni, szłam na długi spacer z Arnim albo dzwoniłam do dziewczyn. Szukałam ludzi, ale starannie ich wybierałam, nic z konieczności ani w desperacji. Lepiej się dogadywałam z panem Włodzimierzem, chociaż półsłówkami i lakonicznie. On zaś w odpowiedzi na moje milczenie stał się bardziej rozmowny. Relacjonował mi plotki i ploteczki o ludziach, których nie znałam, doradzał, co i jak zrobić w ogrodzie, opowiadał mi o ciotce. Koło gospodyń zorganizowało kurs wyplatania z wikliny. Niezręcznymi palcami uparcie naginałam witki do mojej wizji, ale i tak kosze wychodziły koślawe, płotki chyliły się na jedną stronę, jakby nie miały siły stać prosto, a stolik miał jedną nogę krótszą. Używałam jednak wszystkich swoich wyrobów z dumą i miałam poczucie, że wreszcie robię coś, co ma sens, jest użyteczne i napędza mnie spokojem.

Z kolei jazda samochodem szła mi gorzej niż najmniej pojętym uczniom mojego instruktora. Powiedział mi to na trzeciej z dodatkowych lekcji. W związku z tym zmieniłam instruktora. Mój ogród stał się placem manewrowym i pan Włodzimierz, który miał kosić trawę, trochę narzekał na ślady opon, wryte dziury oraz poniszczone krzewy. Arni zwyczajnie chował się i nie wychodził, dopóki nie wysiadłam z samochodu. Ten pies był stanowczo za mądry i znał się na ludziach lepiej niż ja sama. Mój nowy instruktor był szalenie odważnym człowiekiem i chociaż śmierć nieraz mu zaglądała w oczy podczas naszych wspólnych jazd, on tylko rzucał kolejny dowcip, wzdychał czasami cichutko i uprzejmie prosił o możliwość powrotu po pracy do swojej żony i dzieci. Jako osoba empatyczna i z natury przyjazna ludziom starałam się więc najbardziej, jak mogłam, tak jak jeszcze chyba nigdy w życiu! Popępiałam wciąż te same błędy, stresowałam się i uparcie powtarzałam sobie, po co to robię i jak fajnie będzie, gdy to już przeżyję i zamiast minibusem będę jeździć do miasteczka samochodem, a siatki z zakupami będę wozic w bagażniku zamiast nosić. I gdyby nie to przepiękne wyobrażenie moje życie przez długie dwa miesiące, w ciągu których sześć godzin tygodniowo spędzałam za kierownicą jako

kursantka, byłoby koszmarem, a tak było wyzwaniem i próbą charakteru – głównie dla instruktora i innych uczestników ruchu drogowego. Potem nastąpiły dwie nieudane próby potwierdzenia swoich umiejętności jazdy po drogach publicznych, podczas egzaminu państwowego. I wreszcie podczas próby numer trzy, trzynastego kwietnia, dzięki wielkiej życzliwości egzaminatora udało się! Moja męka się zakończyła i po kolejnych dwóch tygodniach trzymałam w ręku przepustkę do wejścia w rolę królowej szos!

Na wieść o moim sukcesie Irminka przysłała mi niezbędny kobiecie kierowcy, czyli różowe pokrycie na kierownicę, wykonane z pluszu, od Kamili przybył różowy piesek ruszający głową, Monika ofiarowała mi tablicę z moim imieniem, a Patrycja w nagłym przypływie pobożności przekazała mi naklejkę ze świętym Krzysztofem. Od Anity dostałam największy prezent, który mnie zaintrygował, bo był wielkości pudełka na buty i dość ciężki. Miałam nadzieję, że nie jest to dożywotni zapas saszetek zapachowych do samochodu. Po odpakowaniu okazało się jednak, że nie doceniłam swojej koleżanki. W środku bowiem był najbardziej obciachowy pokrowiec na siedzenie z drewnianych kuleczek, jaki kiedykolwiek widziałam. Każda z kulek została przez Anitę własnoręcznie pomalowana na różowo. Najwyraźniej konsultowały się między sobą i zadbały, aby wszystkie elementy dekoracyjne do siebie pasowały. Po umieszczeniu prezentów w samochodzie uzyskałam efekt tak piorunujący, że pan Włodzimierz kilka razy zaglądał do środka, przecierając oczy ze zdumienia.

Wydawało mi się, że jestem już gotowa, żeby uderzyć na szosę. Zebrałam torby na zakupy, stworzyłam długą listę sprawunków i powoli wyjechałam ze stodoły. Odkryłam, że jazda bez instruktora jest znacznie przyjemniejsza. Czułam się jak młoda bogini, świat miałam u swoich stóp, a wiatr we włosach. Wreszcie widziałam postępy w mojej żmudnej pracy nad własną osobowością i w zdobywaniu niezależności. Spodziewałam się, że zdany egzaminem rozpoczął długo oczekiwane pasmo sukcesów. I rzeczywiście! Ale po kolei...

Konkurs Piosenki Folklorystycznej, w którym brali udział Bartniczanie, okazał się wielkim wydarzeniem dla całej wsi. Ksiądz zapowiedział występ w kościele, wszędzie rozwiesiliśmy plakaty, a i na naszej stronie umieściłam informację, że bierzemy udział w konkursie pieśni i liczymy na to, że los będzie nam sprzyjał. Patrycja przyjechała wcześniej rano w dniu konkursu z walizką pełną kosmetyków, suszarką, prostownicą i lokówką, a nawet bond peruką na wszelki wypadek, gdyby fryzura się nie udała. Przygotowania poszły jej jednak gładko i zdążyła nawet wziąć udział w próbie, w trakcie której ćwiczyliśmy zamaszyste zawijanie spódnicami i płasanie po scenie. Do miasteczka tłumnie zjechali nieznanymi mieszkańcy wsi. Gdy zza kulis przyglądałyśmy się widowni, Baśka syczącym szeptem podawała mi ich nazwiska. Kiedy już staliśmy na scenie, wypatrzyłam jeszcze Małgorzatę, z mężczyzną u boku, uśmiechniętą promiennie, w zwiewnej sukience. Pomachała mi lekko, a mężczyzna obdarzył mnie niezbyt przyjaznym, jak mi się wydawało, spojrzeniem. Zdziwiłam się, nie wiedząc, o co mu chodzi, ale szybko o tym zapomniałam, bo w tym momencie skrzypce tęsknie zaintonowały melodię, dołączyła do nich harmonia, a potem głos Patrycji i już popłynęła w niebo pieśń o niestrudzonym gajowym. Nogi same porwały mnie do tańca, wykonując ku memu zdumieniu bezbłędnie wszelkie zaplanowane figury. Było mi lekko i radośnie. Miałam nadzieję, że piosenka będzie trwała jak najdłużej, a dzielny gajowy będzie wędrował i wędrował aż do lasów równikowych. Nasz entuzjazm udzielił się widowni i wszyscy zaczęli klaskać, małe dzieci tańczyły pod sceną, a dorośli nieśmiało bujali się, siedząc na ławeczkach, lub podrygiwali radośnie, stojąc w ogródku piwnym. Wykonaliśmy potem jeszcze jedną piosenkę i tym samym nasz debiut dobiegł końca.

Patrycja szalała za sceną, rozpaczając nad drobnymi niedociągnięciami występu, ale jednocześnie optymistycznie przewidując, że za moment zjawią się paparazzi i impresario,

a potem ruszy prosto do Paryża lub Londynu, na podbój tamtejszych scen. Nadal w strojach regionalnych, w stylu Hanki od Rumcajsa, czyli: kwiciasta spódnica z ogromnych ilości materiału, biała bluzka z bufkami na rękawach, zawiązana w pasie na kokardę, sznur czerwonych koralu i trzewiczki na małym obcasiku, wmieszałyśmy się w tłum zgromadzony pod sceną, na której pojawiały się kolejne zespoły. Teraz my podrygiwałyśmy i bujałyśmy się beztrudno, przysłuchując się ich piosenkom. Osobisty strażak Malwiny, w pełnym rynsztunku i z poważną miną, pełnił swoje obowiązki zabezpieczania imprezy, a ona stroiła do niego głupie miny, podjudzana przez Patrycję, co znosił z kamienną twarzą i czasem tylko cicho wzdychał. Kobiety w swoim własnym towarzystwie stają się wulkanem nieprzewidywalnej energii, która bywa nie do zniesienia dla flegmatycznych i mało wylewnych mężczyzn.

Rozwazałyśmy właśnie to zagadnienie, kiedy na scenę wszedł przedstawiciel konkursowego jury. Patrycja, do tej pory najgłośniejsze udzielająca się w dyskusji, zaczęła nas uciszać i syczeć na tych wokół, którzy nadal rozmawiali. Juror pogratulował wszystkim występów i przypomniał, że imprezę sponsoruje lokalny samorząd, za co należą mu się wyrazy szczerzej wdzięczności. Wreszcie przedstawił laureatów. Kiedy okazało się, że zwyciężyliśmy, i to zarówno w głosowaniu członków jury, jak i zgromadzonych widzów, na naszej ławeczce zapanował szal radości! Patrycja całowała i ścisnęła wszystkich. Zakłopotany pan Błażej, którego Patrycja zmusiła do oglądania występów pod groźbą, że nie odda mu jego komórki, obserwował wszystko z niepokojem w oczach, ale starając się zachować uśmiech na twarzy. Podbiegła do nas Meg z gratulacjami. Wyściskałam ją z całej siły, a potem po kolei i grupowo ścisnęli się wszyscy ze wszystkimi. Towarzysz Meg, który obserwował całą tę scenę z pewnej odległości, co wydawało mi się nieco dziwne, podszedł w pewnej chwili i rzucając jowialnymi żartami z naszych reprezentacyjnych strojów, z nieco oślizgłą uprzejmością zaczął całować panie po rękach. Meg wyglądała przy nim na szczęśliwą, więc starałam się być miła. Zapytałam go o ich urlop, a on zbył mnie krótkim „wspaniale” oraz sztucznym uśmiechem i już odciągał Meg od naszej grupy pod pozorem, że będzie robione zdjęcie naszego zespołu i żeby nie przeszkadzali. Patrycja też zauważyła jego zachowanie i skwitowała krótko: „Ale dzik!”. W następnej sekundzie zajęta już jednak była poprawianiem falban spódnicy i przeglądaniem się w lusterku, żeby dobrze wypaść na zdjęciu. I słusznie, bo po dwóch tygodniach ukazało się ono na okładce lokalnej gazetki, stanowiąc jednocześnie pierwszy krok Patrycji w drodze do świata celebrytów.

Dla mnie, prócz sukcesu mojej koleżanki, najważniejsze było, że wraz ze zdjęciem ukazał się również entuzjastyczny artykuł na temat działalności koła i pracowni. Dzięki temu zapisy do grup wiosennych dla dzieci, młodzieży i dorosłych ruszyły pełną parą, a ja sama pozwoliłam sobie na opłacenie kursów masażu pędami babusa, tworzenia kartek świątecznych i decoupage'u. Nic wielkiego, ale dla mnie to był ogromny postęp, bo oto inwestowałam w siebie, uczyłam się nowych rzeczy i przelewałam w swoje małe dzieła to, co mi od dawna w duszy grało i śpiewało. Coraz częściej też rozmyślałam nad zapisaniem się do konkretnej szkoły i zdobyciem nowego zawodu, którego wykonywanie będzie dla mnie radością, a nie męką. Chciałam wstawać co rano i iść do pracy z uśmiechem, jak Michał i jego rodzina piekarzy. Dojrzywałam do rozumienia, że nieważne, co robię, jaki zawód wykonuję, ale jak to robię, czy idę rano do „roboty”, czy też w pełni się angażuję w pracę.

Starałam się wkładać jak najwięcej serca we wszystkie podejmowane działania, tak dużo, żeby nie wystarczało go dla Mikołaja. Pomagałam we wszelkich przedsięwzięciach koła, uczyłam się, wymyślałam coraz to nowe zajęcia, ku radości Kaśki, a resztę czasu spędzałam w ogrodzie, ciesząc oczy tym, co już rosło, i przygotowując miejsce dla nowych kwiatów. Kobiety z koła, widząc moje zamiłowanie do uprawiania roślin, przynosiły mi sadzonki, krzewy i nasiona ze swoich ogrodów, doradzając, gdzie je posadzić i jak pielęgnować. Otrzymałam

nawet praktyczne szkolenie z zakresu prawidłowego umieszczania sadzonek w ziemi wraz z przypowieścią na temat pewnego męża, który w szale upiększania swojego ogrodu ofiarowane kwiaty posadził korzeniami do góry. I można by się śmiać z jego nieudolności, gdyby nie zaskakująca puenta całej historii. Okazało się, że tak posadzone rośliny, dzięki zapałowi i wielkiemu sercu początkującego ogrodnika, rozrosły się i obsypały pięknym kwieciami, przewyższając urodą nawet te w ogrodzie doświadczonej ofiarodawczyni! Jak widać, w każdej roślinie i w każdym z nas tkwią ogromne siły i możliwości, które czasem ujawniają się w działaniu niestandardowym.

Po kilku dniach od konkursu piosenki, będąc w miasteczku, wstąpiłam na kawę do pizzerii, z nadzieją, że spotkam Meg i będziemy miały okazję porozmawiać. Zgodnie z radą Anity miałam zamiar dać jej sygnał, że może na mnie liczyć, jakby coś, choć nie wiedziałam dokładnie co. W kieszeni miałam kartkę z wydrukowanymi adresami i numerami telefonów oraz ulotkę na temat przemocy w rodzinie. Meg była na szczęście w pracy, może nieco mniej radosna niż na festynie, ale już nie tak przygnębiona i milcząca jak podczas pobytu u mnie w hotelu. Podała mi kawę i pogratulowała jeszcze raz sukcesu. Przypomniałam jej, że chciała się zapisać na warsztaty garncarskie, i zaproponowałam miejsce w rozpoczynających się w weekend zajęciach.

- Arni się ucieszy, jak przyjedziesz – dodałam.
- Twój Arni jest super – po raz pierwszy uśmiechnęła się od ucha do ucha.
- A wy macie psa?
- Nie, my nie mieszkamy razem. Ale Andrzej zapowiada, że nie będziemy mieli zwierząt.

Trudno z nimi utrzymać dom w czystości.

- No tak, to prawda. Wygląda na stanowczego człowieka.
- Ma zawsze swoje zdanie, jak każdy facet.
- Jesteś z nim szczęśliwa? – odważyłam się zapytać wprost i wejść na grząski grunt.
- Kocham go.
- Trochę ci zazdroszczę, że mówisz to z taką pewnością siebie.
- Po prostu trafiłam na tego właściwego mężczyznę.
- Od dawna jesteście razem?
- Niedługo miną cztery lata.
- I nigdy nie miałaś wątpliwości, czy to ten?

Coś jakby wahanie przemknęło po jej twarzy, a następnie odwróciła się energicznie, żeby podać mi śmietankę do kawy.

- Nie kocha się za, ale mimo wszystko i ciągle na nowo.
- Trzeba tylko uważać, żeby nie wybaczać za wiele.
- Wiem – ucięła dyskusję i zmieniła temat. – Czytałam na waszej stronie o klubie

dyskusyjnym.

– Tak, zaczynamy w piątek, Malwina będzie czytać swoją poezję i pewno będzie o miłości.

- Może wpadnę?
- Wpadnij – uśmiechnęłam się szeroko.

Resztę czasu przegadałyśmy o książkach, psach i o tym, jaki piękny jest kolor morza w Chorwacji. Czułam, że mogłabym się z nią zaprzyjaźnić, gdybym tylko nie musiała martwić się tak jej kruchością i ważyć słów, kiedy rozmawiamy o jej Andrzeju-Dziku.

– To do zobaczenia w piątek – rzuciłam, wychodząc z pizzerii godzinę później, z wymiętą ulotką w spoconych dłoniach i samolocikiem zrobionym z kartki, na której były adresy i numery telefonów.

– Do zobaczenia, o ile Andrzej czegoś nie zaplanuje – zaśmiała się krótko i zabawnie zmarszczyła nos.

– Byłoby bardzo fajnie, gdybyś przyszła. Pa!

Wysłałam i myślałam, że niezależnie od tego, czy Meg jest szczęśliwa ze swoim Dzikim, czy nie, wygląda na to, że ciągle balansuje dla niego na bardzo cienkiej linii.

Malwina miała zaróżowione policzki i z przejęciem kartkowała cienki zeszyt z okładką w zielone jabłka. Siedziałyśmy w ogrodzie, słońce pieściło nasze twarze, wiatr strząsał z kwitnących drzew białoróżowe płatki i w tak romantycznej scenerii zaczynał się pierwszy Klub Dyskusyjny Czytających Świadomie. Inaugurację, tak jak zapowiedziałam Meg, stanowiła prezentacja poezji Malwiny, do czego z wielkim przejęciem właśnie się przygotowywała. W kieszeni zamruczał mi telefon, ale ona już zaczęła, więc zastygłam w pół ruchu i wsłuchałam się w słowa:

*Być tak bardzo z kimś,
że aż nie sobą.
Tęsknić za obecnością i stać się w niej
Nieobecną,
Bezgraniczna, cała, wieczna.
Miłość?*

Uważniej przyjrzałam się Malwinie. Czekala na jakąś reakcję, więc pokiwałam głową i jednocześnie kątem oka sprawdzałam, co robią pozostałe uczestniczki spotkania. Kaśka rysowała w swoim zeszycie, Meg spuściła głowę zadumana, pani Czesia wydłubywała coś spod paznokcia, pani Grażyna szydełkowała, Patrycja wyglądała, jakby się krztusiła, a Basia wpatrywała się przed siebie i oczy miała zaszklone. Malwina zrobiła pauzę, wiatr jak na zawołanie strząsnął nieco pachnącego deszczu z jabłoni na jej włosy, a ona przewróciła kartkę, odchrząknęła i czytała dalej:

*Jestem,
ale
nie chcę
– być.
Światu jest to obojętne,
a dziś i tak przemieni się
w jutro*

Cisza panująca w ogrodzie i brak protestów ze strony publiczności zachęciły Malwinę do wyrecytowania kolejnego utworu:

*Próbuję rzucić palenie, martwię się o kaszel,
idzie mi średnio.
Próbuję rzucić K.,
martwię się, że jestem nikim, tkwiąc w takim układzie,
idzie mi średnio.
Dym truje mnie mniej
niż miłość.*

– Och, proszę cię, Malwina – nie wytrzymała Patrycja – czy miłość może zaprowadzić w złym kierunku?

– Tak.

– Nie!

– To zależy, jaka miłość – równocześnie odpowiedziały Meg, Kaśka i Basia.

– Dziękuję ci, Kasiu – Patrycja obdarzyła ją oklaskami. – Miłość jest piękna i wszystko wyjaśnia, uzasadnia i tłumaczy. Dla miłości i z miłości można i trzeba zrobić wszystko – dodała z wielką siłą i przekonaniem – niezależnie, co to jest!

– Tak mówią zakochani, a niekochani i zranieni? – przekornie zapytała ją Basia, która do tej pory kiwała cały czas głową ze zrozumieniem.

– No właśnie, jak już przejrzą na oczy, to się zastanawiają, po jaką cholere takie idiotyzmy robili. W imię miłości można zabrnąć w sytuacje bardzo głupie, niedobre i szkodliwe dla nas samych i dla innych – stanowczo zakończyła swoją przemowę Malwina i aż trudno było uwierzyć, że przed chwilą czytała nam takie wiersze o miłości.

– No, z twojej poezji to nie wynika – z przekąsem zwróciła jej uwagę Patrycja.

– Poezja i miłość rządzą się swoimi prawami – broniłam młodej poetki.

Cóż ja jednak wiem na temat miłości? Jak koń wierzgała i stawiała dęba, gdy próbowałam ją poskromić, i jak przyплыw wciąż wracała, gdy chciałam się od niej uwolnić na zawsze.

– Jest potężniejsza niż my same – zgodziła się ze mną Meg.

– No to jak przeżyć? – praktyczna jak zwykle Patrycja potrzebowała konkluzji.

– Trzeba oddzielać od każdej największej miłości i fascynacji drugim człowiekiem miłość i uwielbienie dla siebie. Uniesienia to jeszcze nie miłość, uniesieniami karmi się nasz egoizm – powiedziała Basia, wstając ze swojego leżaka. – Kto chce herbaty?

Wszystkie obserwowałyśmy, jak oddała się w stronę domu, z zarzuconą na ramiona chustą, w nieodłącznej spódnicy w kwiaty i w rozczłapanych tenisówkach. Naprawdę żaden materiał na eksperta czy guru. Zwyczajna kobieta, co miałyby niby wiedzieć o miłości?

– Phi – prychnęła Patrycja – a sama jakiego męża ma, nawet Arni poznał się na nim, i to przy pierwszym spotkaniu.

– Ma takiego, jakiego sobie wybrała do kochania – powiedziała pani Grażyna.

– Pamiętam, jak uciekała do niego z domu przez okno, a on dla niej kupił pierwszą pralkę automatyczną we wsi. Byli nierozłączni, odkąd poznali się w szkole podstawowej, i taki piękny ślub mieli.

– No to co się stało? – nie wytrzymałam.

Pani Grażynka tylko wzruszyła ramionami.

– Może dlatego, że taki jest teraz, to ona bardziej go musi kochać i stąd tyle wie o miłości? – zastanowiła się Malwina.

– No tak, nie sztuka kochać, jak jest dobrze. Ale jeżeli jest źle, czy miłość nagle zamienia się w głupotę? – rzuciła pytanie Meg.

– Idziecie w ogóle złym tropem – zawołała Patrycja. – Miłość jest szczęściem. Poza tym siebie też trzeba kochać, tak mówią nawet w kościele. Skoro siebie kocham, to jestem szczęśliwa i dzięki temu mogę dawać szczęście innym, a jeżeli miłość przestaje być szczęściem, to już nie miłość. No, tak czy nie?

W tym momencie niespodziewanie dla wszystkich odezwała się pani Czesia:

– Miłość jest jak dwie strony monety. To, że jesteśmy kochani, jest fantastyczne, ale drugą stroną monety jest kochać kogoś, nie tylko siebie.

– Czasami jesteśmy źle kochani – wtrąciła znów Meg.

– A czasami my źle kochamy – powiedziałam powoli.

– A jeszcze kiedy indziej za mało lub wcale nie kochamy siebie – dodała Basia, która od pewnej chwili w milczeniu przysłuchiwała się naszej dyskusji, a teraz nalewała do filiżanek przyniesionej przez siebie zielonej herbaty.

– Jak to mówią u nas na wsi – podsumowała pani Grażyna, chowając swoje szydełko do wiklinowego koszyka – krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje. Jak kto w kółko o tej miłości gada, to już nie ma czasu kochać. Trzeba dobrze żyć, a nie migdalić się i tylko słodkie słówka na ucho szeptać.

Patrycja aż podskoczyła na krześle.

– To znaczy, że jak mówię mężczyźnie co rano, że go kocham, to jestem głupia krowa, tak?

– A jak nosimy siaty z zakupami, matki polki niestrudzone, to wielka miłość jest nieskończona, bo cierpiętnicza? – Malwina też podgrzewała atmosferę.

– Dla mnie to są różne sposoby okazywania uczucia, nie można tylko z nich robić karykatury – łagodziła Baśka.

– Tak, a każda miłość jest inna, tak jak nie ma dwóch identycznych kawałków ciasta z jednego tortu – dołączyła do niej Kaśka.

– A te kawałki to wybieramy sobie na talerzyk same, czy nam ktoś je rozdziela?

– zainteresowałam się tą słodką metaforą.

Nikt mi nie odpowiedział, a Kaśka pokusiła się o kolejne kulinarne porównanie:

– To jak gotowanie zupy pomidorowej albo bigosu. Każda gospodyni ma swój mały sekret dotyczący składników.

– Tak, a potem trzeba wszystko dobrze wymieszać, przyprawić i miłość gotowa – dodała na koniec pani Grażynka.

– Czyli jaki mamy wniosek? – teraz podsumowania potrzebowała Malwina.

– Wniosek jest taki, że z miłością jest jak z gotowaniem, albo się uda, albo nie

– stwierdziłam zrezygnowana.

– Wszystko zależy od kucharki. – Patrycja wystawiła mi język i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Składniki, których się używa, też są ważne – praktycznie podeszła do sprawy Baśka.

Ostatecznie to Kasia miała w tej dyskusji ostatnie zdanie, które zadowolilo wszystkich i pozwoliło zająć się piciem herbaty.

– My nie jesteśmy doskonali, więc i miłość, którą darzymy drugą osobę, doskonała nie jest, a poszukiwanie jej idealnej postaci jest skazane na niepowodzenie. Możemy się jednak starać, najbardziej, jak potrafimy, i komponować wciąż nowe jej smaki, zapachy i kolory.

– Czasami jak mi się nie uda potrawa... – zaczęłam.

– To znaczy zawsze – weszła mi w słowo Patrycja.

Sporunowałam ją wzrokiem bazyliuszka.

– Tak jak mówiłam, czasami jak mi się nie uda potrawa, to wyrzucam wszystko, bo już grudki, zwarzone, nieświeże jakieś. Ale czasami próbuję ratować, dodać przyprawy, zmienić proporcje...

Basia pokiwała głową.

– Doświadczone kucharki mają swoje triki.

– A głodny zje wszystko – podsumowała Meg i szybko zaczęła się tłumaczyć, że nie chciała Basi urazić, ani żadnej innej kucharki.

Wybuchliśmy śmiechem, bo wyszło to zabawnie, a później panie zaczęły wstawać, przeciągać się, zerkać na telefony. Malwina z troską schowała swój zeszyt z wierszami do torby.

Jaśminowa zielona herbata smakowała doskonale, kiedy towarzyszył jej zapach kwitnącego już jaśminu w ogrodzie. Spotkanie trwało jeszcze pół godziny. Ktoś wymieniał się książkami, ktoś inny przepisami na ciasto. Ja dołączyłam do Meg i Arniego, którzy spacerowali po ogrodzie. Milczałyśmy i tak było dobrze. Byłam już wyczerpana tymi podchodami wokół niej i chciałam się do niej po prostu trochę zbliżyć. Gdzieś w środku rodziły się nowe pytania i każda z nas w ciszy poszukiwała na nie swojej własnej odpowiedzi. Jej myśli były dla mnie zagadką. Jednocześnie sama kręciłam się jak głupi szczeniak wokół własnego ogona, zadając sobie w kółko te same pytania: Jak można rozmawiać o miłości, gdy się ma poczucie, że nigdy tak naprawdę się nie kochało? Jak można dyskutować, czy jest dobra, czy zła, jeżeli własne serce wydaje się takie letnie? Może rację mają Patrycja i Malwina, obie mówią z własnego doświadczenia, więc przynajmniej opisują jakąś twarz miłości. Albo jej maski. Ja nie wiedziałam nic, czułam też niewiele, bo przecież tęsknota to w końcu nie miłość. A za czym tęsknię? Czy za jego oczami, głosem, byciem, czy za sobą samą otaczaną jego miłością? Krzywda wikła relację i paradoksalnie może wzmocnić poczucie miłości lub przywiązania. Nieobecność jest jak deszcz, który stopniowo i powoli wypłukuje uczucie.

Zastanawiałam się nad tym wszystkim jeszcze wieczorem i następnego ranka, kiedy obudziłam się z jedną myślą w głowie, jasną i oczywistą, jak słońce, które już było na niebie, i śpiew ptaków w koronach drzew – miłość wydarza się w działaniu. Wstałam i zapisałam tę frazę na kartce przygotowanej właśnie na takie momenty. Potem zajęłam się wszystkimi zwykłymi czynnościami i dyskutowałam sama ze sobą, czy w faktycznie relacjach między kobietą i mężczyzną znajduje ona zastosowanie. Musi być przecież iskra, namiętność, zauroczenie, żeby chciało się działać, bo jak tego nie ma, to każda czynność wykonywana dla drugiej osoby okazuje się ciężarem, każde ustępstwo nieznośnym wyrzeczeniem, a najmniejsze niedociągnięcie, wada i błąd, stają się niewybaczalnym powodem rozstania! To, co zniosę dla ukochanej osoby, traktując jako coś najzwyklejszego, będzie nieznośne i nie do przyjęcia w relacjach z kimś mi obojętnym. Nawet te same słowa i czyny popełnione z miłości wyjaśnię sobie inaczej, niż jeśli dochodzi do nich bez miłości. Może miłość to działanie mimo wszystko, gdy cichną już uniesienia i zaczyna się codzienność. Spektakularne i hałaśliwe objawy miłości wcale nie muszą świadczyć o tym, że samo uczucie jest ogromne. Być może największa jest ta miłość, która nadal istnieje, czasami tak spracowana, że zupełnie milcząca.

Patrycja została na weekend, a Malwina z Kaśką na noc. Zamierzałyśmy opracować zarys biznesplanu dla pracowni artystycznej i hotelu, które miały stać się działalnością oficjalnie zarejestrowaną jako moja firma, wykonująca zlecenia dla koła, tak żebym zaczęła zarabiać i mogła ubiegać się o dofinansowanie unijne. Dziewczyny wspomniały mi o swojej pomocy, a sam pomysł podsunęła pani Matylda, która odwiedziła mnie w majowe popołudnie, kilka dni wcześniej. Nie było wtedy zajęć ani spotkania koła, więc beczynnienie, ale i bez poczucia winy wylegiwałam się w hamaku i obserwowałam błękitne niebo z rozczochranymi białymi obłokami. Odgłos samochodu i zgrzyt żwiru na podjeździe porysował ciszę. Podniosłam lekko głowę. Pani Matylda była ostatnią osobą, której się spodziewałam. No, może przedostatnią, bo ostatnią był niestety Mikołaj. Arni już stał przy furtce, kiedy wyszłam jej na spotkanie i zaprosiłam do stolika, w cieniu rozłożystego orzecha włoskiego. Nie chciała kawy, herbaty ani nawet wody i od razu przystąpiła do rzeczy. Byłam jej za to wdzięczna, bo nadal trochę stresowała mnie jej obecność i chciałam jak najszybciej wiedzieć, co ją do mnie tak niespodziewanie sprowadza.

– Myślała pani o otwarciu własnej działalności i postaraniu się o dotację?

– Myślałam – odparłam zgodnie z prawdą, bo od kilku tygodni przysłuchiwałam się

uważniej ogłoszeniom o projektach, które emitowano w radiu, przeglądałam też Internet. Powstrzymywało mnie jednak przekonanie, że to za trudne, że nie dam rady, oraz obawa, co będzie, jak mi się znudzi i będę chciała wyjechać, a ze względu na udział w projekcie nie da się tego zrobić. Poza tym nie miałam żadnego doświadczenia w prowadzeniu biznesu, pisaniu jego planu i nie wiedziałam, jak to ugryźć. Jednak sama myśl o posiadaniu własnej firmy, pracy w domu i byciu sobie samej szefem bardzo mi się podobała. A także to, że to ja sama mogłabym decydować, czym moja firma będzie się zajmować, nadać konkretną postać mojej wizji. Swoboda, która dodaje skrzydeł, a jednocześnie przeraża, zwłaszcza kogoś takiego jak ja, kto szedł po linii najmniejszego oporu i do tej pory pracował jedynie na bezpiecznych posadach, z małą odpowiedzialnością i niewielkimi wymaganiami. Przez moje rozmyślenia przebił się głos pani Matyldy:

– Zrobiła pani już kilka kursów, ma pani świetne zaplecze do prowadzenia zajęć, koło użyczy, jak będzie trzeba, sprzętu, a za dotację można by kupić coś więcej i poszerzyć wachlarz oferowanych warsztatów.

– Tak, to jest świetny pomysł – uśmiechnęłam się do niej w odpowiedzi.

– Tutaj przyniosłam pani biznesplan, który napisałyśmy, ubiegając się o wsparcie na zakup pieca. Może pani zobaczyć, jak to wygląda. – Wyjęła z bawełnianej torby zbindowany, dość gruby dokument i położyła przede mną na stole.

– Dziękuję. A proszę jeszcze powiedzieć, dlaczego mi pani pomaga – wymknęło mi się to pytanie, dręczące mnie, odkąd usłyszałam, po co do mnie przyszła.

Wzruszyła ramionami i wstała.

– Nasza znajomość nie zaczęła się zbyt dobrze – stwierdziła, a potem powiesiła sobie torebkę na ramieniu i ruszyła w kierunku furtki. Szłam za nią, a ona mówiła: – Kasia współpracuje teraz z panią i jest bardzo zadowolona, podobnie jak osoby uczestniczące w zajęciach. A ja zawsze doceniałam tych, którzy potrafią ciężko pracować.

– To dlaczego miała pani takie kłopoty z zaakceptowaniem ciotki Niny?

Nie odezwała się, a ja wiedziałam, że zadaję niezręczne pytania i narażam się, że na mnie fuknie i znowu się obrazi, ale nie mogłam się powstrzymać. Ile można się czaić, stąpać na palcach i nie wyjaśniać starych nieporozumień? Poza tym swoim przyjazdem i propozycją pomocy pokazała mi, że nie jest do mnie tak wrogo nastawiona, jak myślałam.

– Czasem wydaje się oceny i opinie, z których trudno się potem wycofać – odpowiedziała po dłuższej chwili.

– To prawda.

Stałyśmy już obok furtki i pani Matylda wyciągnęła do mnie rękę, a ja uściśnęłam ją mocno. Tak, jakbyśmy zaczynały naszą znajomość od nowa. Kiedy wyszła, zajrzałam od razu do biznesplanu, który zostawiła mi na stole. Do pierwszej strony przypięta była karteczka samoprzylepna z cytatem: „jam częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro”, a pod spodem było jeszcze dopisane: „Powodzenia! Matylda”. Zaczęłam się śmiać. Pani Matylda bardzo zyskała dziś w moich oczach. Weszła w paszczę lwa z gałązką oliwną w dłoni i w dodatku wykazała się poczuciem humoru – doskonale wiedziała, jakie cechy jej przypisałam i po której stronie mocy ją umieściłam.

Zrelacjonowałam dziewczynom przebieg spotkania z panią Matyldą, chociaż, już umawiając się z nimi, napomknęłam o pomysłodawczyni całego przedsięwzięcia, i zgodnie stwierdziłyśmy, że kobieta ma jednak klasę, a dobre rzeczy spotykają nas w życiu też ze strony ludzi, którym przypisywaliśmy nieczne intencje.

– I na odwrót – dodałam, myśląc o Meg.

– Podaj przykład. – Patrycja nadgryzła jabłko i rozparła się w fotelu. Nikomu nie chciało

się jeszcze zaczynać pracy nad projektem. Cóż, majowa noc jest długa, mamy czas.

Szczegółowo opowiedziałam im historię Meg, od początku naszej znajomości. Opisałam jej zachowanie podczas pobytu w hotelu i moje podejrzenia oraz wątpliwości po rozmowie z Anitą. Od czasu ostatniego spotkania z Meg w pizzerii, które z mojej strony było nieudolną próbą pokazania, że ma u mnie wsparcie, nie rozmawiałam z nią o jej sytuacji i nie wiedziałam, co się u niej dzieje. Ponieważ na spotkaniu klubu dyskusyjnego się pojawiła, przypuszczałam, że Dzik nie ma nad nią aż takiej władzy, żeby jej zabronić czegokolwiek. Wyszła co prawda od razu po zakończeniu, tłumacząc, że się bardzo spieszy, ale różne przecież są powody pośpiechu. Gdy skończyłam składać relację z tego, co przeczytałam w Internecie na temat przemocy, zapadła cisza. Dziewczyny przerabiały usłyszane informacje. Żeby wspomóc ten proces, poszłam do kuchni po ciastka, chipsy, suszone owoce i orzeszki. Kiedy wróciłam, nadal milczały.

– To znaczy, że nic się nie da zrobić, dopóki ona nie powie, że coś się dzieje? – upewniała się Kaśka, sięgając po ciastko.

– No na to wygląda – potwierdziłam.

– A ona nie widzi, jakby miała wbudowany mechanizm, który nie pozwala jej ocenić sytuacji? – zapytała Malwina.

– Tak.

– To nie w porządku, że ktoś krzywdzi jedną z nas! – Kaśka miała łzy w oczach.

– Powinnyśmy sprawdzić tego Dzika – zdecydowała Patrycja.

– Jak sprawdzić niby? – Kaśka była sceptycznie nastawiona.

– Musimy go śledzić – olśniło mnie. – Arni nam pomoże!

– Co nam to da? – chciała wiedzieć Kasia.

– Może zbierzemy jakieś dowody, że ją krzywdzi – zaczęłam ją przekonywać.

– Albo zdradza i wtedy ona go będzie mogła zostawić – przerwała mi Patrycja.

– Rozłożymy nad nią parasol ochronny...

– I jakby coś się działo, to wkroczymy!

– Powołamy taką grupę interwencyjną do zadań specjalnych... – na przemian przekonywałyśmy sceptyczną Kaśkę i milczącą Malwinę.

– Jeżeli tylko nie masz zamiaru rozpalać ognisk ani odprawiać rytuałów, to jestem za – oświadczyła Malwina. – Cel jest szczytny.

– Zgadzam się z tobą, Malwina, jej czary są okropne. Niemal się przez nią zakochałam w facecie z grupy wiekowej bardzo odległej od mojej własnej. – Patrycja wykorzystała wypowiedź Malwiny na wtrącenie niezastużonych słów krytyki pod moim adresem.

– Piorun! – zawołała nagle Kaśka.

– Co? – zapytałyśmy jednocześnie.

– Jednostka interwencyjna do zadań specjalnych Piorun, tak będziemy się nazywać

– Kasia uzupełniła.

– To zaczynamy od jutra! Piorun uderza, strzeżcie się dranie!!! – Patrycja znów była na fali.

– Czy Meg zapisała się na tańce? – chciała wiedzieć Kaśka.

– Tak, ale uprzedziła, że jeszcze to potwierdzi.

– Widzicie, o wszystko się go musi pytać, jest tyranem i despota – Patrycja tworzyła już portret psychologiczny sprawcy.

– Wygląda na to, że próbuje ją izolować – zgodziłam się, bo pasowało to do informacji znalezionych w sieci.

– Na konkursie piosenki też ją od nas odciągał – przypomniała sobie Patrycja.

– Musimy jeszcze zadzwonić do Anity, żeby przyjechała. Będzie nas wspierała

psychologicznie, żeby nie popełnić błędu, bo materia jest delikatna!

Chwyciłam telefon i już dzwoniłam, nie patrząc na zegarek. Była północ, ale Anita na szczęście nie spała. Uczyła się do pierwszych egzaminów. Chciała zdać wszystko w zerowych terminach, żeby potem wyjechać na długie wakacje. Przełączyłam na tryb głośnomówiący i razem z Patrycją przekonywałyśmy ją, że koniecznie musi przyjechać do mnie, gdyż bardzo za nią tęsknię i marnieję w oczach. Nie chciałyśmy jej zdradzać szczegółów związanych z Piorunem, bo obawiałyśmy się trochę jej reakcji. Na wszystko przyjdzie pora, najpierw zbierzemy nieco informacji o Dziku. Pół godziny zajęło nam opracowanie grafiku dyżurów wywiadowczych na najbliższy tydzień. Ponieważ Patrycja wyjeżdżała już w poniedziałek, wzięła na siebie prowadzenie śledztwa w sobotę i niedzielę. Malwina wybrała poniedziałek i wtorek. Ja podzieliłam się z Kaśką pozostałymi dniami tygodnia.

– A gdzie my go w ogóle znajdziemy? – olśniło nagle Patrycję. – Przecież nie wiemy, gdzie Dzik mieszka, pracuje, nic nie wiemy!

– Zacznijmy od pizzerii! – Malwina była przekonana, że Dzik odwozi Meg do pracy. Stąd jedyną nadzieją dla Patrycji było to, że Małgorzata będzie pracowała jutro rano. Czym prędzej poszła kompletować odpowiedni strój i wyposażenie na swoją akcję, a my zajęłyśmy się moim nieszczęsnym pomysłem na biznes. Patrycja z sypialni ciotki Niny od czasu do czasu donośnym głosem dorzucała, co jeszcze w moim projekcie znaleźć się powinno.

– Najpierw trzeba opisać mój pomysł, czym w ogóle ma się zajmować firma – zerknęłam na formularz, wyjaśniając.

– Chcesz przyczyniać się do integracji i rozwoju lokalnego środowiska poprzez aktywizację społeczną kobiet z naszej gminy – zaczęła Kaśka z przekonaniem.

– Chcesz prowadzić zajęcia artystyczne rozwijające psychointelektualnie dzieci i młodzież – dodała Malwina.

– Chcesz wykorzystywać warunki naturalne i przyrodnicze do prowadzenia działalności paraagroturystycznej – zawołała z sypialni Patrycja.

– Jakiej?

– Napiszmy „agroturystycznej” – zdecydowała Kaśka.

– Chciałabym stworzyć wspólnotę kobiet, które pomagają sobie nawzajem w rozwiązywaniu różnych problemów, w wychodzeniu z kryzysu oraz w rozwoju własnym. Kaśka pokręciła głową.

– Masz na myśli to, że chcesz wspierać emocjonalnie i prowadzić działania z zakresu profilaktyki ważnych problemów społecznych.

– I przeciwdziałać bezrobociu wśród mieszkanki gminy – krzyczała Patrycja.

– Tak? – zdziwiłam się. – Ja chciałabym po prostu, żeby kobiety stawały się tutaj sobą, szczęśliwsze i nabierały siły do wprowadzania pozytywnych zmian w swoim życiu – powiedziałam słabym głosem.

– Czyli chcesz stosować niekonwencjonalne sposoby terapii i zajmować się profilaktyką zaburzeń psychicznych, korzystając z pomocy zaproszonych specjalistów – Kaśka przełożyła moje słowa na język projektów unijnych.

– Chciałabym też udupić Dziką, jeżeli faktycznie krzywdzi Meg, i chciałabym to zrobić wobec każdego faceta, który krzywdzi swoją żonę, dziewczynę, matkę, siostrę, sąsiadkę, babcię – dodałam na koniec.

– No tak, to jasne – zgodziła się ze mną znowu Kasia łagodnym głosem. – Czyli pisz, że twoją ideą jest przeciwdziałanie dyskryminacji grup społecznych.

– I wyrównywanie szans oraz propagowanie tolerancji wobec odmienności – darła się z sypialni Patrycja. Zapisywałam to, co mówiły, a w głowie miałam zamęt. Nawet nie

wiedziałam, że tylu wspaniałych i ważnych rzeczy chciałam!

– No, a teraz to już z górki, bo według tych punktów, co masz – pokazywała mi palcem Kasia – rozwiniesz sobie w szczegółach, jak będzie to zorganizowane, co ci jest potrzebne i co chciałabyś kupić z dotacji, a jakie zasoby już posiadasz. Zrobisz to sobie jutro sama, bo tu można pisać tak od siebie.

– Jasne – przytaknęłam, mając nadzieję, że takie też będzie, czyli w miarę proste.

– Super, to mamy załatwiony projekt, a teraz patrzcie, jak się przygotowałam! – Patrycja stała w drzwiach sypialni. Rozpoznanie jej nawet nam zabrało dłuższą chwilę. Blond peruka z długich, prostych włosów i ciotki duże okulary w czarnej oprawce zupełnie odmieniły jej twarz. Paznokcie umalowała na różowo, włożyła dżinsową spódnicę i prosty biały top. Trampki i mały plecak dopełniały całości.

– Wyglądasz jak uczennica.

– Błazej by oszalał, gdyby cię teraz zobaczył – zagwizdałam.

– Oszaleje – obiecała Patrycja i puściła oczko. Arni szczeknął i zamachał lekko ogonem. Wydawało mi się, że pojął, na czym polega nasz plan, i w ten sposób go zaaprobował.

Była 9.45 rano, kiedy następnego dnia podwoziłam Patrycję do miasteczka. Ubrana w maskujący strój wywiadowczy, zaopatrzona w aparat fotograficzny, dyktafon i telefon, obiecywała, że zdobędzie obciążające Dzika materiały. Zanim odjechałam, popatrzyłam jeszcze, jak ukrywa się w krzakach, w parku prowadzącym do pizzerii. Z tych właśnie krzaków dzwoniła do mnie godzinę później, szeptem skarżąc się, że pogryzły ją mrówki i ma ścierpnięte nogi, ale musi tam nadal siedzieć, bo Dzik przywiózł Meg, a potem usiadł z gazetą i kawą przy stoliku na zewnątrz pizzerii.

– Pilnuje jej! Ona o tym wie? – zapytałam.

– Chyba to nie pierwszy raz, bo nie wyglądała na zdziwioną, sama mu przyniosła tę kawę i jeszcze się uśmiechała.

– Wiesz, nie chcę cię martwić, ale może on nie pracuje w sobotę?

– Nie denerwuj mnie, ja muszę do toalety! – zasyczała gniewnym szeptem.

– To jakoś może niezauważenie wyjdź z tych krzaków.

– Zgłupiałaś?! Mam się stać niewidzialna?! On siedzi na wprost mojej kryjówki!

– wściekała się.

– Dobra, wytrzymaj jeszcze pół godziny i jak on sobie nie pójdzie, przyjadę po ciebie.

– Dobra, tylko też się przebierz, żeby cię nie rozpoznał!

Moja interwencja nie była jednak konieczna. Po kwadransie dostałam SMS, że Dzik ruszył dupsko i Patrycja mogła wyjść z ukrycia. Poszedł do pracy, a ona za nim i właśnie siedzi tam w toalecie. Musiała udawać, że chce ubezpieczyć samochód. Był dla niej miły i nie starał się podrywać.

Tymczasem ja próbowałam się skupić na pisaniu projektu, ale moje myśli ciągle krążyły wokół Meg i Dzika. Martwiłam się, że gdyby Małgorzata się dowiedziała o naszych działaniach, to nie byłaby zadowolona i na pewno nie chciałaby mnie więcej znać. Po przedstawieniu wszelkich możliwych form warsztatów artystycznych, jakie miały się odbywać w pracowni, z rozpędu dopisałam też, że mam zamiar ukończyć studium pomocy osobom uzależnionym i ofiarom przemocy w rodzinie i w związku z tym moja pracownia, z pomocą współpracującego ze mną psychologa, będzie również udzielać wsparcia psychologicznego osobom dotkniętym tymi problemami. Szybciej, niż myślałam, wypełniłam wszystkie rubryki formularza zgłoszeniowego i dokument był gotowy do druku. W poniedziałek miałam złożyć go w biurze projektu i od tej chwili pozostawało mi tylko czekać na decyzję w sprawie zakwalifikowania się do kolejnego etapu. Próbowałam wyobrazić sobie, że to już się stało, że dostaję dofinansowanie

i mogę realizować projekt. Czy byłabym wreszcie zadowolona z tego, co robię i osiadłabym w Bartnicy na dłużej? Czy wstawałabym rano z uśmiechem i oddawałabym tej pracy swoje serce? Na pewno chciałam spróbować. Była to szansa i wyzwanie jednocześnie. Podobnie jak mój przyjazd do Bartnicy, również to otwierało przede mną nowe perspektywy, których nie potrafiłam dziś nazwać ani nawet dokładnie sobie wyobrazić. W przeciwieństwie do tego, jak do tej pory zwykle wyglądała moja praca, w której dni były takie same i przewidywalne, a nudne godziny przeciekały przez palce i usypiały mózg, mogłam robić coś, co mnie naprawdę angażuje, rozwija i jest ważne.

Patrycja na bieżąco informowała mnie, co się wydarzyło w ciągu dnia. Dzik zjadł hamburgera na obiad i był na papierosie z kolegą. Opowiadał seksistowskie dowcipy oraz wspólnie głośno wymieniali uwagi na temat przechodzących kobiet. Drapał się po tyłku w pracy, dłużej w nosie i przeglądał Internet, bo nie było wielu klientów. Wiało nudą, a ekscytacja, jaka towarzyszyła zakładaniu Pioruna i podejmowaniu działań wywiadowczych, wyparowała z Patrycji ostatecznie, zanim wybiła wreszcie czternasta, kiedy to Dzik kończył pracę. Kryjąc się za drzewami i za rozłożoną gazetą, towarzyszyła mu jeszcze w drodze do jego mieszkania, w bloku na obrzeżach miasteczka. Podjechał tam autobusem i nawet ustąpił w nim miejsca starszemu. Po drodze kupił pęczek rzodkiewek, chleb i wędlinę. Wszedł do mieszkania numer 4 na pierwszym piętrze. Nie było do niego żadnej poczty, a jego prawdziwe nazwisko, jeżeli wierzyć informacji na domofonie, brzmiało Bitnik. I to był jedyny dowód, że coś może być na rzeczy, jaki Patrycja zdobyła podczas swojej pierwszej akcji wywiadowczej.

Opuściła park przed blokiem Dzika, kiedy jego podstarzałe sąsiadki zaczęły wyglądać z okien, opierając łokcie na poduszkach, i przypatrywać się jej podejrzliwie. O czwartej przywiozłam ją do siebie z miasteczka. Po drodze wstąpiłyśmy do Meg. Okazało się, że zostaje do jedenastej w pracy za koleżankę. Wracając do domu, zrobiłyśmy jeszcze zakupy i teraz, jedząc chleb z pastą twarogowo-rzodkiewkową, posypaną szczypiorkiem, rozmawiałyśmy o Dziku. Patrycja dzieliła się świeżo wyrobioną opinią na jego temat. Ja słuchałam, siedząc obok niej, a z Kaśką i Malwiną połączyłyśmy się przez Skype'a.

– Jest denerwującym w obyciu facetem, ani specjalnie głupim, ani byстрыm, przeciętnie wyglądający i wcale nie przypakowany. Zwykły gość, nie jakiś agresor ociekający testosteronem.

– Przecież nie będzie miał napisane na czole: „Biję moją dziewczynę”. – Wzruszyłam ramionami.

– Potrafię sobie jednak wyobrazić, że jego niskich lotów poczucie humoru pozwoliłoby mu nabyć koszulkę z takim napisem. – Patrycja była zmęczona, zrezygnowana i bardzo nie lubiła Dzika.

– Musimy zachować obiektywizm. Będziemy po prostu zbierać informacje, żeby poznać dobrze wroga – uspokajała sytuację Kasia.

– Nie możemy oczekiwać, że publicznie się przyzna lub zacznie szarpać Meg przy ludziach, a my go wtedy obezwładnimy – zgodziłam się z nią.

Patrycja była niepokieszona.

– A to jest właśnie coś, co chciałam zrobić! – zakrzyknęła z pasją. – Zmarnowałam na niego cały dzień, a Błażej miał wolne przedpołudnie!

– Zrobiłaś to dla dobra sprawy, siostrze! – patetycznym tonem udzieliłam jej pochwały.

– Ja mogłabym obezwładniać – ożywiła się Malwina. – Mój strażak uczył mnie, jak się to robi.

– Naprawdę? A ja myślałam, że w jego towarzystwie od razu mdlejesz z wielkiej miłości – zakpiła Patrycja.

– A to też... – rozmarzyła się Malwinka.

– Dobra, podsumowując, na razie nie będziemy wchodzić w konfrontację, potrzebujemy więcej danych – mówiła rozsądnie Kasia i ostatecznie przekonała wszystkich.

– Ale jutro mam wolne – zastrzegła Patrycja. – Dzik chwalił się koledze w pracy, że jedzie z dziewczyną do swoich rodziców na obiad. Wyruszają rano, bo to gdzieś pod Rzeszowem, i wrócą późno.

Uzyskała naszą aprobatę na przerwanie działań wywiadowczych i zakończyłyśmy zebranie Pioruna.

Niedziela była słoneczna i mocno doprawiona wiosną. Żadnego wiatru, żadnego przeszywającego chłodu. Wymarzona na długi spacer. Patrycja spędzała ją z Błażem, dziewczyny też miały tego dnia swoją osobistą asystę, a moim towarzyszem był Arni. Pojechaliśmy do lasu, gdzie szalał jak szczeniak, goniąc wiewiórki, kopiąc doły i węsząc lisy. Zachłystywał się wolną przestrzenią, tarzał się w trawie i biegał po polanie jak sprinter. Kiedy już znudziło mi się rzucanie mu piłki, którą przynosił bez zwłoki i szczekaniem ponaglał do dalszej zabawy, usiadłam na kocu i wypakowałam jedzenie. Zainteresowany położył się obok mnie i wyłapywał smakowite kąski, ziając i kłapiąc paszczą. Odgłosy lasu nie pozwoliły mu pozostać na kocu zbyt długo, ruszył na kolejną rundę węszenia i kopania. Co pewien czas przynosił mi też najbardziej wartościowe patyki, jakie znalazł w okolicy. Jako pamiątkę z wycieczki wybrał ten największy, grubości mojej łydki i prawie tak długi jak cała moja noga. Nie miałam serca odbierać mu najnowszej zabawki, więc wpakowałam tę maczugę do samochodu i wróciliśmy do domu.

Kolejne dni śledztwa nie przyniosły przełomu. Po tygodniu podsumowałyśmy zdobyte wiadomości. Dzik codziennie odwoził Meg do pracy i niemal codziennie ją odbierał. Czulości nie było, przemocy też nie. Pracował w firmie ubezpieczeniowej, gdzie byli sami faceci, i przykładowie siedział w pracy od ósmej do szesnastej. Wieczorami, kiedy nie spotykał się z Meg, ku naszemu rozczarowaniu nie umawiał się wcale z kochanką. Raz siedział w kafejce internetowej i licytował grę komputerową na Allegro, innym razem był z kolegami na piwie. Piorun powoli tracił rozpęd i zapał do działania, już nie wiedziałyśmy, czego szukamy. Kolejny tydzień śledztwa również nie dostarczył nam informacji, które mogłyby mieć znaczenie dla sprawy. Za to Kaśka niemal została zwolniona z pracy za spóźnianie się, a Malwina obraziła się na wujka, bo zrobił jej awanturę za wychodzenie wcześniej. Jedynym wymiernym efektem działalności Pioruna było udzielanie intensywnego wsparcia samej Meg. Codziennie któraś z nas zjawiała się w pizzerii, Meg była zapraszana do mnie, na wyjście do kina, na wystawę i spacer. Okazała się wyjątkowo czarującą dziewczyną, inteligentną i z poczuciem humoru. Pracowała i uczyła się. Chciała być tłumaczem przysięgłym i robić przekłady książek. Miała w sobie mnóstwo optymizmu i zachowywała się znów jak filmowa dziewczyna z sąsiedztwa, pogodna, otwarta i żywa. Mimo iż temat denerwujących i problemowych zachowań mężczyzn w związku pojawiał się w naszych rozmowach często, ona nie pisała nic na temat Dzika. To wydawało się nam dziwne. No ale nie każdy lubi zwierzać się z tajemnic swojego związku, prawda?

My jednak im więcej wiedziałyśmy o Dziku, tym bardziej go nie lubiłyśmy. Zgodnie uznałyśmy, że nie zasługuje na Meg. Potrzebowałyśmy asa z rękawa, i to jak najszybciej. I wtedy pomyślałam o Monice! Idealna kandydatka na kobietę, obok której żaden Dzik nie przejdzie obojętnie! Wtajemniczona w całą akcję od razu się zgodziła zagrać rolę kuszącej przynęty i przyjechała po tygodniu. W międzyczasie odbyły się wreszcie przekładane już od marca warsztaty tańca. Meg się na nich nie pojawiła. Jak podawała Kaśka, która wtedy miała dyżur wywiadowczy, Dzik odwiedził ją w jej wynajmowanym mieszkaniu i spędzili wieczór razem. Wywiadowczyni wytrzymała do 22.30 pod oknami, obserwując odbłask telewizora na szybie, ale nie dostrzegłszy żadnych sugerujących przemoc cieni na firance, opuściła swoje stanowisko. Pół

godziny później przyjechała do remizy na tańce.

Na warsztaty taneczne przybyło bardzo dużo osób. Część kobiet przyszła ze swoimi mężami, część przyprowadziła córki lub synów i sala w remizie była pełna. Patrycja wirowała z Błażem, Malwina ze swoim strażakiem, a ja poddałam się w momencie, kiedy sekwencja kroków do zapamiętania i powtórzenia wynosiła dwa ruchy nogami i jeden tułowiem. Siedziałam przy stoliku i korzystając z faktu, że muzyka zagłuszała wszystkie inne odgłosy, beztrudno siorbałam owocowy koktajl przez rurkę. Obok mnie na parkiecie przemknęła Basia w objęciach męża, który odznaczał się mocno zaczerwienionymi policzkami i rozwianym włosom. Baśka wyglądała na wściekłą. Analizowałam właśnie to, co widziałam, kiedy dosiadła się do mnie Beatka. Przyszła sama, bo jej mąż ma pracę z dala od Bartnicy i tylko co drugi weekend jest w domu. Nogi rwały się jej do tańca i tęsknie patrzyła na wirujące pary.

– A mąż Baśki to całkiem nagrзany – zagadnęła po chwili.

– Może się tak szybko męczy po prostu.

– Coś ty! – Wzruszyła ramionami. – Ja to natychmiast poznam, kiedy kto wypity. Po swoim tak samo, od razu wiem! A jaka Baśka wściekła! – dodała.

– No, nie wygląda na szczęśliwą – tym razem się z nią zgodziłam.

– Widzisz, po tylu latach małżeństwa i z takim mężem szczęśliwą to się bywa, a nie jest z byle czego.

W tym momencie podszedł do nas instruktor tańca i szarmanckim gestem zaprosił Basię na parkiet, obiecując mi jednocześnie kolejny utwór. Chcąc uniknąć tej katastrofy, wyszłam na zewnątrz, prosto w wiosenną noc, i odetchnęłam głęboko chłodnym jeszcze powietrzem. Gdzieś pohukiwała sowa, daleko szczekał pies. Brzmiało to swojsko i kojąco, a ja czułam się otulona tą nocą jak miękkim swetrem – na swoim miejscu i w dobrym czasie. Uśmiechnęłam się szeroko do księżycyca i wsiadłam do samochodu. Chciałam już być w domu.

Kolejne zebranie Pioruna odbyło się u mnie w kuchni w nocy po zakończeniu tańców. Przymyślałyśmy zapiekanki, analizując jednocześnie dane na temat Dzika.

– Może po prostu chłopak nie lubi tańczyć? To żaden dowód, że jest draniem – Kaśka zabawiła się w adwokata Dzika.

– Dobrze się maskuje, ja mu nie ufam – nie zgodziła się Malwina.

– Monika go zdemaskuje! – Patrycja była pewna sukcesu.

– Pytanie, czy dla Meg to będzie wystarczający powód, żeby go zostawić. No bo jeżeli takim powodem nie jest to, że ją źle traktuje... – wyraziłam swój sceptycyzm, czy uda nam się osiągnąć cel.

– Musimy po prostu spróbować, to zobaczymy. – Żelazna logika i energia Patrycji przekonały nas ostatecznie i opracowałyśmy plan akcji.

Dane z wywiadu wskazywały jednoznacznie, że najlepszy czas na przeprowadzenie akcji o kryptonimie „Monika” to najbliższa sobota, godzina czternasta. Dzik umówił się wtedy na piwo w restauracji na dachu galerii z kolegą z pracy. W dniu, kiedy wywiadowca przyniósł ową szczęśliwą informację, zadzwoniłam do Meg i zaprosiłam ją do siebie na tę właśnie sobotę, pewna, że nie odmówi w związku z planami Dzika. Pierwszym kłamstwem wobec Meg miało być odwołanie w ostatniej chwili tego spotkania z powodu konieczności wyjazdu w sprawie uzupełnienia wniosku o dotację na rozwój biznesu. Zależało nam na tym, żeby Meg nie miała na sobotę żadnych planów. Następnie do akcji miała wkroczyć Patrycja, zjawiając się u Meg w pracy w sobotę około czternastej i spontanicznie proponując jej kawę, właśnie w restauracji na dachu, gdzie według planu Dzik miał już prymitywnie podrywać Monikę. W akcji uczestniczyć miałyśmy wszystkie, i to w specjalnie na ten cel dobranych strojach.

Tego dnia Dzika śledziła Kasia. O 13.50 napisała SMS, że obiekt szykuje się do

opuszczenia pracy. Malwina i ja byłyśmy już na stanowiskach w galerii. Monika w swojej najbardziej kuszącej pozycji siedziała przy stoliku w restauracji na dachu. Wystawiła twarz do słońca, a długie nogi wyciągnęła leniwie przed siebie. Dzik musiał wpaść w tę pułapkę! Mój strój wywiadowczy składał się z czarnej czapki z daszkiem, spranej koszulki, spodni ogrodniczek i znoszonych martensów. Przeglądałam właśnie książkę w księgarni naprzeciwko restauracji, kiedy Malwina, znajdująca się w kwaciarni tuż obok wejścia do restauracji, zaczęła nadawać umówione wcześniej znaki. Ubrana w zwiewną sukienkę w kwiaty, w słomkowym kapeluszu na głowie, zerwała go nagłym ruchem i zaczęła się wachlować, a następnie rozplotła warkocz. To oznaczało, że Dzik jest w drodze i musimy teraz „przypadkiem” się spotkać i udać do restauracji, zajmując stolik w głębi sali, z widokiem na Monikę. Nasza akcja miała być nie do przejrzania, także dla ewentualnych obserwatorów i przypadkowych świadków w galerii. Wszystko po to, żeby nie zdemaskować członków tajnej organizacji Piorun. Zamierzałam właśnie kupić książkę, którą przeglądałam, ale powtarzane uparcie sygnały Malwiny wskazywały wyraźnie, że nie ma już na to czasu. Puściłam się biegiem do wyjścia, z książką w rękę, co uruchomiło alarm w bramce. Z przerażeniem odkryłam, że wszystkie oczy zwróciły się na mnie.

– Pani płaci za tę książkę, czy mam wezwać ochronę? – dała mi wybór przysadzista księgarka.

– Nie, nie – wymamrotałam w ogromnym stresie, rzuciłam książkę do kosza z przecenionymi pozycjami, znajdującego się przy wyjściu, po czym pośpiesznie ruszyłam w kierunku restauracji. W tym momencie wpadła na mnie Malwina, witając się wylewnie.

– Co tu robisz? Tyle się nie widziałyśmy! – I objęła mnie czule, sycząc do ucha: – Po coś kradła tę książkę dzisiaj, zwariowałaś?! Wszyscy się na nas gapią!

– Fajnie cię spotkać. Poszłabym chętnie z tobą na kawę, ale... widzisz, zapomniałam pieniędzy – powiedziałam przepraszająco, a moje słowa miały być jednocześnie wyjaśnieniem dla księgarki i ochroniarza, którzy nadal bacznie nam się przyglądali, zastanawiając się pewnie, dlaczego nie kupiłam książki.

– Nic nie szkodzi. Dzisiaj ja zapraszam.

Malwina wciąż ścisnęła moją dłoń, kiedy wchodziłyśmy do restauracji. Moja ręka drżała, a jej była spocona. Dwie agentki w akcji, działające w trudnych warunkach!

Zajęłyśmy stolik obok wielkiej palmy, skąd korzystając z jej maskujących liści, mogłyśmy bezpiecznie obserwować stolik Moniki. Ona na szczęście wyglądała na zrelaksowaną i pewną siebie. To nas uspokoiło na tyle, że udało nam się zamówić kawę, nie wzbudzając podejrzeń dziwnym zachowaniem. Było już dziesięć po czwartej, a Dzik nie nadchodził. Powinien być w restauracji w pięć minut od opuszczenia miejsca pracy. Zadzwoiłam do Kaśki, a ona szeptem wyjaśniła, że Dzik i kolega spotkali innego kolegę i gadają jeszcze na parkingu przed galerią. Wreszcie po pełnych napięcia kolejnych pięciu minutach do restauracji wkroczył Dzik i towarzyszący mu postawny mężczyzna. Kupili przy barze piwo i zlustrowali salę. Zgodnie z naszymi oczekiwaniami Dzik bezbłędnie wyłowił Monikę spośród gości restauracji i skierował się z kolegą prosto do stolika obok niej. Z naszego miejsca za palmą widziałyśmy wyraźnie, jak rzuca jej ukradkowe spojrzenia i próbuje nawiązać kontakt wzrokowy. Zgodnie uznałyśmy, że mówi troszeczkę za głośno i śmieje się odrobinę zbyt perliście. Zaczął taniec godowy! Byłyśmy zaabsorbowane grą Dzika i obojętnością Moniki, ale jednocześnie martwiła nas nieobecność Kasi, która zgodnie z planem również miała wejść na salę i zająć stolik z widokiem na Dzika. Naszą uwagę na krótką chwilę odwróciła scena rozgrywająca się przy wejściu do restauracji, gdzie obsługa próbowała grzecznie, a potem coraz bardziej stanowczo wyprosić kulawą staruszkę, która najwyraźniej chciała zbierać datki wśród gości. Kiedy babcia, wymachując kulami, wreszcie wyszła, znów mogłyśmy się skupić tylko na Dzik i Monice. Moja niezrównana

koleżanka właśnie wstała i powolnym ruchem, odgarniając włosy z pleców, ruszyła do toalety. I tak się jakoś zdarzyło, że w chwili, kiedy mijala stolik Dzika, z jej torebki wypadła apaszka, która do tej pory zwisała zeń niedbale. Dzik przerwał w pół słowa opowieść, którą raczył swojego kolegę, i rzucił się do stóp Monice. Zrobił to w najlepszym momencie, żeby zanurkować w jej dekolt, ponieważ Monika przypadkowo również akurat wtedy się po tę apaszkę schylała. Nie było wątpliwości, że facet został złowiony, wypatroszony i leżał już na patelni. Był nasz! Kolega chyba się zorientował, że nie ma u niego szans i tematy, które poruszał, nie mogły konkurować z ekscytacją Dzika spotkaną w restauracji kobietą, bo dopił szybko piwo i się pożegnał. Dzik zaś zamówił kolejny kufel i pełnym wyczekiwania wzrokiem wgapił się w drzwi toalety. Monika długo z niej nie wychodziła, więc miałyśmy czas, żeby zlokalizować Kasię, nie tracąc nic z przedstawienia, które rozgrywało się na naszych oczach. Zadzwoiłam do Kasi. Odebrała od razu.

– Gdzie jesteś? – spytałam.

– No wywalili mnie z restauracji. Siedzę teraz pod wejściem do galerii!

– Jak to cię wywalili? Jesteśmy tu i cię nie widziałyśmy. No to wróć się.

– Nie mogę. Powiedzieli, że wezwą policję, jeżeli wrócę.

– Ty byłaś tą kulawą babcią?

– Tak! – ucieszyła się. – Nie rozpoznaliście mnie?!

– Nie, myślałyśmy, że to uboga emerytka. To zostań tam na dole. Dasz nam znać, jak pojawi się Patrycja z Meg.

– Spoko, ludzie wrzucili mi już do kapelusza 20 złotych – pochwaliła się.

– Dobra, to nie będę ci psuć dobrej passy. Mogą przestać wrzucać, jak zobaczą, że cały czas gadasz przez telefon, zamiast uczciwie żebrać.

– Patrz, patrz, co robi Dzik! – zawołała w tym momencie Malwina, szarpiąc mnie za rękaw. Nasz stuprocentowy mężczyzna pobiegł do kwaciarni obok i wracał właśnie z pojedynczą czerwoną różą, którą namiętnie ucałował i położył na stoliku Moniki.

Kiedy Monika kołyszącym krokiem wróciła na swoje miejsce i zobaczyła kwiat, odwróciła się do niego i skinęła głową z lekkim uśmiechem. A on jak prowadzona na krótkim sznurku marionetka, podszedł do niej i usiadł, według naszej oceny stanowczo za blisko, dotykając kolanami jej długich łydek. Drżącymi z emocji dłońmi pisałam SMS do Patrycji, że mogą przychodzić. Pierwsza część planu została zrealizowana z pełnym sukcesem! Odpowiedź nadeszła natychmiast. Pojawił się problem z Meg. Dziewczyna nie miała już ochoty na kawę. Podpytywana przez Patrycję wyznała, że ma zamiar pójść i posprzątać mieszkanie Dzika, ponieważ zaprosili kilka osób na wieczór. Korzystając z faktu, że on wyszedł z kolegą, a ja nie mogę się z nią spotkać, postanowiła zrobić dobry uczynek. „Ona nie może sprzątać u tej dzikiej świni, która właśnie bezczelnie i publicznie smyra kolanami nogi Moniki!” – brzmiała moja odpowiedź na SMS Patrycji. Patrycja, jak wynikało z jej późniejszej relacji, nie zastanawiając się długo, po przeczytaniu wiadomości ode mnie wybuchła spazmatycznym płaczem, zasmarkowała się i rozmazała makijaż, a następnie rozszlochana wyznała Meg, że Błażej właśnie zerwał z nią przez telefon. Wspomniała też o utopieniu się lub rzuceniu z mostu, czym przestraszyła Meg na tyle, że ta natychmiast zaproponowała, żeby jednak poszły na tę kawę do restauracji i zadzwoniły po jej koleżanki, czyli nas. I tak wyglądało nasze kłamstwo numer dwa wobec Meg, obmyślane naprędce tylko po to, żeby ją ratować. W jego efekcie dwadzieścia minut później Kasia dawała mi znać, że Meg i rozczochrana Patrycja pojawiły się na parkingu przed galerią i zmierzają na górę do restauracji. Z rozgoryczeniem dodała też, że nie wrzuciły jej ani grosza do czapki, mimo iż prosiła i naprawdę była głodna, bo pełniła służbę wywiadowczą od samego rana. Zignorowałam jej skargi, ponieważ musiałam skupić się na scenie, która rozgrywała się przed

moimi oczami. Do restauracji wparowała właśnie Patrycja, a za nią przerażona stanem swojej towarzyszkę Meg. Patrycja padła na najbliższe wolne krzesło i wachlowała się pomiętą chusteczką higieniczną, jednocześnie lustrując salę czujnym, acz zapłakany spojrzeniem. Meg przycupnęła naprzeciwko niej, wpatrzona w koleżankę z niepokojem.

– Może przyniosę ci szklankę wody? – zaproponowała.

– Bardzo chętnie – wyszlochała Patrycja.

Dzik nie zauważył przybycia swojej dziewczyny, bo siedział tyłem do niej. Nie byłam pewna, czy Monika była świadoma tego, co się dzieje. W tym momencie zauważyła nas Patrycja i wykonała rozpaczliwy gest przywołujący nas do siebie, ale Meg stała niedaleko w kolejce do baru, więc zamiast podchodzić, zadzwoniłam do Patrycji.

– Wyjdźcie stąd, wyjdźcie! – krzyczała szeptem tak rozpaczliwym, że uszczypnęłam boleśnie Malwinę, aż biedna zakwilila. Chwyciłam torebkę i dałam Malwinie znak, że musimy uciekać. Potwornie się przestraszyła nagłym zwrotem akcji i zrywając się z miejsca, prawie wywróciła palmę, która do tej pory była naszą zasłoną. W ostatniej chwili zdołaliśmy co prawda schwycić donicę, zapobiegając tragedii, ale skutecznie skupiliśmy na sobie uwagę gości i obsługi. Monika była jednak czujna i w tym momencie otarła się przypadkowo biustem o tors Dzika, a on nie zauważyłby teraz nawet lądującego w restauracji helikoptera!

– Podejdźcie tu do nas za chwilę! – wyszeptowała jeszcze Patrycja. – Powiedziałam Meg, że zadzwonię do was i przyjdziecie mnie pocieszać, bo mnie Błażej rzucił.

Meg właśnie wracała do stolika ze szklanką wody dla Patrycji i popatrzyła na chwiejącą się palmę oraz majaczące w jej cieniu dwie postacie. Szczęśliwie jednak dla nas po drodze zahaczyła wzrokiem o stolik, przy którym, jak dwa gołąbki, siedzieli Dzik prężący swój tors i Monika opierająca się o niego lekko biustem. Ten widok skutecznie wymazał z jej umysłu wszelkie inne obiekty, na które padło jej spojrzenie, najwyraźniej pozbawiając ją również zdolności do racjonalnej analizy sytuacji. Znieruchomiała na chwilę, co spostrzegłyśmy, stojąc w wejściu i zaglądając do środka restauracji tak, jakbyśmy właśnie szukały dla siebie stolika lub wypatrywały znajomej, z którą się umówiłyśmy. Oczekiwałyśmy, że coś się teraz stanie, ale Meg jakby nigdy nic ruszyła do stolika, gdzie czekała na nią Patrycja, i usiadła. Dzik w tym momencie zaśmiał się zbyt głośno z czegoś, co powiedziała do niego Monika, i Meg ponownie odwróciła się w jego kierunku. Zamarłam, Patrycja przestała szlochać, a Malwina wpiła paznokcie w moje ramię.

Planując akcję, chcieliśmy, żeby Dzik, Monika i Meg znaleźli się w jednym pomieszczeniu. Ale żadna z nas nie zadała pytania, co zrobimy, jak już się to stanie. Nie przeprowadziłyśmy symulacji uwzględniających możliwe reakcje Meg i w związku z tym nie zaplanowałyśmy naszych zachowań. Napięcie sięgało zenitu, ale nie działo się absolutnie nic! Meg siedziała naprzeciwko Patrycji, która zapomniała, że ma być zrozpaczona i duszkiem piła wodę. Dzik nadal nie wiedział, że Meg go widziała, a Monika miała coraz więcej trudności z panowaniem nad jego natarczywością. W tej sytuacji postanowiłyśmy z Malwiną odgrywać rolę zatroskanych przyjaciółek – wkroczyć do restauracji, przywitać się z Patrycją i Meg, jakbyśmy przyszły tę pierwszą pocieszać po utracie Błażeja. Nie zauważyłyśmy, że księgarka i jej przyjaciel ochroniarz od dłuższego czasu obserwują nas podejrzliwie i wreszcie sięgają po telefon. Podeszłyśmy do stolika. Patrycja zakrzuszyła się z radości wodą i parszkając nią na wszystkie strony, rzuciła mi się na szyję.

– Co teraz?! – wyszlochała mi do ucha.

– To pewno szok – odpowiedziałam.

Meg siedziała nieruchomo, jak figura woskowa, i zaczynałam się o nią martwić. W tym momencie Dzik odwrócił się i nas spostrzegł. Jego wzrok stężał, napotkawszy spojrzenie Meg.

Powietrze, którym oddychałam, zrobiło się gęste jak kisiel. Dzik wymamrotał coś do Moniki i ruszył w kierunku naszego stolika. Meg skuliła się na krześle, a my zerwałyśmy się na równe nogi.

– Co ty tu robisz? – wściekły Dzik zaatakował Meg, a ona milczała nadal denerwująco.
– Pijemy sobie kawę – odezwała się Patrycja słodko. – A ty?
– Szpiegujesz mnie, ty i te wariatki?! – pienił się.
– Nie przedstawiś nam swojej koleżanki? – zainteresowała się Malwina.
– Idziemy do domu! – wysapał Dzik, cały czerwony na twarzy.
– Ale jak to? Wychodzisz beze mnie? – zabrzmiał nagle nieco poirytowany głos wyrosłej jak spod ziemi Moniki. – To twoje znajome?

– Monika! – zawołałam. – Co ty tu robisz?
– Rita?! Ale spotkanie! – Ścisłała mnie entuzjastycznie. – Myślałam, że mieszkasz w jakiejś dziurze, ale są tu całkiem fajni ludzie. Poznałam właśnie Andrzeja. Bardzo miły człowiek i taki bezpośredni, już mi zaoferował nocleg u siebie!
– Zadzwoń do mnie, dokończymy naszą... rozmowę – rzuciła jeszcze Dzikowi miękkim głosem i puściła do niego oczko.

Ten skrzywił się, jakby go bolało ego i przełknął ślinę, aż podskoczyła mu grdyka. Meg nadal siedziała na krześle, więc szarpnął ją za rękę, a ona wstała i poszła za nim bez słowa.

– Boże, dziewczyny, ona nie może z nim wyjść! – Malwina była bliska łez.
– Oczywiście, że nie może. – Chwyciłam za telefon i zadzwoniłam do Kaśki:
– Musisz zatrzymać Dzika. Wlecz Meg do domu, a ona jest w kompletnym szoku!
– Dopadniemy go na parkingu i z przyjemnością dam mu w mordę! – stwierdziła

Patrycja.

– Ja ci pomogę, straszny z niego cham. – Monika była gotowa do działania.
– W samochodzie mam maczugę! – przypomniałam sobie.
Pobiegłyśmy za Dzikim i Meg. Na zewnątrz dotarłyśmy w momencie, kiedy Dzik, podcięty kulą bezdomnej staruszki siedzącej niedaleko wejścia, upadał twarzą na płytę chodnikową. Dziewczyny otoczyły Meg, która miała na policzku czerwony ślad od uderzenia i cicho płakała. Patrycja przytuliła ją i głaskała po głowie. Ja pobiegłam do samochodu i wydobyłam z bagażnika moją broń. Nie wiedziałam do końca, do czego jest mi potrzebna. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym uderzyć leżącego człowieka, ale dawała mi poczucie, że nie jesteśmy już bezbronne. Kiedy wracałam do dziewczyn, z naprzeciwka nadchodziło dwóch policjantów. Zatrzymali się przy dziewczynach i zagadnęli do wstającego z chodnika Dzika. Ten coś odpowiedział, wskazując ruchem głowy w moim kierunku i trzymając się za nos. Przez dłuższą chwilę rozmawiał z policjantami. Bardzo dobrze, niech aresztują drania, pomyślałam. Podeszłam bliżej. Zdumienie odebrało mi głos, kiedy to mnie funkcjonariusze zaprosili do radiowozu.

– To chyba jakaś pomyłka – zaprotestowałam.
– Chcemy wyjaśnić próbę kradzieży w księgarni. – Patrzyli na mnie badawczo.
– W restauracji też okradzionych dziś zostało kilka osób.
– Ja nic nie ukradłam – broniłam się słabo.
– Wyjaśnimy sobie wszystko na spokojnie. Dodatkowo ten pan zgłosił nam, że pani go pobiła.

– Słucham?!
Dzik faktycznie miał na twarzy krew i patrzył mnie triumfująco.
– Ten pan uderzył w twarz moją przyjaciółkę i mam podejrzenie, że krzywdził ją już wcześniej. To on powinien złożyć wyjaśnienia!

– Najpierw załatwimy pani sprawę – stanowczo przerwał mi policjant – a ta pani, jeżeli chce zgłosić popełnienie przestępstwa, musi to zrobić sama. Proszę ze mną – powiedział i wskazał mi drogę do radiowozu.

– Na co pani ta pałka? – zapytał jeszcze drugi policjant.

– To zabawka mojego psa.

– Po co ją pani wzięła, skoro nie ma tu pani psa?

– Chciałam ją pokazać koleżankom.

– Uderzyła pani tym narzędziem tego pana?

– Nie, bardzo żałuję, ale nie.

– To znaczy, że chciała mu pani zaszkodzić i go uderzyć?

– Chciałabym też przyłożyć każdemu draniowi, który bije kobietę. Czy w związku z tym jestem oskarżona o próbę zabójstwa na masową skalę? – poniosło mnie, a dziewczyny wydały okrzyk aprobaty.

– Pojedziemy na komendę i wszystko wyjaśnimy. Pan też pojedzie z nami, trzeba opatrzyć tę ranę.

Patrycja jeszcze zdążyła krzyknąć, że zadzwoni do Błażeja i poszuka mi jakiegoś prawnika. A potem, prędzej, niż zdążyłam pomyśleć, że to dzieje się naprawdę, siedziałam w radiowozie, z kompletnym mętlikiem w głowie i niejasnym poczuciem, że wpadłam w niezłe tarapaty.

Kiedy dotarliśmy na posterunek, polecono mi usiąść w korytarzu. Czekałam, aż przesłuchają Dzika. Wszedł zadowolony i nawet na mnie nie spojrzał. Moje wyjaśnienia były zagmatwane. Nie chciałam zdradzić istnienia Pioruna ani jego działań wobec Dzika, bo przeczuwałam, że mogło mnie to narazić na jeszcze większe kłopoty. Z czystym sumieniem opisałam swoje roztargnienie w księgarni jako efekt martwienia się o przyjaciółkę, którą krzywdził chłopak, a przeszukanie mojej torebki nie wykazało posiadania takiej ilości gotówki ani telefonów komórkowych, jakie zostały skradzione tego dnia w restauracji. Policjant nie zadał ani jednego pytania o Meg czy o dowody, jakie mam na to, że Dzik ją krzywdził. Drażył za to sprawę naszego zachowania w galerii.

– To dlaczego się panie tak dziwnie zachowywały w galerii, wzbudzając podejrzenia pracowników?

– Prowadzimy kółko artystyczne w naszej pracowni i robiłyśmy dziś taki happening w terenie – spróbowałam ostrożnie, ale po jego minie od razu spostrzegłam, że mi nie wierzy. Pouczył mnie, co grozi za kłamstwa, i kontynuował przesłuchanie:

– W jakim celu przyszła pani do centrum handlowego?

– Umówiłam się tam z koleżankami.

– A ta pałka? Po co pani nosi ze sobą takie narzędzie?

– Czuję się z tym bezpiecznie – wyznałam uczciwie.

– Zatrzymamy ją jako dowód w sprawie.

– Mój pies nie będzie z tego zadowolony, ale jeżeli trzeba.

– Uderzyła pani pokrzywdzonego?

– Jak mogłam go uderzyć, skoro on już leżał na ziemi zakrwawiony, a ja dopiero nadchodziłam z pałką z samochodu? – Doznałam olśnienia i policjant chyba też.

– Są świadkowie, którzy to potwierdzą?

– Na pewno, moje koleżanki.

– Inni?

Wzruszyłam ramionami. Nie miałam pojęcia, czy ktoś jeszcze znajdował się w tamtej chwili na parkingu. Tak byłam wtedy zaaferowana Dzikim i tym, co się działo, że nie

dostrzegałam ludzi wokół. Policjant westchnął ciężko.

– Nasyłała pani na pana Andrzeja Bitnika swoje znajome, żeby zaszkodziły jego dobremu imieniu?

– Proszę pana, moja koleżanka czekała na mnie w restauracji, a Dzik, to znaczy pan Andrzej Bitnik, z takim zapalem ją podrywał, że nie zauważył, jak do lokalu weszła jego dziewczyna!

– Czy groziła pani panu Andrzejowi Bitnikowi?

– Nie.

– Czy naruszała pani jego prywatność?

– Nie – powtórzyłam już z mniejszym przekonaniem, ale uznałam, że to nie kłamstwo, bo śledziłyśmy go w przestrzeni publicznej, a nie w sytuacjach prywatnych w jego domu.

Ostatecznie nie aresztowali mnie, ale pouczyli, że mam nie wyjeżdżać i pozostawać do dyspozycji, ponieważ będę jeszcze wzywana. Musiałam podać dane wszystkich dziewczyn, miały bowiem zostać przesłuchane jako świadkowie. Kiedy kończyliśmy, Patrycja, Błażej i Malwina właśnie przyjechali na komendę.

– Ona jest niewinna, to Dzika powinniście aresztować! – zawołała Patrycja od progu, a Błażej delikatnie odciągał ją na bok. Policjant nie poświęcił jej zbyt wiele uwagi i oddalił się do swoich obowiązków.

Błażej podwiózł nas na parking przed galerią, gdzie został mój samochód. Po drodze opowiedziałam im przebieg przesłuchania i dowiedziałam się, że Monika, Kasia i Meg są u mnie. Malwina i Patrycja po sto razy pytały mnie, czy wszystko w porządku i czy dobrze się czuję. Malwina szła do pracy, więc się pożegnała, ale Patrycja była gotowa zostać u mnie, żeby opracować linię zeznań oraz przekonywać Meg do ujawnienia policji prawdy o Dziku.

– Dzisiaj nie mam siły. Odłóżmy to do jutra – poprosiłam.

– Może Meg sobie wszystko przemyśli przez noc? – powiedział Błażej.

Taką miałam nadzieję, ale nie chciałam na nią wywierać żadnej presji. Dobrowolnie zdecydowałam się na udział w szalonym przedsięwzięciu, jakim był Piorun, więc musiałam teraz ponosić wszelkie tego konsekwencje. Uświadomiłam sobie też, że wcale tego nie żałuję. Przynajmniej próbowaliśmy pomóc!

– Wiecie, narobiłyśmy bigosu, ale nieźle wstrząsnęłyśmy Dzikim!

Błażej tylko spojrział na mnie i westchnął, a my parsknęłyśmy śmiechem.

Powoli jechałam do domu i kiedy tam dotarłam, już wcale nie chciało mi się śmiać.

Uświadomiłam sobie, że Dzik i ta cała sprawa mogą mi naprawdę zaszkodzić, a przede wszystkim martwiłam się o Meg, że nie będzie bezpieczna, bo Andrzej będzie się na niej mścił. Przy furtce przywitał mnie Arni i obwąchał z niepokojem. Przytuliłam się mocno do jego ciepłego futra i nabierałam sił przed rozmową z Meg. Kasia wyszła mi na spotkanie.

– Meg się położyła. Długo płakała i chyba teraz śpi.

– To dobrze.

– A ty, jak się czujesz?

– Boję się, jak to się skończy. Może trzeba było słuchać Anity i nic nie robić?

– Zwariowałaś? Nie mogłyśmy jej tak zostawić! Ona była gotowa za niego wyjść, a teraz może do niej dotarło, kim jest człowiek, z którym planuje życie – stwierdziła zdecydowanie Kasia.

– Może...

– Martwię się tylko, żebyś nie miała problemów z pracą z dziećmi. Jeśli cię ukarzą, to żadna szkoła nie nawiąże z tobą współpracy.

Rzeczywiście, nie pomyślałam, że akcja z Dzikim i konflikt z prawem mogą przekreślić

moje plany zawodowe. Pierwsze, jakie w ogóle miałam w życiu.

– To wtedy wrócę do miasta. Czasami ważne rzeczy stają na drodze do realizacji marzeń, ale po prostu nie wolno tych rzeczy nie zrobić.

Weszliśmy do domu i przez chwilę siedziałyśmy z Moniką i Kasią, niewiele rozmawiając. Patrycja już im przekazała przez telefon, o co pytali mnie na komendzie. Niezależnie od wszystkiego nie miałam teraz ochoty o tym mówić, byłam wyczerpana stresem i smutkiem, który mnie dopadł. Ale kiedy położyłam się do łóżka i tak nie mogłam zasnąć. Po głowie krążyło mi, że Dzik może chcieć ode mnie jakiegoś odszkodowania i będę musiała sprzedać dom. A gdy wreszcie zasnęłam, we śnie goniłam Dzika i wygrażałam mu maczugą, a on śmiał się jak szaleniec.

Rankiem obudził mnie cudowny zapach kawy i szarlotki. To Monika królowała w kuchni. Postanowiła odegnąćienne i nocne koszmary pysznym jedzeniem. Nie wiem, kiedy zdążyła to zrobić, bo była dopiero ósma. Kaśka już pojechała do domu, żeby pomagać mamie przy niedzielnym obiedzie, a my usiadłyśmy przy kuchennym stole. Pokrzepiona sutym śniadaniem, przyciszonym głosem odpowiadałam Monice na pytania o przebieg przesłuchania. Próbowała rozwiać moje obawy co do możliwych konsekwencji uznania mnie winną zarzutów, jakie stawiał mi Dzik.

– Jakie odszkodowanie? Przecież wszyscy widzieli, że upadł na ryj, bo się potknął na Kaśce, a ciebie tam wcale nie było!

– Tam byli ludzie?

– No jasne. Jak pojechałaś z policją, to niektórzy zapewniali, że będą zeznawać. Wszyscy widzieli, jak potraktował Meg, są po naszej stronie! Zobaczysz, wybronimy cię z tego.

– Meg to wszystko słyszała?

– Była tam, ale nie wiem, czy słyszała. Wyglądała, jakby do niej nic nie docierało.

– Słyszałam. – Meg stała w drzwiach do kuchni. – I to, o czym rozmawiałyście wczoraj, i dziś rano też.

Usiadła przy stole i nakryła twarz dłońmi. Wydawała się tak krucha i bezbronna, a ja marzyłam, żeby stała się silna i zawalczyła o siebie wreszcie. Wtedy przynajmniej miałabym satysfakcję, że było warto!

– Masz przeze mnie kłopoty – powiedziała wreszcie.

– Mam kłopoty, bo sama się w nie wpakowałam, ale jakoś się to pouklada – wzruszyłam ramionami w odpowiedzi.

– Andrzej jest groźny. On tego tak nie zostawi!

– Tutaj jesteś bezpieczna, możesz zostać tak długo, jak chcesz. Poprosimy Patrycję. Pojedzie z Błażem do twojego mieszkania i przywiezie ci jakieś rzeczy.

– Przecież nie mogę zostać tu na zawsze! – zaprotestowała.

– Móc to możesz, ale czy chcesz i czy warto? – uściśliłam.

– To co mam zrobić? Chodzić z twoją pałką?

– Nie da rady, skonfiskowała ją policja – włączyła się do rozmowy Monika i podała Meg kubek kakao.

– Nie wiem, ale nie musisz podejmować decyzji już dziś. Masz czas, żeby pomyśleć – odpowiedziałam.

Meg otarła twarz ręką, wzięła kubek i ruszyła do drzwi. Zanim wyszła, odwróciła się jeszcze.

– Czy wy to wszystko zaplanowałyście?

Popatrzyłyśmy na siebie z Moniką, chyba nie było sensu kłamać.

– Chciałyśmy cię chronić i dać ci przejrzeć na oczy. Zabawiłyśmy się w agentów

i miałyśmy nadzieję, że jak zobaczysz, jakim jest palantem, to odejdziesz od niego.

– Ja wiem, jaki on jest! – krzyknęła. Kubek wypadł jej z rąk i kakao rozbryznięło się na podłodze i na ścianie, a Meg uciekła do pokoju gościnnego.

– Ona potrzebuje pomocy! – Monika była przerażona i stanowiło to dokładne odbicie moich obaw.

W domu zapadła martwa cisza, a chwilę później rozdzwonił się mój telefon. Jakaś pani, która była świadkiem tego, co się stało na parkingu, zadała sobie mnóstwo trudu i odnalazła mnie, żeby zaproponować pomoc. Potem zadzwoniła Patrycja z wiadomością, że Błażej znalazł prawnika, który pomaga ofiarom przemocy, żeby dać numer Meg. Potem jeszcze Anita, której przyznałam się do wszystkiego, a ona opracowała plan minimalizowania szkód i obiecała, że przyjedzie w weekend. Czyli coś da się zrobić i nie jestem sama. A więc dość tego strachu! Będę wspierać Meg, ale nie będę się nad nią użalać. Nie pozostanę bezczynna, choć jednocześnie nie będę naciskać. I będę mówić, a nie udawać, że nic się nie stało. Życie toczy się dalej.

Monika zmywała naczynia, z uwagą wsłuchując się relacjonowane przeze mnie na bieżąco myśli. Przyklasnęła moim postanowieniom, ale jednocześnie oznajmiła, że musi jak najszybciej wyjechać, bo jej obecność chyba źle działa na Meg.

– Zwariowałaś?! – puknęłam się w czoło. – Źle działał na nią Dzik! Ty tylko siedziałaś w restauracji i rozmawiałaś z gościem, który wydawał się zainteresowanym znajomością singlem. Zostajesz i zaraz sprzątamy pracownię na warsztaty, tylko coś załatwię.

Poszłam do sypialni i włączyłam komputer. Wydrukowałam po raz kolejny materiały o przemocy i listę instytucji pomocowych, a potem zapukałam do pokoju Meg i wręczyłam jej plik kartek. Później zadzwoniłam do pań z koła i zwołałam na wieczór spotkanie klubu dyskusyjnego. Będziemy czytać i dyskutować fragmenty *Biegnącej z wilkami*, na głos, tak żeby było słychać w całym domu, że są tu silne kobiety, które znają swoją wartość i wspierają nawzajem swoje dążenia do rozwoju. Po południu, kiedy przyszedł pan Włodzimierz, poprosiłam go, żeby był bardziej czujny niż zwykle na obce samochody. Wyjaśniłam mu krótko, że nie lubi mnie jeden szurnięty gość i muszę zadbać o swoje bezpieczeństwo.

– A ludzie gadają, że faceta zabiła.

– Ja?

– No, tak mówią.

– Świetnie! To superreklama dla hotelu i pracowni.

– No nie wiem, nie znam się. – Wzruszył ramionami, a ja marzyłam już tylko o tym, żeby zasnąć i się prędko nie obudzić.

Przez cały następny tydzień czułam się jak na huśtawce. Raz miałam nadzieję, że będzie dobrze i się ułoży, a chwilę później byłam przeświadczona, że to katastrofa i pójdę siedzieć. Pragnący zemsty Dzik się nie pojawił. Meg prawie nie wychodziła z pokoju, nie przyszła na spotkanie koła i odbyła tylko krótką rozmowę z Anitą. Dziewczyny zostały kolejno przesłuchane, podobnie świadkowie moi i Dzika. Postępowanie zostało umorzone, bo wykazano, że dowody i zeznania świadków przeczą zeznaniom Dzika, a na inne jego oskarżenia dowodów nie znaleziono wcale. W dniu, kiedy się o tym dowiedziałam, jakby sto ciężkich kamieni spadło z mojego serca. Tego samego dnia dostałam mejl z wiadomością, że mój pomysł na biznes spodobał się i przechodzi dalej. Chciało mi się śpiewać i tańczyć. Gdyby jeszcze Meg zaczęła ze mną rozmawiać i uwierzyła, że ona też może się od niego uwolnić. Widziałam przez okno, jak spaceruje z Arnim, pies nie odstępował jej ani na krok. Mało rozmawiałyśmy, ale czułam, że ma mi za złe całe to zamieszanie wokół swojej osoby. Ja z kolei nie mogłam się pogodzić z tym, że milczy i daje się krzywdzić. Dobrze, że miałam się teraz czym zająć. Spędzałam godziny przy komputerze, opisując dokładnie usługi oferowane przez pracownię, analizując propozycje

konkurencji, potrzeby klientów oraz zasoby mojej przyszłej firmy i strategii promocji. Meg pomagała mi od czasu do czasu. Zaczęła gotować i zaproponowała wspólne oglądanie filmów, kiedy robiłam sobie przerwy. Pewnego wieczoru udało nam się nawet dotknąć trudnego tematu, i to ona tę rozmowę zaczęła, gdy piłyśmy zieloną herbatę, obserwując z tarasu, jak skrada się wiosenna noc.

- Za tydzień mam wrócić do pracy. Kończy mi się urlop.
 - Nadal możesz tu mieszkać i stąd dojeżdżać, jeżeli chcesz – zaproponowałam.
 - Chyba chcę wyjechać.
 - Wyjazdy czasami dobrze robią – zgodziłam się z nią.
 - Andrzej wciąż do mnie pisze. Chce, żebym wróciła. Raz prosi, a raz grozi. Nie wiem, co robić. Może coś zrozumiał i się zmienił?
 - A może znów udaje? Wiesz, ja odeszłam od faceta kilka miesięcy temu i ani razu nie zadzwonił z prośbami ani groźbami.
- Wzruszyła ramionami.
- Meg, proszę cię, zastanawiaj się dobrze, jakie podejmujesz decyzje, i nie rób niczego za szybko. Żeby komuś wybaczyć, trzeba najpierw ustalić, co i na jakich warunkach się wybacza. I muszą to zrobić obie strony. Czytałaś materiały, które ci wydrukowałam? To jest gra i on cię chce znowu w nią wciągnąć. Ludzie zmieniają się powoli. Daj sobie jeszcze trochę czasu.
- Kiwała tylko głową, a ja wróciłam do swojego komputera.

Niepostrzeżenie ogród stał się całkiem majowy i wściekle zielony. Zaaferowana sprawą Meg i biznesplanem znów przeoczyłam tę eksplozję vitalności. Oto jakby znikąd, po niewielkim deszczu wszystko wybuchło liśćmi, wrzeszczało, że żyje, rośnie i się rozmnaża. Lubię swój ogród w słońcu, ale najbardziej na świecie lubię, gdy jest pokryty lekką warstewką deszczu i mgły. Liście błyszczą wówczas jak wypolerowane, skrzą się i zwisają nisko, jakby nie mogły unieść ciężaru swojej zieloności. Nabieram wtedy powietrza w płuca, a ono pełne jest wilgoci, zapachów i świeżości, która przenika mnie aż po koniuszki włosów i niemal unosi parę centymetrów nad ziemią. Po słonecznym dniu wszystko wydaje się takie zadowolone i napite deszczem na zapas. Nawet w mieście lubię letnie mżawki, kałuże i mgły. Chodniki lśnią, pachnie kurzem i ciepłem rozgrzanych budynków. Lubię, kiedy kolejne krople deszczu lądują na moim ubraniu i twarzy, ale jest zbyt ciepło, żeby mogły je zupełnie przemoczyć. Skóra pachnie inaczej i nasiąka wilgocią jak gąbka, tracąc zmarszczki.

Cztery weekendy szkoleń i długie godziny spędzone przy komputerze, litry wypitej kawy i dziesiątki telefonów wykonanych do dziewczyn, które podrzucały pomysły, czytały wstępne i ostateczne wersje mojego biznesplanu – taki był bilans moich starań o dotację. Dziewczyny przekonywały mnie, że musi się udać. Tydzień przed upływem terminu składania dokumentów byłam gotowa.

Tego ranka zaczęło się od pojedynczych kropeł, pojemnych jak łyżka zupy. Padały rzadko i z głośnymi plaśnięciami. Jedna z nich uderzyła mnie w sam środek nosa, rozpryskując się na okularach i policzkach, kiedy świńskim truchtem, w wąskiej spódnicy, kuląc się przed nabierającym rozpędu deszczem, dobiegałam do samochodu. Straciłam zapewne trochę szyku, gdy woda starła z mojego nosa podkład, odsłaniając opaloną podczas koszenia trawy skórę, mającą teraz kolor krwistego befsztyku. Ubyło mi też klasy, kiedy zakląłam siarczyście. Z pokrowcem na laptop i segregatorem z dokumentami wybierałam się właśnie złożyć swój biznesplan. Malwina dopiero co się rozłączyła, bo przez cały ranek dzwoniła, udzielając mi ostatnich wskazówek. Meg machała mi na pożegnanie i ścisnęła kciuki. Jak zwykle, kiedy wyjeżdżałam, towarzyszył jej Arni. Tym razem był też pan Włodzimierz, który pracował wtedy

w ogrodzie. Ostatnio jadał u nas obiady i z tego, co wiem, dużo rozmawiali, ale nie pytałam o czym. Jadąc samochodem i obserwując gromadzące się chmury, rozmyślałam o tym, jak bardzo moje obecne życie różni się od tego sprzed paru miesięcy. Sprawy, które wtedy były ważne, zeszły na dalszy plan, a na scenę wkroczyły zupełnie inne postacie. Byłam głupio podenerwowana i starałam się sama uspokajać, co niewiele pomagało, więc prowadziłam samochód jeszcze gorzej niż zazwyczaj. Auto zgasiło mi na skrzyżowaniu, co zirytowało najwyraźniej kierowcę białej furgonetki, nadjeżdżającej z naprzeciwka i skręcającej właśnie w ulicę, na której utknęłam.

– Ale dajesz! – Ton jego głosu odczytałam jako wzgardliwy i pełen nieuzasadnionej samczej wyższości.

– A daję, daję, dziadu jeden. A jak nie masz nic ciekawego do powiedzenia, to lepiej zamknij dziób – odpysknęłam, zanim zdążyłam pomyśleć i w tym momencie silnik, jakby podgrzany moją złością, zapalił, a ja z niemal rajdowym piskiem opon ruszyłam ze skrzyżowania. Czułam, że policzki mnie palą, a serce wali idiotycznie. Gdzie moje opanowanie i spokój? Westchnęłam cicho i skupiłam się na jeździe, ale i tak z impetem uderzyłam w krawężnik podczas parkowania, aż zabujało jak w dziecięcej kołysce. Właściciel samochodu, który właśnie zatrzymał się obok, z trwogą spoglądał teraz na mnie, po czym przejechał na inne wolne miejsce na parking. Siedziałam przez chwilę w samochodzie, próbując się uspokoić i odgadnąć, o co tak właściwie całe to zdenerwowanie. Miałam niejasne wrażenie, że składanie biznesplanu pociąga za sobą moje zaangażowanie w sprawę i jest ogromnym zobowiązaniem, a więc to kamień młyński u szyi. Teraz już na zawsze zostanę w Bartnicy, a jak biznes się nie powiedzie, to będę do śmierci klepać tam biedę i żyć w samotności jak zgryźliwa i brzydka starucha. Lęki i obawy krzyczały we mnie i niemal wstrzymywały oddech. Postanowiłam dać wyraz swoim obawom i dojrzałe podyskutować z głosami w mojej głowie.

– Więc o co dokładnie chodzi? – zaczął dorosły.

– Chodzi o to, że się w ogóle do tego nie nadaje i na pewno jej się nie uda – zachichotał złośliwie krytyk.

– Szkoda, że to jest tylko okropnie odpowiedzialna i ciężka praca, a nie zabawa.

A jeszcze nie ma nikogo, kto by jej pomógł i może trochę się nią zaopiekował – zabrzmiał cienki, dziecięcy sopranik.

– Bzdura, ona się po prostu do tego nie nadaje i tyle. Od dawna to powtarzam i mam rację! – przerwał krytyk.

– Biedna ona jest, że ma ciebie, takiego idiotę, w głowie – cicho protestowało dziecko.

– Spokojnie, dajcie się jej zastanowić. Przecież stara się coś zmieniać. Musimy jej pomóc, bo nie da rady – próbował opanować klótnię dorosły. Po krótkiej ciszy odezwało się znów dziecko:

– No jak się trochę zajmie mną i wyluzuje, to ja pomogę – obiecało.

– A ja sam nie wiem. Może, jakby przestała być taka beznadziejna, to i ja bym pomógł, ale tak, to nie dam rady. Nie ma mowy! – oponował nadal, chociaż już łagodniejszym tonem krytyk.

Gdybym nie była taka beznadziejna, to bym dała radę – powiedziałam do siebie. Całe podekscytowanie, które towarzyszyło mi podczas pracy nad pomysłem, rozmów z dziewczynami, uchodziło ze mnie jak powietrze z balonika. Zrobiło mi się smutno i żal samej siebie. Moje nędzne próby samodzielnych działań i brania odpowiedzialności są z góry skazane na porażkę, bo przecież nie potrafię, nigdy nie potrafiłam – to pewne. Musiałabym mieć zupełnie inne umiejętności, cechy, nie wiem, jakieś zdolności, być w ogóle całkiem inna, a najlepiej kimś innym. Jak wszyscy ci, którzy potrafią. Chmury deszczowe zniżały się i ciemniały. Wydawało

się, że zaraz mnie dopadną i zgniotą, zetną z powierzchni ziemi. Przyszło mi do głowy, że to wszystko to była pomyłka: przyjazd do Bartnicy, hotel, spotkania z kobietami, jedna wielka strata czasu. I jeszcze trzeba będzie wrócić i przyznać się do klęski. Żal rósł w gardle, a zamiast krwi w żyłach płynęły mi już tylko bezradność i rozczarowanie, wymieszane z lękiem i smutkiem. Pamięć usłużnie odtwarzała mi właśnie film dokumentalny na temat wszystkich moich większych i mniejszych porażek, potknięć i błędów. Szeroki strumień płynął i zalewał nawet te ostatnie, lepsze doświadczenia z kilku miesięcy, które dawały mi poczucie sukcesu i panowania nad swoim życiem. Fala goryczy zabierała wszystkie moje dokonania, jak tsunami, i roztrzaskiwała, niczym domki z tektury. Zabezczana siedziałam za kierownicą i nie słyszałam, że dzwoni telefon. Cała byłam w przeszłości, taplając się w urazach. Krytyk wygłaszał płomienne mowy, dziecko wtórowało mi płaczem, a dorosły wymądrzał się, jak to można było zrobić, ale miałam ochotę go tylko plasnąć w twarz. Oplakałam kilka lat swojego życia i jak trochę się uspokoiliłam, postanowiłam wracać do domu. Dziewczynom powiem, że złożyłam dokumenty i najwyżej potem będę kłamać, że mój pomysł został odrzucony. Tak się przecież zdarza, poza tym i tak *byłby* odrzucony. Otarłam twarz rękawem i odjechałam. Jak to mówią, dwa kroki do przodu, jeden do tyłu. Dla mnie jednak to było jak odwrót i porzucanie zdobytych pozycji, bez walki, wyłącznie ze strachu, że się nie uda.

Kiedy dojeżdżałam do domu, burza rozpętała się na dobre. Pioruny co i rusz białymi zygzakami znaczyły niebo, a gardłowe grzmoty, jak warczenie wściekłego psa, goniły mnie i drażniły się ze mną. Wiatr tarosił drzewa, rzucał się w szalonym tańcu i niemal popychał samochód lub starał się kapryśnie go zrzucić z drogi. Bałam się tym razem nie tego, co we mnie, ale tego, co działo się na zewnątrz. Zwyczajnie i po ludzku. Tuż przed wjazdem do ogrodu pojawił się kolejny błysk i natychmiast grzmot, zadzwoniło mi w uszach i pociemniało w oczach. Myślałam, że to we mnie trafiło. Wyłączyłam silnik i patrzyłam na dramat rozgrywający się w przyrodzie, od którego oddzielała mnie cienka warstwa blachy i szyby. Potem wymknęłam się z samochodu, a pięć sekund później byłam już kompletnie przemoczona, włosy oblepiały mi twarz, w sandałach zgrzytał piasek i błoto, do nóg zaś przyczepiły się żdzbla trawy. Zatrzasnęłam drzwi wejściowe i od razu zamknęłam na obydwie zamki. W domu panował półmrok i ciężkie powietrze, to sprzed burzy. W miejscu, gdzie stałam, tworzyła się już mała kałuża. Całe moje ciało szlochało, a ja czułam się kompletnie wyczerpana lękiem, burzą i wcześniejszym płaczem. Z łazienki wzięłam ręcznik i zaczęłam wycierać włosy. Usiadłam ciężko na fotelu i zamknęłam oczy. Chciałam nie być, zniknąć, rozplynać się i nie musieć żyć dalej. Byłam zmęczona, zniechęcona i bez sił. Na stole leżała kartka z informacją, że Arni i Meg są u pana Włodzimierza, co bardzo mnie ucieszyło. Chciałam być teraz sama.

Kiedy Meg wróciła parę godzin później, siedziałam w tym samym miejscu i gapiłam się bezmyślnie w telewizor.

- Hej, jak poszło? – spytała pogodnie i włączyła światło.
- Dobrze – powiedziałam cicho.
- Przyjrzała mi się uważnie.
- Na pewno nic się nie stało?
- Jakbym nie była taka beznadziejna, to bym dała radę – powiedziałam i zaczęłam płakać.
- Co? Jak to? Coś się stało?
- Nie.
- Przecież świetnie ci idzie, włożyłaś tyle pracy w biznesplan i w to miejsce.
- Ale to było tak nieformalnie. Teraz mam już działać na poważnie, a ja się do tego nie nadaję, to jest za trudne!
- Zwariowałaś? Porwałaś się z pałąką na Dzika, a miałybyś nie dać rady prowadzić

biznesu? – próbowała mnie rozśmieszyć.

– Widzisz, każdy ma jakąś słabość, to jest moja! Chroniczny brak wiary w siebie, niechęć do podejmowania ryzyka, ucieczki w ostatniej chwili i wycofywanie się z odpowiedzialności

– wyliczałam, a po twarzy płynęły mi łzy.

Meg milczała, a ja kontynuowałam:

– Nigdy mi się nie udało to, co sobie zaplanowałam. Wychodzi mi tylko takie przypadkowe życie i prowizoryczne decyzje.

– To nie jest prawda. Ostatnio udało ci się wiele rzeczy i bardzo mi pomogłaś z dziewczynami. Naraziłaś się, miałaś kłopoty przeze mnie i przyjechałaś mnie tutaj. To tylko twój moment słabości, kiedy lęk chce wziąć górę.

– Skąd wiesz?

– Bo to dobrze znam!

Siedziałyśmy razem w milczeniu i po raz pierwszy, odkąd ją znałam, czułam, że ją rozumiem i że ona nie chowa się przede mną. Szkoda tylko, że byłam w tym momencie tak słaba, zabeczana i pokonana. Ale może tylko dlatego było to możliwe, że spotkały się nasze słabości? A potem Meg zaczęła mówić. Nie opowiadała mi szczegółów, jak Dzik ją krzywdził, ale przyznała, że od dawna nią pomiałał, lekceważył ją, wyzywał i próbował sobie podporządkować. Ona to znosiła, bo była zakochana, a potem się go już bała i oszukiwała samą siebie, że on się zmieni. Wiele razy ją przeproszał, później jednak wszystko działało się według dawnego schematu. Meg zaś jeszcze go tłumaczyła, że jest zestresowany, a ona go denerwuje. Martwiła się też, jak by to wyglądało, gdyby zerwała zaręczyny. Powodów pozostania było milion, a odejść się bała. Przyznała, że Dzik nadal wysyła jej groźby mejlem i przez telefon.

– Wiesz – dodała na koniec – pan Włodzimierz powiedział mi dzisiaj, że nigdy nie był żonaty i się na tym nie zna. Ale mimo iż zdarzyło mu się uderzyć zwierzę, zabijać kurczaki na rosół, zacząć bójkę na zabawie w remizie po pijaku, to nigdy nie uderzył nikogo ze swojej rodziny ani żadnej kobiety. I żebym więcej wymagała od kogoś, z kim jestem. Skoro on to rozumie i widzi, a skończył podstawówkę, to nie powinien mieć z tym trudności Dzik, który ma tytuł magistra i uważa się za obytego, kulturalnego człowieka. – Błyszcząły jej oczy i wydawała się wreszcie silna i pewna siebie, kiedy to mówiła. A ja ją uścisnęłam tak mocno, że prawie udusiłam.

Następnego dnia pojechała ze mną do biura projektu i złożyłam swój biznesplan. Nadal miałam obawy i wątpliwości, ale im nie uległam. W drodze powrotnej wstąpiłyśmy do mieszkania Meg zabrać resztę jej rzeczy, a potem do jej pracy, gdzie złożyła wypowiedzenie. Kiedy wróciłyśmy do domu z pachnącą pizzą, zadzwoniłam do dziewczyn, żeby podzielić się nowinami. Najbardziej ucieszyła się Patrycja i od razu zaproponowała Meg, żeby przyjechała do niej. Zmieniała powoli profil swojego klubu i potrzebowała nowych pracowników, a Meg z jej doświadczeniem w pracy w pizzerii była idealną kandydatką. Meg zdecydowała się też założyć Dzikowi sprawę o znęcanie się oraz zapisać się do grupy wsparcia dla kobiet, którą Patrycja już dla niej znalazła w mieście.

Tydzień później zęgnęłam się z Meg na dworcu. Wyglądała niepewnie, ale starała się trzymać fason. Wręczyłam jej zdjęcie Arniego w drewnianej ramce i uścisnęłam ją mocno.

– Dziękuję, że mi pomogłaś – wyszeptalam.

– Dziękuję, że mnie uratowałyście – odpowiedziała.

Robiło się rzewnie i łzawo, więc wepchnęłam ją do pociągu, a później machałam czerwonym szalem, dopóki pociąg całkiem nie zniknął mi z oczu.

W domu przywitał mnie Arni czekający tuż przy furtce, pan Włodzimierz pomachał z głębi ogrodu, gdzie kosił trawę, a Kasia i Malwina zawołały mnie od razu do pracowni, prosząc

jednocześnie, żebym koniecznie wzięła komputer z domu, bo trzeba zrobić aktualizację strony. Meg miała rację. To już się dzieje. Ja już robię to, czego się tak panicznie boję, i podejmuję odpowiedzialność, której chciałam uniknąć. Jakby na potwierdzenie, kiedy otworzyłam laptop, znalazłam na klawiaturze kartkę zapisaną drobnym pismem Meg: „Bądź pewna, że to, o co prosisz, już się wydarzyło dla ciebie, że jesteś już taka, jaka chcesz być i jak potrzeba, żebyś była, do wykonania twojego zadania”.

I to była prawda o mnie. To była też prawda o Meg. To jest prawda o każdej kobiecie!

Lato

Po przygodach z Meg i Dzikim zaszyłam się u siebie i oczekując na decyzję komisji przyznającej środki na otwarcie działalności, zajęłam się ogrodem. Z niecierpliwością czekałam na efekty mojej pracy wykonanej wczesną wiosną. Warzywnik wciąż nie spełniał pokładanych w nim przeze mnie oczekiwań. Anemiczna marchewka sterczała z rzadka, cebulki chwiały się, cieniutkie jak niteczki, a koperek i pietruszka zbuntowały się i nie wykiełkowały wcale. Tylko trawa w całym ogrodzie rosła bujnie, a ja chciałam, żeby była zawsze równiutko przystrzyżona, więc biegałam z kosiarką co dwa tygodnie, a potem zmęczona padałam w cieniu pod drzewem, wdychając zapach świeżo skoszonej trawy i podziwiając swoje dzieło. Kwiaty kwitły soczyście, jakby zadowolone, że ma je kto podziwiać. Każdy ranek rozpoczynałam od przechadzki po ogrodzie, wrywałam chwasty i podlewałam swoje roślinki. Obserwowałam, jak się zmieniają, z wątlých i rachitycznych przeistaczając się w soczyście zielone, wysokie i kwitnące. Pszczoły i motyle jak natchnione fruwały nad moim ogrodem, zaskoczone ilością kolorów i zapachów, tworząc atmosferę z ulotnego świata elfów. A ja wśród nich, łagodny olbrzym opiekujący się całością, czułam się osobiście odpowiedzialna za te cuda natury. Czułam się u siebie, czułam się wreszcie w domu i chciałam stać się tym ogrodem i zostać tu już na zawsze, taka piękna jak on.

Ptaki niepodzielnie królowały w tym miejscu. Ich gniazda były uwite w każdej przypadkowo ułożonej stercie obciętych gałęzi, w stodole, w załamaniach ścian domu. A w gęstych gałęziach wielkiego świerku znajdowały się mieszkania kilku ptasich rodzin, które jak w miejskim blokowisku, popadały czasami w konflikty, aż leciały pióra. Moi skrzydlaci towarzysze najwyraźniej mieli coś do powiedzenia na każdy temat i wydierali się o każdej porze dnia. Ostatni milkli po dziesiątej wieczorem, a pierwsza zmiana zaczynała już o czwartej rano. Przymykałam na to oko i otwierałam okna, bo w tej ogrodowej filharmonii nie chciałam uronić żadnego dźwięku. W długie, spokojne wieczory siadałam z książką i filiżanką herbaty na tarasie, i zasłuchana w ich śpiew, obserwowałam latające świetliki, próbując się zorientować, która dokładnie część ciała im się świeci. Nad moją głową nisko, ale zgrabnie przelatował mały nietoperz. Z książki o ogrodzie wiedziałam już, że to pożyteczny lokator, bo podczas swoich wieczornych wycieczek zjada tysiące komarów i muszek. Byłam tak daleko od całego świata, z jego chaosem, zgiełkiem, kurzem, sztucznymi światłami i reklamami. Miałam wrażenie, że dopiero teraz, w tej nieprzeniknionej ciemności nocy albo w słabym świetle gwiazd, a czasami w zimnym świetle księżyca w pełni, widzę wszystko wyraźnie i dokonuję prawidłowej oceny. Było harmonijnie i pięknie w ogrodzie. I było cudnie we mnie, a mój ulubiony święty, święty Spokój, przechadzał się ze mną pod rękę i nie odstępował mnie na krok.

Prawdziwy dramat rozpoczął się, kiedy nastaly deszczowe dni, najpierw jeden, potem drugi, trzeci i czwarty. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jakie niebezpieczeństwa czyhają w ogrodzie, który do tej pory wydawał mi się tak oswojony i bezpieczny. Otóż jednego z tych deszczowych dni wybrałam się do warzywnika po sałatę, rzodkiewkę i szczypiorek, na prawdziwie wiosenne kanapki. Idąc w sandałach po trawie, poczułam na stopie coś śliskiego i lepkiego. Wzdrygnęłam się i podskakując na jednej nodze, wytrząsnęłam z buta ślimaka – obrzydliwego nagusa! Fúj! Zostawiłam go jednak w spokoju na trawie, z dala od ścieżki. Skoro jest na świecie, to na pewno pełni jakąś pożyteczną funkcję w przyrodzie, uznałam. Moja tolerancja skończyła się w momencie, kiedy dotarłam na grządkę z sałatą, upstrzoną kolegami, znajomymi i krewnymi tego, któremu właśnie ocaliłam życie. Wszyscy oni pożerali w zastraszającym tempie moją sałatę, podziurawioną już jak sito. Straciłam głowę i patrzyłam

bezradnie, jak trwa konsumpcja efektów mojej ciężkiej pracy oraz witamin z mojej kolacji. Postanowiłam sprawdzić w książce o ogrodzie, jaki jest sposób na ślimaki, a tymczasem zjeść jogurt. Wracając do domu, nie oparłam się pokusie popatrzenia na moje kwiaty. Żółte, pomarańczowe i brązowe aksamitki, które z taką troskliwością siałam wczesną wiosną, podlewałam, potem przesadzałam i okrywałam przed majowymi przymrozkami, wreszcie pyszniły się na dwóch rabatach. Mój uśmiech zamarł na twarzy, kiedy zobaczyłam, że i tutaj trwa wielka uczta, a zaproszonych ślimaczych gości jest jeszcze więcej niż na sałacie. Złość we mnie zawrzała, sprintem pobiegłam do domu, przyniosłam jednorazową reklamówkę i gumowe rękawiczki. Zaczęłam zbierać żarłoczne towarzystwo z zamiarem zawiązania reklamówki i zawieszenia jej na drzewie, jako przestrogi dla innych ślimaków i żeby tam sobie zdechły za moją krzywdę. Zbieranie zajęło mi godzinę, i już wydawało mi się, że problem znikł, ale następnego dnia spostrzegłam, że ptaki wydziobały dziury w reklamówce i winowajcy wydostali się na zewnątrz. Część została zjedzona, część rozpierzchnęła się na nowo po ogrodzie. A w kolejne dni nadciągały kolejne zastępy intruzów i dalej ucztowały w najlepsze. Pan Włodzimierz powiedział, że musi przestać padać, i to jest najlepszy sposób na ślimaki. Wzdychałam ciężko, wyrzucając kolejne objedzone główki sałaty i jadłam już tylko zieleninę, żeby zdążyć przed ślimakami, aż Malwina, która przypadkiem była u mnie kilka dni z rzędu na obiedzie, spytała, czy mam coś oprócz sałaty. Kazałam jej wciąć i wyjaśniłam powód, a ona już bez dyskusji zabrała się do jedzenia.

Co gorsza, nie był to jeszcze koniec moich spotkań z mieszkańcami ogrodu. Kiedy deszcz wreszcie przestał padać, była najlepsza pora, żeby wyplewić zachwaszczone grządki. Trochę pomstowałam, że te moje ekowarzywa zabierają za dużo czasu i pracy. Przez pół dnia kucając w niewygodnej pozycji, cała zdrętwiała, wrywałam chwasty, aż szyja mi zesztyniała, a po ścierpniętych nogach biegały mrówki. Wreszcie wstałam na chwilę i upajałam się widokiem efektów mojej pracy. Odchyliłam przy okazji wielkie liście czarnej rzepy, żeby sprawdzić, jaka duża urosła. Uprawiałam ją z zamiarem przygotowania z niej cudownej, chociaż niezmiernie śmierdzącej płukanki na włosy, które rosną potem gęste i mocne jak u Heleny Trojańskiej. Oderwałam kilka zeschniętych liści i już sięgałam po kolejny, kiedy zauważyłam, że ten liść oddycha, ma dwoje małych oczek, brodawki na całym ciele i jest tak naprawdę obrzydliwą, ogromną ropuchą! Oskoczyłam z piskiem, a serce waliło mi jak oszalałe. W głowie od razu pojawił się obraz z filmu National Geographic, w którym jadowite ropuchy, plując, pozbawiały wzroku i zabijały swoje ofiary. Kamila jednak miała rację z tymi butami! Pobiegłam do domu i zamieniłam sandały na wysokie gumki, a potem przerażona, ale uzbrojona w długi kij i aparat fotograficzny wyruszyłam dzielnie na spotkanie wroga. Zew przygody i niebezpieczeństwa unosił się nad ogrodem, w którym tak beztrako do tej pory żyłam. Delikatnie odchyliłam liście, a ropucha tylko mrugnęła okiem i się nadeła. Zrobiłam kilka zdjęć, później zaś przyglądałam jej się z obawą i obrzydzeniem. Na głowie siedział jej ślimak, mój, jak sądziłam dotychczas, największy wróg. Sunął powoli w kierunku żabich ust. Zamarłam, ropucha też. W momencie, kiedy nieświadomy niczego ślimak docierał do miejsca, gdzie powinien znajdować się żabi nos, ropucha z ogromną prędkością wysunęła język i ślimaczek zniknął, a ona wykonała kilka powolnych ruchów zuchwą i znów znieruchomiała. A więc gramy w tej samej drużynie! Nabrałam do ropuchy wielkiego szacunku i postanowiłam zostawić ją w spokoju. Zajęłam się wrywaniem chwastów, ale dla własnego bezpieczeństwa co jakiś czas odwracałam się, żeby sprawdzić, czy nadal spokojnie siedzi w swoim dołku z ziemi i nie skrada się, żeby mnie zaatakować, skacząc mi na plecy z nienacka.

Wystarczyło kilka dni i zaakceptowałam nowo poznaną mieszkankę ogrodu. Dostała imię Wanda. Okazało się, że nie jest zainteresowana bliższą znajomością, prowadzi w ciągu dnia dość

leniwy tryb życia i nie chce jej się skakać mi ani na plecy, ani gdziekolwiek indziej. Znow mogłam więc rankiem śmiało pisać po zielonej trawie, leżeć na kocyku popołudniami i bujać się w hamaku w jasne wieczory. Hamak wisiał pomiędzy dwoma rozłożystymi orzechami włoskimi i leżąc na nim, czułam się jak na granicy nieba i ziemi, lekko i nieuchwytnie. Ze swojego bezpiecznego miejsca obserwowałam małe jaszczurki poruszające się zwinnie w trawie, wygrzewające się na kamieniach i wielkich liściach cukinii. Raz nawet dostrzegłam, jak w niskiej trawie, z godnością i błyszczeniem swojego łuskowatego, smukłego ciała, sunie niespiesznie jakiś długi wąż. Zamarłam na chwilę, ale dostrzegłszy żółte plamy po bokach głowy, utwierdziłam się w przekonaniu, że to zaskroniec, i z radością oddałam się obserwowaniu przybysza. Zadowolona, że mam nawet własnego węża, próbowałam znaleźć dlań jakieś pełne godności imię. Ostatecznie został nazwany Stefan, ale ani razu nie przyszedł, kiedy go wołałam.

Nigdy jeszcze nie czułam się bardziej niż teraz częścią przyrody, nie akceptowałam bardziej siebie i nie byłam dla siebie lepsza, łagodniejsza i bardziej życzliwa. Miałam prawo tu być, nie miałam już wątpliwości, że życie ma sens, tylko trzeba je dla siebie samej odkryć, że jest wystarczająco długie, takie, jakie powinno być, i należy je przeżyć z godnością, mając świadomość, że się jest elementem większej całości. Myśląc z troską o swoim ogrodzie, starałam się robić coś, co miałyby większy zasięg, coś dla całej planety. Myślałam o misiach polarnych, które może niedługo nie będą miały swojego naturalnego środowiska i zaczynałam gorliwie segregować śmieci oraz stosować, kiedy się da, naturalne środki pielęgnacji siebie i moich roślin. Zamiast dostępnych w sklepach maseczek w pojedynczych plastikowych opakowaniach stosowałam ogórki i płatki owsiane, które i tak kupowałam do jedzenia. Zamiast używać gotowej odżywkę do włosów, tarłam cierpliwie czarną rzepę, która z jakiegoś powodu nie smakowała ślimakom i rosła jak zwariowana. Farbę do włosów zastępowały mi liście orzecha włoskiego, a odżywkę – płukanka z pokrzyw, które pleniły się uparcie wszędzie, gdzie tylko nie miałam siły i czasu dotrzeć z kosiarką, motyczką lub rękami uzbrojonymi w rękawice. Ostatecznie wydzieliłam chwastom granice, w jakich mogą się bezkarnie rozrastać, bo przeczytałam, że to schronienie dla ptaków, jeży, a w ogóle, że dzika część do grodu też stanowi element jego harmonii i równowagi. W końcu człowiek również ma swoje ciemne strony, więc dlaczego nie przyroda?

Grupy w pracowni pojawiały się i odchodziły. Wiosenny cykl warsztatów ustąpił miejsca letnim wieczorom przy ognisku i porannym spotkaniom ze śpiewającymi mieszkańcami ogrodu. Jeszcze zanim zakończył się rok szkolny, pewna zapalona pani od przyrody z gimnazjum w miasteczku zorganizowała u mnie lekcję terenową o czwartej rano, na którą ku mojemu zdumieniu przybyło sporo młodzieży i jeszcze więcej działaczek koła. Arni przyjmował wszystkich z dystansem oraz stoickim spokojem i godnością. Żadnego spoufalania się, ale nie był też agresywny, i w ogóle mało szczekał. Raczej obserwował wszystkich uważnie, a jak bardzo coś mu się nie podobało, to oddalał się w spokojne miejsce. Czuł tylko wyraźną awersję do pewnego typu mężczyzn – hałaśliwych, zalatujących alkoholem i ogólnie niewzbudzających zaufania. Warczał wtedy, jeżył się na grzbiecie i szczyrzył swoje ogromne zębiska. Ja też nie lubię takich ludzi, więc pasowało mi bardzo, że ich odstraszał i wzbudzał respekt. Tymczasem wraz z nastaniem wakacji ruch w pracowni zamarł. Dzieci wyjechały na kolonie lub z rodzicami, a panie z koła albo były na wakacjach, albo pracowały w polu. Zrobiło się sennie, cicho i zaczęło mi brakować pieniędzy.

Popołudnia ciągnęły się leniwie, słońce głaskało, wietrzyk muskał i nie działo się absolutnie nic. Drogą bardzo rzadko przejeżdżał samochód, wzbijając kurz, który osiadał powoli, jakby i jego ruchy spowalniał upał. Lato jest obietnicą wieczności. Bo i po co miałyby się kończyć? Pachniały kwiaty w ogrodzie i w ich woni minuty wydawały się nieskończone,

a godziny pojemne jak trzydrzwiowa szafa ciotki Niny. Ludzi widywałam w telewizji i czasami słyszałam przez telefon. Siebie miałam na wyciągnięcie ręki. Siedziałyśmy razem, wreszcie pogodzone, i zadawałam sobie ważne pytania, a potem spisywałam odpowiedzi. Rodziła się lista moich marzeń i celów. Czułam, jak się odradzam. Wieczorami podlewałam zmęczone upałem kwiaty, a odświeżająca kurtyna z kropelek wody osiadała i na mojej nagrzonej skórze. Było dokładnie tak, jak powinno być latem. Gotowałam kompoty do obiadu, zbierałam pachnące porzeczki, poziomki i soczyste truskawki. Wkładałam zwiewne sukienki, słomiany kapelusz, a potem smarowałam się obficie kremem z filtrem i spacerowałam, robiłam zdjęcia, zapisywałam swoje bardziej lub mniej odkrywczyste refleksje na temat siebie i świata. Pszczoły uwijały się w lipach jak ludzie na jarmarku, a ogromne, włochate trzmielce, nie dowierzając sobie nawzajem, po kilka razy wracały po pyłek do tego samego kwiatu. Czerwieniły się maki, wdzięcznie kołysały się niebieskokookie chabry. Lato się Bogu bardzo udało. Chciałam się nasycić ciepłem i kolorami, wdychałam głęboko ciszę i obejmowałam ramionami przestrzeń. Czułam się bezpiecznie, spokojnie i na swoim miejscu w moim zakątku świata. Siekiera przy łóżku nie była mi już potrzebna, bo miałam pewność, że Arni odstraszy intruzów skuteczniej. Zresztą nieznanym nie pojawiało się wielu, a mieszkańcy wsi byli już oswojeni. Ale coraz częściej czułam się jak pojedyncza, opuszczona przez swoją towarzyszkę skarpetka!

To porównanie dopadło mnie, kiedy wyjmowałam z pralki ubrania i po raz kolejny z najwyższym zdumieniem odkryłam, że w trakcie prania jedna z pary skarpet zniknęła. I miałam kłopot, bo gdy są dwie, to można je z czystym sumieniem rozwiesić do suszenia, a później zwinąć w kłębek i włożyć do szuflady. Kiedy jest jedna, i to bez dziury, zwykle jej nie wyrzucam, mając nadzieję, że jej koleżanka jednak się znajdzie. A one giną tak bez powodu, nagle i denerwująco. Nie zostawiają listów pożegnalnych, ani jednego słowa wyjaśnienia, więc na nie czekam i z niedowierzaniem zaglądam po każdym praniu do pustej już pralki, przeświadczona, że powinnam je kiedyś odnaleźć. Ależ to do złudzenia przypomina moje życie miłosne! Szukam czegoś, czego nie ma, czekam na coś, czego już nie będzie! W efekcie jestem sama!

Siedziałam właśnie na podłodze w łazience, otoczona stertą mokrego prania, wpatrując się w pralkę i rozważając chodzenie wyłącznie w rajstopach i getrach, do końca życia, żeby uniknąć problemu skarpet, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Halo, jest tu ktoś? – usłyszałam głos Irminy.

– Irminka?! Co ty tu robisz?

– Niespodzianka! Wpadłam w odwiedziny. Jak się masz?

– Jak pojedyncza skarpetka – odparłam zgodnie z prawdą.

– Ojej – zawołała empatycznie – smutno ci?

– Coś ty! – prychnęłam. – Wreszcie odkryłam, co się dzieje z moimi związkami!

Wstałam gwałtownie z podłogi.

– No? – zainteresowała się i ruszyła za mną do kuchni, taszcząc wypchaną torbę i plastikową reklamówkę.

– Czasami nie powinno się ciągnąć czegoś dalej i trzeba sobie dać spokój. Uciszyć myśl, że nie ma czegoś, co było, i żal, że już tego nie będzie. Trzeba zamknąć ten rozdział i szukać nowego.

– To wcześniej tego nie wiedziałaś? – Uniosła brwi wysoko do góry, aż bałam się, że się jej zaplącą we włosy i nigdy ich już nie odnajdzie.

– Nie.

– A co mają do tego twoje skarpety? – Z reklamówki wyjmowała jogurty, banany, ciekawie wyglądające pudełko z logo ciastkarni z miasteczka, dużą czekoladę i opakowanie

zielonej herbaty.

– To taka metafora – zbyłam ją, bo tok rozmyślań, który doprowadził mnie od skarpety do miłości, już dla mnie samej stracił wyrazistość.

Patrzyła na mnie wyczekująco, więc westchnęłam i spróbowałam jej to wytłumaczyć.

– Chodzi o to, że ja nie wychodzę z inicjatywą w miłości, nie daję jej. Ja ją przyjmuję, gdy się pojawia, i na nią czekam. Biorę taką, jaka jest, o ile jest. Ale nie pragnę więcej.

Dokładnie jak ze skarpetami, które nagle giną, a ja trochę niedowierzam, przez pewien czas na nie czekam, ale ostatecznie przyjmuję zaginięcie ze spokojem. Chowam nieznoszoną pojedynczą skarpetkę do wielkiego pudła i kupuję nową parę.

– Czyli nie kochasz nikogo, ani tym bardziej swoich skarpet, bo nie rozpaczasz po ich utracie, tylko bierzesz nowe – podsumowała trafnie Irminka.

– Właśnie tak! – ucieszyłam się, że tak to streściła. – I przez to nie buduję dojrzałych związków, tylko płytkie i krótkotrwałe!

– Wiesz, ja też nie buduję dojrzałych związków, ale z drugiej strony nie mam problemów ze skarpetami, więc tu chyba nie ma zależności przyczynowo-skutkowej.

– Może i nie, ale coś jest na rzeczy. A co tam u ciebie? – zmieniłam temat.

Irminka nie odpowiedziała i zaczęła rozpakowywać swoją torbę, wyjmując z niej stosik ubrań, klapki i kalosze, a także pękata kosmetyczkę.

– Wprowadzasz się? – zażartowałam, owijając sobie szyję cienkim lawendowym szalem, który zsunął jej się na podłogę. Irmina wzięła głęboki oddech.

– Przyjechałam, bo mam ciągle pecha w miłości, a dziewczyny mówią, że tu jest taka dobra atmosfera uczuciowa – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Zwariowałaś? Ty też? Co ci te wariatki nagadały?

– Mam dość bycia samą! – stwierdziła stanowczo i z desperacją. – Miłość powinna mnie już odnaleźć. Należy mi się tak jak każdemu innemu człowiekowi, nie sądzisz?

Westchnęłam ciężko.

– Irmina, jeżeli chcesz zostać, to zostań, jak długo będziesz miała ochotę. Ale zdradzę ci sekret: tutaj nie ma facetów! Nie ma życia towarzyskiego! Tutaj kobieta starzeje się i umiera samotna, jak ja. Mieszkam tu sama i przez dom przewijają się głównie kobiety. Jeżeli liczysz, że się cudownie zakochasz, to na pewno nie tutaj!

– No a Patrycja? Malwina? To co, przypadek?

– Tak!

– Nie wierzę, w tym miejscu musi coś być. – Potrząsała głową z powątpiewaniem i rozglądała się wokół, jakby chciała to coś znaleźć w mojej kuchni, gdzieś w kącie, i mi pokazać.

– A ja nie mogę uwierzyć, że ty, taka rozsądna osoba... – zaczęłam

– Mam już dość tego rozsądku – przerwała mi gwałtownie. – Mam urlop i chcę wypocząć! Czy nie należy mi się chwila przerwy od bycia ciągle mądrą, ułożoną i rozsądną nauczycielką?

– Ależ oczywiście, że się należy. Nie chciałam tylko, żebyś się rozczarowała, bo nie mogę dać ci gwarancji, że będzie to urlop pełen ekscytujących wydarzeń, z licznymi okazjami do bycia nieułożoną.

– Nie wiadomo, co i kiedy się wydarzy – filozoficznie zakończyła dyskusję Irminka.

– Masz rację – poddałam się, bo Irmina, szeroko się uśmiechając, podawała mi ciastko z ogromną ilością różowego kremu. – A w ogóle, cieszę się, że jesteś i powodzenia – dodałam z ustami pełnymi słodkiej masy i nosem przyprószonym cukrem pudrem.

Mimo swoich deklaracji Irmina wcale nie rwała się do ludzi. Zachowywała się dokładnie tak, jak rozsądna nauczycielka zachowywać się powinna. Wysypiała się, a potem kontemplowała

świat, leżąc z książką w hamaku, spacerując i czasami biegając, w czym z radością towarzyszył jej Arni. Wracali zziębnięci i szczęśliwi. Pies padał w plamie cienia, a Irmina jeszcze pomagała mi wrywać chwasty na rabatkach. Objadałyśmy się malinami prosto z krzaka i oglądałyśmy razem ulubione filmy. Opaliła się na złotobrązowo, a oczy błyszczały jej bardziej niż zwykle. Włosy ufarbowałam jej według życzenia na marchewkowy kolor, w którym było jej bardzo do twarzy. Nasze błogie lenistwo i odosobnienie przerwała tylko jedna całodniowa wyprawa na zakupy, którą zarządziła Irmina, gdy odkryła, że odkąd zamieszkałam na wsi, nie kupiłam sobie nic nowego do ubrania.

Wracałyśmy do domu w porze, kiedy szarość pokrywać zaczynała dzień, ale wieczór wciąż nie nadchodził. Droga była pusta, w zaroślach kwiliły ptaki, a czerwone słońce prawie zaszło za horyzont, pozostawiając na niebie ostatnie różowe smugi. Irmina nurkowała w licznych reklamówkach ze swoimi zakupami i próbowała przekonać mnie, że powinnam była jednak zdecydować się na buty, które przymierzałam. Były piękne, ale koszmarnie drogie i na zbyt wysokim, według mnie, obcasie. Nagle zza zakrętu wybiegł na drogę niewielki cień. Przyhamowałam. Cień znieruchomiał wtedy na skraju drogi, mogłam więc jechać dalej. Niestety w ostatniej chwili, kiedy już byłam za blisko, żeby wyhamować lub cokolwiek ominąć, cień jednak przebiegł mi drogę. Poczułam, że auto uderzyło w coś miękkiego i zrobiło mi się bardzo nieswojo.

– Co to było? Kogo zabiłaś? – Irmina oderwała się od ciuchów i z niepokojem wpatrywała się we mnie.

– Zwierzę jakieś chyba, albo taki mały duch – odpowiedziałam schrypniętym głosem.

Zjechałam na pobocze i wysiadłam. Na skraju drogi leżał martwy kot. Nie wiedziałam, co mam teraz zrobić.

– Ja nie wysiadam, nie będę na to patrzeć. – Irmina zasłaniała sobie oczy.

W pobliskim domu paliły się światła i otwarte były drzwi wejściowe. Stała w nich mała dziewczynka, która właśnie zaczęła płakać, a następnie odwróciła się i pobiegła do środka. Czułam się podle. Po chwili mężczyzna, zaalarmowany przez dziecko, wyszedł z domu i zbliżał się do mnie, trzymając w rękach coś małego.

– I co zrobiła? Kot zabity, dziecko osierocił! – dobiegł mnie jego głos.

– Jakie dziecko?

– Kota małego przecież! Resztę my oddali, tego nikt nie chciał, bo brzydki. Weźmie go, jak matkę mu zabiła. – Wyciągnął do mnie rękę, w której trzymał puchatą kulkę z cienkim ogonkiem.

– A pana córka? To jej kotek był... – zawahałam się.

– Mamy jeszcze jednego, nic jej nie będzie. No, weźmie tego i wychowa dobrze.

– Oczywiście i przepraszam bardzo. – Wydawało mi się logiczne, że muszę wziąć tego kota.

– No, no – podszedł do martwego kota i przesunął go nogą do rowu – niech jedzie już, bo tu zakręt, zatrzymywać się nie można.

Przytuliłam do szyi ciepłego kociaka, który miauczał cicho, dotykał mnie zimnym nosem i łaskotał pędzelkami na czubkach małych uszu.

– Irmina! Irmina, zobacz! – wołałam, wracając do samochodu.

– Co się stało?

– Patrz, mam kota!

Wsiadłam do auta.

– Kici, koteczek, kiciuś – rozczuliła się Irmina, głaszcząc jego miękkie futerko.

– A czemu taki pomarańczowy?

Przyjrzałam się kotu uważniej w słabym, samochodowym świetle.

– Nie pomarańczowy, tylko bursztynowy! – skarciłam ją.

– Tak? Pięknego masz Bursztynka. – Głaskała kotka z zachwytem.

– Tamten gość mi go dał na wychowanie, bo przejechałam jego mamę.

– Żeby tylko nam tu nie narobił – z obawą w głosie powiedziała Irminka.

Owinęłam rudego kota w swój szal, włożyłam do torebki i przekazałam na kolana Irminie. Miauczał trochę, ale kiedy zrobiło mu się ciepło, usiadł spokojnie, a później obserwował mnie i Irminę niebieskimi oczami. Zanim dojechałyśmy na miejsce, zasnął.

Jak tylko weszłyśmy do domu, Arni zaczął obwąchiwać nas niespokojnie. Kazałam mu się położyć, a wtedy kot obudził się i ziewnął. Miałam nadzieję, że nie zostawił mi w szalu niespodzianki.

– Wyjmij go – poprosiła Irmina.

Nie wiele myśląc, spełniłam jej prośbę, a wtedy z małego koteczka wylał diabeł. Kiedy zobaczył Arniego, zjeżył się, wpił pazurkami w moje ramię i parsknął gniewnie, szczerząc wszystkie zęby i strosząc wąsy. Arni tylko zmarszczył nos i znieruchomiał. Kot wbijał mi teraz pazury w szyję, wplątywał się we włosy i szalał, jakby go oblażło stado mrówek.

– Wypuść Arniego na taras, bo ten kot mi potnie żyły!

Irmina wypchnęła psa z domu, czym uratowała nam życie. Kot miał puls przedzawałowy, a moją szyję i ramię przecinały czerwone bruzdy od jego pazurów, piekące niemilosiernie. Posadziłam kota w wiklinowym koszu, pełnym ciotkowych włóczek. Uspokoił się i rozglądał ciekawie wokół.

– Na pewno się pokochają i będziecie jedną szczęśliwą rodziną – pocieszyła mnie Irmina, kiedy dezynfekowałam skałeczoną skórę.

– Na pewno – odparłam bez przekonania.

– Koty są fajne i mruczą, może nawet nauczy się łapać myszy – reklamowała dalej Irmina rudego diabła, który właśnie kotłował się w koszu, cały owinięty różnokolorowymi włóczkami.

– Muszę go przecież wychować – rzekłam, nalewając mu mleka do wyszczerbionej miseczki.

Rodziło się we mnie poczucie trudnej misji, a jednocześnie zyskałam cel na najbliższe lata życia. Kot tymczasem sikał właśnie w kącie za fotelem, Arni drapał w drzwi, ja zaś uświadamiałam sobie coraz wyraźniej, że uczynienie z nas szczęśliwej rodziny, to będzie niełatwe zadanie.

Jednak, tak jak wiele wcześniejszych słów mojej przyjaciółki, i te się sprawdziły. Nie wiem, jak to się stało, ale obecność Irminki, zapach obiadu, ciepło kota na moich kolanach i radość Arniego, witającego mnie, gdy wracałam z miasteczka, sprawiły, że dom stawał się prawdziwym domem. Po kilku dniach naprawdę nie wiedziałam, jak to w ogóle było możliwe, że do tej pory żyłam bez kota. Jakim cudem mój dom funkcjonował bez jego mruczenia, dzikich szaleństw, polowania na moje stopy i sikania w doniczkach? Zakochałam się w nim nieodwołalnie i bez pamięci, Arni może nieco mniej szalenie, ale jakoś się podzielili przestrzenią w domu i w ogrodzie. Kot spał grzecznie na swoim posłaniu w korytarzu, z wyjątkiem jednej straszliwej nocy, kiedy obudził go długonogi pająk. Mój mały przyjaciel rozpaczliwym miauczeniem zaczął wtedy przywoływać mnie do siebie na ratunek. Korzystał z kuwety i obserwował uważnie świat, siedząc na parapecie. Wzbudził mój najwyższy podziw, kiedy zaczął polować na muchy. Byłam dumna, że wychowuję go na takiego mądrego i walecznego kota. Miał zawsze mnóstwo czasu na sen, pielęgnację swojego futerka i szaleńcze harce oraz wystarczająco dużo odwagi, żeby mierzyć się z fascynującym światem ogrodu i wspinać po najwyższych drzewach z nadzieją schwytania wiewiórki.

– Zobacz, jak wiele z mądrego podejścia do życia można przejąć od kota – podzieliłam się swoją refleksją z Irminą, kiedy pewnego wieczoru obserwowaliśmy Bursztyńka podczas jego zabaw i popijałyśmy naleweczkę, zagryzając ciastem biszkoptowym, które upiekła moja przyjaciółka. – Ma czas na to, co przyjemne, szybko się przystosowuje i zawsze wie, jak zdobyć od ludzi to, co chce.

– No – wymruczała, okręcając pasmo włosów wokół wskazującego palca.

– Dobrze tak jest teraz, wiesz?

– Aha, i ja tu już zamieszkać – oświadczyła po chwili.

– Tak po prostu?

– Tak, tu jest świeże powietrze, cisza i po raz pierwszy w życiu słyszę własne myśli.

– No dobra i co będziesz tu robić?

– Wybuduję sobie obok ciebie drewnianą chatkę.

– Brzmi nieźle – zaśmiałam się.

– Może uczyłabym w szkole?

– No nie wiem, chyba już mają nauczyciela angielskiego.

– Zrobię u ciebie twórcze warsztaty nauki języka.

– O, to akurat jest dobry pomysł! – przyklasnęłam.

– Znajdę jakąś szkołę językową i będę uczyć. Albo nie, będę tłumaczyć dzieła!

– rozkręcała się.

Zapadła cisza, bo Irmina intensywnie jeszcze nad czymś myślała, a ja nie chciałam jej przeszkadzać.

– Chociaż nie, już wiem, będę pisać! Tu jest taka twórcza energia, a ja zawsze chciałam napisać książkę!

– Jest tu energia – zgodziłam się z nią.

– Wiesz, bo ja się trochę martwiłam o ciebie, że tu tkwisz tak sama na wsi i że zrobi się z ciebie taka zwariowana babcia – kontynuowała.

– Dziękuję ci. I co? Jeszcze się nie zrobiła?

– No, nie obraż się – uśmiechała się z zakłopotaniem, co tak w niej lubiłam – myślałam, że robisz głupstwo, tak nagle wyjeżdżając gdzieś, zupełnie w ciemno, żeby zamieszkać tu sama. Ale widać, że ci to służy.

– Cieszę się, że się zdecydowałam na zmianę. Bo wiesz, uświadomiłam sobie, że miałam takie małe i bezpieczne pudełeczko własnych przekonań i poglądów, które mi pasowało do okoliczności mojego życia, ale jednak było tylko sztywnym, zamkniętym pudełeczkiem! Nic z niego nie mogło wypaść ani nic się do niego nie dało włożyć. Wydawało mi się, że życie po prostu tak wygląda, ja już taka będę zawsze i ludzie też już tacy są. Śmieszyły mnie ich pomysły na życie... – przerwałam, bo wydawało mi się, że powiedziałam za dużo i niezrozumiale, ale Irmina kiwała głową i patrzyła na mnie uważnie, więc dokończyłam: – Bez tej zmiany i przeprowadzki, bez otwarcia się na nowych ludzi i pomysły na życie moje pudełko nigdy by się nie rozwarło. Nie chcę już kiedykolwiek bać się zmian. Bo przecież, będąc tutaj, znów sobie stworzę jakieś przekonania, wizje i moje pudełko, wypełnione nimi, zacznie się zamykać.

– To znaczy, że będziesz ciągle wyjeżdżać?

– Nie, chyba nie chcę już tak uciekać. Ale muszę być czujna i wykorzystywać okazje, żeby coś nowego przeżyć i czegoś się nauczyć. Nie chcę utknąć gdzieś w przekonaniu, że mi się tam nie podoba, ale zostaję, bo nie mam innego wyjścia.

– Może boisz się w pełni zaangażować?

– Może... Może też za bardzo lubię to poczucie bycia na zewnątrz, nowa, inna, kiedy wszystko widać wyraźniej, bo potem się już wsiąka i jest się jedną z wielu.

– A chcesz być wyjątkowa...

– Każdy chce.

– Po to farbujemy włosy, szukamy oryginalnych ciuchów, robimy makijaż i starannie wybieramy perfumy?

– Właśnie!

– I szukamy miłości, żeby tę swoją wyjątkowość zobaczyć w czyichś oczach

– westchnęła ciężko.

Mogłam się spodziewać, że prędzej czy później utkniemy na tym temacie.

– Jak w lusterku – dodałam i też westchnęłam.

– A nie wpadł ci tu nikt w oko?

– Nie wpadł.

– I nie będziesz szukać? Tak mówiłaś kiedyś o tych skarpetach... Może to też powinno się pozmienić w twoim pudełku przekonań. Może powinnaś aktywniej szukać miłości.

– Irmina, o czym ty mówisz? Nie da się znaleźć miłości, jak jej nie ma.

– Ale można jej nie przegapić!

– Już przegapiłam i co więcej, dobrowolnie ją zostawiłam.

– I mówisz to z takim spokojem? Do końca życia będziesz tu siedzieć z tą świadomością? To swoją miłość odzyskaj!

– Nie wiem jak i boję się, że się nie uda.

Dawno z nikim nie rozmawiałam o Mikołaju i łyzy natychmiast napłynęły mi do oczu, a głos zdradziecko się załamał. Tak naprawdę to nikomu nie opowiedziałam od początku do końca całej tej skomplikowanej historii, jak doszło do tego, że się wyprowadziłam i wyjechałam. Oficjalnym powodem było nasze niedopasowanie, ale co to dokładnie znaczyło? Tylko w głowie próbowałam sobie porządkować to, co wtedy czułam i jak się to zmieniało z upływem czasu. Ale Irminka zawsze umiała otworzyć te moje pozamykane szczelnie drzwi, za które nie wpuszczałam wielu i gdzie porzucałam swoje maski, żarty i uniki. Z wielką ulgą poczułam, że łyzy potoczyły mi się po twarzy i nawet nie chciałam ich wycierać. Niech płyną, niech się wyleją wreszcie wszystkie. Irmina objęła mnie i przytuliła mocno, a ja zaczęłam mówić:

– Tęsknię za nim i nawet nie patrzę na innych mężczyzn, więc nic nowego się nie zacznie.

Irmina milczała i patrzyła na mnie ze spokojem.

– Odeszłam, bo mi gotował, zgadywał moje życzenia, nie chciało mu się ćwiczyć i trochę się wymądrzał.

– No, tak było – zgodziła się ze mną.

– Jego denerwujące zachowania i cechy to jeszcze nie cały on, prawda?

– Prawda – przytaknęła – ale mogą go całkiem przesłonić, jak będzie za mało miłości.

– Zabrakło mi dobrej woli i dojrzałości.

Irmina nic nie powiedziała.

– Nie potrafiłam, będąc z nim, sama się zmieniać, brakowało mi przestrzeni albo odwagi, albo czasu. Trudno powiedzieć czego...

– Tutaj to masz...

– Ale nie mam jego. I tak uciekłam idiotycznie, po kryjomu, i zatrzasnęłam bezmyślnie drzwi.

Zapadła cisza, a ja zapadałam się w siebie, przeszukując zakamarki swojego serca i odkrywając swoje obecne pragnienia. A w sercu były teraz tylko tęsknota i żal.

– Złe zrobiłam, że odeszłam? – zapytałam trochę Irminę, a trochę swoje serce.

– Postąpiłaś uczciwie, ale nie wiadomo, czy on da ci jeszcze jedną szansę. – Przyjaciółka

była boleśnie szczerą.

– Nie dałabym rady odejść inaczej niż tak bez słowa – skarżyło się serce.

– Wiem. – Głaskała mnie uspokajająco po plecach, a ja wyplakałam się za wszystkie czasy i zmęczona, jak po całym dniu ciężkiej, fizycznej pracy, poszłam spać.

Obudziłam się późno i piekły mnie oczy. W łazience, gdzie na skraju wanny siedział Bursztynek, obserwując uważnie krople wody, przyjrzałam się swojej zapuchniętej od wczorajszego płaczu twarzy i umyłam ją zimną wodą. Potem przytuliłam kota, a on wcisnął się pod moją pachę i mruczał. Dzień był słoneczny i już od rana gorący. Wyszłam na taras, popatrzyłam w niebieskie niebo i próbowałam odnaleźć w sobie trochę radości. Była tylko cisza. Irminka siedziała przy stoliku pod rozłożystą jabłonią i czytała książkę. Gdy mnie usłyszała, podniosła głowę i pomachała. Z kotem w ramionach, który łapą delikatnie trącał moje kolczyki, ruszyłam boso przez zielony, równo przystrzyżony trawnik. Ciężko klapnęłam na krzesło obok niej. Bursztynek ruszył po stole do kubka z herbatą Irminy, a gdy go odgoniła, usiadł i patrzył na nas bez mrugnienia powiek. Irminka głaskała kota, a on mruczał i starał się schwytać jej brzęczące bransoletki.

– Co tam? – zagadnęła do mnie.

– Niebo dziś znów niebieskie. – Wpatrywałam się w górę, mrużąc oczy.

Spostrzegłam samolot, rysujący białą linię na moim nieskazitelnym niebie, i bardzo zapragnęłam się w tym samolocie znaleźć, być po raz kolejny w drodze do nowego i nieznanego życia, oddzielając się grubą kreską po chmurach od tego, co już było. To pragnienie ucieczki jeszcze dalej od bólu i rozczarowania było wprost przerażające. Przecież miałam już poukładane życie! Przecież odrobina łez nie może rozmyć planów, które powzięłam, i celów, jakie sobie wyznaczyłam. Gdzieś piały koguty, słychać było traktor jadący w oddali po polu. Otworzyłam oczy, Irminka czytała, a kot baraszkował bez troski w trawie. Spojrzałam jeszcze raz w niebo, samolotu już nie było i cienka linia się już rozpięchła, a zatem tu zostaję i nic się nie zmienia. Cicho westchnęłam.

– Co czytasz? – zagadnęłam Irminę, nalewając sobie zielonej herbaty z dzbanka.

– O jasnym i ciemnym śnie.

– A co to?

Zamknęła książkę.

– Jasny sen to nasze marzenia i oczekiwania, z jakimi wchodzimy w związek, a ciemny to wszystko to, czego najbardziej się obawiamy i czego nie chcemy od związku i partnera.

Wygórowane oczekiwania i mnóstwo obaw, to była moja recepta na związek z Mikołajem, pomyślałam, ale nie powiedziałam na głos. Zamiast tego sięgnęłam po truskawkę.

– Aha, no i co?

– Jasny to mrzonka i nigdy się nie spełni, a ciemny ciągle bruździ i może być powodem rozstania, kiedy już nie wierzymy, że dostaniemy to, czego chcemy.

– Zgadza się – przytaknęłam.

– No, z czasem możemy się nauczyć, że jedyny związek, który ma szansę przetrwać dłużej, to jasno-ciemny.

– Ale tych powodów rozstania jest tyle i przecież chcemy dla siebie jak najlepiej, więc jakśmy do świcy Igniemy do jasnego snu i nie interesują nas kompromisy – coraz bardziej wciągałam się w tę rozmowę.

– Aha, a do tego jeszcze mamy głowę pełną przekonań, jak nasz związek powinien wyglądać, które zwykle różnią się od wyobrażeń wybranka.

– Szczęśliwy związek jest więc niemożliwy!

– Teoretycznie nie.

– Zwariować można, jak się za dużo o tym myśli i roztrząsa. Chcesz, żeby było idealnie, a zamiast radości otrzymujesz do wykonania ciężką pracę.

– Bo nie da się analizować tego, co trzeba czuć! – powiedziała filozoficznie i z wielkim przekonaniem Irmina.

– Irmina, taka jesteś mądra, że od dziś pozwalam ci decydować o moim aktualnie nieistniejącym życiu miłosnym! – oświadczyłam uroczyście.

– Tak? – upewniła się.

– Tak – potwierdziłam, wystawiając twarz do porannego słońca.

– Zatem, dobrze.

– Świetnie! – ucieszyłam się.

– No to dziś wieczorem wychodzimy – powiedziała ze spokojem.

– Co?

– Masz już wszystko: dom, psa, kota i pomysł na życie. Brakuje ci tylko mężczyzny i dziś zrobimy przymiarkę!

– Chyba jeszcze nie jestem gotowa – broniłam się.

– I to jest właśnie błąd! To ja decyduję i mówię, że jesteś gotowa! – zawołała z triumfem w głosie.

– Stajesz się niebezpiecznym człowiekiem, gdy masz za dużo władzy...

– Wyjdzie ci to na dobre, zobaczysz – przekonywała mnie.

– No nie wiem...

– Ale ja wiem – stwierdziła dobitnie. – Chodzi o eksperyment naukowy i poszukanie kogoś innego, a następnie porównanie tego, co poczujesz, z tym, co czułaś kiedyś.

Popatrzyłam na mojego eksperta od spraw uczuć z powątpiewaniem.

– Nie patrz tak na mnie. Dobrze wiesz, że są miłości i Miłości. Nie za każdą dajesz się pokroić. Ta, którą czujesz w danym momencie, jest najważniejsza i jedyna, więc pomoże ci rozprawić się ze starymi uczuciami.

– Trochę grubymi nićmi szyta ta twoja teoria.

– Spróbować zawsze można. Zresztą, dość tego filozofowania! Nie myśl za dużo, teraz działamy i ja przejmuję inicjatywę!

Nigdy nie słyszałam, żeby była taka stanowcza. Poddałam się.

– Założysz swoje nowe ciuszki, pięknie się umalujesz... – kontynuowała łagodniej.

– Jesteś diabolicą – pokiwałam z rezygnacją głową – a taka była z ciebie kiedyś dobra dziewczyna!

Irmina wyglądała na zadowoloną z siebie. Z góry przyjęła, że decyzje miłosne obejmują też wybór stroju i kategorycznie kazała mi zdjąć dżinsy oraz czarną koszulkę z maleńkim napisem *nosey little fucker, aren't you*, które wybrałam na ten wieczór. W zamian rzuciła mi na łóżko błyszczącą bluzeczkę i zdecydowanie za krótką spódniczkę, w której czułam się, jakbym w ogóle zapomniała cokolwiek na siebie włożyć. Próbowałam jeszcze zawalczyć o wygodne sandały, ale dostałam parę czerwonych szpilek. I dobrze, pomyślałam, będę się w nich kołysać jak niepełnosprawna żyrafa, więc na pewno nikt nie okaże się zainteresowany bliższą znajomością ze mną. Mimo iż nagle przypomniałam sobie, że mam mnóstwo ważnych mejli do napisania i rzeczy do zrobienia, Irmina postawiła na swoim i w efekcie wieczorem siedziałam przy szklanym barze lokalu o nazwie „Fioletowy Kaktus”. W ciągu kilku miesięcy odosobnienia odzwyczaiałam się od ludzi rozbawionych alkoholem i kołyszących się w rytm muzyki, w „Kaktusie” czułam się więc głupio i nie na miejscu.

– Tu na pewno nikogo nie znajdę! Interesuje mnie raczej typ intelektualisty, najlepiej w okularach – krzyczałam Irminie w ucho.

Ale ona z drinkiem w ręku wyginała się, radośnie podśpiewując, i miała nieprzeniknioną twarz.

– Wieczór się dopiero zaczął, a oto moja pierwsza niespodzianka – wskazała na drzwi, w których pojawiły się Patrycja, Malwina i Kasia.

– A więc to jednak był spisek! – wydarłam się Irminie do ucha, a ona się tylko zaśmiała. Dziewczyny podeszły, z zachwytem komentując mój strój.

– Wreszcie się ruszyłaś do ludzi i pięknie wyglądasz. – Patrycja cmoknęła mnie w policzek.

Malwina w tym czasie już wskazywała mi dyskretnie jakiegoś samotnego mężczyznę przy stoliku pod oknem.

– Zapomnij!

– A wiesz, że jak sama nie wybierzesz, to Irmina wybierze za ciebie – przypomniała mi uprzejmie Patrycja.

– Cieszę się, że ona, a nie ty, bo musiałabym się pewno spotykać z poprzednikiem Błażeja – odcięłam się.

Stopniowo coraz lepiej się jednak bawiłam. Muzyka niosła nas swobodnie, zagłuszając szept wątpliwości. Irmina nie przestawała czujnie skanować otoczenia w poszukiwaniu mojej nowej miłości. Do pewnego stopnia czułam się z tym komfortowo – nie ja wybieram, nie ja ponoszę odpowiedzialność. Coś, o czym od dawna marzyłam. Byłam też trochę ciekawa, co z tego wszystkiego wyniknie. W pewnej chwili przemknęło mi nawet przez myśl, co by było, gdybym się naprawdę zakochała. Wieczór mijał szybko. Z upływem czasu przybyło ludzi w lokalu i rozpoczął się konkurs karaoke. Patrycja zgłosiła naszą piątkę do występów. Miała ochotę wykonać piosenkę o gajowym, ale niestety utwory przydzielano losowo. Jeszcze nie doszliśmy do siebie po szyderczych komentarzach pierwszych popisów, a Patrycja wciąż próbowała opanować czkawkę, której dostała ze śmiechu, kiedy wylosowano dla nas piosenkę *Mamma mia*.

– No to mamy wygraną w kieszeni! – równocześnie zawołałyśmy z Patrycją, repertuar Abby ćwiczyłyśmy przecież zimą.

Dziewczyny szybko ruszyły w kierunku małej sceny na środku sali, a za nimi podążałam ja – kulawa żyrafa. Ostatnia wgramoliłam się na scenę i dostało mi się miejsce najbliżej jej krawędzi. Wszystko poszło wspaniale. Zarówno śpiew, jak i spontaniczny układ taneczny. Całość zwróciła uwagę sporej części publiczności i otrzymałyśmy burzliwe oklaski. Gdy miałyśmy już zejść ze sceny, Patrycja postanowiła wylewnie okazać swą radość i zaczęła ścisnąć nas kolejno. Zachwiałam się nieco w jej ramionach, a w momencie, kiedy mnie puściła, stojąc wciąż na skraju tej idiotycznej sceny, niestabilna w butach na wysokim obcasie, straciłam zupełnie równowagę i runęłam prosto na stojący z boku stolik i siedzących przy nim mężczyzn. Lecąc, zamknęłam oczy i marzyłam już tylko o tym, żeby rozpląnąć się w powietrzu jak mgła. Niestety, wylądowałam w talerzu jednego z nich, a kiedy otworzyłam oczy, moja twarz znajdowała się kilka centymetrów od twarzy ciemnowłosego faceta w okularach, wyglądającego na obcokrajowca. Mimo okularów nie spełniał moich kryteriów określających intelektualistę. Gapił się na mnie osłupiały, a ja nie ruszałam się i czekałam na koniec świata. Wreszcie po ciągnącej się w nieskończoność chwili mężczyzna powiedział coś, chyba po hiszpańsku, a ja zaczęłam go przeproszać i gramolić się zupełnie bez wdzięku, próbując się podnieść. W efekcie z talerza ześlizgnęłam się na kolana Hiszpana, a obcasy wbiłam z impetem w jego stopę. Zapiszczał cienko, a wtedy dziewczyny przybiegły i pomogły mi wstać. Alfredo, bo jak się później okazało, tak miał na imię ów mężczyzna, na szczęście zdążył zjeść swoje spaghetti bolognese, więc talerz, w którym wylądowałam, był pusty i o dziwo się nie rozbił, a spódnica na moich pośladkach

zyskała tylko lekki połysk z sosu pomidorowego i subtelną lepkość. Alfredo i jego koledzy mówili mieszanką hiszpańskiego i angielskiego, pomagając sobie wydatnie zamaszystymi gestami, którymi również starali się oczyścić mi spódnice. Spiorunowałam ich wzrokiem i ruszyłam do łazienki. Osoby, które do tej pory były moimi przyjaciółkami, pograżyły się zupełnie we flirtie z nieznajomymi. Kiedy z ociąganiem wróciłam z toalety, dowiedziałam się, że zostałyśmy gwiazdami wieczoru, bo wygrałyśmy karaoke.

Entuzjazm wśród naszych żywiołowych nowych znajomych wzbudziło wniesienie na stolik butelki szampana jako nagrody dla naszej piątki. Moja niechęć minęła, kiedy w ramach przeprosin wypiliśmy go w towarzystwie Hiszpanów, a oni potem w ramach umacniania świeżo zawartej znajomości szczerze częstowali nas sangrią. Byli bardzo wylewni, hałaśliwi i przyjaźni. Każdy z nich kilka razy upewnił się, że nic mi nie jest, a Alfredo nawet zaproponował mi masaż tej części ciała, na której wylądowałam. W przeciwieństwie do mnie był wyraźnie zainteresowany pogłębieniem znajomości, ale Irminka nie dawała mi żadnych znaków, że to ten jedyny, więc z ulgą leczyłam zakłopotanie słodkim winem i opowiadałam bzdury, marząc o tym, żeby być już w domu i przebrać się w swoją flanelową pidżamę. Dziewczyny bawiły się jednak świetnie, ruszyły w tany z nowymi kolegami i nie zanosilo się na spełnienie moich marzeń w najbliższym czasie.

Korzystając z zamieszania, wywołanego tłumaczeniem polskiego hymnu na angielski, wymknęłam się na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. Noc była ciepła, lekki wiatr chłodził moje rozpalone policzki. Z ulgą zdjęłam buty i stałam boso na skrawku trawnika, nieco z boku od wejścia. Rozkoszowałam się chwilą samotności i rozważałam najlepsze sposoby na szybką ucieczkę z towarzystwa.

– Dobry wieczór – usłyszałam za plecami.

Odwróciłam się. Przede mną stał niewysoki mężczyzna, za nim zaś, przy wejściu diablica Irminka dawała mi znaki, że to właśnie ten.

– Dobry wieczór – odpowiedziałam, spoglądając znów na mężczyznę, a on obejrzał się za siebie. Irminka zdążyła się już jednak schować. Nie wiem, na jakiej podstawie go wybrała. Był przeciętnie ubrany, o twarzy jak tysiące innych, przeciętnie inteligentny i trochę zabawny. Zakłopotany i niezręczny, ale miły. Taki normalny facet.

– Dobrze się bawisz? – zagadnął banalnie.

– Odkąd już nie śpiewam i nie łąduję w talerzach, to jest całkiem nieźle.

– Miałaś swoje pięć minut.

– O tak!

– Kajtek jestem – przedstawiając się, wyciągnął do mnie rękę.

– Naprawdę? – zdziwiłam się głupio.

Jego dłoń była ciepła i trochę spocona.

– Kajetan – poprawił się, ale nie pomogło, bo w głowie miałam już idiotyczną rymowaną z przedszkola na temat Kajtka, i w ten sposób wszelkie decyzje ze strony Irminy dotyczące ulokowania przeze mnie uczuć w tym mężczyźnie straciły rację bytu. Ale rozmawiało się dość miło, nie był krzykliwy i nie rechotał jak Hiszpanie. Był też otwarcie zainteresowany moją osobą.

– Jestem tu na wakacjach u cioci – podtrzymywał rozmowę.

– A ja tu mieszkam niedaleko.

– Sama?

– Z kotem i psem.

– I co tu robisz?

– Pracuję w hotelu – odparłam oględnie.

– Ja kończę studia w tym roku, a na razie pracuję w sklepie.

Nawet doświadczenia zawodowe mieliśmy podobne, więc nic dziwnego, że zwyczajna rozmowa zakończyła się jego prośbą o mój numer telefonu. Proponował, że nas odwiedzie, ale nie chciałam wystawiać go na pastwę Patrycji. Nie znosiła zwyczajnych i nieśmiałych facetów, a oni bali się jej panicznie.

– I bardzo dobrze, że jest zwyczajny! Poza tym wgąpiał się w ciebie cały wieczór, i to zanim w widowiskowy sposób zwróciłaś na siebie uwagę wszystkich osób zebranych na sali – broniła następnego dnia swojego wyboru Irmina.

– Lepiej weź Hiszpana, przeżyjesz niezapomnianą przygodę – diabelskim szeptem kusila Patrycja.

– A może skończmy już ten eksperyment? Poznałam go i się nie zakochałam. Same widzicie, że to nie działa.

– O nie, nie wykręcisz się! – zaprotestowały chórem.

– Będziesz się z nim spotykać, dopóki nie wyjedzie. – Irmina znów była niezwykle stanowcza.

– Jakie to spontaniczne! Gdyby o tym wszystkim wiedział, na pewno by się ucieszył – wzięłam w obronę Kajtka, który swoją nieporadnością i zwyczajnością budził we mnie mieszankę litości i matczynych uczuć.

– Tym razem nie chodzi tu niestety o niego, tylko o ciebie – pouczyła mnie Kasia.

– Właśnie, i musi się chłopak poświęcić dla dobra sprawy – ostatecznie zakończyła dyskusję Malwina.

Po południu kurier przywiózł kwiaty. Patrycja przyniosła mi je z podejrzeniem niewinnej miny. Na dołączonym liściku napisane było: „Piękny kwiaty dla piękny kobieta”, a ofiarodawcą okazał się Alfredo. Swoje imię napisał w środku wielkiego serca przebitego strzałą.

– Widzicie, już się rozpoczęły starania o rękę naszej królowy – triumfowała Malwina.

Kajtek się spóźnił ze swoim kolejnym krokiem w podtrzymywaniu znajomości, bo zadzwonił dopiero następnego wieczoru i zaproponował zwyczajne spotkanie na kawę. W związku z tym wiele stracił w oczach dziewczyn.

– Mówiłam, żebyś brała Hiszpana, zaprosiłby cię na korridę! – Patrycja zanurzyła nos w upojnie pachnących różowych liliach. Kasia malowała mi paznokcie na czerwono, a Malwina prostowała włosy. Irmina przyniosła w tym czasie ubranie, jakie wybrała dla mnie na spotkanie z Kajtkiem.

– Chyba sobie żartujesz? – Dwoma palcami uniosłam do góry cieniutką, krótką sukienkę, którą można było spokojnie złożyć do rozmiarów chusteczki do nosa i schować do kieszeni.

– A wyglądam? – Irmina wzięła się pod boki.

– Mogę iść na to spotkanie, ale daj mi normalne ubranie!

– To nie jest spotkanie, tylko randka, i tak właśnie kobiety się na takie wyjścia ubierają

– tłumaczyła mi Irmina cierpliwie, jak krnąbrnemu dziecku.

– Chciałaś powiedzieć rozbierają! Zimno mi będzie.

– To Kajetan utuli cię w ramionach – obiecała Patrycja, przynosząc mi parę sandałów na koturnie.

– Wiecie co? Mam już tego dość – wkurzyłam się – tego przebierania się i tego, że nie mam na nic wpływu, nawet na to, kto dostanie mój adres i numer telefonu.

– Tak, dawno zauważyliśmy, że masz za dużą potrzebę kontrolowania wszystkiego.

– Malwina nie przejęła się moim wybuchem.

– Musisz trochę wyluzować – doradziła Kasia.

– Nie dasz rady zaplanować wszystkiego w życiu. – Irmina uspokajająco klepała mnie po

ramieniu.

– Pozwól samej sobie poznać swoją drugą, szaloną stronę. Niech kobieta motyl, piękna i uwodzicielska, ma swoje pięć minut. – Patrycja płynnymi ruchami wachlowała mnie moimi podręcznikami do samorozwoju.

– Och, to jest jakiś sen wariata, to nie może być moje życie! – dramatyzowałam, ale nikt mnie nie słuchał.

Irmina machała sukienką przed oczami Patrycji, która wcieliła się w rolę byka. Malwina udawała, że umie śpiewać po hiszpańsku, a Kasia tańczyła, potrząsając bransoletkami i klaskając w dłonie. Podałam się i postanowiłam się dobrze bawić. Zresztą i tak nie miałam wyboru. Ostatecznie ubrana w sukienkę wielkości chustki do nosa, umalowana, balansująca na koturnach, wyruszyłam na spotkanie z Kajtkiem.

Kiedy odjechałam nieco od domu, zatrzymałam się i wyjęłam z bagażnika wąskie dżinsy, które miałam tam zawsze, razem z ciepłą bluzą, nauczona doświadczeniem, że się przydają w trakcie długich spacerów z Arnim. Wciągałam właśnie na siebie spodnie, z zadowoleniem stwierdzając, że sukienka świetnie służy za tunikę, kiedy zza zakrętu wyszedł pan Włodzimierz.

– A co to? Zapomniała się ubrać w domu?

Nie miałam ochoty na dyskusję.

– Nie, tylko w domu się nie mogłam zdecydować, co na siebie włożyć – odpowiedziałam celowo rozkapryszonym tonem.

– Widać, że problemów wielkich nie ma – skrzywił się pan Włodzimierz i zapalił papierosa.

– No, nie mam.

– A niech uważa, bo tu jeden taki obcy się kręcił i pytał, gdzie mieszka.

– O mnie? – Serce załomotało mi gwałtownie. Mikołaj tu był, szukał mnie nareszcie! Doczekałam się i moja bajka się właśnie zaczyna!

– Na koniu był?

– Co? Nie, samochodem – odpowiedział, patrząc na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Kiedy to było?

– Wczoraj, koło południa.

– I teraz mi pan mówi? Pokazał mu pan drogę?

– A po co? Co ma się tu jakiś dziwołag kręcić? Zresztą ja nie informacja – wzruszył ramionami.

Byłam wściekła! Zatrzasnęłam bagażnik i bez słowa wsiadłam do samochodu. Co za stary dziad głupi! Tu chodzi o moje szczęście, a on, złośliwy, nie chce nic pomóc, i jeszcze przeszkadza!

– Wygląda, że gospodarza szuka, skoro tak tu amanci ciągną – zakpił.

– A szukam – powiedziałam na odczepne i odjechałam.

W mojej głowie były tylko trzy słowa i jedna myśl: „Mikołaj tu był”, powtarzane w rytm zbyt głośnego bicia serca.

Kajtek już czekał w restauracji. Uśmiechnął się niepewnie na mój widok i wstał.

– Cześć – przywitałam się. – „Mikołaj tu był” – wystukało równocześnie moje serce.

– Cześć, czego się napijesz?

– Wezmę latte – odpowiedziałam ze słabym uśmiechem. – „Mikołaj mnie szuka!”

– wrzeszczał mocny głos w mojej głowie.

Kajtek dwoił się i troił, żeby podtrzymać rozmowę i zainteresować mnie opowieściami o znajomych z pracy oraz swoimi planami otwarcia sklepu z drogimi winami. Dostrzegałam, że miał niebieskoszare oczy – trochę jak Mikołaj, miłą barwę głosu, chociaż zupełnie inną niż

Mikołaj, i nawyk dodawania „się” do każdego czasownika – całkiem nie jak Mikołaj. Tego popołudnia było nas przy stoliku troje, i tylko ja o tym wiedziałam. Ale Kajtek musiał się czuć, jakby momentami był tam zupełnie sam, bo co chwila odpływałam, nie słyszałam tego, co mówił, i zadawałam kilka razy te same pytania, nadal nie wiedząc, co odpowiedział. Z tego wszystkiego w ekspresowym tempie zjadłam lody i szarlotkę, którą mi kupił, i poczułam, że należy mu się rekompensata, więc wielkim wysiłkiem zdołałam wykrzesać z siebie opowieści o tym, jak Arni i Bursztynek znaleźli się u mnie w domu oraz parę anegdot na temat remontowania starego domu i nawiązywania znajomości z mieszkańcami wioski. Był pod wrażeniem.

– Super! Ja bym chętnie zamieszkała w takim domu. Z ojcem remontowaliśmy nasz dom. Potrafię wszystko: murować, malować, układać panele, wykonywać wszelkie prace gospodarskie – wyliczał.

– „Wcale nie jak Mikołaj” – pomyślałam. – Jesteś idealnym kandydatem na męża – powiedziałam zupełnie bez sensu, a on uśmiechnął się i patrzył na mnie dziwnie. Żeby przerwać niezręczną ciszę, jaka zapadła po tych słowach, wyszłam do toalety. W mojej torebce zamruczał telefon. Patrycja pisała: „Wracaj do domu, przyjechali Hiszpanie, jest impreza!”. Nie miałam ochoty ani na imprezę, ani na powrót do rozmowy z Kajtkiem. Chciałam odzyskać święty spokój i zakończyć te idiotyczne maratony miłosne. Kajtek podjął jeszcze niezręczną próbę pocałowania mnie w policzek na pożegnanie. A ja, żeby uciszyć wyrzuty sumienia, że byłam taka nieobecna podczas naszego spotkania, zaprosiłam go na obiad na następny dzień. Irmina będzie zadowolona. Miałam też nadzieję, że pomoże mi gotować.

Do domu jechałam bardzo wolno, rozglądając się, czy gdzieś na poboczu nie stoi samochód z czekającym na mnie Mikołajem. Ale dostrzegłam tylko dwie sarny, które pierzchły na widok auta, i grzebiące w ziemi kury. Już pod domem rozważałam przez chwilę, żeby do niego zadzwonić. Wyszukałam nawet numer w telefonie. Wystarczyło tylko raz przycisnąć „zadzwoń”, żeby go usłyszeć i zapytać, czy mnie szukał. Zapatrzyłam się w niewyraźny zarys domu, majaczący w szarości letniego wieczoru. Trzy okna rozbłyskiwały światłami, słychać było muzykę i śmiechy. Arni szczechnął krótko i wspiał się na łapach do otwartego okna samochodu, zdziwiony, dlaczego nie wysiadam. Wrzuciłam telefon do torebki. „Jak Mikołaj będzie bardzo chciał mnie znaleźć, to znajdzie, mimo przeszkód” – powtórzyłam swoją mantrę.

Weszłam do domu. W kuchni panował nieład oraz silny zapach czosnku i cebuli. Alfredo grał na gitarze, Patrycja śpiewała, a wszyscy tańczyli jakieś tańce bez nazwy i kroków.

– Dzień dobry, piękna pani! – przywitał mnie okrzyk Alfredo.

– Witaj, Rito! – Machała do mnie Patrycja, ubrana w powłóczystą spódnice i wykonująca figury taneczne z wielką chustą.

– Lepiej się napij. – Podała mi kieliszek Irminka. Przyjęłam go z ulgą, jak spragniony wędrowiec szklanekę wody.

– Chłopaki zajechały z takim trąbieniem, że myślałyśmy, że to wesele jakieś wiejskie – oznajmiła mi Malwina, częstując mnie jednocześnie rulonikiem *fajitas* z czerwonym, gęstym mięsno-warzywnym nadzieniem.

– Wzięli taksówkę, bo jak jechali wcześniej sami, to nie mogli trafić, a jakiś facet im powiedział, że tu taka jak ty nie mieszka, uwierzysz? – Patrycja pukała się w czoło.

– Szukali mnie i nie mogli trafić? – upewniałam się.

– No!

– Ktoś im powiedział, że tu nie mieszkam? – zapytałam słabym głosem i nadzieją, że to był Mikołaj, runęła z łoskotem ton wielkich kamieni, które tocząc się, zmiażdżyły we mnie wszystko w środku. Opadałam bez sił na podłogę nie dostrzegając nawet kapiących na moją

sukienkę kropel gęstego, czerwonego sosu.

– Nie przejmuj się tak. Może jeszcze nie wszyscy cię tu znają – pocieszała mnie Kasia.

– Na zdrowie! – wznosił toast Alfredo, z szerokim, głupekowatym uśmiechem podając mi drugi kieliszek. Przyjęłam go i wypięłam do dna.

– „Mikołaj mnie nie szukał” – płakało cicho serce.

Impreza trwała prawie do rana, kiedy to wepchnęłam do taksówki Alfredo, nadstawiającego się do całusa, i zamknęłam za Hiszpanami drzwi na klucz. Wyrzęłam jeszcze przez okno, żeby się upewnić, że odjechali. Arni cicho zawarczał.

– Mądry pies. – Poglękałam go czule.

Przez resztę czasu, jaka pozostała do świtu, wierciłam się na łóżku, a kiedy na chwilę zasnęłam, męczyły mnie sny, w których biegłam przez ciemny las i sama nie wiem, czy uciekałam, czy kogoś goniłam. Gdy się obudziłam, usłyszałam, że Bursztynek miauczy w korytarzu, więc wpuściłam go do sypialni. Chciałam go przytulić i pomruczeć z nim, ale wyslizgnął się z moich objęć w bojowym nastroju i zaczął dzikie harce. Skakał mi po głowie, rzucał się z ukrycia na doniczki z kwiatkami i czał się na wielki palec mojej stopy. Krótki sen szybko rozplęnął się w świetle słońca, wstałam więc i poczłapałam do kuchni. Czułam piasek pod powiekami. Wypięłam kawę, pozmywałam, podlałam kwiatki, a na koniec nakarmiłam psa i kota. W domu nadal panowała cisza, dziewczyny spały. Sprawdziłam skrzynkę mejlową, wygoglowałam „proste dania obiadowe” i wybrawszy zupę marchewkową z kolendrą oraz pieczarkową lazanią, a na deser sernik na zimno, postanowiłam jechać na zakupy. W końcu dziś przychodzi Kajtek na obiad. Mikołaj mnie nie szukał, więc postaram się dla Kajtka. Może dziewczyny mają rację i powinnam spróbować z kimś innym?

– Przez żołądek do serca, zakocham się, czary-mary! – mruzczałam do siebie, sprawnie wybierając w sklepie produkty. Potem obładowana wróciłam do domu. W drzwiach minęłam się z Malwiną, która zasnęła i z resztkami wczorajszego makijażu spieszyła się do pracy. Wydrukowałam swoje przepisy, wygoniłam psa i kota do ogrodu, założyłam fartuch i z zapalem przystąpiłam do pracy. Obiecałam sobie, że to będzie wspaniały obiad! Z zupą, do której nie skąpiłam ziół wyhodowanych na tarasie, poszło mi świetnie. Potem podbudowana, z nadzieją na kolejny sukces kulinarny, przystąpiłam do lazania. Kupiłam gotowe ciasto, więc danie musiało się udać. Farsz z pieczarek był dziecinnie prosty, i tak po pół godzinie lazania stała w piekarniku. Szło mi jak z płatka. Następny był deser – istna zabawa dla przedszkolaków. Gdy skończyłam serniczek i wstawiłam go do lodówki, zrobiłam jeszcze szarlotkę dla przyjaciółek. Kruche ciasto wykonałam z zapalem i wielką starannością, przestrzegając zalecanych proporcji. Następnie włożyłam je do gorącego piekarnika, gdzie grzało się razem z lazanią. Była godzina jedenasta, kiedy zajęłam się obieraniem jabłek. Wkrótce po całym domu rozchodziły się aromaty kolendry, jabłek z cynamonem i pieczarek. To wreszcie obudziło dziewczyny.

– Co tak pięknie pachnie? – Irmina wetknęła głowę do kuchni.

– Obiad i deser dla was.

– Już zrobiłaś? Na śniadanie? – zainteresowała się wchodząca za nią Patrycja.

– Chciałam mieć gotowe wcześniej, jakby mi coś nie wyszło. Kajtek dziś przychodzi.

– Aj low ju, Kajtek, aj low ju, aj low juuu! – Patrycja tanecznym krokiem posuwała się w stronę łazienki.

– No, ale chyba się udało. – Kasia zaględała do piekarnika.

– I dasz mu odgrzewane kotlety? – chciała wiedzieć Patrycja.

– Nie kotlety, tylko lazania! – oznajmiła jej Irmina.

Zaparzyłam kawę i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku usiadłam z dziewczynami przy kuchennym stole.

– Skąd u ciebie taki zapał do przygotowywania dań dla Kajtka? – Irmina była podejrzliwa.

– Postanowiłam dać mu szansę.

– Żeby tylko wiedział, co z nią zrobić – zakpiła Patrycja.

– Proszę cię! – strofowałam ją.

– To musisz mieć chatę wolną na taką randkę, jakby co... – zamyśliła się Irmina nad kanapką z białym serem i pomidorem.

– Ja wychodzę z Błażejem, nie będę przeszkadzać rodzącemu się uczuciu. – Patrycja skubnęła sałaty, dopiła kawę i szykowała się do wyjścia.

– To ja cię, Irminko, zapraszam do siebie – zaproponowała Kasia.

– Super, przygotuję tylko strój dla Rity.

– Musisz?

– Muszę! – krzyknęła już z mojej sypialni i po chwili weszła do kuchni, niosąc przed sobą na wieszaku moją ulubioną czarną sukienkę.

– Dlaczego ta? – zapytałam Irminę i dotknęłam delikatnego materiału.

– Sama mówiłaś, że chcesz się postarać. – Powiesiła sukienkę na oparciu fotela.

Nic im nie powiedziałam, ale miałam głębokie przeświadczenie, że Kajtek nie był tej sukienki godzien. To w niej byłam na pierwszej randce z Mikołajem we włoskiej restauracji, więc włożenie jej na spotkanie z innym mężczyzną byłoby zdradą.

Dziewczyny zjadły późne śniadanie i po kawalku ciepłej jeszcze szarlotki, pomogły mi nieco ogarnąć w domu po wczorajszej imprezie i pojechały. Kiedy zostałam sama, stanęłam przed lustrem, patrząc na czarną sukienkę. Zamknęłam na chwilę oczy, chciałam poczuć to podekscytowanie, które towarzyszyło mojej pierwszej randce z Mikołajem. Teraz jednak nie wróciło. Przełamałam opór związany z głupimi wspomnieniami i przebrałam się. Czas odczarować tę sukienkę! Potem usiadłam w fotelu i zapatrzyłam się przed siebie, a raczej w siebie. Po chwili mój telefon zawibrował, zamrugał i wytrącił mnie z tego dziwnego stanu, gdzieś pomiędzy rzeczywistością a wspomnieniami. Przygrzewana lazania mocno już pachniała, więc wyłączyłam piekarnik, a później spróbowałam jeszcze zupy – była pyszna. Ale gdy przeczytałam wiadomość na wyświetlaczu telefonu, otwarłam usta ze zdumienia. To był Kajtek. Pisał, że nie przyjdzie, bo mu coś wypadło. Wściekłam się. To ja tu w uroczystej sukience, gotuję od samego rana, a on ma inne plany?! Bez namysłu wybrałam jego numer.

– Cześć, Rita – usłyszałam zaskoczony głos Kajtka.

– Cześć, Kajtek, dostałam twojego SMS-a.

– Wiesz, tak głupio wyszło, ale nie mogę się z tobą już spotykać – zaczął z ociąganiem.

– Tak? – zdziwiłam się grzecznie i chłodno. – A to dlaczego?!

– Chyba do siebie nie pasujemy, ciężko nam się rozmawia.

– I to odkryłeś już po dwóch rozmowach?! – byłam oburzona, bliska rozkazania mu, że ma przyjechać.

– No, poznałem też dziewczynę...

Zatkało mnie zupełnie, a on mówił dalej:

– Właściwie to już wcześniej ją poznałem, ale nam nie wychodziło, a teraz się okazało inaczej. Ona jest taka przymilna, jak małe zwierzątko – zaśmiał się nerwowo, mówiąc ostatnie słowa.

– Jest jaka?

– No, fajna taka.

– Zrobiłam cały obiad, a nigdy nie gotuję... – nie wiem, po co to powiedziałam.

– Fajnie, ale nie dam rady, wyjeżdżam dzisiaj.

– Aha – poddałam się wreszcie. – To miłego życia życzę, a skoro twoja nowa dziewczyna jest zwierzątkiem, to jest nadzieja, że raz w roku w Wigilię sobie pogadacie! – rzuciłam ze złością i się rozłączyłam.

Kipiałam oburzeniem do momentu, kiedy dotarło do mnie, jak idiotyczna była cała ta sytuacja. To nie mogło się dobrze skończyć, źle się zaczęło, z niewłaściwych powodów i w niedobrym momencie. Głupio uwierzyłam, że da się posztukować, sklecić zaangażowanie, a co gorsza, to w ogóle nie wiedziałam, po co mi ono było. A może znów przeoczyłam wielką miłość i powinnam zawalczyć? Czułam się całkiem zamotana. Zadzwoiłam do Irminy. Pół godziny później zapukała do moich drzwi z Kasią i Malwiną.

– Czy to się liczy jako złamane serce, skoro nawet nie zdążyłam się jeszcze zakochać?
– chciałam dowiedzieć się od nich, zanim wpuściłam je do środka.

– Zwariowałaś? Zrobiłaś gościowi awanturę, bo odwołał randkę, i mówisz o złamanym sercu – prychnęła Malwina.

– Złajałaś go jak małego chłopca, będzie cię wspominał jako swój najgorszy koszmar
– dodała na potwierdzenie Kasia.

– Skasowałam już jego numer, żeby wymazać jego istnienie i swoje idiotyczne zachowanie – przyznałam się.

Irmina przytuliła mnie tylko.

– Przepraszam – wyszeptala mi do ucha, a potem wiedzioną chyba poczuciem winy, zanim ktokolwiek zdążył temu zapobiec, weszła do domu i szybko na jednym oddechu wyznała:

– Piorun nie zakończył działalności, naszym kolejnym zadaniem było przywrócenie cię na rynek singli!

– Co?

– I pomoc w znalezieniu nowego mężczyzny – dodała Malwina, prześlizgując się do kuchni i łapiąc za czajnik.

Zdanie po zdaniu i dowiedziałam się, że dziewczyny wysłały do mnie Irminę na urlop, bo sądziły, że jej nie będę o nic podejrzawać, a kiedy mi się zwierzy, że sama szuka chłopaka, to ja z nią, jako dobra przyjaciółka, zacznę wychodzić. Ale potem nadarzyła się okazja z moją deklaracją o oddaniu Irminie decyzji co do mojego życia miłosnego i postanowiły to wykorzystać.

– No i wtedy zaczął się rozłam w Piorunie. Patrycja uważała, że potrzebna ci jest głównie dobra zabawa w ramionach Hiszpana, skoro się już tak szczęśliwie napatoczył ze swoim talerzem w odpowiednim miejscu i czasie – tłumaczyła Kasia, głaszcząc mnie po głowie.

– A ja sądziłam, że potrzebny ci rozsądny facet, który ma poukładane w głowie, żebyś się mogła zaangażować na nowo – ze skrucą wyznała Irmina.

– To może wy tego potrzebujecie?! Ja was potrzebuję, wariatki, nie żadnego faceta! Ani śmierzącego cebulą, z idiotyczną gitarą, ani gospodarza szukającego dobrej partii i zwierząt hodowlanych. – Otoczyłam je ramionami i wyznałam już wszystko: – Bo ja myślałam, że to Mikołaj tu był, a okazało się, że to nie on, i stąd to gotowanie!

– No to nie liczy się jako serce złamane przez Kajtkę, ale definitywnie wciąż złamane przez Mikołaja – dobitnie stwierdziła Malwina.

Opowiedziałam im rozmowę z panem Włodzimierzem.

– Swoją drogą to nie sądziłam, że on tak o ciebie dba – zauważyła Irmina.

– Cóż z tego, i tak tylko Alfredo mnie szukał. – Wzruszyłam ramionami z rezygnacją.

– A jego na pewno nie chcesz? – upewniła się Kasia.

Irmina kopnęła ją w kostkę.

– No co, tylko pytam, może się okaże, że Patrycja miała rację?

– Nie okaże się! – ucięłam dyskusję.
– Musisz się skupić na tym, czym zajmowałaś się do tej pory, dobrze ci to robi. – Irmina wiedziała, kiedy przestać.

– Muszę – zgodziłam się.

Potem obiecały mi, że działania Pioruna wobec mnie zostają oficjalnie zaniechane.

Zjadłyśmy razem obiad i dołączył do nas pan Włodzimierz, który nawet nie wiedział, że częstując go lazanią i pomidorową, wspaniałomyślnie wybaczam mu wszystko. A potem nastąpił wieczór polskiej poezji śpiewanej i grała harmonijka, obiecując mi:

*Posłuchaj, porzucona przezeń,
Nieznaną mi przyjaciółko:
W rozpacz swojej
Nie wychodź na balkon, nie wychodź,
Do bruku z góry nie przychodź, nie przychodź,
Na smugę cienia nie wbiegaj,
Zaczekaj, trochę zaczekaj!*

*Przysięgam wam, że płynie czas!
że płynie czas i zabija rany!
Przysięgam wam, przysięgam wam,
Przysięgam wam, że płynie czas!
Że zabija rany – przysięgam wam!*

*Tylko dajcie mu czas,
Dajcie czasowi czas(...)*

Niespodziewanie sprawą, która zmusiła mnie do skoncentrowania się na tym, co robiłam do tej pory, a nie rozważaniach na temat miłości, okazały się mrówki. Kiedy kilka dni później pan Włodzimierz próbował zamontować nowe półki w miejscu starego regału w kuchni, okazało się, że właściwie nie ma ich do czego przymocować, ponieważ drewno kruszy się i sypie. Z ciekawości zaczęliśmy stukać i pukać w ścianę, żeby zobaczyć, jak bardzo jest uszkodzona. Ku memu przerażeniu tynk odpadał białymi płatami, kuchnię pokrywał drobny pył, a z powiększającej się szybko dziury w ścianie nagle zaczęły wybiegać i wylatywać stada mrówek. Owady podejmowały przy tym szaleńcze i chaotyczne dla obserwatora działania, żeby odbudować swój dom, który założyły w moim domu, a konkretnie drażąc korytarze w drewnianej ścianie! Po godzinie kuchnia przedstawiała obraz nędzy i rozpacz, mrówki rozlażyły się po podłodze, a ja miałam obłęd w oczach. Zgodnie z zaleceniami pana Włodzimierza na wyrwę w ścianie sypałam popiół, który miał mrówki odstraszać. Tymczasem mój sąsiad po dokonanej akcji demolki spokojnie oddalił się do swojego domu. Cóż miałam robić, musiałam się bronić! W sklepie kupiłam niezawodny spray i proszek na mrówki, posypałam i spryskałam dokładnie ścianę, a potem zamknęliśmy się z Arnim i kotem w sypialni aż do rana. Na drugi dzień odkurzyłam leżące na podłodze martwe owady i wyglądało na to, że te, które przeżyły, wyniosły się. Usunęłam gruz i pył, pościierałam kurze i zmyłam podłogę. Było czysto i bez mrówek, ale w ścianie widniała mało efektowna dziura. Może ją tak zostawić? Zadomowiłam się, uwiłam sobie gniazdko i nie uśmiechała mi się myśl o kręcących się tu budowlańcach. Jednak prawdą było, że ta ściana to nie była jedyna usterka. Cały dom wymagał remontu. To, że posprzątałam i wyrzuciłam zalegające w nim graty, uwidocznili tylko bolesną prawdę, że ściany nadają się do

malowania, a instalacja elektryczna jest do wymiany. Także głośne nocą skrobanie korników w oknach nie dawało się dłużej ignorować. Nadeszła pora uznać fakt, że muszę na to znaleźć pieniądze. A ja nigdy nie byłam dobra w ich pomnażaniu, oszczędzaniu ich ani zarządzaniu nimi.

Patrycja zadzwoniła, jakby wyczuła mój zły nastrój.

– Co jest? – zareagowała na mój grobowy ton głosu.

– Nie mam kasy.

– Pożyczę ci.

– Nie o to chodzi! Problem w tym, że nie zarabiam kasy i nie mam poczucia bezpieczeństwa finansowego, a w dodatku dom się wali.

– To opowiem ci bajkę.

– Dobra, na pewno zmieni to moją sytuację finansową.

– Och, zamknij się i słuchaj, co dziś przeczytałam – zarządziła, a potem zaczęła czytać:

– „Był sobie kiedyś szach perski, któremu na łożu śmierci poradzono – jako jedyny ratunek przed odejściem z tego świata – włożenie koszuli po szczęśliwym człowieku. Aby ją znaleźć, rozbiegli się wysłannicy po całym państwie, ale na próżno szukali jej w pałacach książęcych i w chatach wieśniaczych, aż nareszcie odkryli bardzo szczęśliwego pasterza, ale ten niestety... nie miał koszuli!”.

– No i jaki z tego wniosek? – nie za bardzo mogłam się skoncentrować na opowieści, pochłonięta martwieniem się o pieniądze.

– Twoje szczęście nie może zależeć od tego, co masz lub czego nie masz. Drzwi w łazience też długo nie miałaś.

– Tak, a teraz dla odmiany nie mam kawałka ściany. Masz rację, dam radę! – rzuciłam rozgoryczona

– Jasne, a potem unia przyjdzie z pomocą i rozkręcisz biznes.

– Tak, ale to jeszcze trochę potrwa... – miałam ochotę ponarzekać.

– Najważniejsze, że nie kapie ci na głowę i masz cudownych ludzi wokół – ucięła mądrze Patrycja. – Meg świetnie sobie radzi, wiesz? – zmieniła temat.

– Super, bardzo się cieszę – starałam się wykrzesać z siebie entuzjazm.

– Chodzi na spotkania grupy wsparcia i ma zamiar kontynuować tu studia. To już inna dziewczyna. Ty też dasz radę i coś wymyślisz.

– Wiem, wiem – odparłam dla świętego spokoju.

Mimo lenistwa i drzemającego we mnie poczucia, że nic się nie da zrobić, musiałam wymyślić coś, co pozwoli mi przetrwać lato i zacząć niezbędny remont domu. Bezmyślnie przeszukiwałam Internet, poczytałam o problemach biur podróży i sprawdziłam pocztę. Na czym ja jeszcze mogę tu zarabiać? Za co ludzie chcą płacić? Przecież nie będę sprzedawać świeżego powietrza w butelkach ani wody ze studni w foliowych woreczkach na targu! Kto wynająłby u mnie pokój na dłużej? Nie mam co liczyć na złamane serca, bo ostatnio wokół były tylko szczęśliwie zakochane kobiety. Błażej i Patrycja dzielnie pokonywali kilometry, żeby się spotkać, a ich związek rozkwitał i umacniał się, mimo jej szaleństw i jego napiętego do granic możliwości grafiku w pracy. Malwina i strażak, jak zaczarowani swoją miłością, planowali już ślub. Byłam zbyt skuteczna w swoich działaniach, a za mało skuteczna w wymyślaniu nowych sposobów zarabiania pieniędzy. Najbardziej chciałam oddawać się twórczej pasji oraz pielęgnacji ogrodu, w ciszy i spokoju. Najmniej chciałam robić z tego miejsca agroturystykę. Tymczasem sezon wakacyjny był wyjątkową okazją do takiego właśnie szybkiego zarobienia pieniędzy. Wreszcie pokonując niechęć, dałam ogłoszenie, że wynajmę dwa pokoje rodzinie. Trzeba się poświęcić dla większej sprawy! Umieściłam zdjęcia sielskiego otoczenia, zachęcające do kontaktu z naturą i wakacyjnego odpoczynku, i czekałam.

Po tygodniu, w przeraźliwie upalną środę, kiedy podniesienie choćby najmniejszego palca powodowało oblewanie się potem, przybyli zapowiedziani goście, a ja znowu dostałam dokładnie to, czego najbardziej nie chciałam. Rodzina z dwojgiem dzieci – oni po czterdziestce, nastolatka i dziecko szczęścia z ostatniej klasy szkoły podstawowej – zajeżdżała pod dom lśniącym czerwonym volkswagenem kombi. Elegancka pani w kostiumie i milczący mężczyzna wysiedli pierwsi. Błada, chuda i ubrana na czarno dziewczyna najwyraźniej chciała spędzić cały wyjazd wakacyjny z rodzicami w samochodzie, bo ani drgnęła, kiedy się zatrzymali. Młodsza córka, odgrywająca rolę rodzinnego aniołka, wyturlała się z auta pośpiesznie, czym wywołała wielką radość swojej mamy, która biła jej brawo nawet wtedy, kiedy dziewczynka tylko nabierała powietrza w płuca, oddychając. Kot, który wzbudził u młodszej latorośli szal radości, schował się przed nią pod szafę, Arni nawet nie wstał, a ja zaczęłam pełnić obowiązki gospodyni. Pokazałam pokoje i zaproponowałam zimny sok, później oprowadziłam po ogrodzie, a następnie uzgodniliśmy, że będą jeść u mnie śniadania i kolacje. Przekazałam im przygotowane wcześniej mapy okolicy i opis lokalnych atrakcji turystycznych. Mężczyzna zajął się mapami, przelotnie zainteresował się piecem, na czym oczywiście się znał, a potem już do końca pobytu tylko jadł, spał, klikał na swoim telefonie i prowadził rozmowy biznesowe. Jego żona była bardziej towarzyska. Uwielbiała pogawędki. Za każdym razem, kiedy coś mówiła, gestykulowała obficie i brzęczała bransoletkami na przegubie, a jej włosy były codziennie tak starannie ufryzowane, że ani jeden nie drgnął i nie przesunął się z ustalonej rano pozycji. Żywo zainteresowała się pracownią.

– Pani tutaj to taką jakby terapię robi? – zapytała.

– No nie, ani terapię, ani jakby terapię, bo nie jestem psychologiem czy szamanką – odparłam z uśmiechem, częstując ją ciasteczkami i uważając, żeby podczas picia kawy z filiżanki nie odchyłać małego palca. Odstawiłam filiżankę na stolik i kontynuowałam: – Po prostu spotykamy się w gronie kobiet i dzielimy się swoimi myślami, doświadczeniem, marzeniami, czasem coś tworzymy.

– Aha, takie pogadanki? – skinęła głową ze zrozumieniem.

– Raczej dyskusje, każdy może się wypowiedzieć i uczymy się nawzajem od siebie. Staramy się jednocześnie nie pouczać i nie udzielać sobie rad.

– Naprawdę? Ja często udzielam rad koleżankom, bo wie pani, czasami ludzie to popełniają takie głupie błędy i potem trzeba im pomóc jakoś wrócić na słuszną drogę. Bardzo często mnie proszą o radę. Albo z dziećmi, na przykład, jak postępować. A wie pani – ożywiła się – bo moja córka to chce iść na psychologię.

– O, tak? – grzecznie wyraziłam zainteresowanie.

– Ona jest dopiero w piątej klasie – dodała.

– I takie ma już sprecyzowane zainteresowania? – teraz się już naprawdę zaciekałam.

– To znaczy, ja chcę, żeby poszła na studia. Ona chciałaby mieć teatr tańca, ale ja mówię jej, że musi iść na studia, a nie tak!

Pani oczekiwała chyba, że przyklasnę jej pomysłowi, więc zręcznie zmieniłam temat.

– Jutro koleżanka będzie prowadziła zajęcia z angielskiego na wesoło dla dzieci, może pani dopisać do grupy swoje córki. Nauka języków obcych bardzo rozwija twórcze myślenie – dodałam zachęcająco.

– O tak, bardzo proszę. One wyjątkowo lubią takie zajęcia dodatkowe, bo ja im ciągle powtarzam, że trzeba się rozwijać i uczyć nowych rzeczy.

– Aha, a pani sama na jakie zajęcia chodzi? – zapytałam słodko, patrząc na swoją uprzejmie uśmiechającą się rozmówczynię.

– Ja? – w jej głosie usłyszałam zdumienie. – A nie, ja to nie mam czasu, ale dzieci

naprawdę uwielbiają i tak się rozwijają!

Starsza siostra kandydatki na psychologa miała mroczne spojrzenie, kredowo bladą twarz i przez dwa tygodnie pobytu nie miałam okazji usłyszeć jej głosu. Leżała w hamaku i czytała książki albo surfowała po Internecie na swoim smartfonie. Jedyne odgłosy, jakie wydawała, pochodziły z jej fletu poprzecznego, na którym ćwiczyła wytrwale i ku mojej rozpaczy dwa razy po dwie godziny dziennie. Przy czym traktowała swoje ćwiczenia jako występy, grając w domu, kiedy wszyscy w nim przebywali, a w ogrodzie, kiedy reszta towarzystwa odpoczywała na zewnątrz. Jej matka była jednak tak skoncentrowana na młodszym geniuszu, że chyba wcale nie zdawała sobie sprawy, że starsza córka gra i próbuje się w ten sposób z nią komunikować. Bo oto młodsza ulepiła z gliny coś, jakby nieforemną gruszkę, upačkaną kolorowymi farbami, i okrzyknięta została artystką! Tylko ojciec czasami chwalił swoją starszą córkę, a ona wtedy wzruszała ramionami i spuszczała nisko głowę, tak że włosy szczelnie zakrywały jej bladą twarz.

Przygotowywałam im co rano śniadanie, zorganizowałam ognisko, przejażdżkę konną i udział w warsztatach wikliniarskich. Pod koniec ich pobytu byłam wyczerpana, ale trzeba przyznać, że moje finanse zostały podreperowane. Jak tylko wyjechali, obiecawszy polecić mnie znajomym, z miasteczka przyjechał murarz, który wyburzył zniszczoną ścianę i postawił nową, a potem okleił płytami kartonowo-gipsowymi i wymalował całą kuchnię. Z rozpedu pomalowałam też na lawendowy kolor sypialnię i humor mi się poprawił. Może to i nie jest zły pomysł z tymi turystami? Zaczęłam obliczać, kiedy mogłabym wymienić okna. A potem wydarzyło się coś, co znów zajęło mnie na kilka tygodni i oddaliło myśli o turystach i oknach.

Odkąd zaprzyjaźniłam się z Meg, stałam się jeszcze bardziej wrażliwa na oznaki złego traktowania kobiet. Kiedy pod koniec lipca Basia przyszła na spotkanie koła mocno przypudrowana, przyjrzałam się jej uważnie i byłam pewna, że miała na twarzy siniaka. Spojrzałam pytająco na Kaškę, a ona pokręciła głową i odwróciła wzrok. Męczyło mnie to przez całe spotkanie, ale nie odważyłam się zapytać Basi, a ona, sztucznie ożywiona, wybuchająca śmiechem i ciągle czymś zajęta, w końcu wyszła pierwsza. Chciałam naradzić się z Kašką, ale była pochłonięta dyskusją z zawstydzoną nagle panią Grażynką na temat możliwości sprzedaży wyszydełkowanych przez nią serwetek, czapeczek i małych aniołków, lub chociaż dzielenia się swoimi umiejętnościami z dziećmi w ramach zajęć. Pozostało mi dogonić Basię i zapytać wprost, co się stało. Nie chciałam stracić szansy, jak w przypadku Meg. Udało mi się ją zatrzymać, zanim odjechała. Siedziała już w samochodzie i odsunęła tylko bardziej szybko, kiedy do niej zamachałam.

– Co się stało? – zapytałam. – Masz pod okiem siniaka.

– A to? To nic – padła odpowiedź, której się spodziewałam, i nie wiedziałam, co powiedzieć dalej.

– To nie jest nic. Ktoś cię uderzył?

– Tak.

– Nikt nie powinien nikogo bić – zaczęłam.

Baška pokiwała głową, a potem wysiadła z samochodu, trzasnęła mocno drzwiami i ciężko oparła się o auto.

– Przywaliłam mężowi, a on mi oddał. – Dotknęła dłonią zsinienia.

Nie miałam na to dobrej odpowiedzi. Chciałam jej przyklasnąć, że słusznie zrobiła, ale dopiero co powiedziałam, że nikt nikogo nie powinien bić. Cholera!

– Wiem, że nie powinnam, ale tak mnie wkurzył – westchnęła ciężko.

– Ja myślałam, że on cię bije – przyznałam się.

– Aha, spróbowałby!

– Gdybym była nim, to bym nie próbowała – chciałam rozładować własne napięcie.

Popatrzyła na mnie smutno.

– Nie mam pojęcia, co zrobić. Mój mąż to pijak i wszyscy o tym we wsi wiedzą. Dzięki, że zapytałaś, co się stało. Wkurza mnie, jak ktoś udaje, że nie widzi. Tylko co, ja mam tak na dzień dobry wszystkim opowiadać, że się z mężem pobiłam?

– Chyba nie...

– No właśnie, a przyjdę tu, pogadam, trochę się oderwę i jakoś dam radę.

– Ale jego to nie zmieni i kiedyś znowu możesz mieć podbite oko, jak nie wytrzymasz.

Jeśli byś potrzebowała pomocy, noclegu, towarzystwa...

– Fajnie, będę pamiętać – przerwała mi.

– Bo wiesz, jak ciągle robisz to samo i nie działa, to trudno oczekiwać, że nastąpi poprawa. Ja musiałam wyjechać, żeby się zmienić. Ktoś mi kiedyś powiedział, że czasami trzeba odejść, żeby móc wrócić, i to chyba jest prawda.

– Może masz rację – zastanowiła się przez moment – ale teraz muszę już jechać, dzieci odebrać od babci. Do zobaczenia! – Pomachała mi na pożegnanie.

– Cześć.

Baśka odjechała, a ja stałam, wdychając zapach lipcowej nocy. Moja bezradność wobec niektórych problemów skutecznie pokonywała chęć pomagania innym. Bo co można zrobić, powiedzieć, doradzić, kiedy najbliższa osoba, z którą łączą dzieci, dom, kredyty, krzywdzi, niszczy siebie i związek, ale wcale tego nie widzi, wszystkiemu zaprzecza i ciągle się oddala? Pozostaje czekać na cud?

Tymczasem trwało lato tym wszystkim niewzruszone, a ja razem z nim, szukałam tylko cienia i ciszy. Dzień był rozciągnięty do granic możliwości, tak jak Bursztyn wyciągał się na słońcu, stając się najdłuższym kotem świata. Wylączałam w tych momentach rozum i włączałam wszystkie zmysły, żeby w bezruchu kontemplować ten moment, kiedy zastygają myśli, a wietrzyk buja się w hamaku.

Grupy dzieci, które pojawiały się cyklicznie w pracowni w ciągu roku szkolnego, i zaledwie jedna rodzina w hotelu podczas wakacji upewniły mnie w przekonaniu, że żadnych dodatkowych dzieci tu nie chcę. Wylączałam na zajęciach, pod opieką Kaśki, i to maksymalnie do piętnastej, a potem w moim ogrodzie i w domu ma panować cisza. Bo ją kocham najbardziej na świecie. Koniec, kropka.

Nie wiadomo, po co tak wyzywałam los na pojedynek. Chyba tylko po to, żeby utarł mi nosa i nakazał zmierzyć się z tym, co stanowczo odpycham. Bo siłę i dojrzałość buduje się, gdy mówi się „tak” rzeczom, osobom i zdarzeniom, a nie ucieka się w wąskie i ciasne – „nie”, „nigdy”, „za żadne skarby”.

Dzieci były Basi. Zadzwoiła do mnie pewnego wieczoru i zduszonym głosem zapytała, czy ona i trójka jej dzieci mogą się u mnie zatrzymać na dzień, może dwa. Pamiętając o naszej rozmowie i swojej obietnicy, o nic nie pytałam, tylko się zgodziłam. Po piętnastu minutach pod dom zajechał samochód, z którego wysiadła Basia, a po chwili zaczęły się wysypywać z niego kurtki przeciwdeszczowe, plecaczki, ulubione zabawki, niezbędne do spania misie i gry planszowe. Z impetem wytoczyła się piłka, para kaloszy i koło ratunkowe, a na koniec trzy dziewczynki. Znałam już Kornelkę, najstarszą z nich, która ku mojemu zdumieniu objęła mnie mocno ramionami w pasie i przytuliła się z całej siły. Obok Kornelki stanęły jej dwie młodsze siostry, jedna na oko cztero-, a druga trzyletnia, z policzkami umorusanymi czekoladą. Przez długą dla mnie chwilę obserwowały mnie dwie pary bardzo uważnych oczu – przestraszonych, ale i ciekawskich.

– Świetnie, że przyjechałyście mnie odwiedzić, dziewczyny. Chodźcie się przywitać z moim psem i kotem.

– Masz psa? Super! – zawołała Kornelka.

Zagwizdałam na Arniego i modliłam się, żeby polubił te dzieci. Przybiegł, kochany, z piłką w zębach, a dziewczynki z piskiem rzuciły się do głaskania, jak to wyseplenia najmłodsza – „slicnego piesecka”. Groźba dziecięcych łez chwilowo została oddalona.

Basia była rozedrgana i nieobecna. Trzęsącymi się dłońmi zapaliła papierosa.

– Dzisiaj zostanę na noc, ale jutro pojedę z moim do ośrodka. Postawiłam mu warunek, albo się leczy, albo wyprowadza. Strasznie się wkurzył i dlatego uciekłam z domu z dziewczynkami. Bałam się, że nam coś zrobi. Już nie mogę na niego patrzeć!

– I obiecał, że pojedzie?

– Nie, był kompletnie pijany. Jutro mu powiem jeszcze raz, że jedziemy.

Dziewczynki przebiegły obok nas z piskiem i tupotem, jak stado słońi. Arni miał na szyi kokardę i z tego, co zdążyłam podsłuchać, odgrywał rolę Czerwonego Kapturka.

– Jutro chcę też odwiedzić prawnika i dowiedzieć się wszystkiego na temat rozwodu w mojej sytuacji. Mam już dość jego i jego picia, i tego chaosu. Lepiej mi będzie samej z dziećmi, jeżeli on nie potrafi przestać pić! – starała się brzmieć stanowczo, ale wypowiedane słowa rozmywały łzy i drżał jej głos.

Dziewczynki zatrzymały się i patrzyły na nią z niepokojem, a ja już niemal słyszałam, jak głośno potrafią płakać. Postanowiłam działać!

– Dobra, dziewczyny, Arni zaprowadzi was do łazienki, trzeba się trochę umyć.

– Nie chcę się myć – powiedziała średnia z sióstr – chcę się bawić.

– I świetnie, ponieważ dziś będzie zabawa w łazience, która nazywa się UPM.

– My nie bawimy się nigdy w UPM – poważnym głosem stwierdziła najmłodsza dziewczynka.

– A co to jest UPM? – zainteresowała się Kornelka.

– Specjalna zabawa wieczorna dla dzieci, czyli Uproszczona Procedura Mycia. Trzeba się ustawić w szeregu i biec co sił do łazienki.

Zasady się dziewczynkom spodobały i z piskiem pognały do domu. Wpadły do łazienki, a ja zdyszana wbiegłam za nimi i odkręciłam kurek z ciepłą wodą.

– Stajemy w szeregu, liczymy do trzech, zdejmujemy spódniczki!

Ku mojemu zdumieniu robiły wszystko, co poleciłam.

– Wchodzimy do wanny. – Zakręciłam kurek z wodą i wyjęłam z szafki czysty ręcznik.

– Wszystkie trzy?

– Tak, i śpiewamy przy tym głośno, każda inną piosenkę!

– Super! – wykrzyknęły z euforią, jakbym im właśnie zaproponowała wycieczkę do Disneylandu, a potem do końca pobytu w łazience wlaź kotek na Zuzię lalkę niedużą i pod czerwonym grzybkim miały z krasnoludkami domek.

Kiedy dowiedziały się, że będą spać razem, i to na wielkim dmuchanym materacu, znów wybuchły salwy entuzjazmu. Cieszyłam się razem z nimi, bo ku memu zdumieniu towarzystwo dziewczynek ujawniło moje wewnętrzne dziecko, do tej pory skrzętnie ukryte, i w efekcie świetnie się z nimi bawiłam. Zanim ułożyły się do spania, dowiedziałam się, że mimo iż średnia siostra to Zosia, a najmłodsza ma na imię Marysia, to zdecydowanie wołałyby być nazywane Sophie i Mary. Dla mnie wymyśliły imię Margarita. Wreszcie ziewające, owinięte swoimi ulubionymi kocykami, przytulając niezbędne do spania maskotki: małpkę, zajaczkę i misia, zasłuchały się w bajkę o Bardzo Śpiącej Królownie, która zasypiała nawet, czyszcząc zęby i w sklepie stojąc w kolejce. Na koniec dostałam trzy słodkie buziaki i w domu zapanowała błoga cisza.

– Udało się, zajęłam się twoimi dziećmi i nie płakały! – mówiłam podekscytowana,

siadając obok Basi przy kuchennym stole.

– Zaimponowałaś mi, a teraz zajmij się mną, bo ja się zaraz rozplączę.

– Bardzo proszę, kochana, płacz z radości, bo wreszcie odważyłaś się na zmianę! A teraz przygotuję ci kolację!

Zaparzyłam w dzbanku zieloną herbatę, wyjęłam z lodówki sery, opłukałam winogrona i pomidory, obrałam ogórki, a następnie wysypałam na talerzyk sucharki, krakersy i orzechy. Potem włączyłam cicho ulubioną stację radiową i zapaliłam świece zapachowe. Basia obserwowała mnie w milczeniu. Wreszcie znów usiadłam naprzeciwko niej.

– Wiesz, że to nie wystarczy – powiedziała z powątpiewaniem.

– To pomaga głównie mnie samej, jak nie wiem, co mam powiedzieć i zrobić, a poza tym od razu jest przytulniej.

– Przynajmniej się do tego przyznajesz, tylko co ze mną dalej będzie? Czy dobrze robię? I z czego mam się cieszyć? – Wzruszyła ramionami. – Tułam się po obcych, ludzie gadają, dzieci będą półsieroty skrzywione psychicznie!

– Dzieci jak na razie się świetnie bawią, więc się nie skrzywią tutaj bardziej, niż patrząc na wyczyny swojego ojca alkoholika. – To wydawało mi się oczywiste.

– Może i masz rację.

– A na przyszłość, skoro nie chcesz się tułać, może warto coś zrobić, żeby to on musiał opuścić dom, jak nie wraca trzeźwy.

– No coś ty, to też jego dom. Zresztą nie potrafiłabym tak – oburzyła się.

– Nawet jeżeli to miałyby wam pomóc żyć w spokoju, a jemu otrząsnąć się i poczuć konsekwencje swoich zachowań? – zapytałam wprost.

Na jej twarzy odmalowało się niedowierzanie, ale i zaciekawienie.

– Skąd wiesz, że tak by było?

– Miałyby szansę, żeby tak było, a jak na razie ma świetne warunki, żeby pić i o nic się nie martwić.

Baśka otwierała szeroko oczy i zaczęła łapczywie jeść winogrona, a potem nakładać sobie na talerzyk po trochu wszystkiego, co przygotowałam.

– No to przecież ja się staram i od lat robię wszystko, czego chce, żeby nie miał powodu pić, a on i tak zawsze jakiś powód znajdzie! – odpowiedziała, gestykulując tak gwałtownie, aż plasterek pomidora z jej widelca wylądował na ścianie.

– Robisz za dużo za niego! To on ma się starać nie pić, nie ty! Nawet do lekarza zostanie zawieszony, i co, każesz mu zostać, bo jak nie, to co? Znów go walniesz?

– Jak mnie wkurzy, to walnę! A skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała.

– Trochę czytałam o tym, bo chciałam kiedyś zająć się pomaganiem. Zobacz, znalazłam w Internecie najbliższe grupy AA i takie dla rodzin osób uzależnionych.

– On na pewno nigdzie nie pójdzie – stwierdziła, kręcąc gwałtownie głową.

– To ty idź! Nie czekaj na niego. Tam się dowiesz, jak postępować, żeby jego uzależnienie nie niszczyło ciebie. Podobno to bardzo pomaga, jak jest się w grupie i można usłyszeć od innych o ich doświadczeniach.

– Takie tam gadanie, a potem trzeba i tak do domu wrócić – powiedziała, machając niecierpliwie ręką.

– I kto to mówi? Przecież to samo robimy w pracowni, a angażujesz się i przyznałaś, że ci to pomaga.

– No, racja...

– Ja bym bez tego waszego gadania nie dała rady tutaj sama. Może czas zawalczyć trochę i wziąć byka za rogi? Ja ci nie doradzę za wiele, ale oferuję swój dom, siebie jako nianię oraz

adresy i numery telefonów – mówiąc to, podałam jej zadrukowaną kartkę.

– Dzięki, to dla mnie dużo znaczy.

– A wiesz, że dla mnie też? – Uśmiechnęłam się do niej i przez moment żadna z nas nie czuła się słaba ani bezradna. Zrobiliśmy maleńki krok w kierunku zmiany, a ja oficjalnie i po raz pierwszy w życiu stałam się opiekunką do dzieci. Skoro zachęcałam Basię do zmierzenia się z nieznanym, sama też musiałam to zrobić!

Następnego ranka, kiedy Basia odjechała, usta najmłodszej dziewczynki ułożyły się w podkówkę, a oczy napęłniły się łzami. Kornelka przytuliła ją i podała misia. Mała zaczęła ssać kciuk, a ja miałam ochotę zrobić to samo. Co innego położyć zmęczone dzieci spać, co innego zaś zajmować się nimi przez cały dzień!

– Kto ma ochotę jechać na plac zabaw i na lody? – spróbowałam rozpaczliwie.

– Lody, lody! – entuzjazm dziewczynek był natychmiastowy, a Marysia już wycierała z policzków łzy. Przykucnęłam i wzięłam ją na ręce. Od razu objęła mnie mocno za szyję.

– To ubierzemy się i pojedziemy do miasteczka.

– A pies pojedzie z nami? – chciała wiedzieć Zosia, której oczy były suche, ale minę miała wciąż niepewną.

– Oczywiście, on też uwielbia lody. Jak nikt nie widzi, zakrada się do lodówki i nakłada sobie wielką porcję na miskę.

– Naprawdę? – niedowierzała mi Zosia.

– Jasne!

– A łyżeczką? – zainteresowała się.

– Wielką łyżką do zupy, malej przecież nie utrzymałby w łapie – poważnie oświadczyła Kornelka i podskakując co kilka kroków, już kierowała się do wyjścia.

Gdybym jechała na lody sama, byłabym gotowa w pięć minut. Z dziewczynkami zajęło mi to godzinę. Wszystkie musiały pójść do toalety i wyszczotkować zęby. Po umywalce chodził maleńki pajak, który skutecznie je odstraszył, i ostatecznie zęby czyściły przy kuchennym zlewozmywaku. Na szczęście dały się przekonać do załatwienia się w toalecie, pod warunkiem, że będę stała i pilnowała, czy pajak się nie skrada. Potem musiałam zapleść sześć warkoczy, gładko zaczesując włosy nad czołem, jakiegokolwiek nierówności dziewczynki uznawały bowiem za niedopuszczalne. Wreszcie trzeba było nasmarować kremem z filtrem trzy buzie, sześć ramion i przedramion, dwie nogi (Kornelki), dwie chodzanki (Zosi) i dwie stojanki (Marysi, bo ona nie lubi jeszcze chodzić i nogi ma do stania). Dłuższą chwilę zajęło nam odnalezienie w stercie bagaży paru drobiazgów niezbędnych dziewczynkom do wyjścia z domu: torebki Kornelki, w której miała swoją pomadkę, okularów przeciwsłonecznych Zosi i zegarka Marysi. Ja sama wyszłam w podkoszulku, w którym spałam, i starych rybaczkach, przecesałam włosy ręką, jednocześnie myjąc zęby, a w ostatniej chwili zgarnęłam do torebki maść na ukąszenia, tabletki musujące dla alergików i kolorowe plastry. Jeszcze tylko dziesięć minut zwłoki na umieszczenie w aucie fotelików, zapięcie pasów i wytłumaczenie, dlaczego moje są inne niż w samochodzie taty (bo samochód jest z innego kraju), i wreszcie jechałyśmy do miasteczka.

Z dziewczynkami nie sposób było się nudzić. Śpiewały mi piosenki, mówiły wierszyki, zadawały zagadki i trudne pytania, na które oczekiwały natychmiastowej odpowiedzi. Na placu zabaw były wulkanem energii i nawet kiedy się zadrapały lub przewróciły, to nie płakały. A potem zadowolili się małymi lodami i znowu wróciłyśmy na plac zabaw. Siedziałam na ławce, w cieniu obok rozłożył się Arni i ciężko dyszał. Czułam, że panuję nad sytuacją, daję radę i zaczynam się odprężać. I wtedy...

– Margarita! Ciocia Margarita! – usłyszałam wołanie Kornelki. Biegła do mnie, a ja skanowałam plac zabaw w poszukiwaniu jej siostr. – Chodź szybko, Zosia się bije!

– Zosia się bije? Jezus Maria, z kim?
– Z takim wielkim chłopakiem.
„Jaka ja głupia jestem, siedzę na ławce, oczy zamykam, a tam jakiś pedofil atakuje moje dzieci” – wyrzucałam sobie, biegnąc za Kornelką.
– Arni, zostań! – krzyknęłam do psa, który szarpał smycz i szczekał.
Dotarliśmy do zbiegowiska dzieci i kilku mam. Marysia siedziała na trawie i płakała, a Zosia ze spuszczoną głową stała przed jakąś kobietą, która na nią krzyczała. Obok niej stał dobrze zbudowany chłopiec i trzymał się za nos.
– Co się stało? – zapytałam zdyszana i przykucnęłam obok Marysi. Zosia od razu przykleiła się do mojego boku i wrogo patrzyła na chłopca.
– To pani dzieci? – kobieta krzyczała teraz w moim kierunku i musiałam od razu wstać, bo miałam wrażenie, że mnie zdepta.
– Tak, ja się nimi zajmuję.
– Niech pani ich lepiej pilnuje. Kto to widział, żeby tak dziewczyny rozrabiały! Zaatakowały mojego synka!
– Tego? – upewniłam się, wskazując na osiłka dwa razy większego od Zośki.
– A widzi pani jakiegoś innego?
– No nie widzę... – dla pewności się rozejrzałam – ale ten chłopiec to bardziej już syn niż synek – odważyłam się dodać, a pani nabrała żywszych rumieńców.
– Chciał zepchnąć Zosię z huśtawki i powiedział, że jest pijaczką – wtrąciła się Kornelka.
– Bzdura! – zawołała kobieta.
Zośka uparcie milczała i tylko mocniej obejmowała mnie za nogę.
– Pani to widziała? – zapytałam kobietę.
– A pani?
– No ja nie widziałam, dlatego pytam panią i słucham dzieci.
Kobieta tylko wzruszyła ramionami i lamentowała nad nosem swojego syna.
– Zosiu, jak to było? Uderzyłaś tego chłopca?
Dziewczynka pokręciła głową i zaczęła płakać.
– Trudno mi uwierzyć, żeby czterolatka zaatakowała bez powodu dwa razy większego od siebie chłopca. Może podszedłeś za blisko do huśtawki? – zwróciłam się do synka zdenerwowanej pani.
– Co też pani opowiada? Przecież to patologia jakaś, rzuciła się na niego! Wszyscy widzieli.
– Tak? A która z pań widziała? – zapytałam mam stojących wokół.
Żadna się nie odezwała, jedna tylko wyznała, że była za daleko, ale widziała chłopca obok huśtawki i Zośkę na huśtawce, po czym wzięła swoje dziecko za rękę i szybko odeszła.
Byłam spocona jak mysz i bolała mnie głowa. Nie miałam pojęcia, jak rozwiązać tę sytuację i zachować się wychowawczo. Postanowiłam więc jak najszybciej zakończyć sprawę i pogadać z dziewczynkami w domu.
– Skoro nie wiadomo, co dokładnie się stało, proponuję, żeby każda z nas porozmawiała ze swoim dzieckiem w domu na spokojnie i potem wyciągnęła konsekwencje – chciałam zabrzmieć mądrze i pokazać, że się znam na rzeczy.
– Oczywiście, tak najlepiej, a tylko mój synek na tym ucierpi – pieniała się kobieta.
– Jakieś „przepraszam” mu się chociaż należy.
– O tak, najlepiej niech się nawzajem przeproszą – zgodziłam się z nią po raz pierwszy.
– Nazywanie kogoś pijaczką nie jest miłe, podobnie jak uderzenie huśtawką w nos.
Żadne z dzieci się nie odezwało. Patrzyli na siebie z wrogością.

– Widzę, że się nie dogadamy! – oświadczyła kobieta. – Już strach na plac zabaw z dzieckiem wyjść. Idziemy, synku – zarządziła i pociągnęła za sobą chłopca, a on szybko odwrócił się i wystawił nam język.

Niewiele myśląc, odplącałam mu pięknym za nadobne. Zauważyła to Marysia i parsknęła śmiechem.

– Ciociu Rito, dlaczego tak zrobiłaś?

– Co zrobiła? – zainteresowała się Kornelka.

– Mucha mi wpadła do ust i musiałam ją wypuścić. Jedziemy do domu, dziewczyny!

W drodze powrotnej w samochodzie panowała cisza. Marysia była zmęczona i prawie zasypiała, Zosia patrzyła zamyślona za okno, nie zwracając uwagi na Kornelkę, która próbowała ją rozśmieszyć. Coś szeptały sobie od czasu do czasu na ucho. Wreszcie Kornelka zapytała mnie:

– Ciociu, a skąd wyciągniesz Zosi te konsekwencje? Bo ona się martwi, że nie ma żadnych, mama nam nie spakowała!

We wstecznym lusterku widziałam, że patrzy na mnie dwoje błękitnoniewinnych oczu. Westchnęłam.

– Zosiu, po prostu chciałabym, żebyś mi powiedziała prawdę, co się stało.

– On chciał usiąść na huśtawce, a była moja kolej. I stał specjalnie tak blisko, i mnie przezywał, no to się rozpędziłam i huśtawka uderzyła go w nos, i moja noga chyba też, ale niespecjalnie – wyrzuciła z siebie wreszcie Zosia.

– Znasz tego chłopca?

– Tak, czasem zostaje z nami na świetlicy w szkole, jak czekamy na mamę – załamał się jej głos.

– Dokuczał ci już kiedyś?

Zoska pokiwała głową.

– On się śmieje z naszego taty, że nie umie chodzić i się przewraca. I tak to pokazuje, że wszyscy się śmieją – powiedziała Kornelka.

Zrobiło mi się zimno.

– Dobrze, że mi to powiedziałyście, dziewczynki. Zosiu, rozumiem, że byłaś zła na tego chłopca, bo ci dokuczał wcześniej i specjalnie stał blisko huśtawki dzisiaj. Chyba mniej by było kłopotów, gdybyś mnie zawołała, zanim rozpędziłaś się huśtawką. Znam was lepiej niż tego chłopca, więc wam wierzę, ale konsekwencje będą takie, że o wszystkim powiem waszej mamie i ona z wami i tym chłopcem będzie musiała to załatwić.

Umywałam ręce i rozpaczliwie chciałam wyjść z twarzą z tego kłopotu. Nie wiem, na ile mi się to udało, ale dziewczyny odetchnęły z ulgą. A ja już zdecydowanie wołałam, żeby płakały za mamą, niż fundowały mi bójkę na placu zabaw. Swoją drogą, to nie miałam pojęcia, jak powinnam się zachować w takiej sytuacji. Zanotowałam w głowie, żeby zapytać o to Anitę i Kaśkę.

Dalsza część dnia minęła spokojnie. Dziewczyny otworzyły restaurację, w której piekły placki z błota i gotowały zupę z trawy i wody. Kornelka wreszcie spełniła swoje marzenie – usiadła na trawie i zagrała na fujarce, co rozpoczęło serię występów taneczno-wokalnych, w których musiałam brać udział nie tylko jako widz. Potem pokazały mi ulubione zabawy z przedszkola i okazało się, że część z nich pamiętam z zamierzchłej przeszłości. Zosia siadała mi co chwila na kolanach, jakby chciała zatrzeć wspomnienia z tego, co zdarzyło się na placu zabaw.

– Lubisz mnie, ciociu? – zapytała.

– Lubię.

– Ja ciebie też – wyznała i już biegła za piłką, aż jej warkocze na plecach podskakiwały.

Wieczorem, kiedy ułożyłam już spać dwie młodsze siostry i usiadłam, żeby chwilę odsapnąć, Kornelka w koszulce nocnej w niebieskie i różowe kwiatki, pachnąca truskawkowym płynem do kąpieli, przycupnęła obok mnie na małym stołeczku.

– Nie martw się, pomogę ci się nimi opiekować – zapewniła z powagą. Potem wyjęła z różowego pluszowego plecaczka w kształcie zająca długopis i gruby zeszyt, przekartkowała go i zaczęła coś pisać, wysuwając koniuszek języka na dolną wargę.

– Dzięki – powiedziałam, wyrażając swą wdzięczność z całego serca, bo czułam, że dziewczynki jeszcze mogą mnie zaskoczyć i może być ciężko. Pokiwała tylko głową, pochłonięta pracą.

– A co piszesz? – zaintrygowała mnie.

– Książkę.

– Tak, a jaki ma tytuł?

– Przypowieści różowego kota.

– I teraz właśnie piszesz o tym kocie?

– Nie, teraz przepisuję wiersz, który napisałam wczoraj.

– Mogę przeczytać?

Zawahała się, ale podała mi pojedynczą, nieco pomiętą kartkę z zeszytu w trzy linie.

Wyglądziłam ją ręką i przeczytałam:

*Moja babcia nie miała wełnianego swetra
ani bujanego fotela.*

Nie czytała bajek i nie całowała na dobranoc.

Leżała w szpitalu i mrugał do niej monitor,

a potem, w sobotę – przestał.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc wyszło najbanalniej.

– Podoba mi się.

– Naprawdę?

– Tak i też mam taką osobę, która już odeszła, a bardzo chciałabym ją jeszcze spotkać

– odparłam szczerze.

– Kogo?

– Moją ciocię, do której należał ten dom.

– Ładny miała dom. Teraz jest twój?

– Tak, teraz jest mój.

– My nie mamy domu. Tata mówi, że jest jego i mamy się wynosić.

– Wiesz co, to ja wam pożyczę swojego domu, dopóki się wszystko nie wyjaśni

– zaproponowałam.

– Dobrze, a my ci go oddamy, jak już będziemy mogły wrócić do naszego – obiecała.

I taką też miałam nadzieję. Ale musiałam uczciwie przyznać, że ich obecność dostarczała mi dużo radości.

Następnego ranka Kornelka wstała cichutko, gdy tylko zaczęłam się krzątać w kuchni. Przyszła z ubraniem pod pachą, przecierając zaspane oczy. Chętnie pomagała mi robić kakao oraz kanapki z masłem i miodem. Napełniła świeżą wodą miskę Arniego, a on uprzejmie napił się i polizał ją po nosie. Potem obudziła się Marysia, a Zosia spała po wczorajszych przeżyciach, z rękami nad głową i włosami rozrzuconymi po poduszce. Obudziła się dopiero, kiedy na podwórko z radosnym trąbieniem wjechał, ubłocony jak zwykle, samochód Filipa i Kamili. Wyrzałam przez okno, a Arni drapał w drzwi niecierpliwie.

– Ale niespodzianka! Dziewczyny, chodźmy się przywitać, przyjechała moja przyjaciółka z małą córeczką Mają.

– Hura! Przyjechała pszczołka Maja! – wykrzyknęła Marysia, podskakując z radości.

– Hura, przyjechał ktoś, kto zna się na opiece nad dziećmi! – przywitałam Kamilę, która patrzyła z zaskoczeniem na naszą gromadkę. Arni tańczył uszczęśliwiony, a jak tylko Filip otworzył drzwi auta, spróbował wskoczyć mu na kolana.

– Rita, co za zmiana! Już nie tropisz przestępców i założyłaś przedszkole! – Kamila ucałowała mnie mocno.

– Nadal szukam zawodu dla siebie – zaśmiałam się, a ona wręczyła mi nosidełko z małą Mają, która fikała nogami i szczyrzyła w uśmiechu do całego świata swoje bezzębne dziąsła.

– Jak tu u ciebie pięknie, jak w raj – zachwycała się Kamila.

Weszliśmy do domu i wspólnie dokończyliśmy śniadanie.

– Teraz nie chodzimy do przedszkola, bo są wakacje, a ciocia się nami zajmuje, bo nasza mama musiała wyjechać – wyjaśniła Kamili jak zwykle rzeczowa Kornelka.

– Fajnie macie, bo tu jest bardzo pięknie i tyle ciekawych rzeczy dla dzieci do zrobienia!

– Tak, mamy tu restaurację i łapiemy żaby do zupy – pochwaliła się Zosia z błyskiem w oku.

– Ale pozwalamy im pływać i wyskakiwać, jak chcą – uzupełniła Marysia.

– Wspaniale, to ja poproszę zupę, jak będzie gotowa – zamówiła Kamila. – A my na wakacjach jesteśmy. Przejeżdżaliśmy i postanowiliśmy wpaść, znów bez uprzedzenia – zwróciła się do mnie przepraszająco, głaszcząc czule Arniego.

– Niespodzianki są najlepsze, bardzo się cieszę, że was widzę – odparłam z uśmiechem i uściśkałam ją jeszcze raz.

Tego dnia w ogrodzie utworzyła się wioska indiańska. Tuż za rzędem wysokich, kwitnących już słoneczników stanęły trzy wigwamy ze starych zasłon, rozwieszonych na wierzbowych patykach. Na środku wioski rozpaliliśmy ognisko, na którym upiekliśmy kielbaski. Arni na przemian był dziką bestią i udomowionym dingo, mimo iż leżał cały czas w jednej pozycji, przesuając się tylko wraz z plamą cienia. Ja otrzymałam przydomek szamanki, Kamila stała się starą indiańską kobietą, a Filip był wojownikiem o imieniu Rączy Jeleń. Bawił się z dziewczynkami do samego wieczora, a ja miałam czas nagadać się z Kamilą.

– Jak ci się podoba bycie mamą? – zapytałam.

– To wyzwanie i wielka radość – odparła dyplomatycznie, ale oczy miała trochę zmęczone.

Potem musiałam szczegółowo opowiedzieć historię Dzika i Meg, a następnie Basi i jej męża.

– Mają świetne córki. Może ten gość to wreszcie zobaczy, jeżeli wytrzeźwieje na dłużej niż kilka godzin – powiedziałam z nadzieją. – No, a Baśka jest niesamowita, i taka silna. Da sobie radę niezależnie od tego, co zrobi jej mąż.

– Ty też. – Kamila popatrzyła mi prosto w oczy. – Wyglądasz na spokojniejszą, niż kiedy widziałyśmy się po raz ostatni.

– Dużo się dzieje i mam się kim opiekować. Mam kota, psa, jestem ciocią – odpowiedziałam, uśmiechając się szeroko.

– Nie tęsknisz czasami za naszym sklepem? – zapytała przekornie.

– Wcale! Wreszcie potrafisz siebie i kogoś zaskoczyć.

Nie zamieniłyśmy ani jednego zdania o Mikołaju. Kamila pytała o biznesplan, Filipa interesował remont domu, a wyjeżdżając wieczorem, znów obiecywali, że wrócą na dłużej.

Basia przyjechała następnego dnia i chciała zabrać dziewczynki do babci, ale

zapropnowałam, żeby zostały u mnie jeszcze kilka dni. Polubiłam ich towarzystwo, a one pobyt u mnie. Zwłaszcza Kornelka zakochała się w ogrodzie i domu. Obfotografowała każdy zakątek, wielkie pająki w stodole, motyle na kwiatkach i ptaki buszujące w koronach drzew. Znalazła nawet zagrzebane w piasku jaja zaskrońca, co wywołało rumieńce na twarzy wszystkich trzech siostr. Pomagała mi chętnie we wszystkim, co robiłam. Grabiła trawę, kiedy ja kosiłam, zbierała cienkie patyki, kiedy ja rąbałam drzewo, razem przynosiłyśmy do domu ogórki, cukinie i kabaczki. Arni miał zawsze świeżą wodę w misce i wyszczotkowane futro, Bursztyn towarzystwo do zabawy, dbała nawet o Wandę, przynosząc jej ślimaki do jedzenia.

Pewnego cichego popołudnia, kiedy jej siostry leżały z książkami na kocu w cieniu ogromnej jabłoni, przyszła do mnie z poważną miną. Pracowałam właśnie na komputerze, wprowadzając poprawki do artykułu, który miał się ukazać w czytelni, na stronie pracowni, i podjadałam pachnące pomidorki, które wyjątkowo obrodziły. Kornelka wpakowała do ust sześć pomidorków, przytuliła się do mojego boku, a ja machinalnie pogłaskałam ją po głowie i pocałowałam w czoło.

– Co robisz? – spytała.

– Piszę artykuł.

– O czym?

– O dojrzałości.

– Aha...

Po chwili milczenia dodała:

– Ty to masz fajnie...

– Tak, a dlaczego? – zaintrygowała mnie.

– Bo mieszkasz tutaj, a tu jest tak super.

– Też mi się tu podoba i dlatego tu mieszkam – zgodziłam się z nią.

– A jeżeli nie będziesz miała swoich dzieci, to może, jak już będziesz stara, dasz mi ten dom i ogród?

Przerwałam pisanie na dobre, bo rozmowa stawała się coraz ciekawsza.

– Hmm, jak będę stara, a nie będę miała dzieci, to chyba będę musiała sprzedać ten dom, bo sama nie dam tu sobie rady – odparłam trzeźwo.

– Ja się tobą zaopiekuję – zapewniła Kornelka. – Wezmę cię na wakacje do ciepłych krajów, tak jak mamę!

– Naprawdę? To super, dzięki! – szczerze się ucieszyłam, bo nie byłam jeszcze nigdy w ciepłych krajach.

– I jak już..., jak już będziesz..., jak nie będziesz chciała tutaj więcej mieszkać, to ja tu zamieszkać.

Intrygowało mnie, jak miała zamiar dokończyć te rozpoczęte zdania, które dyplomatycznie zawiesiła w powietrzu, ale postanowiłam nie utrudniać jej sprawy.

– Dobrze, zastanowię się nad tym.

– Dobra. – Pocałowała mnie w policzek, w podskokach przemierzyła ogród i wdrapała się na hamak.

Wygląda na to, że nie muszę się martwić, co stanie się z domem ciotki, gdybym umarła bezpotomnie. Jest już ktoś, kto chce kontynuować projekt, i moja praca nie pójdzie na marne. Zastanawiałam się, czy ja sama, jako dziecko, nie powiedziałam czegoś takiego ciotce i stąd jej testament. Ale szybko odrzuciłam tę myśl, nie byłam tak bezpośrednio jak Kornelka.

Basia pojawiła się ponownie po trzech dniach z małą walizką swoich rzeczy. Kiedy już poprzytuliła córki, ucałowała na dobranoc i otuliła kołderkami, przyszła do kuchni i usiadła w milczeniu na fotelu. Po twarzy płynęły jej łzy.

– On naprawdę nie jest złym człowiekiem – wyszeptała.

– Dobrzy ludzie też się uzależniają – odpowiedziałam.

Zaparzyłam herbatę w wyszczerbionej filiżance, otworzyłam dużą czekoladę z nadzieniem wiśniowym i odłamałam cały rządek.

– Nie chcę go zmuszać, chcę, żeby sam zobaczył, że robi źle i że potrzebuje pomocy.

– Musi zrozumieć, że was krzywdzi i że ty się na to już więcej nie zgadzasz.

– Ale ja go kocham, nie chcę go odpychać, wyrzucać, zaniedbywać, jak to mówią w tej grupie!

– I dobrze, że go kochasz. Jak wróci trzeźwy po leczeniu, to dasz mu kolejną szansę, a on będzie miał powód, żeby kontynuować pracę nad sobą.

– Jutro wracamy do domu – zdecydowała.

W ten sposób cały sierpień minął mi pod znakiem gości, których witałam z radością i żegnałam z ulgą. Lubiłam, gdy przerywali moją ciszę, ale nie mogłam się doczekać, kiedy oddadzą ją z powrotem, nienaruszoną, wypełnioną zapachem dojrzewającego już lata, które rozpaczliwie próbowałam zatrzymać, zwijając w kłębek jego babie nitki. Może zrobię sobie z nich sweter na zimę?

Siedziałam w swoim ulubionym miejscu w ogrodzie, w cieniu rozłożystego orzecha, i miałam poczucie, że niedługo wszystko się zmieni. Wiele kwiatów już przekwitło. Dawno już ścięłam uschnięte łodygi lilii, goździków, tawulek i irysów. Wytrwale kwitły tylko niezłomne aksamitki, których posiałam tyle, że i ślimaki najadały się ich liści do syta, i ja nadal cieszyłam oko ich cynamonowożółtymi kwiatami. Potrząsałam główkami przekwitłych maków, żeby ich nasiona rozsypały się po okolicy, przesadzałam zbyt rozrośnięte kępy roślin, żeby wypełniły w przyszłym roku pozostałe puste miejsca w ogrodzie. Ostatnie słoneczniki przekwitały i ciężkie od nasion pochylały swoje głowy, a sprytnie sikorki rywalizowały ze mną o tę smaczną przekąskę. Zostawiałam dla ptaków mniejsze słoneczniki, a sama, plując łupinkami, przez hipnotyzująco długie minuty potrafiłam wydłubywać po kolei pyszne ziarna z większych okazów. Słońce przeświecało przez ogromne liście winorośli, której owoce zaczynały już dojrzewać. Powoli dojrzewały też orzechy, które wiewiórka przebiegle mi kradła i zakopywała w ziemi. Po kilka razy wracała i sprawdzała, czy nadal tam są, po czym rzucała mi oburzone spojrzenie. Nadal mnie nie zaakceptowała.

Pod drzewami czereśni i jabłoni leżały już pierwsze żółte liście, owoce jarzębiny zaczynały się czerwienić. Cisza w przyrodzie była spełnieniem, cykl rozwoju się dokonał, teraz trzeba się przygotować do snu. Jeszcze tego nie widać, jeszcze budzi mnie rano słońce, ale widzę, że jest już nieco niżej. Kiedy świeci, wciąż mocno nagrzewa powietrze, lecz poranki są już chłodne, a i wieczorami trzeba wkładać ciepły sweter. Panuje cisza, tylko świerszcze grają głośniej swoje piosenki, gdzieś daleko zaś gwizdże czasem pociąg. Właśnie te dźwięki tworzą melodię ciszy. Na polach nie słyhać już bażantów, bo zboża i trawy zostały skoszone, pola zaorane i ptaki nie mają się gdzie chować. Za to słyhać traktory, ostatnie kombajny i od rana dźwięk pił spalinowych – wszyscy przygotowują opał na zimę. Raz skoszony trawnik już nie odrasta tak szybko i tak soczystą zielenią. Trzeba uważać, żeby nie przyciąć go zbyt nisko, bo zasuszone plamy szpecą równą powierzchnię ogrodu. I tylko niestrudzone drobne stokrotki odrastają równie szybko jak wiosną. Błękit nieba ma dziś kolor spranego prześcieradła i jeszcze przecinają go ostatnie tego lata motyle. Coś się kończy w przyrodzie, a we mnie rośnie poczucie, że coś właśnie się dla mnie zaczyna. I wcale nie znajduje to potwierdzenia w wydarzeniach, bo wszystko toczy się tak jak dotychczas.

Niedługo minie rok, jak tu jestem, z dala od ludzi i cywilizacji, ale wcale nie z dala od świata. Bo czuję się tu właśnie na swoim miejscu, w swoim świecie, i od początku tak było.

Coraz częściej jednak budzę się z pytaniem: „No i co dalej?”.

Mimo wszystko nie wyobrażałam sobie spędzić tu całego życia. Na pewno nie sama. Było mi radośnie i smutno jednocześnie, lekko i ciężko w tym samym momencie. Przez ten rok straciłam Mikołaja, a odzyskałam siebie. Jaki jest więc bilans? Czy rok nieobecności bardziej niszczy uczucie niż klótnie, wyrzuty i zrywanie „na zawsze”? Czy uczucie może przetrwać rok niebycia razem, bez wyjaśnień, planów i decyzji? Czy, jeżeli będzie trzeba, będę umiała zostawić ten swój skrawek nieba i dom, który kocham? Straciłabym wtedy coś, czemu się oddałam, gdzie w każdym kącie, drzewie, kwiatku byłam już ja sama – mój pot, łzy, nadzieje i ciężka praca. Dopiero niedawno poczułam swoje stopy, stojące twardo na ziemi pełnej chwastów i błota, i odzyskałam równowagę, a potem przestałam biec, a zaczęłam spacerować, poznałam trochę siebie i nawet polubiłam. I miałabym to stracić? Może da się to zabrać stąd ze sobą?

Mój Nowy, Wspaniały Świat!

Był poniedziałek rano, 3 września. Z kubkiem zielonej herbaty usiadłam przy biurku i przewróciłam kartkę kalendarza, a potem opierając rękę na brodzie, gapiałam się bezmyślnie na żółte liście na drzewach i ostatnie kwitnące w ogrodzie kwiaty. Otworzyłam szeroko okno i świeże poranne słońce, zakryte lekko mgłą i przyprószone rosą lśniąca na liściach drzew, wpadło do pokoju i usiadło na meblach. Powietrze pachniało nocą i wilgocią. Lubię takie poranne momenty prawie jesiennych, chociaż jeszcze letnich dni. Doceniałam łagodność jesieni, tak balsamiczną w porównaniu z szaleństwem upałów lata. Spokój tego poranka burzyła tylko jedna sprawa – wypadające we wrześniu moje urodziny. Nadchodzą nieubłaganie i regularnie co roku, jak wyrzut sumienia albo roboty drogowe.

Teraz właśnie zastanawiałam się, jak przeżyję pierwsze urodziny z serii 30+. Bez Mikołaja, nadal bez planu, co ma być dalej, i niepewna, czy jestem chociaż o kilka kroków bliżej oczekiwanych i należących mi się niewątpliwie spektakularnych sukcesów życiowych. Tego dnia, odkąd się obudziłam, byłam jakby w obcej skórce. Prosto z obrazu Picassa: kanciasta, dziwna, pozbawiona jakichkolwiek miłych zaokrągleń. Najpierw rozbiłam lustro, które już wiele razy wcześniej mi spadło, ale rozbiło się właśnie dziś, na jedenaście części dużych i wiele, wiele małych kawałków. Poskładałam je jak puzzle i przekonałam się, że gdyby nie brak jednej większej części, nadal byłaby to całość. Oczywiście, gdyby nie rysy w miejscach pęknięcia. Czy siebie też kiedyś tak poskładałam, jak puzzle? I co wtedy zobaczę? Od kilku miesięcy znosiłam siebie samą coraz lepiej w kawałkach i małych porcjach. Czy nadszedł już czas, żeby odsłonić cały obraz?

Ledwo wyrzuciłam do kosza rozbite lustro, już spotkało mnie kolejne nieszczęście. Z blatu spadła z brzękiem moja ulubiona różowa filizanka z maleńkimi różyczkami, a ja skaleczyłam sobie stopę jednym z odłamków porcelany. Brocząc obficie krwią i znacząc szlak do łazienki, starałam się nie wybuchnąć. Cóż, skoro potknęłam się na ciotkowych pantoflach, które cały czas, bezsensownie i za moim przyzwoleniem, czekały na nią w kącie. Najwyraźniej w nocy kot walczył z nimi i zostawił je na środku korytarza. Teraz, zachęcony moimi podskokami, wyszedł mi na powitanie, robił ósemki pomiędzy moimi nogami i ostatecznie przyczynił się do mojego upadku na podłogę. Arni węszył z zatroskaną miną i chciał polizać mnie po twarzy. Usiadłam na stołku w łazience i przez chwilę krzyczałam z bezsilnej złości, a potem opatrzyłam stopę niedbale i bez wprawy, rozlewając wodę utlenioną po podłodze.

Wyszłam na taras i przywołałam psa. Przytuliłam się do niego. Na dworze panowała cisza, a sierść Arniego była miękka i ciepła. Zaraz przyszedł też kot i mruczając dostojnie z podniesionym wysoko ogonem, zaczął ocierać się o moje plecy. Zrobiło mi się lepiej i tak we trójkę rozkoszowaliśmy się ostatnimi chwilami lata. Dopiero gdy słońce nieco otrząsnęło się z mgły i rosy, a ptaki zaczęły śpiewać, wyrwałam się z zadumy, która była jak łapanie skrawków porozrywanych myśli, bez żadnej próby nadania im jakiegokolwiek kształtu. Wciągałam głęboko powietrze w płuca, a po ramieniu laskotał mnie mały pajaczek. Poczekaliśmy, aż zwierzęta zgodnie ułożą się w swoim wiklinowym koszu i poszłam do kuchni.

Włączyłam telewizję śniadaniową i zaparzyłam kawę. Tak, już jest dobrze. Jest dokładnie tak, jak lubię. Siedzę tutaj, piję kawę z brązowej filizanki i przeglądam wiadomości w Internecie. Oswojone, bezpieczne, dobre życie. Po chwili moją uwagę zwrócił fryzjer w małym kapelusiku, który pojawił się na ekranie i żywo gestykułując, z nożyczkami niebezpiecznie blisko oczu swojej modelki, przekonywał, że tej jesieni tylko i wyłącznie grzywka! Bo jest modna, a poza

tym zapewnia miłość i dobrobyt. Zainteresował mnie. Lubię grzywki. Długie włosy bez grzywki wydłużały niebezpiecznie moją szczupłą i pociągłą twarz, a ponieważ dawno nie byłam u fryzjera, obrastałam na dziko. Uważnie obserwowałam więc fryzjera, który wyczarowywał piękne grzywki na włosach kolejnych kobiet, długie, krótkie, skośne i falujące miękko na boki. I zamarzyłam o takiej grzywce. To w końcu bajecznie proste, wyraźnie pokazywał – trzy ruchy nożyczkami. Z szuflady biurka wyjęłam małe nożyczki do papieru z zaokrąglonymi końcówkami, a w łazience odnalazłam szczotkę, bo włosy przed przystąpieniem do formowania grzywki należy dokładnie wyszczotkować. Pięćdziesiąt ruchów z włosiem, pięćdziesiąt pod włos. Iskry fruwały w powietrzu i pod koniec procedury włosy... pozostały nieujarzmione. Niezrażona zwilżyłam je nieco, zebrałam w mały kucyk na środku czoła i przystąpiłam to cięcia, szybko i zdecydowanie. Ponieważ chciałam mieć grzywkę w skos, więc dokonałam ukośnego cięcia z jednego boku, a drugi pozostawiłam bez zmian. Zadowolona rozpuściłam resztę włosów, przeczesałam palcami nowo nabytą grzywkę i przyjrzałam się uważnie swojemu dziełu. Nie było jak w telewizji. Pośrodku czoła miałam trzy schodki, w dodatku wysychające włosy zwijały się w loki i loczki, odsłaniając placki czoła. Postanowiłam zniwelować różnice w długości pomiędzy poszczególnymi schodkami mojej nowej grzywki. Małe nożyczki nie radziły sobie zbyt dobrze z równomiernym skracaniem grzywki, musiałam więc zbierać włosy w nieco większe pasma. Było to raczej szarpanie niż cięcie, ale przekonywałam siebie, że w ten sposób uzyskam efekt strzępienia. Nie uzyskałam. Po zabiegach wyrównujących moja grzywka sięgała w środkowej części zaledwie połowy czoła, a z początkowo krótszego boku wcale jej już nie było. Drugi bok wyglądał całkiem dobrze. Bez namysłu wzięłam telefon i umówiłam się do fryzjera. Przecież nie mogę tak wyglądać na swoim urodzinowym przyjęciu, które planowałam na weekend! Tymczasowym rozwiązaniem była niezastąpiona spinka. Włosy zostały więc upięte do góry, maskując awarię z grzywką. Telewizor wyłączyłam – wystarczy tych dobrych rad za pięć groszy.

Rozważania jubileuszowe wracały do mnie zarówno tego dnia, jak i podczas kolejnych. Mijał właśnie rok, odkąd się tu znalazłam. Co mi się udało i czy w ogóle było warto? Porównywałam siebie często z tą osobą, którą pamiętałam sprzed roku, i wciąż nie pod każdym względem wynik był zadowalający. Coś we mnie umierało powoli przez ostatnich kilka miesięcy, ale na pewno nie była to nadzieja. Bo ona jak wariatka podskakiwała na każdy dzwonek telefonu z nieznanego numeru, a im więcej czasu mijało, tym bardziej się spodziewała, że to już! A potem martwiła się, że ciągle nic. Ciężko jest tak czekać cierpliwie na niemożliwe. Tęskniłam, mimo iż wiedziałam, że nie mam po co, że to na darmo. I zadawałam sobie pytanie, czy zignoruje też moje urodziny. Odkąd się znamy, była to największa uroczystość, większa niż głupawe walentynki. Mikołaj przygotowywał się do tego dnia bardzo starannie, długo planował, żeby był to dla mnie dzień wyjątkowy. Wiedział, że dla mnie urodziny mają znaczenie symboliczne, bo to wtedy robię całoroczne podsumowania. Wygląda jednak na to, że w tym roku będę w urodziny robić to, co umiem najlepiej – będę sama. Coraz częściej docierało też do mnie, że jeżeli on nie przyjedzie, tęsknić będę już zawsze. Może ułożę sobie życie z kimś miłym i nawet będę czasami szczęśliwa, ale kiedy usłyszę piosenkę o niespełnionej miłości, będę myśleć o nim, w takich krótkich momentach żalu.

Wytnieniem od dręczących mnie myśli były zajęcia, które skrupulatnie sobie wyszukiwałam. Na dzisiejszy dzień zaplanowana była grupa dzieci na warsztaty garncarskie, miały się też odbyć zajęcia malowania na szkle dla młodzieży i wykład o ziołach dla kobiet z koła. Gości w domu nie było. Przewornie pierwszą połowę września wykreśliłam z internetowego kalendarza, więc po intensywnym dniu, będę miała wolny wieczór. I był to dobry dzień. Minął szybko i już zmęczona owijałam się kołdrą, po czym zasypiałam, zanim doczytałam do końca jedną stronę książki. A potem było jeszcze kilka takich dni, jak żołnierzy

w szeregu. Dawały mi radość, albo przynajmniej zadowolenie z siebie, choć w tej ostatniej minucie tuż przed zaśnięciem wzdychałam ciężko i z ulgą uciekałam w sen. Moje szczęście, z trudem budowane i starannie pielęgnowane, miało w sobie jednak maleńką porcję smutku i tęsknoty.

Błażej zadzwonił dzień przed moimi urodzinami i zaprosił mnie do kancelarii. Był oficjalny. Domyślałam się, że chodziło o przekazanie aktu własności domu. W końcu byłam tu prawie rok i nie uciekałam. Dbałam o dom i ogród, a czasami nawet gotowałam. Uważałam, że wywiązałam się z umowy z ciotką. Tuż po jego telefonie przyjechał kurier. Podpisałam odbiór przesyłki i z ciekawością sprawdziłam nadawcę – Tola! W środku był piękny album ze zdjęciami z miasta, a w nim zaznaczona strona, gdzie wydrukowane było zdjęcie autorstwa Mikołaja. Z mocno bijącym sercem gładziłam błyszczący papier i wpatrywałam się w obrazek z naszego ulubionego ogrodu japońskiego, z widokiem na morze. Co za czarownica z tej Toli? Nie miałam pojęcia, skąd wiedziała, kim jest Mikołaj. I jak go znalazła? Na małej kartce nakreśliła życzenia i dopisała pod spodem: „My z Niną też używałyśmy Internetu, ona miała nawet konto na Facebooku. Do zobaczenia wkrótce!”.

Mój umysł, przeciążony informacjami, zawiesił się na chwilę i nie mogłam oderwać oczu od fotografii ani pojąć właściwego sensu tego, co właśnie przeczytałam. Zdjęcie zrobione przez Mikołaja jest w albumie? Czyżby zrobił wreszcie to, o czym marzył od dawna, a na co wiecznie brakowało mu czasu? To znaczy, że też zaczął się zmieniać! Widać obojgu nam służyło rozstanie. Ciekawe, czy nadal codziennie gotuje? Może dziś mielibyśmy więcej wspólnych tematów do rozmowy, a mniej powodów do kłótni? Wciąż głaskałam bezwiednie fotografię. Udało mi się wypatrzyć na zdjęciu ławkę, na której siadałam najczęściej, żeby z daleka spoglądać na morze. Nawet teraz, kiedy zamknęłam oczy, wracał do mnie zapach morza i szum wiatru. Tęsknota fizycznie bolała, pulsującym bólem gdzieś nad prawym okiem. Przetarłam oczy i zabroniłam sobie tęsknić. Jeszcze nie teraz, dopiero wieczorem, w tej krótkiej chwili przed zaśnięciem, niech przyjdzie i potrzyma mnie za rękę, zanim zasnę.

Zalogowałam się do Facebooka i wyszukałam profil Niny. Nadal tam był, i to ogólnie dostępny, a na nim sporo zdjęć ogrodu i zwierząt, kilka z paniami z koła, ciotka za kierownicą auta, pan Włodzimierz z akordeonem. Śmiałam się, przeglądając galerię zdjęć Niny. Wyglądała na szczęśliwą! W życiu mi nie przyszło do głowy, żeby jej w Internecie szukać, ani że ona mogłaby tam znaleźć mnie! Była tak blisko. Odszukała mnie, a jednak się do mnie nie odezwała. Może do końca liczyła na to, że pewnego dnia zrobię jej niespodziankę, po prostu pojawię się w progu jej domu i napijemy się razem herbaty? Chciała, żebym przyjechała z potrzeby serca, a nie z litości nad starą, samotną ciotką. Bardzo żałowałam, że tego nie zrobiłam.

Nie doceniłam tego, jak bystra i dociekliwa była ciotka Nina. Ja miałam w profilu zdjęcie z Mikołajem, a w opisie, że jestem w związku oraz jego imię i nazwisko. Już sobie wyobrażam, jak z drugą z sabatu – Tolą, obie w ogromnych, staromodnych okularach, robiły internetowe dochodzenie i przeszukiwały kolejno wyrzucone przez Google linki na jego temat. Pewno pamiętając, jakim byłam dzieckiem, przeczuwała, że mogę mieć kłopoty w związku na dłużej. Czuliśmy też, że jesteśmy do siebie bardzo podobne. Być może właśnie dlatego spodziewała się, że kiedyś pojawi się we mnie potrzeba powrotu do Bartnicy i zaszcycia się tam, tak jak zrobiła ona sama przed laty. Cały ranek wpatrywałam się w zdjęcie z albumu, szukałam śladów Niny w Internecie i snułam marzenia, co by było, gdybym do ciotki przyjechała wcześniej, znalazła ją na Facebooku i była tam na jej zdjęciach? Może byłabym dziś innym człowiekiem? Może umiałabym kochać Mikołaja i nie musiałabym uciekać?

Wczesnym popołudniem z trudem się oderwałam od wspomnień i marzeń, żeby pojechać do kancelarii Błażeja. Tak jak się spodziewałam, przekazał mi dokumenty do podpisania,

a następnie nieoczekiwanie wręczył mi małe pudełko, opakowane w jasnozielony papier i przewiązane ciemniejszą wstążką. Chciałam, żeby zawierało kolejny list od ciotki Niny, a moje imię napisane na nim jej charakterem pisma dawało nadzieję, że moja prośba się spełni. Nie miałam zamiaru czekać do jutra, żeby zobaczyć, co jest w środku. Podziękowałam, wzięłam dokumenty i pożegnałam się szybko z Błażem. Wychodząc, przypominałam mu jeszcze o zaproszeniu do mnie na weekend i już biegłam do samochodu. Jechałam szybko, drobne liście brzozy fruwały w powietrzu i gonily mnie niezmordowane. W ogrodzie czekał na mnie Arni, a przed drzwiami wejściowymi leżała mysz. Bursztyn z dumą przechadzał się wokół. Ciekawa byłam, skąd wiedział, że jutro moje urodziny. Koty jednak wiedzą wszystko i tylko mrużą tajemniczo swoje bezdenne oczy.

Weszłam do domu i zaparzyłam sobie kawę, a potem zapaliłam trzydzieści jeden pachnących świec. Bursztyn zastygł jak Sfinks na półce z książkami, obserwując ich migające płomienie. Teraz byłam gotowa na przyjęcie urodzinowego prezentu od Niny. Arni wśliznął się do kuchni i obwąchiwał trzymaną przeze mnie paczkę, lekko machając ogonem. Delikatnie odwiązałam wstążkę i ostrożnie odwinęłam papier. W środku było małe pudełko i zielona koperta. Jest list! Niecierpliwie rozdarłam kopertę, wyjęłam kartkę, zapisaną pięknym pismem ciotki i kolejne zdjęcie.

Droga Rito! – zaczynała.

Czy wiesz, że nigdy nie składałam Ci życzeń urodzinowych? Dziś życzę Ci wszystkiego, o czym marzysz. Jeżeli nadal jesteś w Bartnicy, to już na pewno wiesz, jak to zdobyć. Wybrałam Ciebie, bo zawsze wydawałaś mi się podobna do mnie samej – uparta i silniejsza, niż myślisz. Uczucia Tobą targają, ale potrafisz jednocześnie robić coś z całego serca. Chciałam, żebyś została w Bartnicy dłużej niż na wakacje i wreszcie miała możliwość oglądać ogród o każdej porze roku. Żebyś te pory roku zobaczyła też w sobie i zaakceptowała zmiany. Tylko robiąc to, czego się boisz, możesz strach pokonać, tylko akceptując swoje słabości, możesz nad nimi panować, tylko porzucając stare, możesz zacząć nowe.

Mam wrażenie, że mnie bycie samej w Bartnicy nauczyło miłości, nie potrafiłam jednak zaryzykować i ktoś z czasem zajął moje miejsce. Miłość się nie kończy, ale czasami traci szansę i wykorzystuje nadarzające się inne okazje, bo za wszelką cenę chce przetrwać. Najważniejsze jest, żeby mieć gdzie leczyć rany, podnosić się i iść dalej. Życzę ci, żeby ten dom był twoim prawdziwym Domem, gdzie są ludzie, których kochasz, rozmowy o rzeczach ważnych i wsparcie, którego potrzebujesz. Pamiętaj: „samotni dojrzewają, osamotnieni marnieją”!

Pozdrawiam,

Nina

Przyjrzałam się uważnie zdjęciu. Było czarno-białe, nieostre i wyglądało na dość stare. Ciotka na nim była chyba w moim wieku, a może nieco starsza, z długimi włosami i w krótkiej spódnicy. Siedziała przed domem na małym stołeczku, z grubawym dzieckiem w śmiesznej czapce na głowie. Obok niej stała jakaś kobieta, a nieco dalej z tyłu, przy lśniącym motorze stał mężczyzna i patrzył prosto na Ninę. Na odwrocie był napisany tylko rok: 1987. Z sypialni ciotki przyniosłam jej pamiętnik z tą datą. Czyżby była to jej Wielka Miłość? Chyba nie, bo z jej notatek wynikało, że wtedy już się nie spotykali. Ciotka nie wyglądała jednak na zdjęciu na pogrążoną w rozpacz po zakończeniu nieodwzajemnionej miłości. Ale przecież była twarda, chowała swój sekret w sercu i na kartkach pamiętników.

Przyglądałam się twarzy drugiej kobiety, wyglądała znajomo. To pewno jej dziecko. Nadal nie było dla mnie jasne, po co ciotka włożyła mi to zdjęcie do listu i podarowała na

urodziny. Nic z tego nie rozumiałam, ale w tym momencie bardziej ciekawiło mnie, co kryje pudełko. Podniosłam jego aksamitne wieczko. W środku znajdował się przepiękny pierścionek z zielonym oczkiem i kolczyki. Fantastyczny prezent! Teraz mogłam mieć zawsze przy sobie coś, co należało do ciotki i stwarzało wrażenie jej obecności. Od razu założyłam kolczyki i wsunęłam pierścionek na palec. Byłam gotowa na bal, rasowy Kopciuszek, choć bez karocy z dyni.

Przez okno zobaczyłam, że przyjechał listonosz. Zostawiłam list i zdjęcie na kuchennym stole i wyszłam mu na spotkanie. Przyniósł dwie kartki urodzinowe i rachunek za prąd. Opowiedział mi kilka plotek, ponarzekał, że idzie zima, a dzień już krótki, i odjechał na swoim skuterze. Drobną mżawką cięła mnie w twarz i wiał przeszywający wiatr, opatuliliłam się więc szczelniej swetrem i czym prędzej wróciłam do domu. Włączyłam ogrzewanie i zasunęłam zasłony. Nie chciałam, żeby wilgoć i wiatr wślizgiwały się do mojego świata. Cynamonowe świece pachniały intensywnie, Bursztyń mruczał zadowolony, a Arni przebierał łapami we śnie, jakby kogoś gonił. Otuliła mnie muzyka Stinga. Zwinęłam się w fotelu pod kocem, wzięłam do ręki album od Toli i ponownie spojrzałam na zdjęcie. Na końcu książki były notki o autorach zdjęć, ich fotografie oraz adresy stron, gdzie prezentowali więcej swoich prac. Łapczywie pożerałam wzrokiem zdjęcie Mikołaja, był uśmiechnięty i bardzo dobrze wyglądał. W jego delikatnych zmarszczkach wokół oczu nie czaił się smutek ani tęsknota. Wyglądał na zadowolonego z siebie gościa.

Nikt nie widział, nikt nie oceniał tego, jak idąc za przykładem Niny i Toli, rozpoczęłam upokarzające śledztwo internetowe dotyczące Mikołaja. Po wpisaniu jego imienia i nazwiska w wyszukiwarce najpierw wyrzuciło mi kilkadziesiąt stron związanych z jego działalnością w szpitalu. Dowiedziałam się, że jest oceniany jako dobry lekarz. Niektóre pacjentki zachwycały się także jego aparycją. Facebook mnie rozczarował, bo pokazał profil bez zdjęcia i bez znajomych. Weszłam więc na stronę z jego zdjęciami. Była dość rozbudowana, a fotografie pogrupowano na niej tematycznie – ludzie, krajobrazy, zabawne scenki, miejskie widoki i inspirujące motywy. Można zakupić dowolny format lub prawo wykorzystania do prezentacji, albo ułożyć z nich własny kalendarz i zamówić wydruk. Mikołaj miał również ofertę sesji zdjęciowych dzieci i przyszłych mam. Opinie były pozytywne, a liczba wizyt na stronie przewyższała liczbę gości na stronie pracowni. Cieszyłam się, że mu się udało. Było mi żal, że nie przyczyniłam się do tego sukcesu i nie widzę błysku w jego oczach, kiedy opowiada o tym, co robi. Gdyby przyjechał do mnie, uchwyciłby mnóstwo pięknych widoków. Cóż, kiedy przeglądając stronę, trudno było nie zauważyć, że jego uwaga skupia się na czymś innym. Na prezentowanych zdjęciach niepokojąco często pojawiała się pewna wstrętna blondyna! Znienawidziłam ją od razu. Wyginała się jak małpa i szczyrzyła zęby jak idiotka. Intuicja podpowiadała mi, że obiektem jej wdzięcznych póz nie był obiekt, ale ten, kto za nim stał, czyli mój Mikołaj! Obrzydliwe! To ja tu myślę i przemyślam, dojrzewam i dorosłeję, prawie zamarzałam bez ogrzewania, nogi moczę w zimnej wodzie i oczekuję go, a on zdjęcia robi jakiejś lafiryndzie?!

Zatrzasnęłam laptop i wzięłam chłodny prysznic. Tarłam się energicznie peelingiem, jakby za karę. Potem wypiłam szklankę melisy, ale i tak nie mogłam tej nocy zasnąć. Przed oczami miałam film o mojej znajomości z Mikołajem, wszystkie nasze najlepsze momenty, a żal rósł i pęczniał mi w gardle, jak zupa kalafiorowa. Nienawidzę, gdy jest szczęśliwy ktoś, kto w mojej opinii mnie skrzywdził. A to, że mnie skrzywdził, było oczywiste! Teraz ostateczny cios zadała blondyna! Nienawidzę, jak są szczęśliwi wszyscy, tylko ciągle nie ja! Ja się przygotowuję do naszego związku, a on życie sobie układa?! Z jakąś farbowaną, plastikową imitacją Monroe, z mikroskopijnymi – ale jednak! – plamami różowej szminki na zębach. Byłam zraniona i wściekałam się całkiem irracjonalnie i bezsilnie. Powtarzałam sobie, że wcale nie potrzebuję

jakiejś głupiej miłości, z jeszcze głupszą wzajemnością, ani mężczyzny i związku. Związanie związkiem, spędanie, opętanie, przywiązanie, do słupa, na co mi to w ogóle potrzebne? W środku nocy zjadłam trzy kanapki z dżemem brzoskwinowym, niemal o tym nie wiedząc. Owinięta w koc siedziałam na łóżku i patrzyłam w ścianę. Na przemian pogrążałam się w żalu i przekonywałam siebie w myślach, że bardzo dobrze się składa, mogę tu zostać na całe życie, nie jest znowu tak źle. Co z tego, że daleko do miasta? Mam tu wszystko, czego potrzebuję! Jedzenie będzie moją przyjemnością, spanie, czytanie dobrych książek, oglądanie filmów, chodzenie na spacer do lasu, podglądanie przyrody i ogrodnictwo, malowanie paznokci na żywe kolory, o ile oczywiście moje paznokcie nie będą tak połamane jak teraz od grzebania w ziemi, i jeszcze kupowanie ubrań oraz ogromnych swetrów, które dają dokładnie takie samo ciepło jak przytulanie się do ukochanego. Niepostrzeżenie zasnęłam, a rano wstał słoneczny, jakby nieświadomy mojego nocnego cierpienia. Wiatr rozgonił wczorajsze chmury i przetarł szare niebo, tak że stało się znów błękitne.

W dniu urodzin miałam robić wyłącznie rzeczy, które naprawdę sprawiają mi przyjemność. Zignorowałam więc piętrzące się w zlewie brudne naczynia i nieład w łazience. Wyszczotkowałam Bursztynowi futro, a potem wybrałam się z Arnim na długi spacer po kolorowym jesiennym lesie. Wstąpiłam do księgarni w miasteczku i kupiłam sobie kilka książek, a w drogerii zestaw kosmetyków. Poszłam na masaż i na popołudniowy seans do kina, zjadłam całe wiaderko słodkiego popcornu i popiłam gorącą czekoladą. W drodze powrotnej kupiłam wrzosa i cięte kwiaty. Wrzosa wsadziłam do skrzynek na tarasie, a kwiaty z wielką starannością ułożyłam w wazonie. Wieczorem wzięłam długą kąpiel, pomalowałam paznokcie i nałożyłam maseczkę, a potem sprawdziłam pocztę w Internecie. Było tam kilka reklam, mejl od Kamili ze zdjęciami małej Mai, a na koniec ten najważniejszy i oczekiwany – wysłany z biura projektów, z decyzją komisji w sprawie mojego biznesplanu. Drżały mi ręce, kiedy w pośpiechu chwyciłam telefon i dzwoniłam do Kasi.

– Jest! – zawołałam, gdy odebrała.

– Co?

– Wyniki są!

– I co?

– Nie wiem, boję się trochę otworzyć.

– Otwieraj i mów!

Kliknęłam na wiadomość i z napięciem czekałam, aż się otworzy. Niecierpliwie przewijałam tabelki, w których wymieniano liczbę punktów przyznanych w różnych kategoriach podlegających ocenie, aż dotarłam do słów: „oceniony pozytywnie, przyznano dotację”.

– Jest! Dostałyśmy, mamy pieniądze!!! – zaryczałam Kaśce do ucha.

– Aaaaa! Jest biznes! – wrzeszczała ona jak opętana.

– Muszę zadzwonić do dziewczyn, widzimy się jutro wieczorem – pożegnałam się szybko. Przekazałam radosną wiadomość Patrycji i Malwinie. Napisałam też do Anity i Moniki. Cieszyła mnie radość przyjaciółek z mojego sukcesu i to, że nasze wysiłki nie poszły na marne. Ale najbardziej cieszyło mnie, że mam wreszcie plan na siebie i trochę bardziej przewidywalną przyszłość zawodową, że będę mogła się uczyć czegoś nowego. Po raz pierwszy w życiu cieszyłam się, że czeka mnie wyzwanie. No i przede wszystkim jest szansa, że będę mogła zostać w domu, bo zarobię pieniądze, żeby go wyremontować.

Na następne popołudnie Kasia zwołała specjalne zebranie koła. Przybyły wszystkie panie. Przyniosły ciasta, ciasteczka, sałatki i napoje. Zrobiło się domowo i rodzinnie. Była nawet pani Matylda, gratulowała mi uroczysto i wyrażała radość, że koło podejmuje nowe, energiczne działania. Czulałam się, jakbym odbierała Oscara, Grammy albo inną Złotą Kaczkę. Chociaż nie

było to wyłącznie moje dzieło, to przecież osiągnęłam coś ważnego. Na stół wniesiono tort. Ktoś zgarnął na fotel papiery leżące na kuchennym stole. Basia ścisnęła mocno moją rękę i w ten oto sposób spontanicznie rozpoczęło się przyjęcie, które płynnie przeszło w to oficjalnie zaplanowane na wieczór. Dołączyło jeszcze więcej gości, z kolejnym, tym razem urodzinowym tortem. Pomieszali się ludzie z mojego starego i nowego życia, moje marzenia z rzeczywistością.

Cały ogród rozświetlony był blaskiem lampionów i choinkowych światełek, paliło się ognisko, piekły się kielbaski i szaszłyki. Pan Włodzimierz przybył zakłopotany i odświętnie ubrany, prowadząc pod rękę Tolę, a ja witałam ich, próbując nie okazywać zaskoczenia.

– Dobry wieczór! – Tola uśmiechała się przekornie.

– Dobry wieczór! Zaskakujesz mnie po raz kolejny w ciągu zaledwie dwóch dni

– szepnęłam jej na ucho.

– Uwielbiam to robić, najgorzej to pozostawiać ludzi obojętnymi! – Puściła do mnie oczko.

– Wiesz, że musimy poważnie porozmawiać?

– Wiem, wiem, ale teraz chciałabym poznać te wszystkie interesujące panie. – Krążyła wśród gości, barwna i migocząca świecidełkami jak kolorowa dynia na Halloween.

Dotarła Kamila z Filipem i małą Mają, a za nimi z infinity Błażeja wysiadła Patrycja, Monika, Irminka i Anita. Taksówką przyjechała Meg, która uściskała mnie tak mocno, że przez chwilę nie mogłam oddychać. Arni na jej widok popadł w zupełne szaleństwo, ciesząc się jak mały szczeniak. Kiedy dołączyli Bartniczanie, zostałam wbrew woli i rozsądkowi podrzucana do góry 31 razy, a Arni z niepokojem krążył wokół i szczekał karcąco. Byłam zachwycona, że zjawilo się tyle osób, ale ciągle czekałam, że zajedzie jeszcze jeden samochód, z najważniejszym gościem. A najlepiej, gdyby przygalopował na parsającym i wyrzucającym wysoko kopyta białym rumaku! Mikołaj – w białej koszuli i czarnym garniturze, jak Richard Gere w *Pretty woman*. Pasowałoby to wszystko wspaniale i uczyniłoby moje życie w pełni harmonijnym. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Noc była długa, rozmawiałam, śmiałam się, śpiewałam i tańczyłam, ale ukradkiem wciąż wpatrywałam się w wiodącą gdzieś w ciemność drogę. Jednak nie błyskały tam żadne światła, ani nadjeżdżającego powozu, ani nawet zwykłego samochodu.

– Na kogoś jeszcze pani czeka? – usłyszałam głos za plecami, kiedy zamyślona stałam niedaleko furtki, głaszcząc Arniego.

Odwrociłam się i zobaczyłam panią Matyldę. Nie odpowiedziałam.

– Skąd ma pani to zdjęcie? – zapytała, trzymając przed sobą czarno-białą fotografię, którą dostałam w ostatnim liście od Niny.

– Od ciotki, ale nie wiem, kim są ci wszyscy ludzie.

Wtedy pani Matylda sięgnęła do spinki na głowie i rozpuściła włosy.

– Czas nie jest łaskawy dla kobiecej twarzy.

– Ależ to pani jest na zdjęciu! – dokończyłam i niemal wyrwałam jej fotografię, żeby przyjrzeć się jej jeszcze raz. To była ona, z lekkim uśmiechem, stalowymi oczami i ponad dwadzieścia lat młodsza.

– A kim jest dziecko?

– To moja Kasia – uśmiechnęła się lekko.

– A ten mężczyzna?

– To mój mąż. Były mąż – poprawiła się.

Po krótkiej przerwie, zapatrzona gdzieś w ciemność dodała:

– Jeździł motorem, był szalenie przystojny, tajemniczy i kochały się w nim wszystkie dziewczyny w okolicy.

– Nic dziwnego.

– Oprócz jednej – zaśmiała się. – Tak przynajmniej on myślał.

Milczałam i przetwarzałam informacje, które mi podawała.

– Kochał się w ciotce Ninie – podsumowałam w zadumie.

Wpatrywałam się w zdjęcie przynoszące rozwiązanie mojej zagadki na temat tajemniczego mężczyzny pojawiającego się w ostatnim pamiętniku ciotki.

– Ona jednak uznała, że nie pasują do siebie i nigdy nie będą szczęśliwi. Wtedy ożenił się ze mną. A po piętnastu latach rozwiódł.

– Ale przecież ma pani męża – powiedziałam całkiem głupio.

– Drugiego – wyjaśniła ze słabym uśmiechem.

Z ogrodu dobiegały nawoływania i śpiewy, a my patrzyliśmy razem w dal, gdzie droga zawijała i znikwała w ciemności wśród drzew.

– To dlatego nie lubiła pani Niny, a potem mnie – wyrwało mi się, zanim zdążyłam nadać tej myśli elegantszą formę.

– Pewne rzeczy trudno wybaczyć i zapomnieć, zwłaszcza gdy jesteś kobietą i wiesz, że jesteś tą z drugiego wyboru – stwierdziła, lekko skrzywiona.

Milczałam.

– Dlaczego Nina dała pani to zdjęcie? – zapytała jeszcze.

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami – może chciała mi pokazać, jak wyglądała w młodości? A może jako czarownica zobaczyła w szklanej kuli, przy blasku ogniska, że ja też kiedyś uznam pewnego mężczyznę za niewłaściwego dla mnie i przekreślę możliwość osiągnięcia wspólnego szczęścia?

Pani Matylda otrząsnęła się ze swoich wspomnień i patrzyła na mnie przenikliwie.

– Jesteście bardzo podobne do siebie i obie ślepe na miłość.

– Może...

– Jeszcze raz gratuluję i życzę wszystkiego najlepszego, ale teraz już pójdę, zmęczona jestem... – Otworzyła furtkę.

– Chętnie panią odwiozę.

– Nie, dziękuję, to pani przyjęcie, a ja lubię spacerować w nocy – uśmiechnęła się blade. Oddalała się powoli, a ja jeszcze wybiegłam za nią na drogę.

– Dziękuję, że mi to pani powiedziała.

– Nie ma za co. Czasami wspomnienia powodują, że bardziej doceniamy to, co mamy.

– Albo mniej – szepnęłam do siebie i wróciłam do gości.

Bartniczanie grali, kto chciał śpiewać, śpiewał, niektórzy tańczyli. Od razu porwał mnie do tańca pan Włodzimierz, rozochocony chyba swoim uczuciem do Toli, i były to oberki jak tornado, wywołujące długotrwałe zawroty głowy. Z ulgą wyrwałam się z jego objęć pod pretekstem, że muszę przynieść więcej jedzenia. A on, niezrażony i niezmordowany, pociągnął do tańca równie zaskoczoną tym Meg. Usiadłam na jej miejscu przy ognisku.

– Widzisz, jakiego znalazłam sobie mężczyznę? – Tola przysiadła się do mnie.

Właśnie przeszukiwałam magiczną porzeczkę, która tego wieczoru dzieliła się ze mną zaskakującymi wrześniowymi owocami. Z zadowoleniem nawilżałam ich sokiem wyschnięte gardło.

– To mężczyzna o wielobarwnej osobowości – przyznałam dyplomatycznie.

– Aha, a czasami tyle czasu mija, zanim się to odkryje. I pomyśleć, że wszystko zdarzyło się po przyjeździe do twojego hotelu!

– Tylko że ja wcale nie zauważyłam, że coś się zaczęło między wami dziać.

– Wybacz, ale miłość to rzeczywistość o pojemności dwóch osób.

W ten sposób okazało się, że do sukcesów hotelu mogłam dopisać kolejny, mimo iż znów

nie przyczyniłam się do tego ani ja, ani moje czary. Przyglądałyśmy się, jak pan Włodzimierz tańczył z Meg, a reszta towarzystwa grała w kalambury. Nieco zakłopotany Błażej pokazywał właśnie coś, co moim zdaniem było *Lokomotywą* Brzechwy, ale Patrycja upierała się, że to Michael Jackson.

– Może będziemy sąsiadkami...? – rzuciła w przestrzeń Tola.

Aż bałam się pomyśleć, co by się wtedy działo! Na szczęście nie musiałam kontynuować tej rozmowy, bo pan Włodzimierz zdyszany przysiadł na ławce obok Toli, a niedługo potem pożegnali się i wyszli. Kiedy wróciłam do domu, dołączyłam do grających i miałam za zadanie pokazać Boże Narodzenie. Usiłowałam wyglądać jak święty Mikołaj, ale wszyscy twierdzili, że jestem dzwonnikiem z Notre Dame. Poddałam się. Lampiony dogasały, ómy wirowały wokół choinkowych lampek, a we mnie skończyło się oczekiwanie. Już wiedziałam, że mój Mikołaj nie przyjedzie ani dzisiaj, ani nigdy, a zakończenie bajki muszę sobie dopisać sama, bo nie będzie jak u Andersena. „Może to i dobrze, przynajmniej mam na coś wpływ” – pomyślałam jeszcze, zanim zasnęłam.

Następnego dnia obudziłam się pierwsza i z wielką ulgą, że urodziny mam już za sobą, zaczęłam sprzątać w ogrodzie. Z tego, co pamiętałam, wynikało, że dom opuścili wszyscy goście z wyjątkiem moich przyjaciółek. Kamila z Filipem zdecydowali, że przenocują w „Pełnej Chacie”, a przed odjazdem Kamila obiecała jeszcze, że przyjedzie w ciągu dnia. Patrycja, Anita, Monika i Irminka budziły się powoli, a następnie kolejno nalewały sobie kawy z wielkiego dzbanka, który zostawiłam im w kuchni, i owinięte w koce i kołdry, przychodziły do ogrodu, gdzie siedziałam przy stole pod wielkim orzechem. Drzewo powoli zrzucało już swoje ogromne liście, a wiewiórka dawno pozbierała wszystkie orzechy.

– Ale się udały urodziny, będzie to dla ciebie dobry rok! – stwierdziła optymistycznie Patrycja.

– Będzie to rok bogaty. Spodziewam się też wielkich sukcesów i licznych gości – poddałam się jej nastrojowi.

Jakby na zawołanie podjechał pod bramę samochód i wysiadła z niego Kamila.

– Widzisz – kontynuowała przemowę Patrycja – od miesiąca porzucamy domy, rodziny i naszych mężczyzn, aby ci towarzyszyć.

– Tak, a ja dziś po raz pierwszy zostawiłam Maję razem z Filipem – oznajmiła Kamila, kładąc na stole telefon i uruchamiając położony obok laptop. – To na wypadek, gdyby potrzebował pomocy – wyjaśniła trochę zmieszana.

Byłyśmy wszystkie razem, dokładnie jak w dniu, kiedy mnie żegnały.

– Rita, i co teraz? Kończysz z życiem pustelnicy? – Anita walczyła z Bursztynem, który próbował wepchnąć się jej na kolana.

– Eremitki – powiedziała Kamila poważnie.

– Kogo? – zdziwiłyśmy się wszystkie.

– Pustelnik to eremita.

– Powinnaś sobie napisać nad bramą, że tu jest erem – oświadczyła z przekonaniem Patrycja.

– Jeszcze ktoś źle zrozumie i rozejdzie się po wsi, że jest tu harem! – zaprotestowałam.

– Już i tak od historii z Dzikim gadają, że zamordowałam człowieka.

– A więc zostajesz tutaj siac zgorzenie, stara eremitko? – Patrycja drażyła temat.

– Zostaję – potwierdziłam – ale porzucam żywot pustelnicy. Będę jeździć na studia, które niedługo zacznę, i będę was odwiedzać, zarobię pieniądze, więc będę podróżować, gdzie tylko mi się zachce – rozmarzyłam się.

– Bardzo to zacnie – pochwaliła Irminka.

– Czyli uznajemy, że roczne odosobnienie zakończyło się sukcesem i całkowicie się odrodziłaś – ucieszyła się szczerze Anita.

– Ależ oczywiście, rozwijam się, ale wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż myślałam – przyznałam.

– Inaczej lepiej czy gorzej? – chciała wiedzieć Monika.

– Mnóstwo wydarzeń i osób mnie zaskoczyło, ale wyszło chyba najlepiej, jak mogło być. Lepiej, niż bym sama zaplanowała.

– Czyli że zadziałała jednak jakaś siła wyższa?

– Najwyraźniej – zgodziłam się – i obdarowała mnie tym, czego pragnęłam, nawet w nadmiarze.

– Życie bywa rozrzutne.

– Sprawy, które były na pierwszym planie, stały się drugoplanowe i jakoś same się rozwiązały, a bohaterowie główni dostali role epizodyczne za ledwie. Niektórzy nawet nie pojawili się w scenariuszu.

– Tak to bywa. Jak mówi przysłowie: „Znikają jak Kajtek we mgle”! – filozofowała dalej Patrycja, wywołując wybuchy śmiechu. – Ale nie przeciągając już tego przemówienia – pukała kubkiem w stół – wobec domknięcia się cyklu twych przemian, mamy dla ciebie prezent, będący symbolem pojawienia się wśród nas nowej kobiety i jednocześnie efektem naszego wspólnego wysiłku twórczego.

Zasłoniły mi oczy. Kamila została ze mną, żeby pilnować, czy nie podglądam, a pozostała trójka poszła do pracowni. Pokrzykując na siebie, śmiejąc się i stękając, dziewczyny niosły coś w naszym kierunku. Kiedy zdjęły mi opaskę z oczu, spostrzegłam, że na postumencie z kilku zbitych ze sobą palet, na środku mojego ogrodu coś stoi. Zmrużyłam oczy, bo oślepiało mnie słońce.

– Wiemy, że cenisz silne kobiety i zawsze chciałaś mieć taki piękny posąg w ogrodzie.

– Dla ozdoby i przede wszystkim inspiracji.

– Oto tańcząca kobieta motyl!

– Albo Diana!

– Albo biegnąca z wilkami...

– Wierzmy, że będzie to piękna ozdoba twojego magicznego świata.

Podeszłam bliżej i przyjrzałam się uważnie. Była to gipsowa kobieta, jej wydatna górna część ciała wyraźnie za tym przemawiała. Miała twarz przesłoniętą burzą włosów, masywne nogi i trzymała coś w wyciągniętej dłoni.

– Co ona trzyma? – zainteresowałam się.

– Księgę mądrości.

– I koło nogi ma miecz, symbol męstwa – objaśniła Anita.

– Albo siekiere, zdania są podzielone – parsknęła śmiechem Patrycja.

– A to co? – Podeszłam jeszcze bliżej. Na przegubie drugiej, czteropalczastej dłoni zawiązana była czerwona apaszka, a pod nią jakieś zawiniątko z papierów. Wyjęłam ostrożnie i wyprostowałam papier.

– To dodatkowy prezent. Uznałyśmy, że po tym wszystkim, co się działo, możesz potrzebować wakacji!

– Paryż! Moje marzenie!!! – Uściskałam po kolei przyjaciółki. W tym czasie Arni na swój psi sposób wyrażał akceptację dla nowego symbolu w ogrodzie.

– A tobie, jak się układa, Meg? – zainteresowała się przy obiedzie Anita.

– Gdyby ktoś mi powiedział rok temu, że będzie tak wspaniale, to bym nigdy nie

uwierzyła. Ale mam też matematyczne przemyślenia o miłości, bo rozwiązywałam sudoku w pociągu, jadąc tutaj.

– No dawaj! – zachęciłyśmy ją.

– Otóż jeżeli nie zauważysz, że w jednym kwadracie coś się nie zgadza, albo zignorujesz to z nadzieją, że może jednak będzie w porządku, to zwykle potem nie udaje się dopasować reszty i się wkurzasz, bo próby zmiany w jednym rzędzie psują wszystko w innym i ciągle coś nie gra. I tak poprawiasz bez końca. Dopóki masz mało cyfr, musisz rozważyć wszystkie opcje i ostrożnie wpisywać. Bo w miarę przybywania cyfr coraz trudniej cokolwiek zmienić bez zniszczenia całości.

– Męczące strasznie...

– A co, myślałaś, że to tylko uniesienia?

– Miłość jest królową, jak matematyka!

– Dodawanie.

– Albo mnożenie, to jest najfajniejsze – rozmarzyła się Patrycja.

– Ale potem przychodzi dzielenie. – Kamila dolewała sobie kawy.

– Ale już nie odejmowanie.

– Jak to nie? Rozum przecież odejmuje!

Rozmowa plotła się, każda z nas dodawała do niej kolejne strzępki myśli. A ona, niczym mała dziewczynka, wyrywała się, podskakiwała na jednej nodze i wcale nie chciała spoważnieć. Wszystko i tak zostało już kiedyś powiedziane. Gdy późnym popołudniem dziewczyny pojechały, pisałam w swoim pamiętniku: „Dziś jestem szczęśliwa!”.

– Szczęśliwa? – włączył się do moich rozmyślań zegar tykający na ścianie.

– Jesteś pewna? – kukała kukułka w ogrodzie. Nawet pies się przebudził i spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. Potem ziewnął i spał dalej.

– Tak, szczęśliwa, chyba...

Zasiany raz niepokój pęczniał we mnie następnego dnia i rósł, taki nieuzasadniony, domagający się natychmiastowej uwagi. Co będzie z tym pustym miejscem obok mnie? Czy już zawsze będę mieszkała tutaj, sama? Wyobraziłam sobie, jak to za lat pięćdziesiąt będę ususzoną staruszką, z kijaszkiem wędrującą do sklepu po mleko, a potem cały dzień siedzącą przy oknie. I nawet nie będzie za tym oknem nikogo, kogo można by poobserwować, o kim można by poplotkować. Potem kiedyś umrę i znajdą mnie rok później. Atakowały mnie pytania, które obijały się o moją głowę niczym cały zbiór piłeczek ping-pongowych. Czy mogę już wreszcie wypakować walizkę, w której do tej pory tkwiła część przywiezionych rzeczy, dając mi poczucie, że kiedy zechcę, mogę wyjechać, bo jeszcze nie zapuściłam korzeni? Byłam ciągle jak kwiat wazonie, a nie drzewo posadzone w ogrodzie. Czy można pomylić się i odejść od tego jedyne, właściwego, czy też jak w filmach jest to niemożliwe, bo w ostatniej chwili nie wsiada się do samolotu, nie odjeżdża pociąg, wyjaśnia się nieporozumienia i padają słowa „kocham cię”, a oni sobie w ramiona?

– Czy wyprowadzenie się od Mikołaja bez słowa nie było przypadkiem największym błędem mojego życia? – powiedziałam na głos, a pies zareagował, podnosząc głowę i delikatnie machając ogonem. Nie, to nie był ewidentny błąd, bo przyniósł wiele dobrych owoców. Dawniej często nie rozumiałam zachowań i wyborów ludzi, których spotykałam. Tajemnicą dla mnie było, jak można tkwić w pewnych sytuacjach, niewłaściwych według mnie wyborach, być oschłym, opryskliwym, nieokrzesanym. Dopiero jak sama się niepostrzeżenie taka stałam, przeżyłam swoje doświadczenie odosobnienia, otworzyły mi się oczy i serce. Rok na końcu świata stał się moim wybawieniem. Była ukochana i znienawidzona samotność, był lęk, że nie nastanie już dzień i że zabije mnie jadem ropucha, poznałam tylu ludzi i zaczęłam znów się uczyć. Przecież to

potwierdza trafność decyzji! Błędem był sposób, w jaki to zrobiłam. Uciekłam bez słowa wyjaśnienia, przekonana, że po prostu podejmuję wolne życiowe decyzje, odpowiedziałam sobie w myślach. Uciekłam z egoizmu i z braku dojrzałości. Dopiero w samotności, ciszy i potem w towarzystwie innych kobiet dogrzebałam się do siebie samej, moje lęki i niepokoje stopniowo znikły, robiąc miejsce na kochanie drugiej osoby. A mimo to, odkąd tu jestem, nie zainteresowałam się żadnym mężczyzną...

Nagle stało się dla mnie oczywiste, że muszę natychmiast wrócić do miasta, odnaleźć Mikołaja i powiedzieć mu, że zależy mi na nim, chcę z nim być i wyjechałam, by zyskać okazję do powrotu. Musiałam tylko najpierw siebie odnaleźć, bo nigdy się dobrze nie znałam. Nie dostrzegałam też wcześniej tak naprawdę jego, bo widziałam jedynie swoje braki, których mi nie uzupełniał, bo tylko ja sama mogłam to zrobić. Tak, pojedę tam i powiem mu, że wyjechałam, żeby go pokochać! Że ten rok, spędzony w samotności, ciszy oraz na pracy fizycznej i żmudnej pracy nad sobą, doprowadził mnie prosto do niego i to jest teraz mój świadomy i przemyślany wybór! Podejmę ryzyko odrzucenia, żeby go odzyskać.

Tak jak przed rokiem już sięgałam po walizkę, żeby spakować rzeczy. Równocześnie dzwoniłam do Kaśki z prośbą o zajęcie się przez pewien czas sprawami pracowni i hotelu.

– No szybko, odezwij się, przecież przez to opóźnienie może przepaść moja szansa na szczęście w życiu – ponaglałam Kaśkę, która ciągle nie odbierała.

Spróbowałam zadzwonić do Malwiny i udało się, odebrała od razu.

– No cześć – przywitała mnie wesoło.

– Cześć, słuchaj, dasz radę zająć się pracownią i hotelem przez najbliższy tydzień?

– Ten tydzień? – upewniała się.

– Tak, muszę wyjechać.

– Coś się stało? Przecież ty nigdy nie wyjeżdżasz – zaniepokoiła się.

– Nie, wszystko w porządku. Mam ważną sprawę do załatwienia.

– Tak nagle? – dociekała, a ja nienawidziłam jej za to w tym momencie najbardziej na świecie, bardziej nawet niż kalafiora i zupy mlecznej.

– No, tak wyszło – nie chciałam wdawać się w szczegóły.

– No dobra... – zgodziła się wreszcie z wahaniem.

– Super, zostawię ci klucze u pana Włodzimierza, jesteś kochana, pa – szybko kończyłam rozmowę, bo miałam do wykonania jeszcze jeden telefon.

– Cześć, Patrycja.

– Cześć.

– Przyjeżdżam.

– Co?!

– Ja po prostu muszę wreszcie przyjechać, rozumiesz?

– Ale to nie ma żadnego sensu, minął rok, on nigdy cię nie szukał, sama od niego uciekłaś, masz ułożone życie – od razu się domyśliła, że nie jadę do niej w odwiedziny ani na kawę do Kamili.

– Rok temu też miałam! Słuchaj, ja po prostu chcę to zrobić! Jestem gotowa, żeby mu powiedzieć, że już nigdy nie chcę układać sobie życia bez niego, że jest niezbędnym jego elementem. A w ogóle, dlaczego mi nie powiedziałaś, że robię błąd, jak się wyprowadzałam tak w pośpiechu i bez rozmowy z nim?

Dłuższą chwilę milczała i myślałam, że w ogóle mnie nie słuchała.

– Patrycja, jesteś tam?

– Jestem. Nie powiedziałaś ci, tak jak ty mi kiedyś nie powiedziałaś, że byłam gruba i powinnam się odchudzać.

– Zwariowałaś? To dwie zupełnie różne rzeczy!
– Nie jest łatwo mówić coś, co nie jest dla drugiej osoby łatwe do przyjęcia.
– Ale czasem trzeba to z siebie wydusić, żeby nie mieć na sumieniu nieszczęścia swojej przyjaciółki!
– To teraz z tego samego powodu ci mówię, że popełniasz błąd, tak nagle wracając!
– To jak mam wrócić nie nagle? Mam mu po kawałku przysyłać w paczkach poszczególne części swojego ciała?
– Właśnie! I koniecznie rozum na końcu, bo i tak niewielki z niego pożytek!
– Dzięki, z twojego również – odbiłam piłeczkę, chociaż byłam jej wdzięczna za tę rozmowę i okazaną troskę.
– Rita, zadzwoń do niego najpierw, napisz, wyślij SMS-a – negocjowała ze mną.
– Aha, dobra – powiedziałam dla świętego spokoju, żeby skończyć tę rozmowę, bo już nie chciałam marnować więcej czasu. Może zdążyć jeszcze na ten dramatyczny moment tuż przed sakramentalnym „tak” w kościele? Przełączyłam telefon na głośnomówiący i pakowałam walizkę. Partycja wymogła na mnie obietnicę, że przemyślę najpierw to, co robię, ale kiedy jej to obiecywałam, to skrzyżowałam palce lewej ręki. Zresztą, jak możesz komuś obiecywać coś, co dotyczy twojego życia osobistego i szczęścia?

Podróż do miasta wlokła się niemiłosiernie, a mieszanka smutku i radosnego wyczekiwania, które czułam, jadąc przed rokiem w przeciwnym kierunku, ustąpiła miejsca zdenerwowaniu i niepewności. Nie wiedziałam, co mu powiem i jak zareaguję, gdy go zobaczę. Jak on zareaguje? Nie dopuszczałam do siebie myśli, że inaczej niż mówiąc: „Nareszcie jesteś!”. A jeżeli nie, tłumaczyłam sobie, to przynajmniej mam gdzie wrócić, mam swoje miejsce na ziemi, swój ogród i swoje kwiaty, żeby o nie dbać. Z busa przesiadłam się do autobusu, a potem do wygodnego autokaru. Cicho szumiał silnik, patrzyłam na ludzi i widoki za oknem i nie mogłam uwierzyć, że nic się nie zmieniły, podczas gdy moje życie przewróciło się do góry nogami, trzy razy przekoziołkowało i spiralnym ruchem poprowadziło mnie prosto do miejsca, z którego rozpoczynałam swoją podróż rok temu. Ale ja sama w głowie i sercu miałam już zupełnie inny krajobraz. Zdemaskowałam to, że ciągle poganiam czas. Śpieszę się, bo chcę żyć lepiej, inaczej, bo wiem, czego pragnę, i chcę to dostać ze wszelką cenę. Uroiłam sobie garść nowych celów, do których już mnie gna, szybko, bo za pasem czterdziestka! A przecież życie to jeden dzień, poprzecinany wieloma wschodami i zachodami słońca. Nie jest mierzone latami, ale działaniami, wśród których poznawanie siebie i kochanie innych są jednymi z ważniejszych. Przekonywałam się w myślach, że nigdy nie jest na nie za późno – bo to tylko jeden ogromnie długi dzień, jaki mam do dyspozycji, jak więc może być za późno? Z pewnością warto próbować! To, co robię i przeżywam, tworzy mój świat. Może on być albo rozległy, piękny i bogaty w doświadczenia i spotkania, albo wąziutki, ciasny i ciemny, ograniczony lękami, frustracjami i złymi emocjami do siebie i innych. Wybór należy do mnie. I podejmuję decyzję, że chcę wrócić, chcę być z tym mężczyzną, który tak mnie irytował, od którego uciekłam, od którego wymagałam rzeczy niemożliwych, a którego miłość traktowałam jak coś oczywistego, jak powietrze. Bo ja się zmieniłam, odkryłam, że popełniałam błędy, a teraz wiem, że mogę, ale nie chcę już dłużej żyć bez niego. No i jeżeli on nadal będzie na mnie czekał, to ja już jestem, a nawet mam dla nas dom, z płotem, psem i kotem, gdyby tylko takiego domu chciał. Jeżeli nie, to i ja nie chcę w tym domu być sama. Bo chociaż kocham ten dom, to jego kocham bardziej i bez niego ten dom jest tylko budynkiem, a nie prawdziwym domem. No i chcę zobaczyć, jak zajmował się moim sercem, które mu zostawiłam, wychodząc po raz ostatni z mieszkania, i które czekało nań w skrzynce na listy razem z kluczami albo gdzieś w łazience, albo pomiędzy płytami z naszymi ulubionymi filmami, albo na półce z moimi książkami. A może gdzieś koło jego

serca...

Wysiadłam na dworcu autobusowym i klusem popędziłam na przystanek, w samą porę, żeby zobaczyć światła odjeżdżającego autobusu i przekonać się, że następny jest za dwadzieścia minut. Usiadłam na ławce i zaraz wstałam, poszłam do kiosku po gumy do żucia i wyszłam z misiami żelkami i dzisiejszą gazetą. Prawym butem rozchlapywałam błoto w niewielkiej kałuży koło przystanku i nerwowo obgryzałam skórki u palców lewej dłoni, chociaż w zasadzie nigdy wcześniej nie obgryzałam paznokci ani skórek. Wreszcie przyjechał autobus, wsiadłam i ruszyliśmy z kopyta. Z gniewem parzyłam na osoby, które ośmielały się czekać na kolejnych przystankach i spowalniać moją triumfalną podróż powrotną. Podczas wysiadania niby przez przypadek trąciłam staruszkę, która niemiłosiernie się grzebała, a w następnej minucie niemal ze łzami w oczach z powodu takiego nietaktu ją przeproszałam. Wzruszyła się, ale wcale szybciej nie wysiadła. W końcu uwolniona przebiegłam na drugą stronę ulicy i już wpadałam do bramy, gdzie mieściło się nasze mieszkanie. Wielkimi susami pokonywałam schody, kiedy jednak dotarłam do drzwi, znieruchomiałam. A jak mi nie otworzy? A jak otworzy i zatrzaśnie drzwi przed nosem? A jak otworzy mi inna kobieta? Zadzwoiłam krótko dwa razy i wstrzymałam oddech. Czekałam chyba ze dwa dni, albo nawet trzy, niemal udusiłam się, bo zapomniałam, jak się oddycha. W mojej kieszeni zadzwonił telefon. W takiej chwili!? Nie patrząc kto to, wyłączyłam aparat. Nikt nie otwierał mi drzwi. Zadzwoiłam jeszcze raz i czekałam. I znów nic. Nagle poczułam się bardzo słaba i usiadłam na schodach. Zamknęłam oczy, żeby nie pozwolić wylać się głupim łzom. Liczyłam na to, że mi otworzy i porwie mnie w ramiona, i już się skończy moja tęsknota, niepewność, i chwilę sobie odpocznę. Wolałabym chyba, żeby ktokolwiek otworzył mi drzwi i wyjaśnił, gdzie jest Mikołaj. Nie chcę już nieobecności i niewiedzy. Siedziałam na schodach jeszcze dłuższą chwilę, później jednak zdrętwiały mi nogi, więc powoli wstałam. Przez szybę spostrzegłam, że zaczynał padać drobny deszcz. Zapachniało zmoczonym kurzem na chodniku. Do mieszkania nikt nie wszedł ani z niego nie wyszedł. Sąsiadka z góry wracała zawsze z pracy o wpół do szóstej, więc musiałam odejść, jeżeli nie chciałam się z nią spotkać.

Usiadłam na przystanku i zupełnie nie wiedziałam, co dalej. Nie chciałam widzieć nikogo, nie miałam zamiaru spotykać się z dziewczynami, słuchać pustych pocieszeń albo wyrzutów, że źle zrobiłam. Skoro on na mnie nie czeka, to chcę wrócić do siebie, zaszyć się jak najszybciej w domu, przytulić psa i wypłakać mu się w miękką sierść. Chcę posadzić nowe drzewa owocowe i poznać wspaniałych ludzi, którym mogę pomóc swoją obecnością i rozmową. Chcę wrócić do własnego kawałka świata, gdzie może i samotna, ale jestem bezpieczna i w pewnym stopniu szczęśliwa. Na przystanku pojawiali się coraz to nowi ludzie, czekali chwilę i wsiadali do swoich autobusów. Wracali z pracy do domów i jechali spotkać się ze znajomymi, na basen, na zakupy, a ja siedziałam niezaczepiana i nieobecna. Nasiąkałam unoszącą się w powietrzu wilgocią i było tak, jakby pogoda płakała za mnie, bo ja byłam zbyt odrętwiała. Deszcz padał równo, szumiał i chlupotał, pryskały rozjeżdżane przez auta kałuże. Miasto tętniło wodą i życiem, a ja chciałam przestać istnieć. Ze swojego miejsca na przystanku widziałam okno naszego mieszkania. Było ciemne. Wracały do mnie wspomnienia, kiedy byłam w nim taka szczęśliwa i nawet o tym nie wiedziałam.

Miałam przemoczone buty i drżałam z zimna. Nie miałam siły wracać jeszcze do siebie na wieś ani szukać noclegu u którejś z dziewczyn. Chciałam spędzić noc w tym moim kiedyś mieście, anonimowo, w obcym hotelu i sprawdzić, czy następnego dnia wyjdzie słońce. Zasypiałam w pokoju z widokiem na szarą ścianę budynku naprzeciwko, pachnącym niewietrzonym długo dywanem, w pokoju, w którym zjawiłam się późnym wieczorem i wzięwszy długi prysznic, zaległam przy włączonym telewizorze oraz szmerze głosów

z restauracji na dole. Rano nie obudził mnie śpiew ptaków. Około południa, zmęczona, z jakimś ogromnym ciężarem na plecach, wyszłam z hotelu i powędrowałam znanymi ulicami, zaglądając w znajome miejsca. Z daleka patrzyłam na sklep z pamiątkami, w którym kiedyś pracowałam, i na piekarnię, gdzie wciąż uśmiechnięty Michał układał chleby na półkach, a jego żona kroїła ciasto z czerwoną galaretką. Sprawdziłam godzinę na zegarze, pod którym zwykle umawiałam się z Patrycją po pracy. Policzyłam łabędzie w stawie w parku i wspięłam się na wzgórze, skąd rozciągała się rozległa panorama miasta. Nadal było ją widać. Kupiłam sobie kawę w ulubionej kawiarni i jak zwykle posypałam cynamonem, czekoladą i cukrem waniliowym.

Potem poszłam do parku z małym stawem, obrośniętym wysokimi trawami, na naszą ławkę z widokiem na morze. Była to dokładnie ta sama ławka, z tymi samymi inicjałami wyrytymi na oparciu, na której śmiałam się, jadłam lody i trzymałam Mikołaja za rękę. Słońce, tak samo jak wtedy, grzało mnie teraz w plecy, niebo było to samo i ludzie, którzy przechodzili obok, byli bardzo podobni jak wówczas. Gdzieś jechało pogotowie na sygnale, na gałęzi usiadł gołąb i przejechał ktoś na rowerze. Tylko dwie rzeczy były inne, te najważniejsze – ja i to, że nie było ze mną Mikołaja, tło było takie samo i tak samo obojętne, na szczęście czy rozpacz. Pusty tramwaj jechał przez most i wiózł niebieskie niebo, które odbijało się w jego brudnych szybach, jakiś mężczyzna rozmawiał ze swoim synkiem siedzącym w wózku i w jego imieniu machał do stada kaczek pływających po wodzie. Nie było mi żal, że nie mieszkam już w tym mieście, nie miałam już do kogo tu wracać, jeżeli nie czekał tu na mnie Mikołaj. Siedziałam z zamkniętymi oczami i z daleka mogło wyglądać, że staram się nasycić ostatnim jesiennym słońcem, a ja w środku zapadałam się coraz głębiej, w coraz czarniejszą dziurę. Dopiero po dłuższej chwili zakodowałam, że ktoś usiadł obok na ławce. Chciałam już wstać i poszukać innej, gdzie będę sama, kiedy się odezwał:

– Nie dałaś znaku życia przez rok, a teraz sobie tak po prostu siedzisz na tej cholerniej ławce?

Na ten dźwięk coś w środku mi się urwało, serce pognało galopem i poczułam ściśnięcie w żołądku, a potem ciepło na policzkach. Zrobiło mi się gorąco, a chwilę później zimno i słyszałam tylko szum w uszach.

– Nie wyjaśniłaś, nie napisałaś i nie zadzwoniłaś. I nadal milczysz.

Bałam się na niego spojrzeć, nie chciałam zobaczyć niechęci albo wściekłości na jego twarzy.

– Szukałem cię w Internecie, gdzie pojawiłaś się razem z jakimiś kobietami z koła gospodyń wiejskich, w stroju regionalnym, w takiej śmiesznej bluzce i bucikach, jakby to bal karnawałowy był.

– Nie bal, to mój zespół – zaprotestowałam i jednocześnie spojrzałam na niego wreszcie, a wtedy zrobił się maj.

– Masz zespół? – Uniósł brwi.

– Nie, śpiewam i tańczę w zespole, wygraliśmy konkurs piosenki wtedy – odpowiedziałam, chłonąc wzrokiem jego twarz.

– Aha... – odwrócił głowę i patrzył na morze.

– Ale to moje hobby, a nie główne zajęcie – zaznaczyłam.

– Tak, wiem, znalazłem cię również jako beneficjenta projektu unijnego, czym mi zaimponowałaś, bo zwykle starałaś się nie ryzykować i nie wychylać, co zawsze mnie trochę wkurzało.

– Nigdy mi tego nie powiedziałaś.

– Wielu rzeczy sobie nigdy nie powiedzieliśmy.

– No tak...

– Nie rozumiem cię, jesteś racjonalna i konkretna, a jednocześnie głupia i nierozsądna. Masz ambitne plany i przemyślenia na temat życia, a w następnym momencie angażujesz się w najbardziej idiotyczne przedsięwzięcia, bez żadnego namysłu. Ja nie nadążam, a chciałbym czasami wiedzieć, czego się spodziewać.

– Wiem – krzyknęłam radośnie – ja też do tych wniosków doszłam. Tylko że przewidywalność jest bezpieczna, ale nudna, jeżeli trwa cały czas.

On westchnął, a ja zamilkłam, bo bałam się, że wstanie i odejdzie. Przez chwilę patrzyłam na morze, dziś spokojne.

– Nie potrafię i chyba już nie chcę ci zaufać – usłyszałam i dostałam dreszczy. Wbiłam zaciśnięte w pięści dłonie do kieszeni. – Odeszłaś bez słowa, bo nie liczę tej idiotycznej kartki, którą zostawiłaś, i nie odezwałaś się przez rok!

– Chciałam się przekonać, co czuję i kim jestem. Żeby samotność pozwoliła mi to zrozumieć i odkryć, kogo chcę mieć przy sobie.

– Teraz to już wiesz?

– Lepiej niż wcześniej.

– A jak kiedyś znów ci przyjdzie do głowy się samorealizować, wyjechać do Afryki, nauczać głodne dzieci, to też zostawisz mnie tak bez słowa? Bo ty chcesz i musisz?

– Przepraszam.

– Nie chodzi o twoje „przepraszam”. Chodzi o to, jak mnie potraktowałaś i jaka jesteś!

– Byłam.

– Nie wiem, nie znam cię za dobrze, jak się okazuje...

– Tyle rzeczy chciałam ci powiedzieć i nie wiem czemu, wszystkie wydają się teraz niepotrzebne.

– Nie chodzi o słowa, chodzi o to, żeby być razem, jak jest trudno i źle.

– Ja potrzebowałam czasu i samotności, żeby do tego dojść i trochę dojrzeć.

– No tak, idziemy innymi ścieżkami.

– Ale one się jednak gdzieś przeplatają.

– Raczej płaczą i znowu rozchodzą. Przykro mi, tak to widzę.

– A jak to czujesz?

– Tak samo i jestem zmęczony.

– Jestem za późno?

– Było mi łatwiej, bo nie zostawiłaś mi nadziei, że wrócisz.

– Ale dla mnie było oczywiste, że wrócę!

– Dla mnie nie.

– Nie chciałam kłótni, wyrzutów i raniących słów, których nie można cofnąć. Chciałam tylko trochę czasu, żeby móc wrócić.

– To tak nie działa.

– Nie ma stop-klatek?

– To nie film, to było nasze życie, nasz związek, a nie jakieś twoje urojenia!

– zdenerwował się.

– Jesteś szczęśliwy beze mnie?

– Odkryłem, że da się tak żyć. A ty?

– Też potrafię być sama.

– To chyba dobrze.

– Chyba tak. – Czulałam potworny ścisk w gardle i zbierające się gdzieś w środku łzy.

Płacz nie wchodził w grę, był banalny i nie na miejscu.

– Tak wybrałaś.

- Wiem.
- Znalazłaś to, czego szukałaś?
- To, czego mi brakowało, ale w międzyczasie straciłam coś innego.
Wzruszył ramionami.
- Nie ma sytuacji idealnych.
- Jestem już inna – podjęłam jeszcze jedną, żalną próbę.
- Ja też. Przepraszam, muszę już iść.
- Nie szukałeś mnie, kiedy wyjechałam i nie czekałeś na mnie, kiedy wróciłam, nigdy mnie nie kochałeś – wystrzeliłam ostatni pocisk.
- To ty mnie zostawiłaś, zabierając jednocześnie to, co było we mnie, bo w tobie nigdy tego nie było! – odpalił, a potem wstał i odszedł.
- Nie odwróciłam się, bo gdybym zrobiła jakikolwiek ruch, na pewno bym się rozpadła.

I tak to się odbyło. Rok temu ja zostawiłam jego bez słowa, dzisiaj on w wielu słowach wyjaśnił mi, dlaczego mnie zostawia i dlaczego nie ma powrotu. Banalny koniec idiotycznej historii, z której w tak kosztowny sposób nauczyłam się wiele o sobie i tylko to nowo uzyskane „ja” pozwoliło mi podnieść się z ławki i wsiąść do autobusu jadącego na dworzec, a potem do autokaru, autobusu i taksówki do domu.

Potrzebowałam czegoś, co pozwoliłoby mi stanąć znów mocno na nogach i żyć dalej ze świadomością, że przegrałam coś ważnego. Twardsza, bardziej milcząca, z pięściami zaciśniętymi i pomarszczoną od słońca skórą. Oto historia zatoczyła koło i ja byłam Niną, zwabioną do jej domu, gdzie miałam wypełnić swoim życiem tę wiecznie powtarzającą się historię nieszczęśliwych decyzji miłosnych. Realność tej sytuacji, poczucie, że przez rok żyłam uludą i śniłam sen wariata, uderzyły mnie pięścią w twarz, a bolało i piekło serce. Ostateczny koniec bajki, wcale nie taki bajeczny. To, czego się najbardziej bałam, znowu się przydarzyło. I po raz kolejny to przeżyłam, to wszystko.

Wracałam do siebie, sama. Zmierzając w stronę domu połą drogą, nieznacznie, ale bezustannie wznosząc się ku górze, zwykle doznawałam przyływu energii, lekkości, czułam się wolna i pełna nieograniczonych możliwości. Wiatr, jeżeli wiał, to zawsze w plecy, popychając mnie i mierzwiąc włosy. Szłam równym krokiem, wdychając rześkie powietrze i patrząc na drogę wijącą się dalej wśród brzoź, gdzieś za horyzont, i chciałam znów uwierzyć, że wszystko jest możliwe, a życie nie kończy się na tu i teraz. Chciałam obudzić w sobie radosne oczekiwanie na to, co będzie dalej, i jeszcze nieuzasadnioną wiarę, że cokolwiek to będzie, w efekcie okaże się dla mnie dobre. Otaczały mnie puste już pola, kolorowe drzewa i zmęczone, rzucające długie cienie słońce. Jesień przynosi uspokojenie. Skóra, jeszcze pachnąca słońcem, już otula się miękkim swetrem w chłodniejsze wieczory. Jesień jest spełnieniem. W owocach, nasionach i zieleni, która już była, odegrała swoją rolę i może odpocząć, jeszcze nasycić się leniwie słońcem. Musi czuć się jak pracowita gospodyni, która dobrze spełniła swój obowiązek. Jarzębina czerwieniła się i miałam ochotę, jak za czasów dzieciństwa, zrobić sobie z niej korale. Pchnęłam furtkę i wkroczyłam do ogrodu. Chmara ptaków z szumem lekkich skrzydeł podniosła się z zarośli, porzucając na moment wyborną ucztę, złożoną z dojrzałych już winogron. Zostawiłam walizkę u podnóża schodów i zerwałam kiść winogron. Były słodkie i soczyste. Pomyślałam, że musimy z panem Włodzimierzem zrobić wino. Słoneczniki straciły już swoje żółte płatki i pochylały się teraz w ukłonach, a na nich, jak na placu zabaw, huštały się sikorki, wyjadając łakomie ziarno. Działo się to jak co roku, ze mną lub beze mnie. Nieustannie obracające się koło życia jest jedynym lekarstwem, które może ukoić moje jeszcze wyjące z rozczarowania i żalu serce, a tylko panująca cisza i mądrość samotności mogą pozlepić porozrywana nimi słabą

duszę. Bo jest czas i wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem i jest tego czasu tyle, ile nam potrzeba.

Epilog

Na końcu mojego świata, rozparty błogo w wiklinowym, skrzypiącym fotelu siedział Mikołaj. Ten sam, od którego uciekłam na rok i który potem nie chciał, żebym do niego wróciła. Otworzył właśnie oczy i kpiąco się uśmiechnął, jakby od początku wiedział, jak to się skończy. Postawiłam kosz krwiste czerwonych jabłek na stole i z impetem wskoczyłam mu na kolana, a on przytulił mnie tak mocno, że zabolowały żebra.

– Co jest, świrze? – zapytał zaczepnie i zmierzwił mi włosy dłonią.

– Jest pięknie! – odpowiedziałam.

W odpowiedzi jesień posypała nas złotem i rubinami liści, a Minnie Riperton zaśpiewała:

*Lovin' you it's more than just the dream come true,
And everything that I do, it's out of lovin' you
No one else can make me feel the colours that you bring
Stay with me while we grow old
And we will live each day in springtime
Cause lovin' you has made my life so beautiful
And every day of my life is filled with lovin' you...*

– Dobrze, że wróciłeś.

– Przecież jestem tu pierwszy raz – odparł, patrząc pytająco.

– Nie, cały czas byłeś tu ze mną, a teraz na dobre wróciłeś.

Przytulił mnie tylko mocno i zaśmiał się tym najpiękniejszym śmiechem na świecie, za którym też bardzo tęskniłam przez cały długi rok. Jesienne wróble z naszego ogrodu, nagle ożywione, zagłuszały te z piosenki, jakby się chciały popisać. To była naprawdę bardzo piękna chwila, w sam raz na początek nowego etapu mojego wspaniałego życia! Bo odrobina słodczy przeciwie na początek nie zaszkodzi. Tak jak nie szkodzi odrobina słonych łez, zimnego potu w czasie ciężkiej pracy albo stresu podczas wydarzeń, które są wyzwaniem. W ciągu ostatniego roku przekonałam się, że moje życie nie jest i nigdy nie będzie czarno-białe. Nie osiągam nigdy pełni szczęścia ani nie mam poczucia, że wszystko stracone. Miłość też nie jest idealnie piękna, bez skazy, jak z cikliwego filmu. Ma rysy i pęknięcia, nierówności i ostre krawędzie, rani i leczy. Bo taka jest nasza ludzka miłość i taką ją przyjmuję. Już nie uciekam i nie piszę bajek. Żyję!

Otworzyłam powoli oczy i popatrzyłam w niebieskie, ale przydymione jesienią niebo. Czy kiedyś spełni się mój sen o wspólnym domu z Mikołajem na końcu świata, jabłkach, wróblach i płotku? Nie wiem, pozostaje mi żyć i czekać, co się wydarzy za rogiem, odważnie czasami za ten róg zaglądając, żeby móc się do tego, co będzie, przygotować. Żyję pomiędzy światem tego, co jest, a możliwością pojawienia się tego, czego pragnę. Nie chcę uronić ani kropli z tego, co się wydarza i co mogę zdziałać. Ale też nie chcę przeoczyć marzeń, snów i tego, co może być, choć jeszcze tego nie ma! Bo „prawdziwe” życie nie jest przypisane do jakiegoś wyjątkowego miejsca na ziemi, gdzie trzeba się znaleźć, żeby naprawdę żyć. Zaczyna się wtedy, gdy się na swoje życie zgadzamy, podejmujemy swoje decyzje i wybieramy własną drogę – na teraz lub na zawsze, dostosowując się lub buntując przeciwko zmianom, jakie to życie niesie. A ja muszę być gotowa. W moim wnętrzu bowiem ciągle pobrzmiwają słowa Khalila Gibrana: „Kiedy wezwie was miłość – idźcie za nią, aczkolwiek jej drogi są trudne i nierówne. A kiedy obejmą was jej skrzydła – ufajcie jej, aczkolwiek spada ukryta w jej piórach może was zranić.

A kiedy do was mówi – posłuchajcie, pokładajcie w niej ufność, chociaż jej głos może roztrzaskać wasze sny, tak jak północny wiatr niszczy ogród. Bo miłość może zarówno ukoronować, jak i ukrzyżować, może być waszym wzrostem, jak i waszym obumieraniem”.

Pisane na końcu świata: październik 2011 – październik 2012

Pragnę gorąco podziękować

Panią z grupy wsparcia i osobom z którymi współpracowałam przez ostatnie dwa lata - wiele się od Was nauczyłam; jesteście dowodem na to, że w każdej sytuacji i okolicznościach zmiana oraz rozwój są możliwe!

Mojej przyjaciółce Gani za inspirację i tę odrobinę szaleństwa - bez Ciebie nie tylko ta książka, ale i wiele innych fantastycznych rzeczy w moim życiu niegdy nie miałyby miejsca!

Oraz wszystkim, dzięki którym mój własny pobyt na końcu świata był możliwy, w szczególności mojej Mamie za obiady w słoikach, ciasta, sprzęty domowe i konstruktywne uwagi; moim Siostram za noclegi, rozmowy, książki, wsparcie, sadzonki i nasiona, kota oraz pomoc w ogrodzie; moim Braciom za prace remontowo-budowlane, przygotowanie opału na zimę i Skodzinę; mojemu Schwagrowi za usunięcie szerszeni ze strychu; moim Siostrzeńcom za towarzystwo, kalambury i Pieseczka.

And last but not least, thank you, David, for you love, patience and always being there for me.

